

KRISTEN SIMMONS

PARAGRAF 5

Wymagane jest
bezwzględne
posłuszeństwo



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

KRISTEN SIMMONS

PARAGRAF 5

Przełożyła z angielskiego

Donata Olejnik



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

WROCŁAW 2015

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Podziękowania

Przypisy

Jasonowi
Dziękuję za to, co teraz.

ROZDZIAŁ I

Beth i Ryan trzymali się za ręce. To już wystarczyło, żeby narazić się na oficjalne wezwanie sądowe z powodu nieobyczajności, ale oni wiedzieli swoje, a ja milczałam. Godzina policyjna i związane z nią patrole miały zacząć się dopiero za dwie godziny – w takich chwilach jak ta wielu próbowało wykraść odrobinę wolności.

– Wolniej, Ember! – zawołał Ryan.

Zamiast tego przyspieszyłam, odrywając się od naszej paczki.

– Zostaw ją – usłyszałam za plecami szept Beth.

Poczułam, że oblewam się rumieńcem, i nagle zdałam sobie sprawę, jakie muszę sprawiać wrażenie: nie kogoś, kto trzyma się na uboczu, ale piątego koła u wozu, zgorzknialca cierpiącego na widok cudzego szczęścia. Co nie było prawdą – w zasadzie.

Zawstydzona, zwolniłam kroku i zrównałam się z Beth.

Moja przyjaciółka była wysoka jak na dziewczynę, miała masę ciemnych piegów w okolicach nosa i burzę rudych loków, kompletnie nie do okiełznania w takie dni jak ten. Puściła Ryana i chwyciła za rękę mnie – dzięki czemu, przyznaję uczciwie, poczułam się odrobinę bezpieczniej – po czym bez słowa zaczęłyśmy tańczyć na palcach wokół wielkich szczelin w chodniku, tak jak to robiłyśmy od czwartej klasy.

Kiedy betonowa droga przerodziła się w żwirową ścieżkę, uniosłam przód mojej za długiej spódnicy w kolorze khaki, żeby jej nie ciągnąć po ziemi. Noszona w komplecie zapinana na guziki bluzka była tak sztywna, że nawet piersiasta Beth wydawała się w niej płaska jak deska. Mundurki szkolne to element nowego Prawa Obyczajowego ustanowionego przez prezydenta Scarboro – jednej z wielu ustaw, jakie zostały wprowadzone po wojnie – które głosiło, że wygląd powinien współgrać z rolą danej płci. Nie mam pojęcia, jaką płęć mieli na myśli, tworząc ten strój, bo na pewno nie

żeńską.

Z przyzwyczajenia zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej na rogu. Chociaż była to jedyna w naszym okręgu czynna stacja, świeciła pustkami. Mało kogo stać teraz na samochód.

Nigdy nie wchodziliśmy do środka. Półki były pełne batonów i innych przekąsek, dziesięć razy droższych niż w zeszłym roku, ale my i tak nie mieliśmy pieniędzy. Zostawaliśmy tam, gdzie było nasze miejsce – na zewnątrz. Metr od setek maleńkich twarzy uwięzionych za przyciemnianą szybą. Napis na tablicy głosił:

UWAGA, POSZUKIWANI!

**WZYWA SIĘ KAŻDEGO, KTO ZNA MIEJSCE POBYTU TYCH OSÓB,
DO NATYCHMIASTOWEGO ZAWIADOMIENIA
FEDERALNEGO BIURA NAPRAWCZEGO!**

W milczeniu przyglądaliśmy się zdjęciom uciekinierów z rodzin zastępczych oraz fotografiom zbiegłych kryminalistów, szukając wśród nich kogoś, kogo mogliśmy znać, a zwłaszcza jednej konkretnej osoby. Katelyn Meadows. Dziewczyny o kasztanowych włosach i radosnym uśmiechu, która w zeszłym roku chodziła ze mną na zajęcia z historii. Pani Matthews zdążyła właśnie powiedzieć Katelyn, że na półroczu uzyskała najlepszą ocenę z całej klasy, kiedy nagle pojawili się żołnierze i zabrali dziewczynę.

– Pogwałcenie paragrafu pierwszego – oznajmili.

Nieprzestrzeganie religii narodowej.

I wcale nie chodziło o to, że Katelyn czciła szatana czy coś w tym stylu. Nie przyszła do szkoły w Święto Paschy i odnotowano to jako nieusprawiedliwioną nieobecność. Od tamtej chwili nikt jej już nie widział.

W następnym tygodniu pani Matthews została zmuszona do usunięcia Deklaracji Praw z programu szkolnego. Zabroniono jakichkolwiek rozmów na ten temat, czego pilnowali żołnierze ustawieni przy wejściu oraz w stołówce.

Dwa miesiące po procesie Katelyn jej rodzice się wyprowadzili. Ich

telefon zamilkł. Zupełnie jakby Katelyn przestała istnieć.

Nie, żebyśmy się przyjaźniły, chociaż nie mogę też powiedzieć, że jej nie lubiłam. Była w porządku. Mówiliśmy sobie „cześć” i niewiele więcej, ale po jej nagłym zniknięciu coś mrocznego zakiełkowało w mojej duszy. Od tej pory byłam bardziej ostrożna. Staralam się przestrzegać wszystkich paragrafów, nie siadałam już w pierwszej ławce i nigdy nie wracałam ze szkoły sama.

Nie mogli mnie zabrać. Przecież musiałam opiekować się mamą.

Przejrzałam wszystkie zdjęcia. Nie było wśród nich Katelyn Meadows. Nie w tym tygodniu.

– Słyszeliście o Mary jak-jej-tam? – zapytała Beth, kiedy ruszyliśmy dalej w stronę mojego domu. – Z drugiej klasy.

– Niech pomyślę. Mary jak-jej-tam... – odezwał się Ryan z namysłem, przesuwając okulary wyżej, ku nasadzie spiczastego nosa. Marynarka szkolnego mundurka nadawała mu wygląd intelektualisty, podczas gdy inni chłopcy w szkole sprawiali wrażenie, jakby matki wystroiły ich na Wielkanoc.

– Nie. Co się z nią stało? – Poczułam mrowienie na skórze.

– To samo co z Katelyn. Straż Obyczajowa zabrała ją na proces i od tygodnia nikt już jej nie widział. – Beth ściszyła głos, co robiła zawsze, gdy podejrzewała, że ktoś może podsłuchiwać.

Aż mi się żołądek ścisnął na te słowa. Naprawdę nie nazywali się wcale Straż Obyczajowa, ale równie dobrze tak właśnie mogła brzmieć ich nazwa. Umundurowani żołnierze należeli do Federalnego Biura Naprawczego i stanowili oddziały wojskowe, które prezydent powołał trzy lata wcześniej, pod koniec wojny. Ich celem było egzekwowanie Prawa Obyczajowego i powstrzymanie chaosu, jaki zapanował w ciągu pięciu lat, kiedy to Ameryka została poddana bezlitosnym atakom. Kara była brutalna: każde pogwałcenie prawa skutkowało wezwaniem sądowym, a w najgorszych przypadkach kończyło się procesem przed komisją FBN. Ci, których

zabierano na proces – tak jak Katelyn – zwykle już z niego nie wracali.

Krążyły rozmaite teorie. Więzienie. Deportacja. Kilka miesięcy wcześniej słyszałam, jak jakiś bezdomny szaleniec krzyczał coś o masowych egzekucjach, ale zaraz potem został zabrany. Plotki czy nie, rzeczywistość wyglądała pośepnie. Z każdym nowym ustanowionym prawem Straż Obyczajowa stawała się coraz potężniejsza, coraz pewniejsza siebie. Stąd ich nazwa.

– Zabrali też pierwszorocznika z sali gimnastycznej – powiedział ponuro Ryan. – Podobno nawet nie pozwolili mu się przebrać w mundurek szkolny.

Najpierw Katelyn Meadows, teraz Mary jak-jej-tam i ten chłopak, przy czym Mary i chłopak w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Pamiętałam jeszcze dobrze czasy, gdy szkoła była bezpiecznym miejscem – jedynym, w którym nie musieliśmy myśleć o wojnie. Teraz nikt nie opuszczał lekcji, nie było żadnych bójek, a uczniowie oddawali na czas wszystkie prace domowe. Każdy bał się, że nauczyciele złożą skargę do SO.

Skręciliśmy w pusty podjazd prowadzący do mojego domu, a ja zerknęłam na sąsiedni budynek. Białe panele, którymi została wyłożona kanciasta bryła, były teraz pokryte kurzem i deszczem. Krzaki rozrosły się tak bardzo, że całkowicie zagrodziły przejście kamiennymi schodami. Długie, delikatne pajęczyny zwieszały się z dachu. Można było pomyśleć, że to nawiedzony dom. I w sumie, na swój sposób, taki właśnie był.

Kiedyś był to j e g o dom. Dom chłopaka, którego kochałam.

Celowo odwróciłam wzrok i weszłam na ganek, żeby wpuścić przyjaciół do środka.

Moja mama siedziała na sofie. Miała we włosach co najmniej o cztery spinki za dużo i włożyła koszulę, którą wykradła z mojej szafy. Nie miałam nic przeciwko temu. Prawdę powiedziawszy, nie przejmowałam się zbytnio ciuchami. Przerzucanie stosów używanych ubrań w centrum dobroczynnym nie wzbudzało we mnie pragnienia nabywania nowych.

Ale było coś, co mi się n i e spodobało. Mama czytała książkę

z półnagim piratem na okładce. Takie rzeczy były teraz nielegalne. Pewnie dostała to od kogoś z kuchni polowej, gdzie pracowała jako wolontariuszka. Roilo się tam od bezrobotnych kobiet, które rozpowszechniały swoją bierno-agresywną kontrabandę tuż pod nosem Straży Obyczajowej.

– Cześć, skarbie. Cześć, dzieciaki – powiedziała, nie ruszając się z miejsca. Nie podniosła wzroku, dopóki nie skończyła strony; wtedy włożyła zakładkę między kartki i wstała.

Nie odezwałam się w kwestii książki, chociaż pewnie powinnam była powiedzieć, żeby nie przynosiła takich rzeczy do domu. To ją uszczęśliwiało i w sumie było lepsze niż czytanie na werandzie, co czasami skuteczniała, kiedy miała szczególnie buntowniczy nastrój.

– Cześć, mamó.

Cmoknęła mnie głośno w policzek, a potem przytuliła jednocześnie oboje moich przyjaciół, po czym pozwoliła nam iść odrabiać lekcje.

Wyjeliśmy wielkie, ciężkie podręczniki i zaczęliśmy rozgryzać świat algebry oraz trygonometrii. To było straszne zadanie – nienawidzę matmy – ale zawarłyśmy z Beth układ, że nie przerwiemy nauki. Krążyły pogłoski, że w następnym roku dziewczyny nie będą mogły w ogóle chodzić na zajęcia matematyczne, więc cierpiałymy w niemym buncie.

Mama uśmiechnęła się ze współczuciem na widok mojej miny, pogłaskała mnie po głowie i zaproponowała, że zrobi nam gorącej czekolady. Po kilku minutach frustrującego ślęczenia nad zadaniem poszłam za nią do kuchni. Znów zapomniała podlać fikus i teraz zwieszał się smutno, więc napełniłam szklanek wodą z kranu i wlałam do doniczki.

– Zły dzień? – zapytała mama.

Do czterech kubków nasypała czekolady w proszku, którą nabrała łyżeczką z niebieskiego pojemnika z widokiem wschodu słońca. Firma spożywcza Horizons była własnością rządu i tylko jej produkty dostawaliśmy w naszych racjach żywnościowych.

Oparłam się o blat i zaczęłam szurać piętą po podłodze, w dalszym ciągu

rozmyślając o tajemniczym zniknięciu kolejnych dwóch osób. O kontrabandzie. O pustym domu, który stał po sąsiedzku.

– W porządku – skłamałam. Nie chciałam wystraszyć mamy opowieścią o Mary jak-jej-tam i nie miałam ochoty marudzić na temat książki. Mama nie cierpiała, kiedy krytykowałam ją za nieprzestrzeganie zasad. Czasami reagowała nieco przesadnie. – A co w pracy? – zapytałam, zmieniając temat. Nie płacono jej za pomoc w przygotowaniu zup, ale i tak nazywałyśmy to pracą. Dzięki temu czuła się lepiej.

Mój oczywisty unik nie umknął jej uwagi, jednak nie drażyła tematu, tylko rozpoczęła długą opowieść o jakiejś tam Misty, która spotyka się ze szkolnym chłopakiem jakiejś tam Kelly i... Nawet nie zadałam sobie trudu, żeby słuchać jej uważnie. Skinęłam głową, a chwilę później już tylko się uśmiechałam. Entuzjazm mojej mamy był zaraźliwy. Zanim zadzwięczał gwizdek czajnika, czułam się o wiele lepiej.

Mama sięgała właśnie po kubki, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Ruszyłam, żeby otworzyć, bo myślałam, że to sąsiadka z naprzeciwka, pani Crowley, która codziennie wpada z wizytą do mojej mamy.

– Ember, poczekaj... – Zastygłam, słysząc przerażenie w głosie Beth, a potem odwróciłam się w stronę salonu.

Moja przyjaciółka klęczała na sofie, przytrzymując zasłonę. Z jej już i tak jasnej twarzy odpłynął cały kolor.

Jednak było za późno. Mama odblokowała zasuwę i otworzyła drzwi.

Na progu stało dwóch żołnierzy Straży Obyczajowej.

Mieli na sobie kompletne umundurowanie: kuloodporne kurtki z wielkimi drewnianymi guzikami i spodnie wpuszczone w błyszczące wysokie buty. Na piersi, tuż nad znaczkiem FBN, widniały najbardziej rozpoznawane insygnia w całym kraju – amerykańska flaga powiewająca ponad krzyżem. Każdy z żołnierzy był wyposażony standardowo: w czarną pałkę, radio oraz przytroczone do pasa pistolet.

Jeden z nich miał krótkie brązowe włosy, przyprószone siwizną

na skroniach, i zmarszczki wokół kącików ust, przez co wydawał się starszy, niż był w rzeczywistości. Jego chudy towarzysz przyglądał niecierpliwie wąsik.

Zwiesiłam ramiona. Byłam rozczarowana. Gdzieś tam, w głębi duszy, miałam nadzieję, że to będzie on. Ot, taka chwila słabości, która ogarniała mnie za każdym razem, gdy widziałam mundur. Przeklinałam siebie za to.

– Lori Whittman? – zapytał pierwszy z żołnierzy, nie patrząc mojej mamie w twarz.

– Tak – odpowiedziała powoli.

– Poproszę dowód tożsamości – rzucił. Nie przedstawił się, ale dostrzegłam plaketkę z nazwiskiem Bateman. Jego towarzysz nazywał się Conner.

– Czy coś nie tak? – W głosie mojej mamy pojawiło się szydercze zabarwienie. Miałam nadzieję, że żaden z nich tego nie wychwytił.

Beth podeszła do mnie, wyczuwałam też obecność Ryana.

– Niech pani pokaże dowód tożsamości – powtórzył Bateman z rozdrażnieniem.

Mama odsunęła się od drzwi, nie zapraszając żołnierzy do środka. Zastawiłam wejście, starając się wyglądać na osobę większą, niż się czułam. Nie mogłam pozwolić, żeby przeszukali dom, mieliśmy zbyt wiele kontrabandy, żeby uszło nam to na sucho. Skinęłam niezauważalnie Beth, a ona ruszyła okrężną drogą do sofy i wepchnęła pod poduszki powieść z piratem na okładce. Przerzuciłam w myślach inne rzeczy mojej matki: n i e w ł a ś c i w e książki, stare czasopisma, jeszcze sprzed wojny, domowy zestaw do manicure. Podobno nawet moja ulubiona powieść, *Frankenstein* Mary Shelley, trafiła na listę przedmiotów zakazanych, a wiedziałam przecież, że leży na stoliku nocnym, na samym wierzchu. Tego dnia nie było w planie żadnej kontroli, przeprowadzono już u nas inspekcję w poprzednim miesiącu. Niczego wtedy nie znaleźli.

Poczułam palące ukłucie w klatce piersiowej, jakby ktoś rozniecił tam

ogień. A potem usłyszałam własne serce obijające się z łomotem o żebra. Przeraziło mnie to. Sporo czasu minęło, odkąd po raz ostatni czułam się podobnie.

Bateman próbował zaglądać za moje plecy, ale zasłoniłam mu widok. Uniósł brew na znak krytyki, a we mnie wszystko aż się zagotowało. W ciągu ostatniego roku Straż Obyczajowa w Louisville – i wszystkich pozostałych amerykańskich miastach – zwiększyła swoją obecność aż dziesięciokrotnie. Można było odnieść wrażenie, że nie mają co robić, dlatego nękanie obywateli stało się dla nich nadrzędnym celem. Przełknęłam oburzenie i próbowałam zachować spokój. W końcu nierozważnie było okazywać nieuprzejmość SO.

Na ulicy stały dwa samochody – niebieska ciężarówka i mniejsze auto przypominające dawny wóz policyjny. Każdy z nich miał z obu stron symbol FBN. Nie musiałam wcale czytać widniejącego pod nim motta, bo znałam je na pamięć: *Jeden wielki kraj, jedna wielka rodzina*. Na widok tych słów zawsze miałam wrażenie, że nie pasujemy do reszty, że moja mała, dwuosobowa rodzina nie jest odpowiednio *w i e l k a*.

Siedzenie kierowcy w ciężarówce było zajęte, jeden żołnierz stał też na chodniku przed naszym domem. Kiedy tak patrzyłam, otworzyły się tylne drzwi wozu i na ulicę wyskoczyło dwóch kolejnych żołnierzy.

Coś tu było nie tak. Przyjechało ich zbyt wielu jak na zwykłe wręczenie mandatu za nieprzestrzeganie prawa.

Mama wróciła do drzwi, grzebiąc w torebce. Była czerwona na twarzy. Stanęłam z nią ramię w ramię i z trudem uspokoiłam oddech.

Znalazła swój portfel i wyjęła dowód. Bateman zerknął na niego i wsunął sobie do kieszeni koszuli. Conner podniósł kartkę, której wcześniej nie zauważył, odkleił z niej przylepny tył i przycisnął do drzwi naszego domu.

Paragrafy prawa obyczajowego.

– Hej – usłyszałam własny głos. – Co wy...

– Lori Whittman, jest pani aresztowana za pogwałcenie prawa

obyczajowego, artykuł drugi, paragraf piąty, część pierwsza poprawiona, odnosząca się do dzieci poczętych poza związkiem małżeńskim.

– Aresztowana? – Głos mojej mamy zabrzmiał jak pisk. – Nie rozumiem.

Przez głowę przeleciały mi wszystkie plotki, jakie słyszałam o wysyłaniu ludzi do więzienia za naruszenie prawa, i z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że to wcale nie były pogłoski. To była powtórka z tego, co przytrafiło się Katelyn Meadows.

– Paragraf piąty! – zawołał stojący za nami Ryan. – Tylko jakim cudem to może dotyczyć i c h?

– Obecne poprawki zostały wprowadzone dwudziestego czwartego lutego. Obejmują wszystkie zależne od rodzica dzieci poniżej osiemnastego roku życia.

– Dwudziestego czwartego lutego? Przecież to zeszły poniedziałek! – odezwała się ostro Beth.

Conner wystawił rękę przez próg i chwycił mamę za ramię, a potem przyciągnął ją do siebie. Odruchowo objęłam jego rękę.

– Proszę mnie puścić – powiedział krótko.

Popatrzył na mnie po raz pierwszy – miał dziwne oczy, zupełnie jakby nie rejestrowały mojej obecności. Rozluźniłam uchwyt, ale nadal go trzymałam.

– Jak to: aresztowana? – Mama w dalszym ciągu próbowała przetrwać usłyszaną wiadomość.

– To oczywiście, pani Whittman – powiedział Bateman protekcjonalnym tonem. – Nie stosuje się pani do prawa obyczajowego, więc zostanie pani osądzona przez oficera Federalnego Biura Naprawczego.

Próbowałam oderwać rękę Connera od ramienia mamy. Żołnierz robił wszystko, żeby wyciągnąć nas z domu na zewnątrz. Poprosiłam, żeby przestał, jednak mnie zignorował.

Bateman chwycił mamę za drugie ramię i pociągnął ją w dół po schodach. Conner puścił na moment jej rękę – tylko po to, by mnie

odepchnąć. Upadłam ze zduszonym krzykiem. Trawa była zimna i wilgotna, szybko przesiąknęła przez koszulę na biodrze, ale i tak paliła mnie twarz oraz szyja. Beth podbiegła mi na odsiecz.

– Co tu się dzieje? – Podniosłam wzrok i zobaczyłam panią Crowley, naszą sąsiadkę. Miała na sobie dres i była owinięta szalem.

– Lori! Nic ci nie jest, Lori? Ember!

Zerwałam się na równe nogi, a mój wzrok powędrował w stronę żołnierza, który do tej pory czekał w pewnej odległości. Miał atletyczną budowę i ułożone na żel jasne włosy, z równiutkim przedziałkiem z boku. Przeciągnął językiem po zębach za zaciśniętymi wargami, co przywodziło na myśl piasek, w którym prześlizguje się właśnie wąż.

Teraz szedł prosto na mnie.

N i e! Oddech wydostał się z mojej krtani. Z trudem powstrzymałam pragnienie ucieczki.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęła mama do Batemana.

– Pani Whittman, proszę niepotrzebnie nie komplikować sytuacji – odparł Bateman, a obojętność w jego głosie mnie przeraziła.

– Wynoście się z mojego domu – oznajmiła mama. Spod jej strachu zaczęła przezierać wściekłość. – Nie jesteśmy zwierzętami, tylko ludźmi! Mamy swoje prawa! Nie jesteście aż tak młodzi, żeby nie pamiętać...

– Mamo! – przerwałam jej.

Wiedziałam, że tylko pogorszy sprawę.

– Panie oficerze, coś jest nie tak. To pomyłka – zaczęłam, ale mój głos brzmiał, jakby dochodził z oddali.

– Żadna pomyłka, Miller. Twoja kartoteka została już przejrzana pod kątem nieprzestrzegania prawa – powiedział stojący przede mną żołnierz o nazwisku Morris. Był coraz bliżej, a w jego zielonych oczach pojawił się dziwny błysk. W ułamku sekundy jego ręce wystrzeliły do przodu i zacisnęły się w żelaznym uchwycie na moich nadgarstkach. Próbowałam stawiać opór, wyrwać ręce i się uwolnić. Był jednak silniejszy, przyciągnął mnie do siebie

tak, że nasze ciała obity się jedno o drugie. Miałam wrażenie, że się duszę.

Przez chwilę widziałam na jego twarzy cień pełnego wyższości uśmiechu. Przesunął ręce w dół moich pleców i przyciągnął mnie bliżej. Poczułam, że każda komórka mojego ciała sztywnieje.

Wszystko we mnie krzychało, żeby uciekać. Próbowałam się wyswobodzić, ale to tylko go pobudziło. Był po prostu r o z b a w i o n y. Moje ręce zupełnie zdrętwiały w jego żelaznym uścisku.

Gdzieś na ulicy trzasnęły drzwi samochodu.

– Przestań – wydusiłam z siebie.

– Puść ją! – usłyszałam krzyk Beth.

Conner i Bateman ciągnęli mamę. Morris nadal zaciskał ręce na moich nadgarstkach. Nie słyszałam żadnego dźwięku, bo wszystko zagłuszało dzwonięcie w uszach.

I wtedy zobaczyłam j e g o.

Miał czarne włosy, połyskujące w ostatnich promieniach słońca. Teraz były krótko obcięte, jak u innych żołnierzy. A oczy, zwykle przenikliwe niczym wilcze ślepie, wydawały się tak ciemne, że trudno było wypatrzeć źrenice. Na kieszeni odprasowanego munduru miał wyszyty idealnymi, złotymi literami napis JENNINGS. Jeszcze nigdy nie wyglądał tak poważnie. Trudno było go poznać.

Serce zaczęło mi bić szybciej, ze strachem. Tylko dlatego, że on był blisko. Mój organizm wyczuł go wcześniej, niż mój mózg zarejestrował jego obecność.

– Chase? – zapytałam.

Tyle myśli przemknęło mi przez głowę. Chciałam biec do niego, mimo wszystko. Chciałam, żeby przytulił mnie tak, jak to zrobił dzień przed wyjazdem. Jednak szybko wrócił ból wywołany jego nieobecnością.

On wybrał t o w s z y s t k o zamiast mnie.

Trzymałam się kurczowo nadziei, że może teraz będzie mógł nam pomóc. Jednak Chase się nie odezwał. Szczeka mu się poruszała, jakby zgrzytał

zębami, poza tym jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, nic nie wskazywało na to, że właśnie znajduje się pięć metrów od domu, w którym się wychował. Stał pomiędzy przytrzymującym mnie Morrisem a ciężarówką. Pomyślałam sobie, że pewnie jest kierowcą.

– Nie zapominaj, po co tu jesteś – warknął do niego Bateman.

– Chase, powiedz im, że to pomyłka – poprosiłam, patrząc prosto na niego.

Nie odwzajemnił spojrzenia. Nawet nie drgnął.

– Dostyc tego. Wracaj do samochodu, Jennings! – zarządził Bateman.

– Chase! – krzyknęłam, zdezorientowana.

Czy naprawdę zamierza mnie zupełnie zignorować?

– Nie odzywaj się do niego! – zaatakował mnie Bateman. – Czy ktoś mógłby coś zrobić z tą dziewczyną?

Moje przerażenie rosło, zamykałam się w skorupie strachu. Obecność Chase'a wcale nie podziałała na mnie uspokajająco, jak to było w przeszłości. Te wargi, które kiedyś układały się w uśmiech i miękły na moich ustach, teraz stanowiły posępną, zaciśniętą linię. Nie było w nim już ciepła. To nie był Chase, jakiego pamiętałam. To nie był m ó j Chase.

Nie potrafiłam oderwać wzroku od jego twarzy i niemal zgięłam się wpół z bólu, który rozrywał mi klatkę piersiową.

Morris szarpnął mną, a wtedy zareagowałam instynktownie. Odskoczyłam, uwalniając się z jego uchwytu, i oplotłam rękoma mamę. Ktoś mnie pociągnął do tyłu i ręce zaczęły mi się zsuwać z jej ramion. Odciągali ją ode mnie.

– NIE! – wrzasnęłam.

– Puść ją! – usłyszałam głos jakiegoś żołnierza. – Albo ciebie też zabierzemy, ruda.

Dłonie Beth zostały wyszarpnięte z mojego ubrania. Przez łzy widziałam, że Ryan powstrzymuje moją przyjaciółkę, z wyrazem poczucia winy na twarzy. Beth płakała, próbowała mnie złapać. A ja nie puszczałam mamy.

– Okej, okej – usłyszałam jej głos. Słowa padały bardzo szybko. – Bardzo pana proszę, niech pan nas puści. Możemy porozmawiać.

Z gardła wyrwał mi się szloch. Nienawidziłam tej uległości w głosie mamy. Czułam, jak bardzo się boi. Znowu chcieli nas rozdzielić, a ja wiedziałam, że im na to nie pozwolę.

– Proszę traktować je łagodnie! Proszę, bardzo proszę! – błagała pani Crowley.

Jednym gwałtownym ruchem Morris oderwał mnie od mamy. Rozwścieczona, rzuciłam mu się do twarzy, a moje paznokcie wbiły się w cienką skórę na szyi. Morris zaklął głośno.

Patrzyłam na świat przez purpurową zasłonę. Chciałam, żeby mi oddał, wtedy miałabym powód, by znów się na niego rzucić.

Z wściekłości zielone oczy żołnierza zmniejszyły się do rozmiaru koralików, a on sam warknął i wyciągnął pałkę z uchwytu na biodrze. W ułamku sekundy zamachnął się nią nad swoją głową.

W geście obrony zasłoniłam twarz.

– NIE! – zabrzmiał świrdrujący krzyk mamy.

Nagle ktoś mnie popchnął i upadłam na ziemię, a włosy przykryły mi twarz, zasłaniając widok. Poczułam ukłucie w klatce piersiowej – tak silne, że aż nie mogłam oddychać. Szybko pozbierałam się na klęczki.

– Jennings! – usłyszałam krzyk Batemana. – Twój dowódca się o tym dowie!

Chase stał przede mną i zasłaniał przed Morrisem.

– Nie rób mu krzywdy! – jęknęłam.

Morris nadal był gotowy do wymierzenia ciosu, ale tym razem Chase'owi.

– To nie jest konieczne – odezwał się Chase bardzo cicho.

Morris opuścił pałkę.

– Mówiłeś, że dasz radę – syknął, rzucając Chase'owi wściekłe spojrzenie.

Czyżby Chase powiedział temu Morrisowi o mnie? Czy się przyjaźnili?
Jak można się przyjaźnić z kimś takim?

Chase milczał i nawet się nie poruszył.

– Odsuń się, Jennings – rozkazał Bateman.

Podniosłam się i spojrzałam wściekle na dowodzącego oficera.

– Co pan sobie myśli? Że kim pan jest? – zapytałam.

– Uważaj na słowa – warknął Bateman. – Już podniosłaś rękę na żołnierza, ile jeszcze dołków zamierzasz pod sobą wykopać?

Słyszałam, jak mama próbuje protestować pomiędzy spazmatycznymi szlochami. Kiedy znów zaczęli ją ciągnąć w stronę ciężarówki, rzuciłam się do przodu i uchwyciłam munduru Chase'a. Rozpacz wygrała ze zdrowym rozsądkiem. Oni zabierali moją mamę!

– Chase, proszę, powiedz im, że to jakaś pomyłka! Powiedz im, że jesteśmy dobrymi ludźmi! Przecież nas znasz! Znasz m n i e!

Strząsnął moje dłonie, jakby dotykało go coś obrzydliwego. Nic innego nie mogło mnie bardziej zabołec. Popatrzyłam na niego, zszokowana.

Miałam poczucie druzgoczącej klęski.

Silne dłonie Morrisa wykręciły moje ręce do tyłu, ale w ogóle mnie to nie obeszło. Nawet tego nie poczułam.

Chase odsunął się ode mnie, a Bateman i Conner popchnęli moją mamę w kierunku ciężarówki. Rzuciła mi przestraszone spojrzenie ponad ich ramionami.

– Nie martw się, kochanie! – zawołała, siląc się na śmiałość. – Dowiem się, kto jest za to odpowiedzialny. Już my sobie porozmawiamy.

Byłam zdruzgotana.

– Ona nawet nie ma na sobie butów! – krzyknęłam do żołnierzy.

Nie padło już ani jedno słowo, mama została wepchnięta w milczeniu na tył ciężarówki. Kiedy zniknęła w środku, poczułam, jakby coś we mnie pękło, a do wnętrza klatki piersiowej zaczął się sączyć kwas. Przypiekał moje wnętrzności, przyspieszał oddech, palił w gardle i ścisnął płuca.

– Do samochodu – rozkazał Morris.

– Co takiego? Nie! – krzyknęła Beth. – Nie możecie jej zabrać!

– Co wy robicie? – odezwał się Ryan.

– Panna Miller jest aresztowana z rozkazu rządu federalnego na mocy paragrafu piątego prawa obyczajowego. Zostaje zabrana do zakładu poprawczego.

Nagle poczułam się okropnie zmęczona. Moje myśli straciły jakiegokolwiek znaczenie. Widziane obrazy zaczęły zamazywać się na krawędziach i nawet mruganie nic nie pomagało. Połknęłam haust powietrza, ale to nie wystarczyło.

– Nie walcz ze mną, Ember – powiedział cicho Chase.

Myślałam, że serce mi pęknie, kiedy usłyszałam, jak wypowiada moje imię.

– Dlaczego to robisz? – Mój głos brzmiał słabo i obco.

Nie odpowiedział. Wcale tego nie oczekiwałam.

Poprowadzili mnie do samochodu stojącego tuż za ciężarówką. Chase otworzył tylne drzwi i obcesowo posadził mnie na siedzeniu. Opadłam na bok. Czułam, jak łyzy moczą skórzane obicie.

A potem Chase odszedł. I chociaż moje serce biło teraz wolniej, to ból nie mijał. Zabierał mi oddech, połykał mnie całą, aż w końcu ogarnęła mnie ciemność.

ROZDZIAŁ 2

– *Mamo, wróciłam!* – zawołałam. Zostawiłam buty przy wejściu i od razu ruszyłam do kuchni, skąd dobiegał jej śmiech.

– *Ember, jesteś! Zobacz, kto przyjechał!* – Mama stała przy kuchence, rozpromieniona, jakby właśnie zdobyła dla mnie nową błyszczącą zabawkę.

Niepewnie weszłam do środka i stanęłam jak wryta.

W mojej kuchni siedział Chase Jennings.

Chase Jennings, z którym bawiłam się w berka, ścigałam na rowerze i w którym zadurzyłam się, zanim jeszcze zrozumiałam, co to znaczy zadurzenie.

Chase Jennings, który wyrósł na chłopaka przystojnego, choć o nieco nieokrzęsanej urodzie. Był wysoki, dobrze zbudowany, o wiele bardziej niebezpieczny niż chuderlawy czternastolatek, jakim widziałam go po raz ostatni. Teraz opierał się niedbale o krzesło, trzymając ręce w kieszeni dżinsów, a spod starej czapki baseballowej widać było burzę czarnych włosów.

Gapiałam się na niego. Szybko odwróciłam wzrok, czując, jak policzki nabiegają mi krwią.

– *Eeee... Cześć.*

– *Cześć, Ember – powiedział swobodnie. – Ale wyrosłaś.*

* * *

Kiedy wóz FBN nagle się zatrzymał, zamrugałam i otworzyłam oczy. Powoli usiadłam, czując, jak ciężka jest moja głowa i jak trudno mi zebrać myśli, po czym odsunęłam włosy z twarzy.

Gdzie ja jestem?

Zapadł już zmrok, a ciemność tylko pogłębiła moją niepewność. Przetarłam oczy i przez grubą szybę oddzielającą przednie siedzenia

od tylnych dostrzegłam profil jasnowłosego żołnierza. M o r r i s. Przypomniałam sobie jego nazwisko. Popatrzyłam przez przednią szybę, jednak widok był nieco zniekształcony. W nagłym przypiływie paniki zrozumiałam, że szukam ciężarówki. Tej, która już nie jechała przed nami.

Wtedy sobie wszystko przypomniałam.

Straż Obyczajowa. Aresztowanie. C h a s e.

Gdzie jest moja mama? Powinnam była obserwować drogę! Zaczęłam walić w szybę, lecz ani Morris, ani kierowca nawet nie drgnęli. Szyba musiała być dźwiękoszczelna. Ogarnęło mnie przerażenie, założyłam ręce na piersi i oparłam się o skórzane siedzenie, próbując zebrać myśli.

Bez samochodu i telewizora żyliśmy na naszym osiedlu w izolacji. FBN zamknęło miejscową gazetę, tłumacząc się brakiem środków na jej prowadzenie, i zablokowało dostęp do Internetu, żebyśmy nie widzieli, jak zmieniło się nasze miasto. Wiedzieliśmy, że Louisville miało i tak względne szczęście podczas wojny. Żaden budynek nie został zbombardowany. Nie było ewakuacji. Jednak mimo braku zniszczeń miasto wyglądało i n a c z e j.

Minęliśmy oświetlone centrum kongresowe, obecnie ośrodek dystrybucji produktów firmy Horizons. Potem lotnisko, przekształcone w fabrykę broni FBN po tym, jak wstrzymano wszystkie loty komercyjne. Po przeobrażeniu baz wojskowych Fort Knox i Fort Campbell w stanowiska FBN przysłano tu mnóstwo żołnierzy. Rozliczne rzędy niebieskich wozów stały teraz na dawnych terenach targowych.

Oprócz nas na autostradzie nie było nikogo. Świadomość, że jadę ze Strażą Obyczajową w porze, w której tylko i wyłącznie Straż Obyczajowa mogła gdziekolwiek podróżować, przyprawiła mnie o dreszcze. Nagle poczułam się jak Dorotka w jakiejś wynaturzonej Krainie Oz.

Zjazd z autostrady poprowadził nas do centrum Louisville. Przejechaliśmy przez pustą krzyżówkę. Kierowca zmierzał najwyraźniej w stronę szkaradnego wieżowca z cegły, którego dolne piętra rozpościerały się niczym macki ośmiornicy. Żółte oczy budynku – oświetlone licznymi

generatorami okna – spoglądały we wszystkie strony. Znajdowaliśmy się pod szpitalem miejskim.

Nigdzie nie było widać ciężarówki. Gdzie oni zabrali moją mamę?

C h a s e J e n n i n g s. Próbowалаm przełknąć ślinę, ale jego imię i nazwisko tkwiło mi na języku niczym wrzątek, którego nie da się przełknąć.

Jak on mógł?! Przecież mu ufałam. Sądziłam nawet, że go kocham, ba – byłam przekonana, że jemu naprawdę na mnie zależy.

Zmienił się, i to całkowicie.

Kierowca zaparkował przed jakimś budynkiem. Chwilę później Morris otworzył tylne drzwi i wyciągnął mnie za ramię na zewnątrz. Na jego białej szyi odznaczały się wyraźnie trzy czerwone pręgi – to tam rozorałam mu paznokciami skórę.

Ciszę nocną wypełniał szum generatorów prądu, co kontrastowało z dźwiękoszczelnym wnętrzem samochodu. Morris poprowadził mnie w stronę budynku. W rozsuwanych szklanych drzwiach tuż pod neonem pogotowia ratunkowego dostrzegłam swoje odbicie. Błada twarz, spuchnięte oczy. Bezkształtny mundurek szkolny przekrzywił się z tej strony, z której ciągnęła za niego Beth, próbując mnie uratować. Warkocz opadał mi na pierś.

Nie weszliśmy do środka.

– Wyobrażałam sobie ciebie jako blondynkę – powiedział Morris. Ton jego głosu, choć pozbawiony emocji, miał w sobie jakąś nutę rozczarowania.

Znów zaczęłam się denerwować tym, co Chase mógł mu naopowiadać.

– Czy moja mama tu jest? – zapytałam.

– Przymknij się.

A więc on mógł mówić, a ja nie? Rzuciłam mu nienawistne spojrzenie, koncentrując się na miejscu, w którym moje paznokcie wydarły z niego krew. Świadomość, że potrafię się bronić, dodawała mi nieco odwagi. Morris pociągnął mnie na drugą stronę ulicy, gdzie reflektory oświetlały wojskowy autobus szkolny, rzucając ponury cień na parking. Stało tam w rzędzie kilka dziewcząt, po obu ich stronach znajdowali się strażnicy.

Ruszyliśmy w kierunku autobusu, a wtedy poczułam na plecach zimny dreszcz. Wcześniej usłyszałam z ust żołnierza słowo *n a p r a w c z y*, jednak nie wiedziałam, co miało oznaczać ani gdzie taka instytucja – jeśli to w ogóle była instytucja – miałyby się znajdować. Wyobraziłam sobie jeden z tych wielkich domów opieki nad dziećmi, które zostały wybudowane w czasie wojny, albo jeszcze gorzej – więzienie państwowe. Chyba tam mnie nie zabiorą? Przecież nic złego nie zrobiłam. To, że się urodziłam, nie jest zbrodnią, chociaż traktują mnie jak przestępczynię.

Ale co będzie, jeśli zabrali do więzienia moją mamę?

Przypomniałam sobie dzieciaki, które zniknęły ze szkoły. Katelyn Meadows, Mary jak-jej-tam i tego chłopaka z pierwszej klasy, którego nie znałam. Cała trójka stanęła przed sądem za pogwałcenie któregoś paragrafu, za takie drobiazgi jak opuszczenie lekcji w czasie nieuznawanego przez państwo święta kościelnego. Przecież nikogo nie zabili! A jednak Katelyn nigdy nie wróciła do szkoły, a Mary i tego chłopaka nie było już od tygodnia czy dwóch.

Próbowałam sobie przypomnieć, co Beth mówiła o Katelyn, ale tak się trzęsłam, że mózg mi grzechotał w czaszce. „Odłączyli im telefon. Nie ma jej na liście osób poszukiwanych. Jej rodzina wyprowadziła się po procesie”.

„Wyprowadziła się?” – przeszło mi przez myśl. „A może wszyscy wsiedli do autobusu i zniknęli?”

Stanęłam za masywnie zbudowaną dziewczyną w krótkich, jasnych włosach. Szlochała tak mocno, że zaczęła się dławić. Inna kiwała się na palcach w przód i w tył, trzymając się przy tym za brzuch. Wszystkie musiały być w moim wieku albo nieco młodsze. Tylko jedna, ciemnowłosa, nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat.

Kiedy zbliżyliśmy się do strażników, Morris puścił moją posiniaczoną rękę. Jeden z mężczyzn miał podbite oko, drugi spoglądał na trzymaną w rękę listę nazwisk.

– Ember Miller – poinformował Morris. – Ile jeszcze zostało, zanim

zostaną przetransportowane, Jones?

Poczułam, jak uginają się pode mną kolana, i znów zaczęłam się zastanawiać, dokąd nas zabiorą. Gdzieś daleko, w przeciwnym razie usłyszałabym o tym w szkole albo ze źródła plotek, jakim była kuchnia polowa, w której pracowała mama. Uderzyło mnie, że n i k t oprócz tych żołnierzy nie wiedział, dokąd nas zawiozą. Nawet mama. Beth będzie nas szukała, ale jeśli zaczniesz zadawać pytania, może zostać wezwana do sądu.

Ogarnęło mnie okropne uczucie, że ja też zniknę. Zostanę następną Katelyn Meadows.

– Jeszcze trzy, przed chwilą dostaliśmy wiadomość drogą radiową. Powinniśmy ruszać w ciągu godziny – odpowiedział żołnierz.

– Dzięki Bogu – odparł Morris. – Te małe suczki są agresywne.

– Coś o tym wiem – prychnął żołnierz z podbitym okiem.

– Jeżeli chcecie nam dać wezwanie do sądu, mogę załatwić pieniądze! – wyrzuciłam z siebie.

Prawdę powiedziawszy, nie miałyśmy pieniędzy. Wydałyśmy już prawie wszystko, co dostałyśmy w tym miesiącu z pomocy rządowej, ale przecież oni nie musieli tego wiedzieć. Mogłabym zastawić jakieś nasze rzeczy, już to wcześniej robiłam.

– A kto mówi o wezwaniu do sądu? – zapytał Morris.

– To czego chcecie? Załatwię to. Tylko powiedzcie mi, gdzie jest moja mama.

– Proponowanie żołnierzowi łapówki jest przestępstwem – ostrzegł Morris, uśmiechając się pogardliwie. Najwyraźniej bawił się doskonale.

Musiało być jakieś rozwiązanie. Nie mogłam wsiąść do tego autobusu.

Morris zauważył, że rzucam spojrzenie gdzieś za jego plecy, i przewidział moją ucieczkę, zanim jeszcze zrobiłam pierwszy krok. W ułamku sekundy chwycił mnie mocno w pasie.

– Nie! – Próbowałam się wyrwać, ale był o wiele silniejszy, a do tego przycisnął mi ręce do boków.

Zaśmiał się – ten dźwięk napełniał mnie przerażeniem – i popchnął mocno w górę schodów, w czym pomogli mu dwaj żołnierze.

„To się właśnie dzieje” – zdałam sobie sprawę z przerażającą jasnością. „Zaraz zniknę”.

Żołnierz z podbitym okiem wszedł za mną do środka i teraz uderzał pałką o dłoń.

– Siadaj! – rozkazał.

Nie miałam wyboru, musiałam zrobić, co powiedział. Jeszcze nigdy nie czułam się taka ociężała. Powłócząc nogami, ruszyłam środkiem po długiej gumowej macie do siedzenia i opadłam na ławkę. Ledwo zauważyłam płaczące dookoła dziewczyny. Ogarnęło mnie odrętwienie, znieczulające strach i niepokój. Nie czułam zupełnie nic.

Siedząca obok mnie dziewczyna miała długie, kręcone, czarne włosy i skórę w kolorze kawy z mlekiem. Popatrzyła na mnie, po czym wróciła do obgryzania paznokci, poirytowana, ale nie przerażona. Miała na sobie obcisły T-shirt oraz spodnie od pizamy. Siedziała z nogą założoną na nogę.

– Zapomniałaś butów – stwierdziła, pokazując na moje ubłocone, poplamione trawą skarpetki. Nawet tego nie zauważyłam. – Za co cię złapali? – zapytała, nie podnosząc wzroku znad dłoni.

Nie odpowiedziałam.

– H a l o? Ember, tak? Mówię do ciebie.

– Przepraszam. Skąd znasz... – Spojrzałam na twarz dziewczyny i stwierdziłam, że chyba ją już gdzieś widziałam.

– W zeszłym roku chodziłam z tobą do szkoły. Rosa Montoya. Miałyśmy razem angielski. Dzięki, że pamiętasz.

– Naprawdę? – Zmarszczyłam nos. Zwykle lepiej zapamiętywałam twarze.

Rosa przewróciła oczami.

– Nie przejmuj się, byłam tam tylko przez parę miesięcy. No wiesz, pomiędzy kolejnymi placówkami.

– Placówkami?

– Domami opieki, sierocińcami, p r i n c e s a. To za co cię złapali? – zapytała, powoli cedząc słowa.

Wtedy ją sobie przypomniałam. Siedziała z tyłu klasy, zawsze obgryzała paznokcie i wyglądała na znudzoną, tak samo jak teraz. Przyszła w połowie roku i odeszła przed końcowymi egzaminami. Nigdy nie zamieniłyśmy słowa.

Zaczęłam się zastanawiać, czy w autobusie są jeszcze jakieś dziewczyny z mojej szkoły. Rozejrzałam się dookoła, ale żadna nie wyglądała znajomo.

– Ten żołnierz mówił coś o paragrafie piątym – powiedziałam.

– Uuuu. Biorą cię do poprawczaka, bo twoja mamuśka jest rowerem miejskim.

– Że co?

Jakaś dziewczyna z tyłu zaczęła głośniej płakać. Ktoś krzyknął, żeby się zamknęła.

– Rowerem miejskim. Każdy może sobie na niej pojeździć – wyjaśniła sarkastycznie, po czym znów przewróciła oczami. – Ej, nie bądź taka niewinna. Ci żołnierze od razu to łykną. Słuchaj, p r i n c e s a. Może poczujesz się lepiej, jak powiem ci jedno: żałuję, że znam swojego ojca. Więc ty możesz uważać się za szczęściarę.

Nie spodobało mi się to jej założenie – że nie wiem, kim jest mój ojciec – nawet jeśli to była prawda. Większość facetów zauroczonych wolnym duchem mojej mamy w końcu uciekała od niej z tego samego powodu. Większość, ale nie wszyscy. Jej ostatni – najgorszy – chłopak, Roy, sądził, że uda mu się nad mamą zapanować. Mylił się jednak.

Jak dobrze, że wcześniej, w szkole, nie rozmawiałam z Rosą. Teraz też chyba wolałabym siedzieć od niej daleko. Z drugiej strony – ona miała jakie takie pojęcie na temat tego, co się właśnie działo.

Autobus wyjechał spod szpitala, a ja poczułam, że ogarnia mnie fizyczny ból, jak gdyby ktoś ciągnął każdą moją kończynę w inną stronę. Zawsze

byłyśmy z mamą razem, razem przechodziłyśmy przez wszystko. Teraz ją straciłam i nie miałam pojęcia, co będzie próbowała powiedzieć albo zrobić, żeby tylko wrócić do domu.

Zza mojego strachu zaczęła wzywać wściekłość. Złość na samą siebie, że nie walczyłam bardziej. Nie byłam miłsza. Że pozwoliłam, by ją zabrali.

Autobus wjechał właśnie na autostradę. Na wolnym pasie ruchu stały wraki samochodów, wzdłuż nich leżały sterty śmieci. Poznałam stare budynki i pomalowany silos przed dawnym uniwersytetem. Czerwony Krzyż przekształcił teren uniwersytetu w osiedle mieszkaniowe dla wojennych wysiedleńców. W kilku oknach na wyższych piętrach dawnego akademika widać było błądą poświatę palących się świec.

– Dokąd nas zabierają? – zapytałam Rosę.

– Nie chcą powiedzieć – odparła. A potem się uśmiechnęła, ukazując szparę pomiędzy jedykami. – Pytałam już o to strażnika, tego ze śliwą pod okiem.

Mogłam sobie wyobrazić, jak uderza kogoś pięścią w twarz. Od razu pomyślałam o Morrisie i zadrapaniach na jego szyi. Nie mogłam uwierzyć, że to zrobiłam. Atak na żołnierza? Przecież to szaleństwo.

– Moja mama tam będzie?

Dziewczyna spojrzała na mnie, jakbym była kompletną idiotką.

– Pożegnaj się z tym marzeniem, c h i c a – stwierdziła. – Paragraf piąty oznacza, że ona nie jest już nawet twoją matką. Teraz jesteś własnością rządu.

Zacisnęłam mocno powieki, próbując zignorować jej słowa, ale nadal odbijały się echem w mojej głowie.

„Ona nie ma racji” – uspokajałam samą siebie. „I my też się myliliśmy”. Zmusiłam się do tego, żeby wyobrazić sobie, jak Katelyn Meadows podchodzi do swojego dwupiętrowego domu w... Indianie. Albo Tennessee. Przeprowadziła się tam, bo jej ojciec został przeniesiony do innego oddziału. Wszystko wydarzyło się szybko, w końcu bardzo trudno teraz o pracę. To

dlatego nawet jej przyjaciółki nic nie wiedziały. Pewnie w nowej szkole dostaje najlepsze oceny z klasówek z historii. „Uwierz w to” – błagałam rozpaczliwie samą siebie. „Przecież tak właśnie mogło być”. Ale moja wyobraźnia była zbyt bujna, by pasować do szarej rzeczywistości. To wszystko kłamstwo i doskonale zdawałam sobie z tego sprawę.

Moje myśli powędrowały teraz do Chase’a i nagle poczułam silny ból gdzieś w środku. Prawie jęknęłam. „Jak on mógł?” Oparłam policzek o zimną szybę. Za oknami autobusu wszystko stawało się czarne jak zapadająca właśnie noc.

* * *

– *Prawda czy wyzwanie?*

Uśmiechnęłam się na dźwięk tego pytania. Kiedy byliśmy dziećmi, chyba z tysiąc razy się w to bawiliśmy. Wyzwania zawsze pakowały nas w kłopoty.

– *Prawda – odparłam, napawając się światem, do którego mnie przyprowadził.*

Las płonął, drzewa połyskiwały wszystkimi odcieniami czerwieni i żółci. Słońce ogrzewające mi twarz oraz świergot ptaków. W niczym nie przypominało to miejskiego hałasu i zapachu asfaltu. Idealne miejsce na tajemnice.

– *Podobał ci się kiedyś ktoś, kto nie powinien?*

– *Jak na przykład ktoś, kto ma dziewczynę? – zapytałam, obchodząc rosnące na ścieżce drzewo.*

– *Tak. Albo przyjaciel.*

Pytanie wytrąciło mnie z równowagi i zgubiłam krok.

– *Tak – odparłam, starając się nie czytać w jego uśmiechu. – Prawda czy wyzwanie?*

– *Prawda – powiedział i chwycił mnie za rękę.*

Próbowałam nie być sztywna ani niezdarna, a jednak byłam, bo w końcu chodziło o Chase’a. Wiem, że wychowaliśmy się właściwie razem, tylko co z tego? Być może kochałam go przez całe życie, ale on wcale tak o mnie

nie myślał, bo... no... byliśmy przyjaciółmi.

Och.

– *Lubisz kanapki z masłem orzechowym i dżemem? Bo kiedyś lubiłeś, i to właśnie zabrałam – dokończyłam bez przekonania.*

– *Tak. Prawda? – Przesunął kciuk po wewnętrznej stronie mojego nadgarstka, a mój organizm zareagował, jakby doznał wstrząsu.*

Przeraziło mnie to, że tak bardzo mi się spodobało, i to, że chciałam jeszcze.

– *Jasne.*

– *Czy byłoby dziwne, gdybym cię pocałował?*

Zatrzymaliśmy się. Nawet tego nie zauważyłam, dopóki nie przestąpił z nogi na nogę, a liście nie zatrzeszczały głośno pod jego stopami. Zaśmiał się, a potem odchrząknął. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy. Czułam się, jakbym była za szkła, a on mógł spojrzeć we mnie i zobaczyć prawdę: to, że czekałam pół życia na ten pocałunek. I że żaden chłopak nie mógł się z nim równać.

Pochylił się tak blisko, że powietrze między nami zrobiło się gorące.

– *Mogę? – szepnął mi do ucha.*

Skinęłam głowę, czując, jak krew zaczyna szybciej płynąć.

Delikatnie uniósł moją twarz. Kiedy jego wargi dotknęły moich, wszystko we mnie zwolniło. Zniknęło drapanie w gardle, rozpułynał się nerwowy ucisk w klatce piersiowej. Wszystko zbladło. Wszystko oprócz niego.

Coś się wtedy między nami zmieniło, przeskoczyła jakaś iskra, fala ciepła. Jego usta rozchyliły moje wargi, najpierw drażniąc mnie, a potem smakując. Jedną ręką przyciągnął mnie do siebie, drugą wsunął w moje włosy, pod gumkę, którą związałam je w kitkę. Moje palce pragnęły dotknąć jego skóry, w końcu napotkały twarz, zaczęły wodzić po mocnej szyi. Nagle odsunął się ode mnie. Oddychał nierówno i przeszywał mnie wzrokiem.

Nadal mnie obejmował, i dobrze, bo nogi się pode mną uginały.

– *Prawda? – szepnęłam.*

Uśmiechnął się, a we mnie wszystko podskoczyło z radości.

– Prawda.

* * *

– Wstawać, ale już!

Poderwałam się na dźwięk męskiego głosu odbijającego się echem we wnętrzu autobusu.

Przez okna przebijało poranne światło, więc zasłoniłam twarz – opuchniętą od wcześniejszego płaczu – przed jego radosną kpina. Nie byłam pewna, czy zasypiałam, czy traciłam i odzyskiwałam świadomość. Odkąd wyjechaliśmy z Louisville, co najmniej sto razy wracałam myślami do sceny, w której Chase zabiera moją mamę.

Rozmawiałam jeszcze z Rosą. Została oskarżona z paragrafu trzeciego – jej kuzynka zgłosiła pretensje, że Rosa jest utrzymywana z jej podatków. A to nie pasowało do koncepcji rodziny jako komórki składającej się z kobiety, mężczyzny oraz ich dzieci. Jednak odkąd przekroczyliśmy granicę Wirginii Zachodniej, zupełnie zamilkłyśmy. Nawet taka luzara jak Rosa nie kryła zszokowania. Znajdowałyśmy się naprawdę daleko od domu.

Autobus zasyczał i zatrzymał się pod dużym budynkiem z cegły. W przywiedłą trawę, która rosła wzdłuż drogi, wbito metalową, zieloną tablicę, na której błyszcząły białe litery:

ZAKŁAD POPRAWCZY OŚRODEK RESOCJALIZACYJNY DLA DZIEWCZĄT

Rozejrzałam się nerwowo dookoła, licząc na to, że gdzieś stoi budynek, w którym mogłaby być moja mama. Może ją też tu przywieźli na resocjalizację. Przynajmniej byłybyśmy blisko siebie i mogłybyśmy razem rozwiązać ten problem. Jednak moja przerażająca intuicja mnie nie myliła. Za nami nie jechał żaden autobus.

Wychodziłyśmy pojedynczo. Kiedy wstałam, poczułam, że bolą mnie plecy i szyja od długich godzin spędzonych w jednej pozycji. Żołnierze

z pałkami stanęli po obu stronach wyjścia z autobusu, jakby chcieli nam zorganizować ścieżkę zdrowia. Rosa przesłała całusa strażnikowi z podbitym okiem, a ten poczerwieniał na twarzy.

Teraz miałam lepszy widok na okolicę. Znajdowaliśmy się przed starym budynkiem w rodzaju tych, które widuje się w podręcznikach do historii, otoczonych mężczyznami w togach i perukach. Został wzniesiony z czerwonej cegły, lecz niektóre fragmenty zaczęły już szarzeć, co sprawiało wrażenie, jakby składał się w dużej mierze z dziur. Wysokie drzwi wejściowe zostały niedawno odmalowane na biało, po obu ich stronach stały masywne kolumny podtrzymujące trójkątny portyk. Mój wzrok powędrował w górę, aż do szóstego piętra. Musiałam zmrużyć oczy przed porannym słońcem. Na wieży wisiał miedziany dzwon.

Po drugiej stronie drogi dostrzegłam porośnięty koniczyną pagórek przecięty długimi schodami, które prowadziły do otwartego pawilonu i nowszego budynku ze szkła. Kolejne schody znikwały gdzieś w dole. Wyglądało to jak kampus dawnego college'u, zamkniętego podczas wojny.

Kiedy spojrzałam z powrotem w stronę głównego budynku, na schodach stała jakaś kobieta. W otoczeniu żołnierzy wyglądała na drobną, ale jeszcze surowszą niż oni. Była skurczona, miała śnieżnobiałe włosy i sprawiała wrażenie, jakby zapadała się w sobie, przez co jej oczy wydawały się zbyt duże i zbyt głęboko osadzone, a zamknięte usta – bezzębne.

Miała na sobie zapinaną na guziki bluzkę i plisowaną spódnicę, na tyle cienką, że widać było zarys kości miednicy. Wokół szyi zawiązała na węzeł marynarski błękitną chustkę.

Żołnierze SO zdawali jej relację z sytuacji i najwyraźniej oczekiwali na rozkazy, co było dziwne. Nigdy jeszcze nie widziałam w oddziałach FBN kobiety dowódcy. Kiedy rzuciła pogardliwe spojrzenie na szereg nowo przybyłych dziewczyn, poczułam, jak wzrasta we mnie niepewność, świadomość istnienia tylu rzeczy, o których nie mam pojęcia. Może w domu nie było idealnie, ale przynajmniej wiedziałam, czego się spodziewać –

do wczoraj. Teraz nic już nie wyglądało znajomo, teraz nigdzie nie czułam się bezpiecznie. Zgarbiłam się i złożyłam dłonie, żeby przestały się trząść.

– Cudownie – mruknęła Rosa pod nosem. – Siostry.

– To zakonnica? – odszepnęłam zdumiona.

– Gorzej. Słyszałaś o salwatoriankach?

Kiedy pokręciłam przecząco głową, przybliżyła się do mnie.

– Są odpowiedzią Straży Obyczajowej na wyzwolenie kobiet.

Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej – skoro siostry salwatorianki miały walczyć z feminizmem, jakim cudem kobieta rozkazywała żołnierzom?

W tej chwili jej głowa obróciła się do stojącego obok strażnika.

– Wprowadźcie je.

Weszłyśmy do głównego holu ceglanego budynku. Podłoga była tu wyłożona płytkami, a ściany pomalowane na brzoskwiniowy kolor. Pod znajdującymi się po prawej stronie schodami ciągnął się długi korytarz z licznymi drzwiami.

Jedna za drugą podchodziłyśmy do prostokątnego składanego stolika, gdzie czekały na nas dwie kobiety z jakimiś papierami. Były ubrane w znajome uniformy składające się z białej bluzki i plisowanej spódnicy. Po Rosie, która przedstawiła się z przesadnie południowoamerykańskim akcentem, przyszła kolej na mnie.

– Nazwisko? – rzuciła urzędniczka z aparatem ortodontycznym na zębach. Nawet nie podniosła przy tym wzroku.

– Ember Miller.

– Ember Miller. A, to ona. Kolejny paragraf piąty, pani Brock.

Stojąca za nią drobna, ale budząca grozę kobieta uśmiechnęła się nieszczerze na powitanie.

Paragraf piąty. Za każdym razem, gdy to słyszałam, czułam się, jakby ktoś wbijał mi szpilkę za paznokieć. Szyję oblała mi fala gorąca.

– Mówcie do mnie Hester Prynne^[1] – mruknęłam pod nosem.

– Mów wyraźnie, moja droga. Co takiego powiedziałaś? – zapytała pani

Brock.

– Nic – odparłam.

– Skoro nie masz nic do powiedzenia, to milcz.

Podniosłam wzrok, nie kryjąc zaskoczenia.

– Ona też ma siedemnaście lat, pani Brock. W lipcu osiągnie pełnoletność.

Serce mi niemal stanęło, kiedy to usłyszałam.

„Przecież nie mogą mnie tu trzymać do moich osiemnastych urodzin!” Liczyłam się z tym, że mogę tu zostać kilka dni, a nawet dopóki nie zorganizujemy pieniędzy na kaucję, ale do osiemnastego lipca jest jeszcze pięć miesięcy! Nie zrobiłam nic złego, a moja mama, której jedyną zbrodnią była nieodpowiedzialność, potrzebowała mnie teraz. Muszę ją znaleźć i zabrać do domu.

„Katelyn Meadows nigdy nie wróciła do domu” – podpowiedział cichy, przestraszony głos w mojej głowie. Wezwanie do sądu nagle wydało mi się zbyt łatwym rozwiązaniem. Nierealistyczną karą. Po co mieliby tracić pieniądze, transportując mnie tutaj, gdyby chodziło jedynie o nakaz zapłaty grzywny? Nagle poczułam, jak ściska mnie w gardle.

– Panno Miller, zostałam poinformowana, że wczoraj zaatakowałaś członka Federalnego Biura Naprawczego – oznajmiła pani Brock.

Odruchowo spojrzałam na Rosę. Ona podbiła strażnikowi oko – dlaczego nie miała z tego powodu nieprzyjemności?

– Zabierali moją mamę! – zaczęłam się bronić, ale ucichłam, widząc spojrzenie kobiety.

– Będziesz odnosiła się do mnie z szacunkiem. Jestem pani Brock, zrozumiano?

– Eee... jasne. Tak.

– Tak, p a n i B r o c k – poprawiła mnie.

– Tak, pani Brock – odparłam, oblewając się rumieńcem.

Szybko zrozumiałam, co miała na myśli Rosa. Ta Brock była gorsza

od żołnierzy.

Teraz westchnęła z niewyczerpaną cierpliwością.

– Panno Miller, mogę sprawić, że ten pobyt będzie dla ciebie albo bardzo nieprzyjemny, albo całkiem znośny. To twoje ostatnie ostrzeżenie.

Te słowa mnie zmroziły.

– Masz szczęście – ciągnęła pani Brock – bo zostałam zakwaterowana z uczennicą asystentką. Jest z nami od trzech lat i udzieli ci odpowiedzi na wszystkie pytania.

„Od trzech lat?” Nie wiedziałam, że tego typu miejsca istniały trzy dni temu, a co tu mówić o trzech latach. Co straszego musiała zrobić ta dziewczyna, że utknęła tu na tak długo?

– Dołącz do swojego oddziału i pamiętaj o tym, co powiedziałam. – Pani Brock uniosła wysuszoną rękę w stronę Rosy i innych dziewczyn w moim wieku. W jej wzroku było widać cień sceptycyzmu, jakby wiedziała, że moje osiemnaste urodziny i tak nie będą czynnikiem decydującym o tym, czy stąd wyjdę.

Po drodze zatrzymano mnie pod ścianą, gdzie przysadzista kobieta o obwisłej twarzy zrobiła mi zdjęcie na tle niebieskiego ekranu. Nie uśmiechnęłam się. Zaczynała do mnie docierać powaga sytuacji, w której się znalazłam, i napełniało mnie to przerażeniem.

Siostry. Oddział. Pogardliwy uśmiezek pani Brock. To nie był tymczasowy układ.

Kiedy dołączyłam do dziewczyn, przed oczami nadal miałam mroczki od lampy błyskowej.

– Ta wariatka będzie nas tu chyba próbowała zatrzymać, dopóki nie skończymy osiemnastu lat – szepnęłam do Rosy.

– Nie zamierzam tu zostawać tyle czasu – odpowiedziała z przekonaniem, a kiedy odwróciłam się do niej gwałtownie, uśmiechnęła się, ukazując szparę między zębami. – Wyluzuj – dodała. – W tego typu miejscach zawsze tak mówią, a wystarczy, że dobrze wszystko spieprzysz i wypuszczą cię

wcześniej.

– Ale jak?

Rosa już otworzyła usta, żeby mi odpowiedzieć, ale przerwało jej dwóch strażników, którzy weszli przez główne drzwi. Prowadzili dziewczynę w szpitalnej koszuli. Minęli stół i skręcili w korytarz na prawo. Cały czas podtrzymywali dziewczynę za łokcie, jakby bez ich pomocy mogła upaść. Tych kilka sekund wystarczyło, żeby ciarki mi przeszły po plecach. Dziewczyna miała wzrok wbity w podłogę, a na tle jej czarnych, potarganych włosów odznaczały się blada twarz i spuchnięte z wycieńczenia oczy. Wyglądała gorzej niż pacjentka szpitala dla psychicznie chorych pod wpływem silnych leków. Sprawiała wrażenie, jakby w środku była p u s t a.

– Jak sądzisz, co jej jest? – zapytałam Rosę z wyraźnym zaniepokojeniem.

– Może jest chora – odparła bez większego przekonania.

Najwidoczniej zaczęła dostrzegać niedociągnięcia swojej teorii o wcześniejszym wypisie. Potem wzruszyła ramionami.

Pomyślałam sobie, że też chciałabym być taka obojętna, ale nie potrafiłam ukryć, że widok dziewczyny wywarł na mnie ogromne wrażenie. Wyglądała na chorą, jednak coś mi mówiło, że to nie wirus wywołał u niej te objawy. Co takiego zrobiła? Co o n i zrobili jej?

Chciałam o to zapytać, ale właśnie zostałyśmy zagonione do świetlicy, w której stały zielonkawożółte sofy o niskich oparciach, śmierdzące kulkami na mole.

Było nas osiem. Osiem nowych siedemnastolatek. Po drugiej stronie pomieszczenia stała zwarta grupka kilkunastu innych dziewczyn, szesnasto-, może piętnastoletnich. Rozpoznałam co najmniej dwie z nich, chodziły do mojej szkoły. Byłam pewna, że jedna ma na imię Jacquie. Kiedy popatrzyłam w jej stronę, nie odwzajemniła spojrzenia.

Pojawiła się także ekipa stałych mieszkanek. Wszystkie zaprezentowały nam dziwnie nienaturalne, radosne uśmiechy. Wyglądały jak klony, miały

na sobie granatowe bluzki z długim rękawem i długie spódnice w tym samym kolorze, sięgające czarnych płaskich butów. Był to beznadziejny strój, co nawet taka modowa ignorantka jak ja mogła od razu stwierdzić.

– Proszę o uwagę! – zawołała pani Brock i w pomieszczeniu zapanowała cisza. – Witam. Nazywam się Brock i jestem dyrektorem Zakładu Poprawczego i Ośrodka Resocjalizacyjnego dla Dziewcząt w Zachodniej Wirginii.

Poruszyłam się nerwowo, a pani Brock od razu wycelowała we mnie swoje spojrzenie.

– Artykuł drugi, paragraf piąty wymaga, abyście wszystkie zachowywały się jak damy. Dopóki nie skończycie osiemnastu lat, będziecie przygotowywane wyłącznie do tego, by stać się wzorem obyczajności i cnotliwości.

Słyszając słowo c n o t l i w o ś ć, Rosa parsknęła śmiechem. Pani Brock obrzuciła ją wzrokiem pełnym sączącego się jadu.

– Świat się zmienił, moje drogie – ciągnęła pani Brock przez zaciśnięte zęby – a wy macie szczęście, że możecie uczestniczyć w tych zmianach. Mam wielką nadzieję, że począwszy od dzisiaj, będziecie szły przez życie z otwartym umysłem i skromnym duchem. Że przyjmiecie powołanie do sióstr salwatorianek i wrócicie do mrocznego świata z jedyną prawdziwą misją: żeby szerzyć światło. A teraz dyżurne zaprowadzą was do waszych sypialni.

Wzięłam głęboki, drżący oddech. Nie, nie zostanę tu przez pięć miesięcy. Nie zamierzam szerzyć jakichś szalonych światopoglądów. Nie skończę jak ta dziewczyna, którą żołnierze ciągnęli przez korytarz. Muszę się stąd wydostać i odszukać mamę.

Tłumek androidów rozstąpił się i moim oczom ukazała się radosna dziewczyna ze sprężynkami jasnych włosów opadających na ramiona. Ładne niebieskie oczy podkreślał wesoły uśmiech. Brakowało jej tylko aureoli.

– Cześć, jestem Rebeka Lansing, będziemy dzieliły pokój. –

Denerwujący piskliwy głos przedarł się przez szmer rozmów. – Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać, Ember – dodała, po czym skinęła ręką, żebym szła za nią korytarzem pod schodami.

Zastanawiałam się, skąd wie, jak mam na imię.

– Nie wątpię – odpowiedziałam jej kwaśno i zaczęłam rozglądać się w poszukiwaniu Rosy. Już jej nie było.

Rebeka zmarszczyła czoło, słysząc mój ton.

– Wiem, że na początku jest trudno, ale przyzwyczaisz się. Wkrótce będziesz się tu czuć jak w domu, a nawet lepiej. Jak na letnim obozie.

Kiedy zrozumiałam, że ona wcale nie żartuje, przełknęłam ślinę.

Rebeka zaprowadziła mnie do sypialni. W jej towarzystwie czułam się dziwnie brudna. Mój mundurek szkolny miał na sobie plamy z trawy i błota jeszcze z poprzedniego dnia.

– To będzie twoja strona. – Rebeka pokazała na łóżko stojące najbliżej drzwi.

Materac był cienki jak tektura, przykryty lekkimi różowymi kocami, jakie widuje się w szpitalach. Po jednej stronie łóżka znajdowała się komoda, po drugiej biurko. Na blacie stała mała aluminiowa lampka, kilka chudych zeszytów oraz Biblia. Łóżko Rebeki znajdowało się pod ścianą obok okna. Tak jak moje w domu.

Łzy zapiekły mnie pod powiekami, więc odwróciłam się do ściany, żeby Rebeka tego nie zauważyła.

– Przyniosłam twój mundurek – odezwała się i podała mi starannie złożony niebieski komplet oraz szary wełniany sweter. – I śniadanie. Nie wolno nam jadać w pokojach, ale zrobili dla mnie wyjątek, bo jestem asystentką.

Bez względu na to, czy jest człowiekiem, czy nie, byłam jej wdzięczna za jedzenie.

– Naprawdę jesteś tu od trzech lat? – zapytałam między kolejnymi łapczywymi kęsami.

– Oczywiście – odpowiedziała słodkim głosem. – Uwielbiam to miejsce.

Miałam wrażenie, że znalazłam się w opowieści science fiction. Jednej z tych, w których bohaterom podaje się pigułki kontrolujące ich umysły.

Rebekę zostawili rodzice, zanim prezydent Scarborough wprowadził prawo obyczajowe. Jej ojciec i matka byli misjonarzami. Udali się za ocean służyć Bogu – tuż przed wprowadzeniem zakazów międzynarodowych podróży.

W miarę jak opowiadała mi o sobie, szok, jakiego doznałam, zaczął przeradzać się w litość. Rodzice nie kontaktowali się z nią, odkąd wyjechali, i chociaż Rebeka mocno wierzyła, że żyją, ja miałam wątpliwości. Wojna wzbudziła za granicą wrogie nastawienie wobec Amerykanów.

Pomyślałam sobie, że to muszą być okropni rodzice, skoro porzucili własne dziecko, zwłaszcza w takim miejscu. Znów zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno zrobiłam wszystko, żeby przekonać żołnierzy, którzy mnie zabrali. I chociaż próbowałam odpędzić od siebie poczucie winy, ciążyło mi niczym kamień.

Rebeka usiadła na brzegu mojego łóżka i zaczęła zaplatać sobie włosy, a ja w tym czasie się przebrałam. Trajkotała o tym, jak cudownie mieć kogoś w pokoju i jak się super zaprzyjaźnimy, co powstrzymało wszystkie moje pytania na temat pani Brock i sióstr salwatorianek. Ta rozmowa brzmiała tak sztucznie, że nie mogła być prawdziwa, a ponieważ byłam pewna, że taka jest, przestałam zwracać uwagę na to, co mówi, i skupiłam się na własnym odbiciu w lustrze.

Nigdy nie byłam typową piękną. Natura obdarzyła mnie dużymi brązowymi oczami i długimi czarnymi rzęsami, ale moje brwi miały nieciekawą kształt, a nos był nieco skrzywiony. Teraz miałam trupią cerę – niemal taką jak ta dziewczyna, którą prowadzili żołnierze, a kości policzkowe wydawały się zbyt wystające, jak gdyby ostatnie godziny dodały mojemu życiu kilka lat. Ten granatowy uniform okazał się jeszcze gorszy niż mój szkolny mundur, pewnie dlatego, że o wiele bardziej go nienawidziłam.

Zmusiłam się do głębokiego oddechu. Włosy śmierdziały mi syntetycznym siedzeniem autobusu. Szybko rozczesałam palcami splątane kołtuny i związałam w byle jaką kitkę.

– Czas na lekcje – zaświergotała Rebeka, przyciągając moją uwagę.

Szybko przeanalizowałam wszystkie opcje i stwierdziłam, że muszę znaleźć telefon. Najpierw spróbuję zadzwonić do domu, na wypadek, gdyby SO zwolniła jednak moją mamę. A jeśli nie, zadzwonię do Beth i zapytam, czy nie słyszała, dokąd zabierają osoby oskarżone o naruszenie paragrafów.

Popatrzyłam na Rebece. Była chyba nadmiernie podekscytowana perspektywą oprowadzania mnie po budynku. Jako uczennica asystentka cieszyła się tu pewnym autorytetem i pewnie naskarżyłaby na mnie, gdybym tylko się wychyliła. Wyglądała na taką.

Będę musiała działać w ukryciu.

Kilka minut później szliśmy do pawilonu usytuowanego naprzeciwko stołówki, w której kręciło się chyba ze sto dziewczyn. Równie dobrze mogłaby to być zwykła szkoła średnia – też pojawiały się tu plotki na temat nowych – jednak atmosfera była zdecydowanie poważniejsza. Traktowano nas nie ze złościwością czy ciekawością, lecz z lękiem, jakbyśmy mogły zrobić coś szalonego. To dziwne, bo ja podobnie myślałam o nich.

Kiedy zadzwonił dzwonek, umilkły wszelkie rozmowy. Dziewczyny pognały do swoich klas i ustawiły się w szeregi tak idealne, jak gdyby odmierzane linijką. Rebeka pociągnęła mnie za rękę – pozwoliłam się ustawić, zupełnie jak szmaciana lalka. W pawilonie zapanowała cisza.

Chwilę później pojawili się żołnierze. Stanęli na czele, z tyłu oraz po bokach każdego rzędu dziewczyn. W drodze na tył minął mnie młody mężczyzna o twarzy naznaczonej ospą. Z naszywki na mundurze wynikało, że miał na imię Randolph. W porównaniu z nim strażnik, który zajął miejsce z przodu naszego rzędu, cechował się niemal nieskazitelną cerą. Był starannie ogolony, miał jasne włosy i byłby nawet całkiem przystojny, gdyby nie puste spojrzenie.

„Co Straż Obyczajowa robi z ludźmi, że wydają się pozbawieni duszy?”
– zaczęłam się zastanawiać, i niemal natychmiast odepchnęłam od siebie wspomnienie Chase’a.

– Panna Lansing – odezwał się ten prawie przystojny strażnik.

– Dzień dobry, panie Banks – odparła Rebeka słodkim głosem.

Skinął głową pospiesznie, bez emocji, jakby chciał przekazać, że aprobuje ustawienie. Cała ta wymiana zdań wydała mi się sztuczna i wymuszona.

– H o l a, p r i n c e s a – szepnął ktoś za moimi plecami.

Odwróciłam się i od razu zauważyłam, że Rosa w ramach protestu nie włożyła bluzki w spódnicę. Na twarzy stojącej obok rudowłosej dziewczyny – zapewne towarzyszki z pokoju – malował się wyraz dezaprobaty. Najwyraźniej nie była zadowolona z tego, kogo jej przydzielono.

Kolor włosów tej dziewczyny uświadomił mi, że tęsknię za Beth.

Dobrze było mieć przy sobie Rosę. Nawet jeśli bywała niemiła, to przynajmniej prawdziwa. Kiedy ponownie zadzwonił dzwonek, osoby stojące na czele szeregów ruszyły do przodu. My z Rosą trzymałyśmy się blisko siebie, związane nieufnością wobec innych.

Zeszłyśmy za Rebekeą po schodach, minęłyśmy pralnię, szpital oraz przysadzisty budynek biurowy z cegły, przed którym znajdował się hydrant przeciwpożarowy. Wtedy siedemnastolatki oddzieliły się od reszty i przemaszerowały przez trawnik, a potem weszły na ścieżkę łączącą dwie wysokie kamienne budowle. Przyglądałam się wnikliwie okolicy, próbując zapamiętać cały układ. Wychodziło na to, że jest tylko jedna droga wejścia i wyjścia – główna brama.

Rosa odezwała się do mnie, jednak jej głos był ledwie słyszalny:

– Patrz i ucz się.

Odwróciłam się, ale jej już nie było.

ROZDZIAŁ 3

Rosa uniosła spódnicę wysoko, do połowy ud, i zniknęła pomiędzy dwoma budynkami. Strażnicy zaczęli coś krzyczeć, ale nie rozumiałam poszczególnych słów, bo adrenalina już szumiała mi w uszach. Jeden natychmiast rzucił się w pogoń. Drugi wyjął radio, wydał kilka pospiesznych poleceń i ruszył za swoim towarzyszem. Dziewczęta szeptały gorączkowo, lecz żadna nawet nie drgnęła.

Czułam, jak krew pulsuje mi w skroniach. Dokąd ona biegnie? Czyżby zauważyła wyjście, które umknęło mojemu wzrokowi?

Pomyślałam, że może powinnam pobiec w przeciwnym kierunku. Rosa odwróciła uwagę strażników od reszty siedemnastolatek, być może nikt nie zauważy, kiedy się odłączę? Gdyby udało mi się pobiec szybko do schodów w kierunku bramy, a potem... No właśnie, co potem? Miałabym ukryć się w krzakach i czekać, aż przejedzie jakieś auto, żeby wymknąć się w jego cieniu? J a s n e, nikt tego nie zauważy. Jazda autobusem udowodniła, że od świtu nie pojawiły się tu żadne ślady cywilizacji, więc na pewno nie udałoby mi się dojść do autostrady w mundurku zakładu poprawczego tak, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi.

„Myśl!”

Telefon. Musi być jakiś w budynku sypialnianym. Albo w części medycznej. „O tak!” Personel na pewno ma kontakt ze światem na wypadek, gdyby ktoś był ciężko ranny. Szpital był już zamknięty, przechodziłam obok niego kilka minut wcześniej. To ten budynek tuż obok ceglanej budowli z hydrantem.

Oczy wszystkich były teraz utkwione w przejście między budynkami, gdzie zniknęła Rosa. Nawet stojący nieopodal strażnicy patrzyli w tamtym kierunku. Skóra mnie paliła. Powoli zrobiłam krok do tyłu, miażdżąc trawę nowymi czarnymi butami na płaskim obcasie. Teraz albo nigdy.

W tej samej chwili czyjaś ręka zacisnęła się na moim ramieniu. Obróciłam się gwałtownie na pięcie i zobaczyłam, jak Rebeka przeszywa mnie spojrzeniem lodowatych oczu. Zaskoczyła mnie jej wściekłość, nie sądziłam, że jest zdolna do takich emocji.

– N i e – wyszeptała bezgłośnie.

Próbowałam zrzucić jej rękę, ale tylko chwyciła mnie mocniej. Czułam, jak jej paznokcie wbijają mi się w skórę. W promieniach porannego słońca cera Rebeki wydawała się biała.

– Puść – powiedziałam cicho.

– Mają ją! – ktoś krzyknął.

Wszystkie dziewczęta, włącznie ze mną i z Rebeką, przesunęły się ostrożnie w stronę przejścia między budynkami. Udało mi się wyswobodzić z uścisku współlokatorki, ale teraz to już i tak nie miało większego znaczenia. Sposobna chwila minęła. Odkąd Rosa została znaleziona, strażnicy znów zaczęli nas pilnować. Gdyby któraś z nas miała ochotę pójść w jej ślady, oni byli już przygotowani. Rebeka zaprzepaściła moją szansę.

Przepchnęłam się między dziewczynami i wtedy zobaczyłam Rosę. Była jakieś sześć metrów przede mną, zapędzona w ślepy zaułek. Dwaj strażnicy boczni próbowali ją chwycić: rozpostarli nisko ramiona, jakby zaganiali kurczaka. Rosa wydała z siebie przenikliwy krzyk i rzuciła się między nimi w stronę grupki przestraszonych siedemnastolatek. Wtedy dopadł ją ten obrzydliwy strażnik. Uderzył w nią z boku i upadła na ziemię.

– Nie! – krzyknęłam, próbując się do niej przedostać.

Nowy strażnik zagroził mi drogę. Jego twarz była napięta, a przebiegły uśmiech przyprawił mnie o dreszcz.

„Spróbuj tylko – zdawał się mówić – a będziesz następna”.

Wszystkie przyglądałyśmy się, jak Randolph o ospowatej twarzy przytrzymuje Rosę kolanem wbitym brutalnie między jej łopatki. Ledwo złapał oddech, a szarpnął nią, żeby wstała, i związał jej zaciskiem ręce za plecami.

A potem ją uderzył.

Kiedy krew trysnęła z nosa Rosy na jej ciemną skórę, ogarnęło mnie przerażenie. Zaczęłabym krzyczeć, gdybym tylko była w stanie oddychać. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby mężczyzna uderzył kobietę. Owszem, miałam świadomość, że Roy bił moją mamę, ale zawsze widziałam tylko skutki, nigdy samego bicia. Wyglądało to znacznie gorzej, niż potrafiłam sobie wyobrazić.

W tej samej chwili uderzyła mnie pewna myśl. Skoro takie rzeczy dzieją się z nami, dziewczętami w ośrodku poprawczym, to co oni robią ludziom, którzy faktycznie popełnili tak zwane przestępstwa? Co Chase nam zrobił? Nagle poczułam silniejsze niż wcześniej pragnienie ucieczki. Zaczęłam bać się o mamę jak nigdy dotąd.

– To wariatka – usłyszałam głos jednej z moich rówieśnic.

– O n a jest wariatką?! – zapytałam z niedowierzaniem. – Nie widziałyście, jak on...

Dziewczęta rozstąpiły się w milczeniu, robiąc przejście przepychającej się pani Brock. Kobieta popatrzyła na Rosę, a potem skierowała swoje spojrzenie na mnie. Moja krew zamieniła się w lód.

– Jak on co, skarbie? – zapytała, unosząc brwi z zaciekawieniem, a może prowokująco: sama nie byłam pewna.

– On... on ją uderzył – powiedziałam, żałując bardzo, że w ogóle się odezwałam.

– I uspokoił to diabelskie dziecko, dzięki Bogu – odparła z udawaną ulgą. Czułam, jak zasycha mi w ustach.

Przez chwilę przyglądała się Rosie, poruszając językiem w ustach.

– Banks – odezwała się w końcu – zabierz pannę Montoya do niższej części.

– Tak jest, proszę pani. – Jasnowłosy strażnik przepchnął Rosę obok mnie, zostawiając napastnika z tyłu, z głupkowskim uśmiechem satysfakcji na twarzy.

Próbowałam przyciągnąć spojrzenie dziewczyny, ale nadal wydawała się oszołomiona. Doszedł mnie zapach świeżej krwi i żołądek podskoczył mi do gardła.

A wtedy pani Brock odwróciła się i odeszła, nucąc coś pod nosem.

* * *

Następnych kilka godzin spędziliśmy na cichej medytacji. „Na zajęciach” – jak to nazwano. Siedziałyśmy na drewnianych krzesłach o sztywnych oparciach i czytałyśmy, aż oczy nas bolały, a opiekunki o smutnym wyglądzie od czasu do czasu rzucały uwagi typu „głowy na dół” albo „nie garbić się”.

Bałam się o Rosę. Nie przyprowadzili jej. Cokolwiek się z nią działo, trwało to bardzo długo. Wrócił ten strażnik o nazwisku Banks i teraz on i przerażający Randolph pilnowali wszystkich rzędów, tłumiąc w nas chęć ucieczki oraz wszelkie oznaki złego zachowania. Dziewczęta nie odzywały się, wstrząśnięte porannymi wydarzeniami, i starały się wypaść jak najlepiej.

A ponieważ żadna z nich, nawet Rebeka, nie rzuciła mi porozumiewawczego spojrzenia, które potwierdzałoby wariactwo całej tej sytuacji, zabrałam się do czytania. Nie było to nic fikcyjnego, jak *Frankenstein* Mary Shelley. Nie był to nawet Szekspir, którego czytaliśmy na języku angielskim. Nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób pomóc mi zapomnieć o tym piekle.

Czytałyśmy *Prawo obyczajowe*. W szkole przejrzałam je dość pobieżnie, ale teraz, kiedy wbijałam wzrok w poszczególne słowa raz, drugi i trzeci, wiedziałam, że już na zawsze wryją mi się w pamięć.

Paragraf pierwszy zabraniał obywatelom praktykowania oraz propagowania innych religii niż Kościoła amerykańskiego. Najwyraźniej obejmowało to także nieprzychodzenie do szkoły w czasie Paschy, czym zgrzeszyła Katelyn Meadows.

Paragraf drugi zakazywał posiadania niemoralnych przedmiotów osobistych, a trzeci definiował rodzinę jako komórkę składającą się

z kobiety, mężczyzny oraz dzieci. Paragraf czwarty precyzował, na czym polegają tradycyjne role męskie i żeńskie. Zwracano w nim uwagę na podległość kobiet. Na obowiązek szanowania partnera, który w zamian utrzymywał rodzinę i był jej duchowym przywódcą.

Znów przypomniałam sobie Roya, dawnego chłopaka mamy. Ani nas nie utrzymywał, ani nie przewodził duchowo. A kiedy zaczęłam szukać jakiegoś ustępu na temat przemocy domowej, okazało się, że nie ma o czymś takim wzmianki – nawet w paragrafie szóstym, według którego nielegalne były rozwody, hazard oraz mnóstwo innych rzeczy, począwszy od wywrotowych przemówień, a skończywszy na posiadaniu broni. Jakie to żałośnie przewidywalne!

Paragraf piąty wykułam na pamięć. „Dzieci są uznane za pełnoprawnych obywateli wyłącznie, jeśli zostały spłodzone przez mężczyznę i kobietę pozostających w związku małżeńskim. Wszystkie inne dzieci należy zabrać z domu i poddać procesowi resocjalizacji”.

Paragrafy prawa obyczajowego miały jeden wspólny mianownik: ich pogwałcenie pozwalało Federalnemu Biuru Naprawczemu na wprowadzenie pełnych sankcji. Tylko co to za s a n k c j e? Zakład poprawczy? Zaczęłam się zastanawiać, czy moja mama też siedzi teraz w podobnym pomieszczeniu i czyta paragrafy. A może oczekuje na proces? Na przykład w więzieniu? A może Chase ją wypuścił i jest już w domu, i czeka na to, aż zadzwonię, powiem, gdzie jestem? Podniosłam rękę.

Siostra siedząca z przodu sali wstała od swojego biurka i podeszła do mnie. Z bliska przekonałam się, że jest młodsza, niż mi się wydawało. Miała może ze trzydzieści pięć lat, ale przyprószone siwizną włosy i opadające powieki nadawały jej znacznie starszy wygląd.

Nagle przeszedł mi po plecach zimny dreszcz. Te siostry robiły kobietom to samo, co SO robiła z mężczyznami: wyrywały im duszę, a potem wszystko, co zostało, poddawały praniu mózgu.

– Tak? – rzuciła, nie patrząc mi w oczy.

– Muszę iść do toalety – odparłam. Siedząca tuż przede mną Rebeka drgnęła, lecz się nie obejrzała.

– Dobrze. Randolph, proszę zaprowadzić pannę Miller do łazienki.

– Sama znajdę drogę – powiedziałam, rumieniąc się.

„Co ja jestem, jakaś pięciolatka?”

– Tego wymaga procedura – odparła i wróciła do swojego biurka.

Wstałam, przygryzając nerwowo dolną wargę. Nie miałam ochoty znaleźć się sam na sam z tym żołnierzem. Nawet gdyby nie uderzył Rosy, i tak budziłby przerażenie.

Wyprowadził mnie w milczeniu, pilnując, by nie znaleźć się bezpośrednio przede mną: zawsze trzymał się nieco z boku – tak, żeby widzieć mnie choćby kątem oka. Po drodze przed oczami stanęły mi obrazy Chase’a: Chase’a żołnierza, w takim samym mundurze jak Randolph, z taką samą pałką i bronią. Co teraz robi? Czy jest z moją mamą? Czy będzie gotów obronić ją przed Morrisem, kiedy ten uniesie pałkę, tak jak to zrobił dla mnie? Tutaj nie było nikogo, kto powstrzymałby pięści Randolpha.

Postanowiłam wymazać obraz Chase’a z pamięci.

Wyszliśmy z klasy i ruszyliśmy wyłożonym linoleum holem w kierunku głównego wyjścia. Słońce przeświecało przez okna, można było odnieść wrażenie, że na dworze panuje lato. Damska łazienka znajdowała się tuż obok drzwi wyjściowych. Weszłam do środka i odczekałam chwilę, by upewnić się, czy Randolph nie pójdzie za mną. Kiedy okazało się, że został na zewnątrz, popędziłam do toalety i podniosłam porcelanową pokrywę zbiornika.

Jedno można powiedzieć o życiu bez ojca: trzeba nauczyć się wykonywać rozmaite naprawy w domu. Wystarczyła mi chwila, by odłączyć łańcuch. Pozwoliłam, aby woda wypełniła zbiornik, a potem delikatnie położyłam pokrywę na miejsce.

Moment później byłam z powrotem w holu.

– Toaleta jest zepsuta – oznajmiłam.

Tak jak się spodziewałam, żołnierz wyminiął mnie i poszedł to sprawdzić.

Najwidoczniej Randolph nie wychował się na czekach rządowych ledwie pozwalających wiązać koniec z końcem. Jego rodzinę zapewne było stać na usługi hydraulika. Bezmyślnie pociągnął kilka razy za spłuczkę, ale – rzecz jasna – woda nie popłynęła. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby podnieść pokrywę i zajrzeć do środka.

– Jest tu jakaś inna? – wyjęczałam.

Skinął głową i relacjonując problem przez krótkofalówkę, wyprowadził mnie na zewnątrz. Świeże powietrze dodało mi animuszu. Skręciliśmy w lewo i ruszyliśmy kamienną ścieżką w stronę miejsca, do którego kilka godzin wcześniej próbowała uciec Rosa.

– O! – krzyknęłam, przyspieszając kroku w alejce, w której oczami wyobraźni nadal widziałam uderzającego dziewczynę Randolpha. – W szpitalu na pewno będzie łazienka!

Od budynku oddzielało nas zaledwie dwadzieścia metrów. Przez twarz strażnika przemknęło zwątpienie i przez chwilę sądziłam, że zaprotestuje – choćby tylko dlatego, żeby nie zgodzić się na moją sugestię. Potem najwyraźniej zdał sobie sprawę z tego, że w mojej prośbie nie ma nic nadzwyczajnego, i skierował się w stronę szpitala.

Poczekalnia była mała, sterylna, w powietrzu unosił się delikatny zapach środków czystości. Moje buty zaskrzypiały na błyszczącej posadzce. Randolph minął stanowisko, przy którym ciemnowłosa pielęgniarka czytała Biblię. Kobieta podniosła wzrok, ale nie zadała żadnego pytania.

Przeszłam przez niedługi korytarz i znalazłam to, czego szukałam: na blacie stanowiska do pobierania krwi, tuż między minilodówką a plastikowym pudełkiem ze strzykawkami oraz nasączonymi alkoholem gazikami, był telefon. Serce podskoczyło mi z radości.

Tak naturalnie, jak tylko potrafiłam, weszłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Jednocześnie głowiłam się nad tym, jak odwrócić uwagę pielęgniarki i mojego paskudnego strażnika. Nie musiałam myśleć długo.

Na zewnątrz rozległ się okropny hałas. Było to coś podobnego do pisku opon, kiedy ktoś za mocno nadeprnie na hamulec. Dochodziło z sąsiedniego budynku, tego z hydrantem. Kiedy jednak usłyszałam dźwięk ponownie, nie byłam już taka pewna, czy jego źródłem nie jest czasem... człowiek. Serce zaczęło mi walić i miałam wrażenie, jakby coś ścisnęło mi kręgosłup. Postanowiłam jednak skupić się na zadaniu.

Uchyliłam drzwi i zobaczyłam, że zarówno Randolph, jak i pielęgniarka przeszli do poczekalni. Korzystając z okazji, puściłam się biegiem przez łazienkę i dopadłam do niewielkiej kabiny, w której pielęgniarki pobierały krew. Chwilę później miałam telefon w ręku.

Nagle przestraszył mnie szmer za plecami. Podskoczyłam, obróciłam się na pięcie i ujrzałam Randolpha jakieś pół metra za sobą. Telefon wypadł mi z ręki i z łoskotem uderzył w blat.

– No dalej – zachęcił mnie. Dobrze wiedział, co chcę zrobić.

Zwietrzyłam podstęp, jednak i tak propozycja była zbyt kusząca, bym mogła nie skorzystać.

Chwyciłam za telefon i podniosłam go do ucha. Rozległo się kliknięcie, a potem usłyszałam męski głos.

– Brama główna, mówi Broadbent.

Randolph uśmiechnął się pogardliwie. Odwróciłam głowę.

– Czy może mnie pan połączyć z Louisville? – zapytałam szybko.

– Kto mówi?

– Proszę, muszę zadzwonić na zewnątrz!

Po drugiej stronie zapanowała dłuższa cisza.

– Nie ma wyjścia na zewnątrz. Ta linia łączy się jedynie z punktami na terenie zakładu. Jak zdobyłaś ten numer?

Poczułam, że drżą mi dłonie. Randolph wyrwał mi słuchawkę z ręki i odłożył ją, a na jego twarzy zakwitł pełen wyższości uśmiešek.

Znalazłam się w beznadziejnej sytuacji.

* * *

Mijały kolejne godziny. Po moim wyczynie szpitalnym Randolph postanowił mieć mnie na oku i chociaż pozwolono mi pójść do stołówki razem z innymi siedemnastolatkami, wolno mi było jedynie napić się wody. Żadnego obiadu, żadnej kolacji. Torturą było przyglądanie się, jak jedzą inni, ale nie dałam po sobie poznać ani Randolphowi, ani pani Brock, ani nawet Rebecce, że mnie to w jakikolwiek sposób obeszło.

Już wcześniej zdarzało mi się długo nie jeść. W czasie wojny, zanim jeszcze otworzono kuchnię z zupą, zdarzyło się kilka takich miesięcy, kiedy jedynym posiłkiem w ciągu dnia było wydawane w szkole drugie śniadanie. Zawsze oszczędzałam trzy czwarte jedzenia: połowę dla mamy, a resztę – czy to jabłko, czy paczkę ciastek z masłem orzechowym – na kolację. Okropny głód, jaki teraz czuję, przypominał mi o tamtych dniach, kiedy przed lustrem w łazience mogłam policzyć własne zębra.

Z nagłym ukłuciem w sercu zaczęłam się zastanawiać, czy mama dzisiaj coś jadła. Kanapkę – mama lubi kanapki – a może resztę zupy w kuchni? Dla własnego zdrowia psychicznego postanowiłam przestać o tym myśleć, ale wtedy inne zakazane myśli zajęły miejsce tamtej.

C h a s e. Ciągłe to samo pytanie, które mój umysł wałkował na okrągło: „Jak on mógł?”. Przecież znał nas przez całe swoje życie. Czy kiedy obiecywał, że do mnie wróci, przyszło mu do głowy, że będzie to wyglądało właśnie tak?

Na tym jednak polegał problem. Chase tak naprawdę nie wrócił. Ten żołnierz, który stanął na progu mojego domu, był zupełnie obcym człowiekiem.

Wieczorem pozwolono mi pójść do świetlicy razem z innymi i wtedy z przerażeniem stwierdziłam, że Rosa jeszcze nie wróciła. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma czasem wstrząsu mózgu, a potem przypominałam sobie tamtą dziewczynę o pustym spojrzeniu, którą widziałyśmy rano. I dotarło do mnie, że Rosa mogła odnieść o wiele poważniejsze obrażenia.

Kiedy się tym zamartwiałam, Rebeka z zatrwajającym entuzjazmem

wyrecytowała nowym dziewczynom panujące w szkole zasady. A potem się modliłyśmy. To znaczy one się modliły, ja nadal nerwowo rozmyślałam nad wszystkim.

Zanim pozwolono nam odejść, strażnik ogłosił, że jest jeszcze jedna sprawa. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale od chwili, w której Brock postawiła stopę w drzwiach, wiedziałam, że będzie chciała zrobić mi coś złego.

– Moje panie... – zaczęła powoli.

– Dobry wieczór – zabrzmiał chór kilku głosów, w tym także Rebeki.

Milczałam.

– Dzisiaj zdarzył się kolejny incydent. Złamanie zasad. Te z was, które są z nami już od pewnego czasu, wiedzą, jak postępujemy w tego typu przypadkach, prawda?

Skupiłam się na tym, by siedzieć prosto, z uniesionym podbródkiem i wzrokiem wbitym w tę poruszającą się bezszelestnie wiedźmę. Najwyraźniej głodówka nie była wystarczającą karą za scenę z telefonem, ta kobieta zamierzała upokorzyć mnie publicznie. Wiedziałam, że może zrobić, co jej się żywnie podoba. Postanowiłam, że nie okażę strachu. Ktoś musi się jej postawić.

Zanim się zorientowałam, co się dzieje, Randolph wyszarpnął mnie z krzesła i zaciągnął do bocznego stolika w świetlicy, jakby chciał sprawdzić, czy nadal zamierzam być dzielna.

– Ale pani Brock, przecież Ember jest nowa!

Mimo słodkiego głosu Rebecce nie udało się zamaskować buntowniczego tonu. Na twarz wystąpiły jej czerwone plamy. Byłam w szoku, że mnie broni.

– Dopóki nie pozna wszystkich zasad, proszę pani, obowiązuje ją okres próbny – dodała po namyśle.

Między nami stanął inny strażnik. Wszystkie dziewczęta podniosły wzrok znad statutu i spoglądały to na mnie, to na panią Brock. Żadna się jednak nie odezwała.

Brock wbiła w moją towarzyszkę wściekłe spojrzenie. Wstrzymałam oddech. Nie chciałam wcale wsparcia Rebeki, ale wyczułam, że lepiej trzymać buzię na kłódkę.

W końcu Brock głośno wypuściła powietrze.

– Cóż za ekspresowe działanie, panno Miller – powiedziała, a jej surowe spojrzenie powędrowało znowu w stronę Rebeki. – Niczym wirus infekujący najlepsze nasze uczennice. Muszę wam powiedzieć – zwróciła się do pozostałych dziewcząt – że panna Miller już wcześniej zaatakowała żołnierza, więc dzisiejsze zachowanie nie może ujść jej płazem – wyjaśniła.

Dziewczyny patrzyły na nią w milczeniu, niektóre wyraźnie wstrząśnięte, inne zaintrygowane. Niedobrze mi się robiło na ten widok.

– Proszę tutaj, panno Miller – powiedziała, pokazując ręką na stolik. Sama przeszła na drugą stronę.

Randolph stanął za mną i wyjął zza pasa pałkę. Wzrok miał nieobecny, niemal martwy. Czułam, że krew zaczyna mi szybciej pulsować.

– Czy zechciałabyś powiedzieć swoim rówieśnikom, jak złamałaś dzisiaj zasady?

Zacisnęłam zęby najmocniej, jak potrafiłam.

– Prosiłam o wyjaśnienia, panno Miller.

– Przykro mi, pani Brock – odezwałam się – ale mówiła pani, że jeśli nie mam nic do powiedzenia, powinnam milczeć.

Zatriumfowałam, wypowiadając te słowa głośno i wyraźnie. Byłam dumna z siebie, choć nieco przestraszona. Wiedziałam, że mama byłaby ze mnie zadowolona. Niektóre dziewczęta aż się zachłysnęły z wrażenia, a ja oderwałam na chwilę spojrzenie od pani Brock i dostrzegłam zachmurzoną twarz Rebeki.

Brock westchnęła.

– Wygląda na to, że niesubordynacja szerzy się pośród naszych nowych uczennic niczym choroba zakaźna – powiedziała.

– No właśnie, skoro już o tym mowa, to gdzie jest Rosa? – Chciałam

wiedzieć.

– Nie o tym zamierzałam z tobą rozmawiać. Pytałam, czy zechciałabyś...

– Odpowiedź brzmi: nie. Nie czuję potrzeby, żeby się tłumaczyć – odparłam na tyle asertywnie, na ile potrafiłam. Byłam tak wściekła, że wszystko we mnie pulsowało.

Twarz Brock wykrzywił gniew, a jej oczy zapłonęły żywym ogniem. Wyjęła zza paska długi wąski kij, który ukrywał się w fałdach spódnicy. Był cienki prawie jak pałeczka do jedzenia, jednak dwa razy dłuższy i giętki. Pomachała nim przed moją twarzą.

Kim jest ta kobieta?

– Ręce na stół – zarządziła lodowatym tonem.

Zrobiłam krok do tyłu, a wtedy prawie potknęłam się o Randolpha. Poczułam zimny dreszcz na plecach. Przecież nie żyjemy w średniowieczu, ludzkie prawa są chyba nadal respektowane, prawda?

– Nie może mnie pani uderzyć czymś takim – usłyszałam własny głos. – To niezgodne z prawem. Są na to przepisy.

– Moja droga panno Miller. – Brock uśmiechnęła się protekcjonalnie. – To ja jestem tutaj prawem.

Mój wzrok natychmiast powędrował w stronę drzwi. Randolph bezbłędnie odczytał te zamiary i uniósł wyżej pałkę.

Zszokowana, bezwiednie otworzyłam usta. A więc albo ona będzie bić, albo on.

– Ręce na stół – powtórzyła Brock.

Spojrzałam na pozostałe dziewczyny. Stała tylko Rebeka, ale i tak niemal całkowicie zasłaniał ją strażnik.

– Dziewczyny... – zaczęłam, ale nie mogłam sobie przypomnieć ich imion.

Żadna nawet nie drgnęła.

– Co z wami?! – krzyknęłam.

Randolph chwycił mnie za nadgarstki i przycisnął je do blatu. Zapięły

mnie, a potem zdrętwiały, kiedy zaczęłam się wyrywać.

– Puszczaj!

Nie puścił. Trzymaną w wolnej ręce pałkę przysunął mi do twarzy tak blisko, że oczy aż załzawiły, gdy na nią popatrzyłam. A potem uderzył mnie prosto w krtań. Nie mogłam oddychać. Miałam wrażenie, że zmiażdżył mi tchawicę, a to, co zostało, zapłonęło żywym ogniem. Zaczęłam się dławić, a im bardziej się dusiłam, w tym większą wpadałam panikę. Mój organizm nie dostawał tlenu. Ten strażnik zmiażdżył mi szyję. Zmiażdżył mi szyję i teraz się uduszę. Przed oczami zobaczyłam jasne plamy.

– Na litość boską, weź głęboki oddech – powiedziała szyderczo Brock.

Chciałam podrapać się po szyi, lecz Randolph przytrzymał moje ręce. Widziałam go jak przez mgłę. W końcu – w r e s z c i e – przez tchawicę przedostała się odrobina powietrza. Po policzkach popłynęły mi łzy. Kolejny oddech, a po nim następny. Boże, ale to bolało.

Upadłam na kolana, chociaż odrętwiałe ręce nadal miałam przyciśnięte do stołu. Próbowałam coś powiedzieć, ale z ust nie wydostało się żadne słowo. Patrzyłam na twarze siedzących wokół dziewcząt, jednak unikały mojego wzroku – nawet Rebeka wpatrywała się teraz we własne kolana.

Zrozumiałam, że żadna mi nie pomoże, były zbyt przerażone. Zdałam sobie sprawę, że albo posłucham Brock, albo spotka mnie coś o wiele gorszego. Miałam wrażenie, że ciało mam wypełnione ołowiem.

Nie spuszczając wzroku z Randolpha, rozprostowałam drżące dłonie na blacie stołu, a wtedy Brock obróciła się i uderzyła w nie kijem. Wszystkie dziewczyny przyglądały się temu, sparaliżowane strachem. Z mojego zaciśniętego gardła wydobył się niemy krzyk. Na rękach pojawiły się jaskrawe pręgi.

Na twarzy tej kobiety widniało czyste szaleństwo. Oczy jej nabrzmiały, a pociemniałe tęczęwki teraz wyraźnie odcinały się od białek. Za rozciągniętymi wargami pojawił się rząd ostrych zębów. Odsunęłam gwałtownie ręce, a wtedy Randolph znów uniósł pałkę. Był jak automat –

zimny, martwy, nieludzki. Położyłam dłonie na blacie, przełknęłam palący oddech i zacisnęłam zęby.

Brock raz za razem uderzała w wierzch moich dłoni. Przyciskałam je do stołu tak mocno, że palce mi zupełnie zbieleły. Ból był rozdzierający, zapomniałam zupełnie o widowni. Znów osunęłam się na kolana. Długie pręgi krzyżowały się na kostkach moich rąk, aż w końcu jedna z nich pękła i zaczęła krwawić. W ustach też czułam krew, w miejscu, w którym przygryzłam policzek. Była ciepła, miała metaliczny posmak i przyprawiała mnie o mdłości. Łzy tryskały mi strumieniem, ale nadal nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Nie chciałam dać jej satysfakcji.

Czułam do tej kobiety taką nienawiść, o jaką nigdy się nie podejrzewałam. Nienawidziłam jej bardziej niż Straży Obyczajowej i paragrafów. Bardziej niż j e g o za to, że zabrał moją mamę. Bardziej niż siebie za to, że nie potrafiłam się postawić. Każdą cząsteczkę mojej nienawiści skierowałam w stronę tej kobiety, aż w końcu ból i wściekłość stały się jednym.

W końcu przestała mnie bić i otarła pot z czoła.

– Ojej – odezwała się z uśmiechem. – Ależ jatka. Chcesz bandaż?

* * *

Zostawił mi kwiat na poduszce. To była biała stokrotka, o czystych, równych płatkach i długiej, zielonej łodyżce. Na samą myśl o tym, że podniósł okno i delikatnie położył kwiatek obok mojej głowy, coś mi drgnęło w głębi serca.

Mój wzrok pobiegł w stronę parapetu, na którym zostawił kolejną stokrotkę: mniejszą, równie idealną. Uśmiechnęłam się, gdy wyobraziłam sobie, jak wybiera i zrywa odpowiednie kwiatki. Podniosłam okno i wychyliłam się. Miałam chyba nadzieję, że będzie tam stał, ale go nie było.

Kolejna stokrotka leżała na trawie, w połowie drogi między naszymi domami. Podekscytowana grą, wygramoliłam się przez okno i schyliłam po kwiatek, żeby dołączyć go do powiększającego się bukietu. Rozejrzałam

się dookoła, a wtedy dostrzegłam jeszcze jeden, kilka metrów dalej, przy tyłach naszych domów. Był skierowany w stronę jego ogrodu.

Chichocząc, ruszyłam wyznaczoną drogą. Zbierałam następne kwiatki. Moja ekscytacja rosła, już sobie wyobrażałam, jak chwyci mnie w ramiona, gdy go znajdę, jak dotknie mojej twarzy, a potem mnie pocałuje.

Weszłam na taras, zawołałam go po imieniu i popchnęłam tylne drzwi do domu. W pomieszczeniu panowała ciemność, moje oczy przyzwyczyły się do niej dopiero po kilku chwilach.

Coś było nie tak. Czułam to, czułam na karku mrowienie, które ostrzegało, bym dalej już nie szła.

– Chase?

Miał na sobie mundur. Niebieska bluza była odchylona, ukazywała pasek. Coś mnie ścisnęło w żołądku na widok broni oraz pustego miejsca po pałce.

– Ember! Uciekaj! – Aż podskoczyłam na dźwięk głosu mamy. Klęczała w kącie z dłońmi rozpostartymi na ławie. Brock stała obok niej z uniesionym wysoko batem.

Patrzyłam z przerażeniem na krew płynącą równym strumieniem po rękach mamy.

Upuściłam stokrotki i próbowałam do niej dojść, ale Chase stanął mi na drodze. Miał puste i zimne oczy, a jego ciało było tylko powłoką kogoś, kogo kiedyś znałam. Z pałką w ręce zapędził mnie w róg i zmiażdżył kwiatki obcasem.

– Nie walcz ze mną, Ember.

* * *

Obudziłam się z tego koszmaru. Byłam spocona, chociaż spałam bez przykrycia. Krople potu zebrały się na moim czole i szyi, aż włosy mi zwilgotniały. W gardle mnie paliło, było spuchnięte i bolało przy dotknięciu. Dłonie pulsowały mi ostrym bólem, jakby płonęła na mnie skóra.

Obrazy ze snu nadal mnie prześladowały: Brock w sąsiednim domu bije mamę po rękach, Chase zagradza mi przejście, i jeszcze to „Nie walcz

ze mną, Ember”.

Próbowałam skoncentrować się na prawdziwych wspomnieniach, na tym, jak mój Chase czekał na mnie w domu, z uśmiechem i z otwartymi ramionami. Ale po wszystkim, co zrobił, nawet wspomnienia wydawały mi się nieprawdziwe.

Powoli zaczęłam rozpoznawać świat dookoła. Nadal znajdowałam się w zakładzie. Byłam w swoim pokoju.

Usłyszałam jakieś kliknięcie, a potem brzęk. Dźwięki dochodziły od okna, pod którym stało łóżko Rebeki.

„Włamanie!” Napięłam mięśnie, gotowa pędzić w stronę drzwi.

– Rebeka! – wychrypiałam, boleśnie przełykając ślinę.

Stopy miałam już na podłodze, a koszula, która wcześniej uniosła mi się na biodra, rozwinęła się teraz wokół moich nóg.

Rebeka nawet nie drgnęła. Nasłuchiwałam, ale w pokoju panowała cisza.

Kompletna cisza. Nie słychać było nawet oddechu dziewczyny.

Zmusiłam się do zachowania spokoju. To pewnie tylko wiatr uderzył w szybę. Jakaś gałąź, spadające liście czy coś w tym rodzaju. To na pewno nikt obcy. Nikt po mnie nie przyszedł. Nawet gdybym tego chciała.

– Rebeka? – powtórzyłam, tym razem wyraźniej, szeptem.

Dziewczyna się nie poruszyła.

Zsunęłam się z łóżka i podeszłam do okna, nie spuszczać wzroku z szyby.

Znów wypowiedziałam głośno imię koleżanki, jednak ta leżała zupełnie nieruchomo. Położyłam rękę na materacu. Księżyc świecił przez okno, rzucając sinoniebieską poświatę na bandażę spowijające moje spuchnięte kostki. Sięgnęłam palcami dalej. Wyczułam koc i zwiniętą poduszkę.

– Co to ma być, do cholery? – odezwałam się głośno.

Mój wzrok poszybował przez okno, w stronę lasu. Jakaś biała postać docierała właśnie do linii drzew. Zamarłam z wrażenia.

Rebeka uciekała, zdrajczyni. Wcześniej mnie przed tym powstrzymała,

a teraz sama zaplanowała ucieczkę. Nie miałam jednak czasu, żeby to roztrząsać. Rebeka znalazła jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. To było zaplanowane lepiej niż impulsywne działanie Rosy. Wiedziałam, że prędzej szlag mnie trafi, niż pozwolę, by mnie tu zostawiła.

Włożyłam buty i zarzuciłam na siebie bluzę. Nie czułam ani zmęczenia, ani głodu, a ekscytacja walczyła we mnie z potwornym przerażeniem. W końcu jednak zwyciężył bunt.

Nie zastanawiając się, stanęłam na łóżku Rebeki w brudnych butach – pewnie miałabym więcej przyjemności, gdybym była świadoma tego, co właściwie robię. Otworzyłam okno, a wtedy rozległo się to samo kliknięcie oraz brzęk, które słyszałam wcześniej.

Nasz pokój mieścił się na parterze, więc bez problemu przeszłam przez ramę okienną i stanęłam na ziemi. Było to tak proste, że zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nikt inny tego nie próbował. Nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Musiała być jakaś przyczyna, dla której dziewczyny nie zwiewały w nocy ze szkoły. Z drugiej strony chyba Rebeka wiedziała, co robi, przecież była pupilką Brock.

Z trudem wzięłam głęboki, bolesny oddech i ruszyłam przed siebie. Koszula uniosła mi się na wysokość bioder, a zimne nocne powietrze zaszczypało w uda, jednak od razu puściłam się biegiem.

Noc była na tyle jasna, że widziałam drogę przed sobą. Popędziłam wąską ścieżką w stronę lasu – tam, gdzie zniknęła Rebeka. Szum generatora prądu zagłuszał trzask suchych liści pod moimi stopami, co było jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem. Nikt nie mógł mnie słyszeć, ale i ja nie mogłam usłyszeć nikogo.

Chociaż bałam się, że zostanę złapana, nadal biegłam. Rebeka była tu od trzech lat, znała cały ten system, cały zakład. Nie porywałaby się na ucieczkę, gdyby nie była pewna sukcesu.

Im bardziej zagłębiałam się w las, tym ciemniej robiło się dookoła, mimo rozgwieżdżonego nieba. Zastanawiałam się, dokąd zmierzamy. Może

do jakiejś dziury w płocie? Długie cienie drzew sięgały czarnego nieba, widać było tylko zarys gołych gałęzi i grube pnie. Szłam po omacku do przodu, coraz bardziej nerwowa. Bałam się, że zgubiłam Rebeke. Generator szumiał coraz głośniejsze.

Wreszcie usłyszałam jakieś głosy. Jeden męski, drugi kobiecy – tak entuzjastyczny, że musiał należeć do Rebeki. Zatrzymałam się w pół kroku i ukryłam za zwałonym pniem. Nie rozumiałam słów, więc najostrożniej, jak się dało, podeszłam bliżej.

– Nie mogę uwierzyć, że Randolph ją uderzył – usłyszałam głos Rebeki.

– I, co gorsza, podobało mu się to. To chory zwyrodnialec. – Drugi głos także brzmiał znajomo.

– Sean... Co wy jej zrobiliście?

– Brock kazała ją zabrać do kabiny. Przecież wiedziałaś, że tak się to skończy.

Napięłam wszystkie mięśnie. Nie rozmawiali wcale o mnie, tylko o Rosie.

Przypomniałam sobie ceglany budynek obok szpitala. Czy to właśnie jest ta „kabina”? Brock kazała zabrać Rosę do „niższej części” – miała na myśli to miejsce? Wróciło do mnie wspomnienie tego strasznego pisku, który rozległ się w momencie, gdy znalazłam telefon. Czy to był krzyk Rosy?

W głowie mi huczało. W dalszym ciągu nie potrafiłam przypisać tego drugiego głosu do żadnej osoby. Rebeka milczała przez chwilę.

– Chyba tak – odparła w końcu.

– Żal ci jej? Och, Becca, nie smuć się. Hej, wiem, jak ci poprawić humor.

Zamilkli, a mnie ogarnął strach, że uciekają beze mnie. W ataku paniki uniosłam głowę ponad pień drzewa.

I rozdziawiłam usta ze zdumienia.

Rebeka Lansing siedziała na generatorze w wielkim płóciennym płaszczu koloru niebieskiego. Gołymi nogami oplatała w pasie strażnika – tego niemal przystojnego żołnierza o jasnych włosach, który rano zatwierdził ustawienie

szeregu. Jedną rękę miał wplecioną w jej nieuczesane włosy, drugą położył na jej nagim udzie. Całowali się z wyjątkową namiętnością.

Uznałam, że nadal śnię. Historia ludzkości podpowiadała, że to absolutnie niemożliwe, aby pruderyjna, święta Rebeka, moja towarzyszką z pokoju, asystentka szkolna, obmacywała się z żołnierzem. Na terenie szkoły. W środku nocy.

Ogarnęła mnie wściekłość. Rosa była poddawana karom w kabinie, a tymczasem Rebeka migdaliła się z jakimś żołnierzem na generatorze prądu. Moje dłonie zacisnęły się w pięści. Zęby zazgrzytały. I jeśli, dziwnym trafem, rozsądek nie opuścił mnie wcześniej, to zrobił to właśnie w tej chwili.

Zanim zrozumiałam, co robię, już stałam.

– Co to...

Wcale nie byłam zaskoczona, gdy oślepiło mnie światło latarki. Koncentrowało się na mojej twarzy i pozostawiało w mroku stojące za nim osoby. Zasłoniłam oczy ręką i ruszyłam na oślep, wymijając pień drzewa, gałęzie i gruz.

– Kto to jest? – usłyszałam głos Rebeki. A potem: – O mój Boże!

Strażnik zaklął. S e a n – tak do niego mówiła. Oderwał się od niej i rzucił w moją stronę. Nawet chciałam, żeby mnie dopadł. Kiedy na niego patrzyłam, widziałam tylko kamienną twarz żołnierza ciągnącego Rosę.

– Przestań! – Rebeka zeskoczyła z generatora i stanęła przed strażnikiem.
– Ember, co ty tu robisz? – Jak ja nienawidziłam tego radosnego głosu.

– Ty kłamczucho! – warknęłam.

– Co? Jak długo tu jesteś?

– Wystarczająco długo, Becca. – Słowa, chociaż ochryple, wydostawały się z moich ust z siłą wodospadu.

– To nie tak, jak myślisz.

– Doprawdy?

– Mówiłaś, że ona śpi! – Banks prawie krzyknął.

– Zamknij się, Sean! – odparła, a ponieważ nie odpowiedział, chwyciła

mnie za rękaw i próbowała zaciągnąć w stronę budynku.

– Chodź, wracamy do pokoju.

– Nie zamierzam. Skończyłam ze słuchaniem ciebie.

– Musisz iść ze mną. Za kilka minut pojawi się następny strażnik. Jeśli cię złapie, będzie po tobie. Rozumiesz?

– Tylko po mnie? Nie sądzę – odpowiedziałam głosem, który brzmiał jak mój, jednak było w nim o wiele więcej zuchwałości.

Miałam wrażenie, że stanowią zbiór niepasujących do siebie elementów. Skórę miałam lodowatą, lecz pod nią płynęła gorąca krew. Wszystkie moje organy wydawały się niepołączonymi ze sobą, rozdrobnionymi kawałkami. Wielkiego wysiłku wymagało ode mnie wciągnięcie do płuc chłodnego powietrza. Nie byłam sobą, i tyle.

– Myślisz, że kogokolwiek obejdzie to, że spotkałam się tu z Seanem? – zapytała Rebeka, machając rękoma z frustracji. – Myślisz, że nikt inny tak nie robi? Wszyscy pilnują się tu nawzajem. Zostaniesz ukarana za to, że na niego naskarzyłaś.

– Może i tak – odparłam, czując, jak mój gniew przechodzi poziom wyżej. – Może i strażników to nie obchodzi, ale jestem pewna, że Brock chętnie się dowie, że jej pupilka wymyka się z budynku z jednym z żołnierzy.

Banks spojrzał na nią, a jego twarz skrzywiła się w przypływie paniki – pojawiły się na niej prawdziwe emocje. Potem przeniósł wzrok na mnie i przerażenie zaczęło ustępować desperacji.

– Ona ci w życiu nie uwierzy – powiedział.

– Może i nie, ale zaczną jej pilnować, prawda? Postawią nam przed pokojem strażnika, żeby nic nie kombinowała, i... – prawdę powiedziawszy, nie miałam pojęcia, co zrobiłaby Brock, jednak pociemniała twarz Seana świadczyła o tym, że trafiłam w dziesiątkę.

– Nie możesz jej powiedzieć... Miller, tak się nazywasz? Becca wychodzi za trzy miesiące, nie możesz jej tego robić.

– Ja to załatwię, Sean – wtrąciła się Rebeka.

Zaskoczył mnie ten wybuch rycerskości. Czyżby próbował chronić Rebeke? Skrzyżowałam ręce na piersi. Może jednak ci strażnicy nie byli martwi w środku, jak mi się wydawało. A przynajmniej niektórzy.

– Ember... nie możesz powiedzieć. Nie możesz.

– A co niby miałyby mnie powstrzymać?

Sean wciągnął powietrze do płuc i chwycił za pasek przytrzymujący broń. Widziałam po jego spojrzeniu, że wcale nie ma ochoty do mnie strzelać, ale to jakoś nie powstrzymało mojego strachu. Przypomniałam sobie nagle cios Randolpha w gardło i smagnięcia po dłoniach. Jak mogłam zakładać, że ten żołnierz nie będzie zdolny do czegoś podobnego albo nawet i gorszego?

Z trudem zdławiłam w sobie chęć ucieczki.

– Powiedziała, że następny strażnik pojawi się tu za kilka minut! – zawołałam. – Jak wytłumaczysz obecność Rebeki, jeśli mnie zastrzelisz? – zapytałam.

Teraz już się trzęsłam i miałam tylko nadzieję, że nie zauważą tego w ciemności. Przecież on mnie nie zabije. Nie za coś takiego. Nie, nie może, to byłoby zbyt ryzykowne.

„Błagam, niech mnie nie zabija”.

– Sean – odezwała się cicho Rebeka.

Opuścił rękę, ale ja nadal nie odważyłam się oddychać.

– Czego chcesz? – zapytał.

W zamian za moje milczenie był gotów pójść na ugodę.

– Muszę się stąd wydostać. Muszę odnaleźć mamę – powiedziałam.

Im więcej mówiłam, tym bardziej ochrypły stawał się mój głos.

– Trzeba już iść! – pisnęła Rebeka. Oglądała się przez ramię, zapewne wypatrując strażnika z kolejnej zmiany.

Kiedy postraszyłam ją, że powiem Brock, zaczęła się naprawdę bać, że ją zdradzę.

Sean wciągnął powietrze.

– Jeśli ci pomogę, przysięgniesz, że nie powiesz kierownicze – rzucił.

Nie była to prośba. Zrobił krok do przodu i stanął między mną a swoją dziewczyną. Byłam zaskoczona tym, jak szczupło wygląda. Miał ściągniętą strachem twarz, usta zaciśnięte w wąską kreskę, a jego oczy wydawały się ogromne.

– Nie, Sean. Nie! – Rebeka ciągnęła go za rękaw jak małe dziecko, a kiedy nadal patrzył na mnie w milczeniu, znalazła się tuż przede mną. – Jeżeli zostanie przyłapany, wpadnie w tarapaty. I to potężne. Ty nie...

– Miller... – popędził mnie Sean, ignorując Rebeke.

– Tak. Przysięgam. Pomożesz mi się stąd wydostać, a nie pisnę słowa Brock – powiedziałam.

Poczułam, jak coś we mnie pęka, bo nagle przypomniałam sobie przerażenie na twarzy mamy, kiedy kazałam Royowi wynosić się z naszego domu. Chciałam wtedy zrobić coś dobrego, ale ciężko mi było znieść myśl, że aby osiągnąć ten cel, muszę kogoś skrzywdzić. Teraz sytuacja była podobna, chociaż prawie nie znałam tych ludzi.

– Okej. Coś... coś wymyślę – powiedział Sean i kopnął pień, za którym wcześniej się ukrywałam.

– Jak? I kiedy? – Jego zgoda przywróciła krążenie w moich żyłach.

– Nie teraz. Ona ma rację, za chwilę pojawi się tu mój zmiennik. Musisz dać mi czas do namysłu.

Byłam rozczarowana, ale wiedziałam, że nic więcej nie wskóram.

– Dziękuję, Sean – odparłam.

Wypowiadając jego imię, nadałam realność tej postaci – jakby był chłopakiem, którego mogłam znać ze szkoły. Widziałam, jak drgnęły mu ramiona. Twarz miał pełną pogardy.

Chwilę później Rebeka wyswobodziła się z płaszcza i rzuciła go Seanowi. Przez dłuższy moment spoglądali na siebie i mimo panującej wokół ciemności widziałam, jak jej spojrzenie łagodnieje.

– Przepraszam – szepnęła. – Będzie dobrze, obiecuję.

Strażnik chwycił się nerwowo za kark, jakby miał mięśnie napięte

do granic możliwości. Włożył kurtkę i zniknął w mroku.

Rebeka przybrała surowe spojrzenie i pomaszerowała w stronę budynku sypialnego. Niechętnie poszłam za nią. Byłam wściekła, bo ciągle się potykałam, podczas gdy ona poruszała się niemal bez wysiłku. Zaczęłam sobie tłumaczyć, że przecież nie po raz pierwszy pokonuje tę trasę.

Kiedy dotarliśmy do trzeciego okna, Rebeka popchnęła framugę – byłam pewna, że o wiele mocniej, niż gdybym ja spała wewnątrz – i zgrabnie wskoczyła do środka, opierając się biodrem o parapet. Natychmiast pochyliła się i zanurkowała do łóżka. Poszłam jej śladem, tyle że zdecydowanie mniej zwinnie.

Chwilę później pochłonęła nas pełna napięcia i zakłopotania cisza.

– Jak mogłaś? – wyrzuciła z siebie Rebeka. W bladej księżycowej poświacie widziałam jej twarz czerwoną od zimna i złości. – Powinnam była pozwolić ci uciec, jak to zrobiła ta Rosa. Czułam, że masz na to ochotę. I zrobiłabym to, gdybym tylko wiedziała, że będziesz mnie szantażować! Jak mogłaś?

Nagle uderzyła mnie fala wściekłości. Byłam w szoku.

– J a? To ty jesteś h i p o k r y t k ą! Prosiłam cię o pomoc, a ty mnie zignorowałaś! Pieprzyłaś tylko o tym, że tu jest jak na obozie – cudownie! I podlizywałaś się tej Brock! Jesteś sto razy gorsza od niej, tylko lepiej to ukrywasz!

– Masz zupełną rację. I co z tego? – zapytała.

– Powinnaś brać jakieś leki. Poważnie – odparłam, otwierając szeroko oczy. – I nie jestem idiotką dlatego tylko, że ci uwierzyłam. Jesteś piekielnie dobrą aktorką.

– Tak. To prawda.

Usiadłam na łóżku, patrząc w jej stronę, a ona usiadła na swoim, wpatrując się we mnie – zupełnie jakbyśmy były małymi dziećmi testującymi, kto wytrzyma dłużej. To Rebeka przerwała milczenie.

– Narażasz go na niebezpieczeństwo bez powodu – powiedziała. – Nikt

stąd nie uciekniesz. Albo wychodzisz stąd z odpowiednimi papierami, albo wyjeżdżasz w przyczepie Federalnego Biura Naprawczego.

– Nie rozumiem – powiedziałam, dławiąc się. Moje palce powędrowały do krwiaka na szyi.

Rebeka wydała z siebie dziwny dźwięk.

– Strażnicy dostali rozkazy, żeby strzelać do wszystkich, którzy próbują uciec.

Moje zmaltretowane dłonie spotkały się na kolanach. A więc to dlatego Sean sięgnął po broń. Mógł po prostu powiedzieć, że chciałam uciec. Na widok mojego martwego ciała tak daleko od budynku sypialnego nikt nawet by się nie zająknął. Od razu poczułam wdzięczność do Rebeki. Gdyby nie jej obecność, gdyby Sean chciał widzieć mnie martwą, w tej chwili wykrwawiałabym się w lesie.

Ale z drugiej strony nie poszłabym tam, gdyby Rebeka nie wymknęła się z pokoju.

– Myślisz, że naprawdę by to zrobili? – zapytałam, chociaż nie miałam wątpliwości. Widziałam to lodowate, martwe spojrzenie w oczach żołnierzy. Mogłam sobie wyobrazić kilku z nich – chociażby Morrisa, kumpla Chase’a, który nas aresztował, czy tutejszego Randolpha – jak strzelają do dziewczyny.

– Ja to wiem – odparła. – Ostatnią, którą... – zawahała się i spojrzała na okno. Zapewne zastanawiała się, gdzie teraz jest Sean. – To była dziewczyna z pokoju Stephanie.

„Teraz to Rosa mieszka ze Stephanie” – zdałam sobie sprawę z ukłuciem bólu.

Rebeka ciężko przełknęła ślinę.

– Miała na imię Katelyn. Katelyn Meadows.

ROZDZIAŁ 4

– Katelyn Meadows – powtórzyłam, oszołomiona.

„Nie ma jej na liście osób poszukiwanych, a jej rodzina wyprowadziła się po procesie”.

Oczywiście, że jej nazwisko nie widniało na liście, bo nigdy nie była poszukiwana. Ona nie żyła. Dobrze, że miałam za plecami łóżko, bo nogi nagle odmówiły mi posłuszeństwa.

– Była sympatyczna – ciągnęła Rebeka. – Staram się tu z nikim nie zaprzyjaźniać, bo wszystkie dziewczyny robią się po jakimś czasie dziwne. Ale ona była w porządku.

– Wiem – odparłam cicho. Przypomniałam sobie jej twarz z plakatów rozwieszonych w szkole, a przedtem jej uśmiech na lekcji historii.

– Znałaś ją?

– Niezbyt dobrze. Chodziłyśmy razem do szkoły.

– Och. – Rebeka przygryzła paznokieć, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć.

– Kiedy to się stało?

– Chyba z pół roku temu. Niewiele jej już zostało do osiągnięcia pełnoletności i Brock poprosiła ją, żeby została tu nauczycielką. A kiedy Brock cię prosi, to już nie jest prośba.

„Ja tu jestem prawem” – powiedziała ta kobieta, gdy biła mnie po rękach. Byłam pewna, że jej zaproszenie do grona nauczycielskiego w niczym nie przypominało prośby.

Sześć miesięcy temu zaczynałam ostatni rok nauki w szkole średniej. To byłby także ostatni rok dla Katelyn. Nie byłam pewna, czy wiadomość o jej śmierci mnie zasmuciła: w końcu nie znałam jej aż tak dobrze, żeby rozpaczać. Jednak ogarnął mnie strach. Co to oznacza dla mnie i dla szans powodzenia mojej ucieczki? Kotłowało się we mnie wszystko: czułam się

samolubna, przerażona i zniesmaczona.

Przetarłam oczy, bo szczypały mnie zaschnięte na rzęsach łzy.

– Czy to Sean...

– Nie. To był ktoś inny. – Rebeka uśmiechnęła się blado. – Sean nigdy nikogo nie zabił. Sam mi to powiedział. FBN zmusza ich, żeby w czasie ćwiczeń strzelali do tarcz w kształcie człowieka, a jemu kiepsko idzie. To dlatego wysłali go do zakładu dla dziewczyn, z dala od miasta.

Wyobraziłam sobie żołnierzy stojących na strzelnicy i zadrżałam. Chase nie został oddelegowany do zakładu dla dziewcząt, co musiało oznaczać, że był lepszym strzelcem niż nasi strażnicy. Zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek kogoś zabił, i na samą myśl poczułam się paskudnie. Postanowiłam tego nie roztrząsać.

– Najwyraźniej nie wszyscy mają tu sumienie jak Sean – stwierdziłam gorzko.

– Masz rację. Zapewne poznałaś Randolpha – dodała.

Bezwiednie chwyciłam się za kolana. Bolały mnie kostki u rąk.

– To on? To on t o zrobił... Katelyn?

W pokoju panowała ciemność, ale i tak zauważyłam, jak Rebeka kiwa twierdząco głową.

– Sama widzisz, że nie ma sensu uciekać.

– Muszę spróbować – powiedziałam. – Jeśli nas tak traktują, to co robią z moją mamą?

Rebeka się zawahała.

– Pewnie to samo.

Wstałam tak pośpiesznie, że aż mi się zakręciło w głowie.

– Co Sean ci mówił? Powiedz! – Nie musiałam już niczego udawać, przecież znałam jej sekret. I zawarliśmy umowę.

– On niewiele wie – próbowała się bronić Rebeka.

Szkolni strażnicy przebywali w odosobnieniu. Inni żołnierze mieli bezpośredni kontakt z dowódcą, ale jeden oddział – składający się z tych,

którzy tak jak Sean zawalili jakiś aspekt szkolenia – został przydzielony siostronom salwatoriankom.

– Kim tak w ogóle są te siostry? – zapytałam. – Ta Brock jest ich przywódczynią?

– Chciałaby. Komisja Edukacji przydzieliła jej to stanowisko podczas reformacji. Jest, jak by to powiedzieć, kierowniczką szkół w tym regionie. Inne regiony mają swoje panie Brock, które trzymają zakłady poprawcze... żelaznym stanikiem, tak to nazywa Sean – powiedziała Rebeka i się zaśmiała. – Zamiast żelaznej ręki – żelazny stanik.

– Rozumiem – odparłam bez emocji.

A więc są inne wstrętne kierowniczki. Inne zakłady poprawcze. Znowu zrobiło mi się niedobrze. Uśmiech zniknął z twarzy Rebeki.

– Brock twierdzi, że siostry przejmują kontrolę – powiedziała. – Prowadzą organizacje dobroczynne, wydają żywność i tak dalej. Ale kto wie, czy to prawda.

Moja mama zgłosiła się na ochotnika do pracy w kuchni polowej. Nie byłam w stanie wyobrazić jej sobie w niebieskiej spódnicy i tej idiotycznej chustce na szyi.

– A więc Brock odpowiada przed SO, a żołnierze jej podlegają? – zapytałam.

Rebeka popatrzyła na mnie pytająco, a wtedy zdałam sobie sprawę, że nigdy nie słyszała przezwiska, jakie wymyślono dla Federalnego Biura Naprawczego. Skoro przebywała tu od czternastego roku życia, musiała stracić kontakt z rzeczywistością.

– Straż Obyczajowa – powtórzyła z namysłem, kiedy jej wyjaśniłam. – Zabawnie.

Najwidoczniej zajmowanie się wyrzutkami społecznymi nie wymagało wybitnych zdolności. Choć tutejsi strażnicy, technicznie rzecz biorąc, podlegali FBN, jednak to Brock nadzorowała ich codzienne poczynania. Niestety, oznaczało to, że Sean miał bardzo ograniczony kontakt z innymi

żołnierzami.

– Ale jest kurier – ciągnęła Rebeka. – Przyjeżdża co tydzień i dostarcza meldunki z zewnątrz. Zalecenia od Komisji Edukacji, poprawki ustaw i tym podobne. Sean czasami słyszy plotki. Dowiedział się niedawno, że mają zrezygnować z procesów osób oskarżonych o złamanie paragrafów, i faktycznie tak się stało. Minął już ponad miesiąc, odkąd żołnierze przestali przyjeżdżać po świadków.

– Zrezygnować z procesów? Co to znaczy? – zapytałam, podnosząc głos.

– Ciii... – Rebeka nakazała mi gestem, żebym usiadła na łóżku. – Nie wiem, co to znaczy. Może puścili twoją mamę wolno, może wysłali ją do zakładu. Sean wspominał, że zamiast procesu muszą teraz coś „skończyć”. To chyba jakieś nowe zasady. Sean przejdzie szkolenie w przyszłym miesiącu.

Oczami wyobraźni już widziałam mamę na moim miejscu. Jej drobne, wypielęgnowane dłonie na stole i Brock uderzającą w nie batem, zupełnie jak w moim śnie. Widziałam, jak jej upór przeradza się w strach. Jak osuwa się na podłogę, tak jak po zerwaniu z Royem.

Nie mogłam na to pozwolić. Na myśl o tym, że cierpi, zrobiło mi się niedobrze.

– Moja mama nie da rady. Muszę ją odnaleźć. Na pewno jest jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. Co zrobiła Katelyn? Jak ją złapali?

– Sean mówił, że schwytali ją przy południowym ogrodzeniu. Próbowała przejść górą.

Katelyn była chuda, ale niezbyt wysportowana. Nie wyobrażałam sobie jej przechodzącej przez siatkę. Z drugiej strony – ludzie w desperacji robią różne szalone rzeczy. Sama to wiedziałam.

– Nie ma innej drogi? Żadnych dziur w ogrodzeniu? Innych wyjść?

Rebeka bezradnie wzruszyła ramionami.

– Strażnicy co godzina przechodzą wzdłuż płotu. Jedynym wyjściem jest główna brama, ale tam jest budka z żołnierzami, którzy kontrolują pojazdy.

– Nikt nigdy nie uciekł? – zapytałam z niedowierzaniem.

Rebeka zgięła się wpół. Kiedy się znów odezwała, jej głos wydawał się cienki, jakby miała dobrych kilka lat mniej.

– Krótco po tym, jak tu przyjechałam, jedna dziewczyna uciekła. Udało jej się pokonać ogrodzenie i wybiec do lasu. Tylko że... padał śnieg i umarła z wyziębienia. Brock kazała żołnierzom wnieść jej zwłoki do stołówki, żeby pokazać nam, co się stanie, jeśli będziemy próbowały uciec. Była sina, czarna i... – Rebeka pokręciła głową, jakby chciała zrzucić z siebie to wspomnienie.

– Wtedy właśnie Brock przyzwoliła strażnikom na strzelanie do każdej dziewczyny, która zbliży się do płotu.

Wzdrygnęłam się na te słowa. Odzyskać wolność po to tylko, by ją stracić?

– Od tamtego czasu jedynie trzy dziewczyny podjęły próbę ucieczki. Wszystkie zostały zastrzelone. Po czymś takim długo nikt już nie spróbuje. Jeżeli się uprzesz, będziesz pierwszą osobą od historii z Katelyn.

Kiedy zrozumiałam, co mnie czeka, poczułam bolesny ucisk w dołku. Jeśli zaryzykuję, mogę nie przeżyć, a jeżeli umrę, to z pewnością będzie to brutalna śmierć. Ale jeśli zostanę, nie dowiem się, czy moja mama jest bita, więziona, czy może ją zastrzelono.

P u ł a p k a. Miałam dwie możliwości i obie były okropne.

– Wiesz, kiedy już osiągniesz pełnoletność, to – zgodnie z prawem – nie muszą cię wcale szukać – powiedziała Rebeka.

Nie mogłam czekać, aż skończę osiemnaście lat! Jednak coś w jej głosie mówiło mi, że wcale nie miała na myśli mnie.

– To dlatego nie uciekliście z Seanem?

Rebeka skinęła głową.

– Za trzy miesiące będę wolna. Ale jeżeli on kiedykolwiek zdecyduje się uciec, FBN może go zabić.

A więc postanowiła zostać, żeby go chronić. Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Nie zabiliby jednego ze swoich.

– Mylisz się. Zostałby postawiony przed sądem. Jeśli zdezerteruje i go złapią, czeka go egzekucja. Tak to teraz wygląda. Przypomnij sobie, dlaczego się tu znalazłaś.

Powietrze między nami znieruchomiało, a moje myśli zaczęły błądzić w niebezpieczne rewiry. Skoro Sean może zostać rozstrzelany, czy mojej mamie też to grozi? Wydawało mi się to nieprawdopodobne, ale jednak możliwe.

Uznałam, że muszę uciec, i to szybko.

* * *

Minęły dwie doby, zanim Sean opracował plan.

Siedziałyśmy w klasie i czytałyśmy *Regulamin ubioru dla pań*, kiedy napotkałam jego spojrzenie. Niemal niezauważalnie skinął głową, a ja bez wahania uniosłam rękę i poprosiłam o eskortę do toalety. Zanim siostra zdążyła poprosić Randolpha, Sean zrobił krok do przodu i przytrzymał drzwi, żeby wypuścić mnie na korytarz.

Ledwo znaleźliśmy się w pewnym oddaleniu, szybko powiedział mi, że otrzymał rozkaz przejścia zmiany pewnego żołnierza, który dostał urlop, a to oznaczało wydłużenie czasu na przejście wokół ogrodzenia. Podprowadzi mnie do siatki i będzie patrzył w przeciwnym kierunku, żebym mogła przeskoczyć na drugą stronę.

Wszystko wydawało się proste, niestety, w rzeczywistości wcale takie nie było. Po pierwsze, musiałam czekać aż osiem dni. Po drugie, kiedy znajdę się po drugiej stronie ogrodzenia, będę zdana wyłącznie na siebie, co oznacza jakieś dwadzieścia pięć kilometrów, czyli mniej więcej cztery godziny, samotnej wędrówki przez Appalachy. I wreszcie po trzecie, kiedy już dotrę do najbliższej stacji benzynowej, będę musiała jechać do domu autostopem, a to oznacza, że powinnam trafić na kogoś, kto nie przejmuje się kosztem paliwa.

– Lepiej to przemyśl – doradził mi Sean. – Kiedy dojdą do tego,

że zwiłaś, zaczną cię szukać. A wtedy nie będę mógł już nic zrobić.

Pokiwałam głową. Chociaż zniknęła jedna klucha w gardle, poczułam, że pojawia się następna. Plan był okropny, tyle że nie miałam lepszego. Sean przyglądał mi się przez długą chwilę. Wydawał się zaskoczony moją decyzją. Nie potrafiłam powiedzieć, czy uważa mnie za osobę odważną, czy tylko głupią. Pewnie to drugie.

– Byłoby lepiej dla wszystkich, Miller, gdybyś poczekała do osiągnięcia pełnoletności.

– Nie mogę czekać – oznajmiłam stanowczo. – Nie wiem przecież, czy moja mama nie znajduje się w podobnym miejscu.

Twarz Seana stała się nagle pozbawiona wyrazu. Zapytałam go, czy wie cokolwiek na temat mojej mamy, ale zaprzeczył. Nie byłam pewna, czy czegoś nie ukrywa, jednak nie drążyłam tematu. Nie miałam poważnych dowodów przeciwko niemu, musiałam przyjąć to, co mi zaoferował. Zresztą, kto płaci, ten wymaga, kto ma broń, ten strzela.

Dlatego czekałam.

* * *

Rosa wróciła następnego dnia po południu. Cały wykład Brock na temat etykiety społecznej przesiedziała obok mnie w milczeniu. Nie było szyderczych uwag ani zawadiackich uśmiechów ukazujących szparę między jedynkami. W jej oczach, pod którymi widniały półkoliste sińce po uderzeniach Randolpha, nie było już cienia buntu. Rosa przypominała teraz tę dziewczynę, którą widziałyśmy w dniu przyjazdu. Była... pusta.

Nie wątpiłam już, że to jej krzyk słyszałam w szpitalu. Gdy ją o to zapytałam, odpowiedziała wymijająco. Stwierdziła, że było upiornie. To wszystko. A ja i tak czułam przerażenie.

W ciągu kolejnych dni za wszelką cenę starałam się nie rzucać w oczy. Zmuszona do rozmów z dziewczynami albo z personelem, zachowywałam uprzejmość, starałam się też przestrzegać wszystkich reguł. Nie okazywałam frustracji ani bólu, gdy coś wypadło z moich spuchniętych dłoni albo kiedy

nie byłam w stanie utrzymać ołówka. Nie zwracałam na siebie uwagi, pozwalając Brock sądzić, że wygrała.

Tymczasem tuż pod jej nosem zaczęłam gromadzić rozmaite przedmioty. Tak jak to robiłam w czasie wojny, kiedy kiepsko nam się powodziło. Kubek wyniesiony ze stołówki, gdy nikt nie patrzył. Ręcznik z łazienki. Upychana pod materacem niepsująca się żywność.

Zdałam się też na Rebekę. W obecności innych odgrywała rolę królowej zakładu poprawczego – najwyraźniej znalazła taki sposób, żeby przetrwać. Jej gra napędzała moją nadzieję.

Rozmawialiśmy nocami i Rebeka zaskakująco się przede mną otworzyła. Zupełnie jakbym nie była kimś, kto może ją wpakować w niezłe tarapaty, zdradzając jej tajemnicę. Zaczęłam też widzieć Seana w innym świetle, jakby jej oczami. Zauważyłam, jak starał się odwracać uwagę Randolpha od dziewczyn i celowo potakiwał, gdy Brock wygłaszała wykłady o niestosownych sposobach prowadzenia przez siostry rozmów z mężczyznami.

Ku mojemu zaskoczeniu ja też się przed nią nieco otworzyłam. Opowiedziałam o tym, czego mi najbardziej brakuje w związku z nieobecnością mamy. Popcornu i wieczorów spędzanych przy czasopiśmie, jeszcze przed wojną. Piosenek, które wspólnie śpiewaliśmy. I tego po prostu, że nie jesteśmy razem, chociaż właściwie zawsze byliśmy. Rebeka lubiła słuchać tych opowieści. Miałam wrażenie, że pozwalały jej zrozumieć moją potrzebę ucieczki.

Piątej nocy opowiedziałam jej o Chasie.

Nie wiem po co. Może dlatego, że też była zakochana w żołnierzu, a może czułam, że powinnam odwdzińczyć się jej odrobiną swojej prywatności. Albo dlatego, że ciągle, w każdej chwili, zastanawiałam się w duchu, dlaczego on zrobił to, co zrobił. Powód jest nieważny. W każdym razie wymknęło mi się. Nie żadne szczegóły, nic o sile mojego uczucia, tylko zarys tego, co się między nami zdarzyło.

– Nie wolno im się umawiać z nikim, o ile nie są oficerami – oświadczyła, gdy pożaliłam się, że do mnie nie pisał. – Muszą poświęcić swoje życie sprawie. Podpisują takie oświadczenie, kiedy się zaciągają do służby.

– Seanowi jakoś to nie przeszkadza – odparłam. W moim głosie słychać było pretensje.

Rebeka uśmiechnęła się, a do mnie nagle dotarło, jaka jest ładna.

– Dziwisz mu się?

Obie się roześmiałyśmy – po raz pierwszy i ostatni.

* * *

Minęło już jedenaście dni, odkąd znalazłam się w zakładzie, a nadal nie miałam żadnych wieści od mamy ani od Beth.

W jedenastą noc zaczęłam przygotowywać się do ucieczki.

– Idę z tobą – oznajmiła Rebeka po raz dziesiąty.

Maszerowała w tę i we w tę po pokoju i chociaż było już po północy, nadal miała na sobie mundurek.

– Nie. – Powtórzyłam to, o czym wcześniej rozmawiałyśmy. – Sean chce, żebyś tu została.

– Nie obchodzi mnie to! – Niewiarygodnie podniosła głos, miętoląc przy tym bluzę. – Nie mogę siedzieć i nic nie robić, gdy on będzie ryzykował dla ciebie życie!

W ciągu ostatnich dni narastało między nami napięcie. W końcu dotarła do nas powaga sytuacji. Nieświadomie pogłaskałam się po kostkach, które ciągle były opuchnięte, i ostrożnie zwinęłam dłonie w pięści. Rany się w końcu zamknęły, teraz przybrały fioletowożółty odcień. Bolały strasznie, zwłaszcza w tak zimne noce jak ta.

– On tylko zaprowadzi mnie do ogrodu, a potem będzie udawał, że mnie nie widzi – zapewniłam ją po raz kolejny. – Nic mu nie grozi.

Żadna z nas nie wierzyła w te słowa.

Mijały minuty. Jedna. Druga. Trzecia.

Z nerwów nie byłam w stanie zjeść kolacji, ale ukryłam zimnego pieczonego ziemniaka razem z resztą zapasów w swetrze Rebeki, który przywiązałam sobie w pasie.

– No dobrze – odezwałam się, kiedy wybiło wpół do pierwszej.

Rebeka skinęła głową. Była bardzo blada.

– Ja... w sumie cieszę się, że cię poznałam – powiedziała słabym głosem.

– I dzięki, że nie powiedziałaś Brock o mnie i o Seanie. I... nie daj się zastrzelić.

Próbowałam się uśmiechnąć, jednak niezbyt mi się to udało. Już prawie powiedziałam, że mam nadzieję ją jeszcze kiedyś zobaczyć, ale wiedziałam przecież, że nie ma na to szansy. Po osiągnięciu pełnoletności Rebeka zamierzała ukrywać się razem z Seanem przed SO – tak samo jak ja i moja mama. Chwyciłam ją za ramiona, uścisnęłam niezdarnie i wymknęłam się przez okno na zewnątrz.

Na dworze padał śnieg, tak jak w tamtą noc, kiedy uciekająca dziewczyna umarła z wyziębienia. Ja jednak byłam dobrze przygotowana, włożyłam na siebie wszystkie ubrania, które mi przydzielono: dwie spódnice, trzy koszulki z długim rękawem, kamizelkę, szary sweter oraz sweter Rebeki. No i miałam przy sobie źródło energii w postaci jedzenia.

Ziemia była twarda niczym skała, a ziąb przenikał do moich stóp mimo butów. Ceglany budynek sypialny pokrywała cienka warstwa białego puchu. Z rynien zwisały długie sople lodu, przypominające nierówne zęby.

Rozejrzałam się dookoła, po czym pomknęłam do lasu, w stronę generatora prądu. Sean miał tam na mnie czekać. Oboje chcieliśmy zakończyć całą tę sprawę.

Zanim usłyszałam miarowy szum urządzenia, mięśnie miałam już rozgrzane, a serce rytmicznie pompowało krew. Nawet przestał mnie boleć brzuch – najwyraźniej adrenalina w moim organizmie osiągnęła taki poziom, że stres nie miał już szans. Byłam z tego zadowolona, potrzebowałam każdego możliwego źródła energii.

Słuch mi się wyostrzył, więc zamarłam, gdy niedaleko rozległ się trzask łamanych gałązek. Odwróciłam gwałtownie głowę. Wbiłam paznokcie w dłoń, za wszelką cenę próbując wymazać z pamięci obraz Katelyn Meadows.

Za szerokim drzewem, czarnym wśród nocnych cieni, nagle zmaterializował się Sean. Przez zimowy płaszcz służbowy wydawał się szerszy w barach, co mnie onieśmieliło. Poczułam, jak palą mnie blizny na rękach.

Nie powiedział ani słowa, tylko minął wielkie metalowe bloki, z których dobywało się niskie buczenie, i wszedł głębiej w las.

Ruszyłam za nim z wyprostowanymi przed sobą rękoma, odgarniając zarośla i gałęzie, które utrudniały nam przejście. Uznałam, że zbliżamy się do ogrodzenia. Jak długo szliśmy? Dziesięć minut? Płot znajdował się około półtora kilometra od budynku sypialnego, powinniśmy być już blisko.

– Jest wysoki? – zapytałam szeptem. – Ten płot.

– Cztery i pół metra – odparł, nie odwracając się.

Zmusiłam się do wzięcia głębokiego oddechu.

– Sean, jeżeli zapomnę później... – zaczęłam. Potknęłam się o jakąś gałąź i z trudem zachowałam równowagę. – Dziękuję.

Nie odzywał się przez minutę albo nawet dłużej.

– Mam nadzieję, że ci się uda – powiedział w końcu.

Nie wiedziałam, czy życzy mi, żebym odnalazła mamę, przeszła przez ogrodzenie, czy żebym nie została zastrzelona, ale i tak jego słowa dodały mi otuchy.

– Stój, Banks!

Poczułam się jak pień w momencie, gdy spada na niego siekiera. Moje ciało próbowało się rozdzielić. Jedna część chciała popędzić w stronę ogrodzenia, druga – z powrotem do pokoju. Tylko paralizujący strach zatrzymał mnie w miejscu.

– Nie biegnij – polecił Sean po cichu i jednym ruchem cisnął w krzaki

mój sweter z zapasami, a potem włożył rękę w moje włosy i zaczął je wicherzyć.

Oczy mi zwilgotniały. Nie opierałam się długo, zaraz mnie puścił.

Odgłos kroków stawał się coraz głośniejszy. Ktoś już prawie nas doganiał. Jakim cudem nie słyszałam tego wcześniej? Chyba zbyt skoncentrowałam się na ogrodzeniu, podziękowaniach oraz tym, co zrobię, kiedy już znajdę się na zewnątrz. Byłam kretynką!

Czy Sean wiedział o tym? Może to pułapka? To jasne, że nie chciał tu widzieć Rebeki, zaplanował sobie, że mnie wyda!

Krew pulsowała mi w żyłach. Otuliłam brzuch rękoma, jakby taka osłona mogła zatrzymać kulę. Za przesuwającym się szybko światłem latarki pojawiło się dwóch żołnierzy.

Randolph. I jeszcze jeden chudy strażnik, z brwiami uniesionymi wysoko w wyrazie potępienia.

Światło mnie oślepiło. Usłyszałam odgłos otwieranej kabury. A potem metaliczne kliknięcie.

– Ucieka? – zapytał chudy strażnik.

Latarka odsunęła się, ukazując podniesione przez Randolpha i tego drugiego pistolety. Oba wycelowane w moje serce.

Nie byłam w stanie oddychać.

– Wygląda na to, że tak – stwierdził Randolph.

Sean uśmiechnął się – nie widziałam go nigdy takiego, nawet w obecności Rebeki – i poczułam, że moje obawy zaczynają się właśnie urzeczywistniać. A potem, wprawiając mnie w osłupienie, uniósł rękę, tym razem spokojnie, i poprawił mi włosy. Odsunęłam się gwałtownie.

– Ekhm... To trochę krępująca sytuacja – odezwał się.

Randolph prychnął. Ręka Seana powędrowała w dół moich pleców, a potem popchnęła mnie niemal figlarnie. Straciłam na moment równowagę i cała trójka wybuchnęła śmiechem.

– Wracaj do swojego pokoju, skarbie – powiedział Sean. – I trzymaj

buzię na kłódkę, tak jak ci mówiłem.

Dopiero po chwili załapałam, o co chodzi.

– Nie spodziewałem się zmiany warty wcześniej niż za godzinę – ciągnął Sean niedbałym tonem, jednocześnie poprawiając sobie spodnie, jakbyśmy robili to, co zwykle robił tu z Rebeką.

Egzekucji dokonywano na uciekających dziewczynach, a nie tych, które zadają się ze strażnikami. Sean dał mi szansę wyjścia cało z tej opresji. I chociaż bardzo zależało mi na ucieczce, musiałam z niej skorzystać. Nie zamierzałam opuścić tego miejsca w drewnianej trumnie.

Już chciałam pobiec do budynku sypialnego, kiedy Randolph zagroził mi drogę. Sekundę później jego ręce szczypały moje pośladki, a kolano wypchało się natrętnie między nogi. Poczułam na twarzy nieświeży oddech.

– Zostań jeszcze trochę – szepnął, a jego słowa wypełniły mnie przerażeniem. Zaczęłam się bronić, a wtedy zostałam ciśnięta z powrotem w ramiona Seana.

– Ś m i e ć – wypluł z siebie Randolph. – Śmieć z poprawczaka – dodał i po chwili znów się śmiali.

I choć niczemu nie byłam winna, zrobiło mi się wstyd. Nic na to nie mogłam poradzić.

Sean nie śmiał się już tak otwarcie jak wcześniej. Chwyciłam się go mocno, bo nie wiedziałam, co powinnam zrobić.

– Schodzisz na psy, Banks – odezwał się chudy strażnik. – Kierowniczką kazała mieć cię na oku, ale myśleliśmy, że będziesz z blondyną, a nie z tą.

– Mówiłem, że chodzi o tę – wtrącił się Randolph. – Gapił się na nią.

„Patrzył na mnie, bo obawiał się, że wyjawię Brock jego sekret” – pomyślałam.

Zrozumiałam w końcu, o co chodzi. To miała być pułapka na Seana, nie na mnie. Podejrzewali coś, bo zmienił się od czasu mojego szantażu.

– N i e u c i e k a j – szepnął Sean pod nosem.

Mój organizm pragnął jednak postąpić wbrew jego poleceniu. Czułam,

jak pięty unoszą się w butach, gotowe w każdej sekundzie ruszyć biegiem. Wiedziałam jednak, że jeśli pobiegnę, z całą pewnością zostanę zastrzelona.

Randolph się zaśmiał.

– Mogę to skończyć, Banks – odezwał się i przesunął broń dwa centymetry wyżej.

Chciał mnie zabić. Czułam, że zginę.

Nie myślałam wcale o mamie ani o tym, czy byłam dobrą osobą i czy wiodłam dobre życie – nic z tego, o czym wypada myśleć tuż przed śmiercią. Przed oczami stanęła mi tylko jedna twarz. Jedyna osoba, która w żaden sposób nie mogła mi dodać otuchy.

C h a s e. Czarne rozwichrzone włosy, skóra w miedzianym odcieniu, zmięczona lekkim deszczem. Ciemne oczy wpatrujące się w moją duszę. I te usta, których kąciki uniosły się w zaciekawieniu.

– Zamknij się, Randolph – jęknął drugi strażnik. – Nie jesteśmy w strefie strzału, ogrodzenie jest za daleko. Zresztą kierowniczką i tak się już wszystkiego domyśliła.

Rozdziawiłam usta ze zdumienia. Miałam wrażenie, że czas stanął w miejscu. A więc nadal byłam żywa? Poczułam, że obejmują mnie czyjeś ramiona, ale byłam tak odrętwiała, że ledwo to do mnie dotarło.

– Powiedz Rebecce, że mi przykro – dobiegł mnie szept Seana.

Chwilę później usłyszałam szmer, a potem przerażający trzask. To Randolph uderzył go mocno w tył głowy. Pałką. Cios przeszedł echem przez moje ciało, jakbym to ja została trafiona. Patrzyłam z zatrwożeniem na miejsce, gdzie leżał Sean.

„Uciekaj” – mówiły mi nogi.

„Uciekaj, a cię zastrzelą” – odpowiadał mój umysł.

Nie miałam szans. W następnej sekundzie poczułam na plecach lufę pistoletu, a chwilę później ruszyliśmy w stronę budynku sypialnego.

* * *

Przez kilka godzin chodziłam tam i z powrotem po świetlicy, oczekując

na sąd. Przeszło mi przez głowę, żeby zawołać Rebekę, ale nie chciałam narażać jej na niebezpieczeństwo.

Jednak moje dobre intencje nic tu nie znaczyły. Kiedy tylko skończyła się cisza nocna, usłyszałam szybkie kroki w korytarzu. To była część planu. Rebeka miała zgłosić moje zniknięcie zaraz po tym, jak się obudzi.

Wyglądała źle – przylizane włosy, blade policzki i podkrążone, zaczerwienione oczy. Musiała płakać. Albo z lęku o Seana, albo o mnie. Poczułam się odrobinę wzruszona tym dowodem czegoś na kształt przyjaźni i jednocześnie zawstydzona tym, co jej zgotowałam.

Zauważyła mnie i natychmiast zaszła w jej wyglądzie wielka zmiana.

– Nie – szepnęłam bezgłośnie, ale było już za późno.

– Gdzie on jest, Ember? – zapytała drżącym głosem.

Zaraz potem podeszła do chudego strażnika. Ten uniósł radio. Rebeka błyskawicznym ruchem wytrąciła mu je z ręki i kopnęła na bok. Strażnik oparł dłoń na pałce.

– Gdzie jest Banks? – zapytała głosem pełnym desperacji.

– Rebeka! – odezwałam się ostro.

Bałam się, że za chwilę wszystko zepsuje. Sean już i tak ją – i mnie – ocalił, udając, że jesteśmy parą. Jeśli powie teraz, że próbowałam uciec, będzie po mnie.

Z sąsiednich pokoi wyszły dziewczyny, siedemnastolatki i kilka szesnastolatek. Przeciskający się w naszą stronę strażnik rozepchnął je na boki, żeby przejść.

Usłyszałam stukot obcasów na drewnianej podłodze i już wiedziałam, że nadchodzi Brock. Weszła do holu w tej swojej spódnicy i granatowym swetrze. Towarzyszyła jej asystentka – niska, pulchna kobieta z wyrazem strachu wymalowanym na twarzy.

– Co mu zrobiliście? Seanowi? Gdzie on jest? – wyrzuciła z siebie Rebeka, zanim kierowniczka zdołała się odezwać.

Dotarł do nas kolejny strażnik. Było ich już trzech, jeden obok mnie,

dwaj po obu stronach Brock. Oddech z trudem przedzierał się przez moje ściśnięte gardło.

– Ona nie wie, co mówi – próbowałam bronić Rebeki.

– Miller, proszę milczeć – warknęła Brock. – Zajmę się tobą później. Genero, wezwij pomoc – zarządziła. Głos jej nawet nie drgnął.

– Gdzie jest S e a n?! – zapytała Rebeka po raz ostatni. Jej ramiona unosiły się ciężko.

– Nie ma go. I ciebie też nie będzie.

– Ty...

– Rebeka, nie! – krzyknęłam w chwili, kiedy dziewczyna rzuciła się na Brock.

Następne wydarzenia rozegrały się niezwykle szybko.

Z siłą kuli armatniej Rebeka powaliła Brock na podłogę. Zauważyłam, jak pałka wznosi się i z głuchym łomotem opada na plecy mojej koleżanki. Rozległ się przerażający dźwięk pękających kości i krzyk Rebeki zamarł w powietrzu.

Długo stałam nieruchomo, ale kiedy uderzono Rebeke, adrenalina napłynęła mi do krwi. Powrócił obraz mojej mamy i niebieskich mundurów ciągnących ją w stronę samochodu. Zabierających ją ode mnie.

Całą siłą, na jaką potrafiłam się zdobyć, zaatakowałam strażnika, który uderzył Rebeke. Zaczęłam go kopać, bić i gryźć. Poczułam, jak jego skóra pęka pod moimi paznokciami. Działałam instynktownie, jakby od tego zależało moje życie. Widziałam tylko nieostre obrazy, głównie niebieskie, częściowo szare plamy. Rebeke rzucono mi pod nogi. Ktoś płakał. Jakaś dziewczyna zaczęła krzyczeć.

Stalowe ręce zacisnęły się wokół mojego pasa. Próbowałam się wyrwać.

– Rebeka! – zawołałam, szukając jej gorączkowo.

Śnieg sypał równo z ciemnego, ciężkiego nieba. Znajdowaliśmy się na zewnątrz. Jeden z trzymających mnie strażników się poślizgnął. Poczułam, że upadamy w stronę betonowych schodów, ale jakoś udało mu się utrzymać

równowagę. Zaklął głośno, co usłyszałam mimo szumu w uszach. A potem zaczęliśmy schodzić tyłem ze schodów i żołądek mi podskakiwał, jakbyśmy nurkowali w bezdenną otchłań. Usta wypełniła mi krew. Pewnie znowu ugryzłam się w policzek.

– Puszczaj mnie! – wrzasnęłam.

– Zamknij się! – warknął któryś strażnik.

Ramiona bolały po tym, jak mnie ciągnęli za ręce. Kątem oka dostrzegłam po lewej stołówkę. Kolejne schody. Trochę czasu mi zabrało, zanim się zorientowałam, że jestem prowadzona do niższej części kompleksu, tej obok szpitala. Ktoś otworzył metalowe drzwi. Na prawo zauważyłam błyszczący w świetle reflektorów hydrant. Odcinał się niepokorną czerwienią od bieli śniegu.

Znalazłam się w kabinie.

Cisnęli mną bezceremonialnie na wilgotną, betonową posadzkę. Skuliłam się. Jeden z żołnierzy przytknął mi pałkę do twarzy, więc przycisnęłam podbródek do klatki piersiowej, żeby nie mógł uderzyć mnie w krtań, tak jak to zrobił Randolph.

– Siedź na tej kościstej dupie i się nie ruszaj – rzucił.

Pomieszczenie było małe. Z sufitu zwisała pojedyncza żarówka. Po prawej stronie znajdowało się jaskrawo oświetlone miejsce przypominające wielką kabinę prysznicową, a po lewej ciemna szafa z betonowych ścian, pozbawiona jednak wieszaków. Izolatka.

Ogarnął mnie obezwładniający strach. Przesunęłam się natychmiast w kąt, oparłam o ścianę i czekałam.

* * *

Długie sekundy przerodziły się w koszmarne minuty. Miałam przed oczami ich twarze. Seana, kiedy zostaliśmy nakryci przez żołnierzy. Zrozpaczonej Rebeki. Co ja zrobiłam? I, co gorsza, czego n i e zrobiłam? Powinnam być teraz na zewnątrz, biec w stronę domu i mamy. Ona też poniesie konsekwencje mojej decyzji?

Drzwi w końcu otworzyły się ze skrzypieniem i do środka wsunęła się kobieca postać. Poczułam ucisk w żołądku.

Brock.

Przebrała się w czysty uniform sióstr salwatorianek. Na policzku miała opatrunek. Żółta żarówka nadawała jej skórze wygląd osoby chorej na żółtaczkę. Nie była w stanie ukryć wściekłości.

– Panno Miller, jestem bardzo rozczarowana.

– Co zrobiliście Rebecce? – zapytałam, wstając.

Nogi mi drżały, zapewne ze strachu. Oczy piekły od łez, ale zamrugałam, żeby je powstrzymać. Nie chciałam, żeby widziała, jak płaczę.

– Jesteś bardzo niedobrą dziewczyną. Najgorszą z możliwych. Wilk w owczej skórze. Będziemy musieli pomóc ci zrzucić tę wierzchnią warstwę i przemeblować nieco wewnątrz. Teraz widzę, że to konieczne.

– Co... – Chociaż nie miałam pojęcia, o czym mówi, i tak umierałam ze strachu.

– Straż, proszę zabrać pannę Miller do pralni.

Pralnia. To coś, co wyglądało jak kabina prysznicowa. Jakiś żołnierz już stał w środku i przygotowywał wąż. Za nim, obok leżącej na ziemi pałki, znajdowały się przymocowane łańcuchem do podłogi kajdanki. Zamierzał mnie zakuć, pobić, a może nawet oblać wodą z tego węża. Przez ułamek sekundy wyobraziłam sobie Rosę, jak leży plackiem na posadzce i patrzy na swoją krew wirującą wokół odpływu, podczas gdy strumień wody tnie jej ciało.

Objęłam się w obronnym geście. Chwyciłam koszulę w zwinięte pięści.

– Nie – szepnęłam.

Dwaj strażnicy ruszyli do przodu. Martwe spojrzenia. Wyciągnięte ręce.

– Nie! – krzyknęłam.

Odwróciłam się do ściany, próbując zasłonić ciało przed żołnierzami. Nie wejść do tego pomieszczenia. Nie pozwolę, żeby mnie dotykali.

Chwycili mnie za ramiona. Zaczęłam krzyczeć.

Wtedy właśnie ktoś zapukał do drzwi.

Strażnicy czekali na rozkaz Brock, a ta przechyliła głowę na bok, wyraźnie rozeźlona.

W drzwiach ukazała się głowa Randolpha.

– Czego chcesz? – warknęła.

– Przepraszam, proszę pani, ale pomyślałem, że chciałaby pani wiedzieć. Właśnie przyjechał kurier z Illinois, żeby zabrać ją na proces.

Upłynęło kilka uderzeń serca, zanim zrozumiałam, że mówi o mnie.

Brock i ja musiałyśmy chyba jednocześnie zdać sobie sprawę z tego samego. Nie organizowano już procesów dla osób, które złamały paragrafy. „Już od ponad miesiąca żaden żołnierz nie przyjechał do zakładu po świadka” – tak przynajmniej twierdziła Rebeka. Czyżby Sean się przesłyszał?

Miałam wrażenie, że moja krew staje się lodem. To niemożliwe, żeby życie było tak okrutne i dawało mi taki cień nadziei. Ale jeśli to miała być prawda, mogłam być wezwana tylko na jeden proces: mojej mamy. Próbowałam nazwać mieszane uczucia, jakie mnie ogarnęły – radość, że ją zobaczę, strach, bo nadal tkwi w więzieniu, i wreszcie szczęście, że przerwano to, co się tu działo.

– Myślałam, że już z tym skończono – odparła Brock z poirytowaniem.

– W niektórych wypadkach procesy nadal się odbywają – rozległ się niski, znajomy głos. Rozdziawiłam usta ze zdumienia, a serce załomotało mi w piersi.

Chwilę później do pomieszczenia wszedł Chase Jennings.

ROZDZIAŁ 5

Wydawał się wyższy niż kiedyś, większy nawet niż w czasach, gdy szedł do wojska. Może to ze względu na niski sufit w kabinie albo to, że ostatnio przebywałam w towarzystwie niewysokich osób. Randolph miał może z dziesięć centymetrów więcej od moich stu sześćdziesięciu dwóch, a Brock plasowała się gdzieś pomiędzy nami. Chase, ze swoim metrem dziewięćdziesiąt, górował nad wszystkimi.

Miał kamienną twarz i oczy, z których nie dało się nic wyczytać. Kiedy już minął pierwszy szok, zawładnęła mną wielka nadzieja, że mówi prawdę. Że przyjechał, aby zabrać mnie na proces, wydostać z tego ośrodka i zawieźć do mamy.

Chase wyjął z kieszeni na piersi złożoną kartkę i podał ją Brock. Wyrwała mu ją z ręki i czytała bardzo długo – miałam wrażenie, że przez kilka dobrych minut.

– Kiedy musicie jechać? – zapytała kwaśno.

Mój wzrok poszybował w stronę stojących naprzeciwko strażników i objęłam się mocniej. Wiedziałam, że muszę jechać już teraz. Nie mogłam czekać, żeby się przekonać, co mi zrobią.

– Natychmiast – odparł Chase. – Proces odbędzie się jutro rano w Chicago.

Odwróciłam głowę. Bałam się, że zdradzi mnie mina. Bo, oczywiście, ze wszystkich żołnierzy musieli przysłać akurat Chase'a. Gdybym teraz na niego spojrzała, na pewno ktoś zauważyłby wypisane na mojej twarzy pytania. A, co gorsza, moje pragnienie, by wsiąść z nim do samochodu. I wydostać się z zakładu.

Brock westchnęła z rozdrażnieniem.

– Skoro chodzi o paragraf piąty, już samo to, że panna Miller chodzi po tym świecie, wystarczy, żeby skazać jej biologiczną matkę. Po co ten

proces? To zupełnie niespotykana procedura przy tego typu przestępstwach.

Zmusiłam się do tego, by oddychać. Do czego byłam potrzebna Straży Obyczajowej? Czy moja obecność to dowód, dzięki któremu będą mogli skazać mamę? Nie miałam pojęcia, co przyniesie proces i jaki będzie wyrok, jednak czułam, że muszę jak najszybciej do niej jechać.

– Ja tylko otrzymałem rozkaz, żeby tu przyjechać i dowieźć świadka na miejsce – odparł Chase pozbawionym emocji głosem.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie ruszył i nikt nic nie powiedział. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszałam, było dudnienie w uszach mojego przyspieszonego pulsu.

– Bardzo dobrze – powiedziała Brock niechętnie. – Ale wydam jedynie przepustkę jednodobową ze względu na to, że panna Miller nie potrafi przestrzegać zasad tam, gdzie jest jej miejsce.

Po raz pierwszy wzrok Chase'a powędrował w moją stronę. Nadal na niego nie patrzyłam, ale czułam na sobie to beznamienne spojrzenie. Wyprostowałam się, żeby nie okazywać strachu. Postanowiłam, że od tej pory będę zachowywać zimną krew.

– To właśnie dlatego tu jest? – zapytał bez wyrazu. – Bo nie potrafi przestrzegać zasad tam, gdzie jest jej miejsce? Jestem pewien, że zainteresuje to komisję.

Przez twarz Randolpha przemknął cień uśmiechu.

– Raczej nie potrafi nie rozkładać nóg – mruknął pod nosem.

Zacisnęłam zęby. Przypomniałam sobie, jak chwycił mnie tam, w lesie, gotów przyłączyć się do udawanej zabawy Seana, chwilę przed tym, jak wycelował we mnie broń, gotów zabić. Znów poczułam bezsensowne zawstydzenie, jakbym była zbrukana i nieczysta. Jak ja go nienawidziłam.

– Tylko bez ordynarnych odzywek – warknęła Brock. – W tym pomieszczeniu jest co najmniej jedna dama.

To powiedziawszy, wyjęła Randolphowi długopis z ręki i nabazgrała swój podpis pod wezwaniem.

– Sierzancie, widzę pana po raz pierwszy. Jak rozumiem, jest pan nowy w tym oddziale, więc ustalmy jasno – zwróciła się do Chase’a. – Te dziewczęta są własnością państwową i podlegają bezpośrednio mnie, nawet jeśli czasowo przebywają poza zakładem. Dlatego musi pan zastosować się do moich zaleceń. Czy to rozumiałe?

– Tak, proszę pani – odpowiedział Chase z szacunkiem.

– Cały czas musi jej pan pilnować. Osobiście. Nie rozkuwać rąk, z wyjątkiem wyjść do toalety. Żadnych dodatkowych racji żywnościowych i żadnych rozmów – powiedziała, rzucając mi groźne spojrzenie z góry. – A do t e j r o z m o w y wrócimy po twoim powrocie, panno Miller.

O nie, tego byłam pewna. Nie zamierzałam tu wracać.

Zostałam wyprowadzona na zewnątrz schodami do góry, w stronę głównego holu. Czułam nieprzyjemny ucisk w żołądku, ale to nie był głód. Wkrótce znalazłam się tuż przy granatowym wozie SO, a obok mnie stanęli Chase i Randolph.

Poranek był ponury i cichy. Przeszło padać, lecz mróz nadal drapał mnie w policzki i mroził gardło, gdy łapałam oddech.

Chase otworzył drzwi, jednak zastawił wejście i wyjął z kieszeni podwójne zielone kółka z plastiku. Opaski zaciskowe.

– Ręce – zakomenderował, trzymając wyczekującą kajdanki.

Spodziewałam się tego, a i tak na ich widok poczułam niepokój. Będę miała spętane dłonie. Nie uda mi się uciec, nie będę mogła się bronić ani nawet pójść do łazienki, dopóki Chase mi tego nie zdejmie. Zostanę uwięziona, ale to konieczne, jeśli chcę odzyskać wolność. To wszystko było zbyt pogmatwane, żeby mogło być prawdziwe.

Zwinęłam dłonie w pięści, żeby żołnierze nie zobaczyli, jak bardzo drżą. Wzrok Chase’a zatrzymał się na wąskich, krzyżujących się pręgach, które teraz, w napięciu, zrobiły się zupełnie białe.

– Tylko zwiąż ją ładnie i mocno – powiedział Randolph.

Przygryzłam dolną wargę, żeby się nie odezwać.

Chase parsknął, chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie, żeby ułatwić sobie zadanie. Aż mi zaparło dech – nigdy wcześniej jego dotyk nie był tak brutalny – i celowo odwróciłam wzrok. Jednak zaciskając plastik, Chase zrobił coś nieoczekiwanego. Niezauważalnym ruchem wsunął dwa palce pod węzeł na moim nadgarstku, w miejsce, gdzie puls trzepotał niczym skrzydła kolibra, i zacisnął opaskę drugą ręką. Ta odrobina luzu nie wystarczyła, żebym mogła wyswobodzić rękę, ale dzięki niej opaska nie odcięła dopływu krwi.

Gdzieś głęboko poczułam ukłucie gniewu. Nie sądził chyba, że w ten sposób zrekompensuje to, co zrobił wcześniej? Ale nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo popchnął mnie na stopnie wozu od strony siedzenia pasażera, celowo zasłaniając przed Randolphem moje nie dość mocno skute rękę.

Chwilę później drzwi były zamknięte, Chase siedział za kierownicą, a włożony do stacyjki kluczyk obudził silnik.

* * *

Splotłam palce na kolanach, bo nic innego nie mogłam zrobić ze związanymi rękoma. Wjechaliśmy na drogę, minęliśmy budynek sypialny po prawej i stołówkę po lewej. Auto przyspieszyło, zostawiając w tyle cały kompleks.

„Nigdy już tu nie wrócę” – obiecałam sobie. „Nigdy”.

– To o nią chodzi, prawda? O moją mamę. Wszystko z nią w porządku?

Przez twarz Chase’a przemknął cień.

– Cicho. Dojeżdżamy do bramy.

Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie. Przecież nikt nas nie słuchał, dlaczego nie mógł ze mną rozmawiać?

Zwolniliśmy, bo asfalt przerodził się w żwir, a naszym oczom ukazała się niewielka budka strażnicza. Prosty ceglany budynek stał z boku, a za nim rozciągało się wysokie stalowe ogrodzenie z zamkniętą bramą, złowrogo otaczające las.

Już prawie. Już niemal wolność.

Chase zatrzymał wóz i opuścił szybę ze swojej strony. Strażnik wychylił się z okienka, podparł na łokciach i skrzywił, gdy mnie dojrzał. Na moment zniknął w środku, po czym wrócił z papierami.

– Macie podpisane dokumenty? – zapytał Chase’a, przerzucając kartki. Na czubku jego głowy widniała łysina. Nazywał się Broadbent.

Wyprostowałam się nagle. Rozpoznałam to nazwisko – to strażnik, który odebrał telefon, gdy dzwoniłam ze szpitala. Zaczęłam wpatrywać się w znajdującą się naprzeciwko zamkniętą bramę, kiedy Chase podał Broadbentowi wezwanie. Ten napisał coś na swoich papierach.

– Walters! – zawołał do kogoś w środku. – Przejrzyj wóz, to pojedą, kiedy skończę. O kurczę, będziecie sunąć bez przerwy, co?

– Raczej tak. Wasza kierowniczka nie wyraziła zgody na dłuższą nieobecność – odparł Chase. Ja milczałam.

Walters, najwyraźniej specjalista do zadań szczególnych, otworzył drzwi z mojej strony i sięgnął pod siedzenie. Próbowałam zachować spokój. Po chwili zatrzęsnał drzwi i otworzył przesuwany tył, a później przyjrzał się jego pustej zawartości.

– Wszystko czyste – zawołał, zamykając bagażnik.

– Powodzenia – powiedział Broadbent do Chase’a, wskazując brodą na mnie.

Aż podskoczyłam, kiedy rozległ się dźwięk brzęczyka otwierającego bramę. Wrota otworzyły się powoli.

Chase przycisnął gaz. Chwilę później Zakład Poprawczy i Ośrodek Resocjalizacyjny dla Dziewcząt w Wirginii Zachodniej został daleko w tyle.

* * *

Znalazłam się na wolności. Daleko od kabiny, od Brock, od budzących grozę strażników oraz lekcji z prawa. Miałam wielką chęć odepchnąć Chase’a i przycisnąć gaz, ale wiedziałam, że to niemożliwe.

Znalazłam się na wolności, jednak nie byłam wolna.

Zerknęłam na kierowcę. Miał kamienną twarz, taką samą jak wtedy przed naszym domem. To nie był Chase, którego obraz wrócił do mnie tam w lesie, gdy sądziłam, że Randolph za chwilę pociągnie za spust. To był żołnierz, a ja pozostawałam w niewoli. Nieświadomie szarpnęłam nadgarstkami i poczułam ból w niezagojonych jeszcze ranach.

Zjechaliśmy z krętej drogi prowadzącej do zakładu i znaleźliśmy się na autostradzie. Okolica była zadbana. Żadnych porzuconych aut, żadnych wielkich dziur w asfalcie. Najwyraźniej to powszechnie wykorzystywana droga militarna: Straż Obyczajowa płaciła wyłącznie za utrzymanie najpotrzebniejszych szos.

Z czasem na autostradzie pojawiało się coraz więcej pojazdów wojskowych. Minęła nas pędem niebieska furgonetka, potem jeszcze kilka wozów, a na końcu autobus wypełniony przerażonymi ludźmi, którzy nie mieli pojęcia, jaki los ich czeka. Na widok każdego pojazdu czułam ucisk w żołądku. Gdyby udało mi się uciec poprzedniej nocy, nie byłabym w stanie przemknąć tędy niezauważona. Leżałabym teraz w rowie, wykrwawiając się na śmierć.

Podsłuchiwałam, gdy rozległ się nagły pisk z radiostacji. Poirytowany Chase wyłączył sprzęt. Bez jego jednostajnego szumu w samochodzie zapanowała dziwna cisza. Spojrzałam na prędkościomierz: równe sto na godzinę. Cóż za przepisowo jadący żołnierz.

– Ile czasu zajmie nam dojazd? – zapytałam. Miałam nadzieję, że nie słyhać zniecierpliwienia w moim głosie.

Nie odpowiedział. Był skupiony wyłącznie na drodze.

– Przecież nie powiem nikomu, że ze mną rozmawiałeś – zapewniłam go. Cisza.

Nie rozumiałam, dlaczego to robi. Chce mnie ukarać po tym wszystkim? Miałam ochotę go udusić. Z drugiej strony – widział się z moją mamą, więc chociaż byłam na niego wściekła, miałam świadomość, że jego obecność zbliża mnie do niej. Chciałam zapytać, jak wyglądała, czy ktoś ją skrzywdził,

czy dawali jej jeść. Jednak Chase trzymał się ściśle poleceń Brock. O ile wcześniej miałam cień nadziei, że pojawił się, by mnie uratować, teraz byłam pewna, że nie ma na to szans.

– Nie wiesz, czy przechodzi jakąś resocjalizację? – Zastanawiałam się, czy mama musiała coś „skończyć”, jak twierdziła Rebeka.

– Czy ty możesz być cicho? – warknął. – Chociaż przez chwilę? Jesteś więźniem, a ja muszę pomyśleć.

Zamrugalam, czując, jak zalewa mnie fala wściekłości.

– Brock nie mówiła o absolutnej ciszy – oznajmiłam, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie. Nadal łudziłam się, że dzięki grzeczności uzyskam jakieś informacje.

– Tu obowiązują moje zasady, a nie jej.

Zacisnęłam skute pięści na spódnicy. Minął nas kolejny wóz Straży Obyczajowej. Chase wyraźnie się spał, a ja znów poczułam narastającą złość.

– Jaki to musi być dla ciebie dyshonor – transportować śmiecia z zakładu poprawczego – powiedziałam cicho.

Zacisnął zęby, a ja wiedziałam, że trafiłam w dziesiątkę.

* * *

Przez ponad godzinę żadne z nas się nie odzywało. Dzieląca nas cisza przybrała wręcz fizyczną postać, wisiała nade mną jak młotek uderzający regularnie, przypominający, że kiedyś było kiedyś, a teraz już nic dla niego nie znaczę.

To wypełniało mnie nowym lękiem. Co działo się z mamą przez ostatnie dwa tygodnie? Co wydarzy się jutro rano? Przed oczami zaczęły przesuwać się obrazy: mama zaciągana do sali sądowej w kajdankach, jej oczy, puste jak oczy Rosy, i jaskrawe, oskarżycielskie światło reflektora przykuwające ją do podłogi. Jej ręce pokryte bliznami, tak jak moje. Pokręciłam głową, próbując pozbyć się tych myśli, a potem spojrzałam na Chase’a.

Co jest z nim nie tak? Naprawdę będzie przez całą drogę udawał,

że wcale nie siedzę obok? Że nasze losy nie splotły się już w dzieciństwie? Rozumiem, jest teraz żołnierzem, ale przecież kiedyś był też człowiekiem.

Te przeskoki od niepokoju do złości były bardzo męczące, ale i tak cały czas go obserwowałam. Jakby mógł w każdej chwili przyznać, że to tylko taka beznadziejna gra.

Zegar na desce rozdzielczej pokazywał ósmą szesnaście. Wtedy poczułam, że zwalniamy.

– Dojeżdżamy już do Chicago? – zapytałam, nie oczekując odpowiedzi.

To wszystko wydawało się dość dziwne. Byłam kiepska z geografii, a mimo to wiedziałam, że jechaliśmy zbyt krótko. Poza tym od jakichś trzydziestu kilometrów poruszaliśmy się boczną drogą i odkąd się na niej znaleźliśmy, nie minął nas żaden wóz SO. Wydawało mi się, że im bliżej bazy, tym więcej powinno być żołnierzy. Tak czy inaczej, wpadłam w panikę. Jestem tak niedaleko mamy, a nadal nic nie wiem o jej procesie.

Furgonetka odbiła z drogi jednopasmowym zjazdem, jednak zanim skręciła na opuszczonej szosę, zatrzymaliśmy się. Krawędzie asfaltu w lecie obrosły zielskiem, lecz rośliny zostały zniszczone przez mróz. Wszędzie leżały suche gałęzie. Widać było, że służby miejskie od dłuższego czasu nie dbały o tę drogę.

Poczułam, że serce zaczyna mi bić szybciej.

– Ale jedziemy na proces, prawda? – zapytałam.

Chase wypuścił powietrze.

– Nastąpiła mała zmiana planów.

Moje ramiona nagle podskoczyły.

– Jak to?

– Nie ma żadnego procesu.

Otworzyłam szeroko usta.

– Ale przecież wezwanie...

Chase ruszył wąską żwirową drogą. Auto podskakiwało na każdym wyboju.

– Podrobione.

– Ty... podrobiłeś dokument Straży Obyczajowej? – Moje zdumienie trwało tylko chwilę, a potem ustąpiło powodzi pytań. – To gdzie ona jest w takim razie? Nie miała procesu? Umieścili ją w zakładzie poprawczym? O Jezus, jest ranna?

– Tylko nie zapomnij oddychać – mruknął pod nosem.

Nie rozumiałam, dlaczego nagle pociemniały mu oczy. Odwrócił wzrok, jakby odpowiedź była ukryta wśród liści, a potem przeczesał dłonią czarne włosy. Zaczęłam się okropnie bać tego, co przede mną ukrywa.

– Obiecałem jej, że cię uwolnię.

– Obiecałeś...

– Mój dowódca jest pewien, że pomagam w restrukturyzacji w Richmond.

Nie miałam pojęcia, na czym polega ta restrukturyzacja, i nie od razu zrozumiałam, dlaczego Chase był tu ze mną, skoro dostał inne rozkazy. Przecież to wszystko nie miało sensu.

– Czy ona nadal jest w więzieniu? – Czułam się, jakbym stała na krawędzi urwiska tuż przed skokiem.

– Nie.

Łamigłóвка układała się w sensowną całość zbyt wolno jak na mój niecierpliwy umysł. Mama była wolna, ja byłam wolna. Rebeka i Sean mieli rację: procesy już się nie odbywają. A co do Chase'a...

– Nie jesteś już żołnierzem. Ty też jesteś zbiegiem.

– To się nazywa dezercja – odpowiedział beznamiętnym tonem.

Wpatrywałam się w niego i myślałam o tym, co Rebeka mówiła o ucieczce Seana, o tym, jak zostałby ukarany przez SO. Wydostając mnie z zakładu, Chase podpisał na siebie wyrok.

Moja mama poprosiła go, żeby zaryzykował dla mnie swoje życie. Nie miałam pojęcia, co to może znaczyć dla niej, ale być może nic strasznego. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o niej, i o tym, że obie

jesteśmy wolne. Zastanawiałam się, czy grozi nam większe niebezpieczeństwo, niż wcześniej mi się wydawało.

Chase gwałtownie przyhamował i skręcił ostro w ukrytą ścieżkę, której sama bym nigdy nie zauważyła. Po przejechaniu przez kurtynę drzew o nisko zwieszonych gałęziach znaleźliśmy się na polanie, gdzie stał prehistoryczny ford z lat siedemdziesiątych. Brązowy lakier łuszczył się z boków płatami, a próg pod drzwiami pokryty był warstwą rdzy.

Popatrzyłam na związane ręce. Skoro Chase wiozł mnie do mamy, dlaczego nadal byłam skrupowana? Dlaczego parkujemy na opuszczonej polanie, tak daleko od głównej drogi? Dotarło do mnie, że jesteśmy tu zupełnie sami. Kiedyś mu ufałam, ale po tym, co widziałam w zakładzie poprawczym... Miałam świadomość, że przebywanie sam na sam z żołnierzem nie jest dobrym pomysłem.

– Jeśli jest wolna, dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

Usłyszał drzenie w moim głosie i odwrócił się do mnie. W jego spojrzeniu skrywały się głębokie emocje.

– Jechaliśmy główną trasą Federalnego Biura Naprawczego, jeśli tego nie zauważyłaś. Każdy z mijanych żołnierzy mógł nas zatrzymać, gdyby tylko coś zwróciło jego uwagę.

Przypomniałam sobie, jaki był skupiony podczas jazdy, jak obserwował każdy mijający nas wóz SO, jak kazał mi milczeć. On się po prostu bał. Gdyby nas złapano, mógłby stracić życie.

Chwilę później sięgnął do kieszeni i wyjął duży składany nóż. Wciągnęłam nerwowo powietrze, natychmiast zapominając, że to Chase. Zobaczyłam broń, mundur i zanim mój umysł przetworzył fakty, skute ręce już szarpały za klamkę. Drzwi ani drgnęły. Z mojego zaciśniętego gardła wydobył się cichy krzyk.

– Hej! Spokojnie! Ja tylko chcę to przeciąć – powiedział. – Jezu, za kogo ty mnie masz?

Za kogo tak właściwie? Na pewno nie za Randolpha, który był gotów

zabić mnie wtedy, w lesie. Ale i nie za przyjaciela. Ani za moją miłość. I, jak się okazuje, nawet nie za żołnierza.

– Nie mam pojęcia – odparłam uczciwie.

Skrzywił się, ale nic nie powiedział. Rozłożył nóż i zręcznie rozciął opaski, po czym natychmiast odsunął ręce i zwolnił blokadę z drzwi. Zaczęłam rozcierać nadgarstki, modląc się, żeby mój oddech wrócił do normy.

Tymczasem on wyszedł z wozu i zostawił mnie w środku, zupełnie skołowaną.

Wysiadłam i ruszyłam w stronę forda. Zimne błotniste kałuże rozpryskiwały się pod moimi stopami.

– To gdzie ona jest?

Szarpnął za przerdzewiałe drzwi i zaparł się ramieniem o siedzenie, żeby je odsunąć. Wtedy moim oczom ukazał się wypełniony po brzegi płócienny plecak, duże pudełko zapalek, butelka wody, stalowy garnek i koc. Chase, ze śrubokrętem w dłoni, wrócił do wozu SO.

– Nie tutaj.

Odsunął skrzynkę z narzędziami, która znajdowała się z tyłu, i zerwał fragment wykładziny pokrywającej podłogę. Pod nią znajdowało się coś metalowego. Chase wyjął to i zatrzasnął bagażnik. Rejestracja.

– Czy ty... czy ty ukradłeś ten wóz? – zapytałam po chwili, rozdziawiając usta ze zdumienia.

– Pożyczyłem.

– O Boże!

Czy on oszalał? Straż Obyczajowa zapewne właśnie nas szuka, a on zwinął samochód? Poczulałam, że ogarnia mnie panika.

„A co byś chciała, żeby zrobić?” – usłyszałam wewnętrzny głos.

Chase zaczął przykręcać rejestrację z tyłu. „Minnesota” – taki napis z niebieskich liter widniał nad wizerunkiem ryby wyskakującej z rzeki w polowaniu za muchą.

– Nie gorączkuj się – rzucił, nie podnosząc wzroku. – Stał porzucony.

Przytrzymał śrubokręt zębami i pociągnął obiema rękoma za tabliczkę, żeby sprawdzić, czy mocno się trzyma.

A więc moje uprowadzenie nie było wynikiem impulsu. Chase wypakował auto zapasami. Dotarło do mnie, że powinniśmy się spieszyć. Chase zdezerterował i podrobił dokumenty, żeby wydostać mnie z zakładu. Byłam pewna, że Brock i SO szybko dojdą do tego, co zrobił.

– Co się stało? – zapytałam, zagradzając mu drogę do furgonetki.

Wyminął mnie.

– Zaufaj mi, nie mamy teraz czasu na wyjaśnienia. Musimy jechać dalej.

– Mam ci z a u f a ć? – zapytałam z niedowierzaniem. – Po tym, jak mnie aresztowałeś?

– Wykonywałem rozkazy.

Byłam wstrząśnięta chłodem w jego głosie. Wcześniej przekonywałam samą siebie, że może jest w nim jeszcze coś ludzkiego – w końcu obiecał mojej mamie, że mnie uwolni – ale teraz zdałam sobie sprawę, że w jego działaniu nie było żadnego altruizmu. Tylko niechęć do mnie.

Szok przerodził się we wściekłość. Zanim zdołałam zastanowić się nad tym, co robię, zacisnęłam dłoń w pięść i wymierzyłam cios.

Zareagował natychmiast. Odsunął się tak, że nie trafiłam w szczękę, tylko musnęłam ucho. Straciłam przez to równowagę i poleciałam do przodu, ale nie przewróciłam się, bo chwycił mnie mocno za ramię i postawił na nogi.

– Musisz być szybsza, jeśli...

Kopnęłam go, z furią wbijając mu piętę w udo. Syknął przez zaciśnięte zęby i zatoczył się do tyłu. Kiedy uniósł jedną brew, moje serce aż podskoczyło.

– Lepiej – skomentował.

Zupełnie jakby to była jakaś zabawa.

W środku aż wrzałam. W tej chwili nienawidziłam go z całych sił. Jednak kiedy puścił moje ramię, już nie powtórzyłam ataku. I tak nie dotarło

do niego, co chciałam mu przekazać.

– Co jest z tobą? – krzyknęłam.

Przez jego twarz przemknął cień.

– Wszystko. A teraz, jeśli skończyłaś, wsiadaj do samochodu.

Usiadł za kierownicą i zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Zaciskając zęby, obeszłam wóz i otworzyłam drzwi z drugiej strony. Nie zamierzałam wsiąść, dopóki nie powie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Gdzie ona jest? – zapytałam.

– Wsiądź, to ci powiem.

– A może najpierw mi powiesz, a potem wsiądę? – odparłam, krzyżując ręce na piersi.

– Jesteś uciążliwa – powiedział z goryczą w głosie i przeczesał palcami obcięte po żołniersku włosy.

Już zdążyłam się nauczyć, co to oznacza: był na mnie zły. Więc czekałam.

– Jest w kryjówce w Karolinie Południowej – wycedził. – Wiedziała, że powrót do domu będzie zbyt ryzykowny.

– W kryjówce?

– Z dala od radarów FBN. Ludzie się tam ukrywają.

Poczułam ucisk w gardle. Znałam moją mamę i wiedziałam, że trzeba się ukrywać. Jednak teoria i praktyka to dwie różne sprawy.

– Czyli spotkamy się z nią w Karolinie?

– Coś w tym rodzaju. Dokładna lokalizacja jest objęta tajemnicą. Spotkasz się z kimś, kto cię tam zawiezie. Jest taki człowiek, kurier, w punkcie kontrolnym w Wirginii, on nas zabierze. Mamy czas do jutra w południe.

– Dlaczego do jutra?

– Bo organizuje transport wyłącznie w czwartki.

– Co tydzień? – zapytałam, myśląc o mamie.

Może udało jej się spotkać z kurierem w ubiegły czwartek. Ale jeśli nie,

być może będzie czekała w punkcie, kiedy my przyjedziemy. Może zobacze się z nią już dzisiaj!

– Nie mamy całego tygodnia! – odparł. Najwyraźniej nie zrozumiał mojego pytania i uznał, że wcale mi się nie spieszy. – Dezerter zostaje wpisany na listę po czterdziestu ośmiu godzinach. Każdy oddział dostaje kopię tej listy na początku zmiany. Jutro po południu wszyscy będą mnie ścigać.

– I mnie. – Po plecach przeszedł mi dreszcz.

Chase skinął głową.

– Masz trochę więcej czasu, bo twoja przepustka później się kończy. Ale jeśli powiążą twoje zniknięcie z moim...

– Rozumiem – przerwałam mu. – Jak się o tym dowiedziałeś?

Skoro Chase usłyszał w FBN o kryjówce, pewnie inni żołnierze też znali ten adres. Być może mama wpadnie w zasadzkę.

– Cywile zdradzają czasem lokalizacje podczas aresztowania, ale jeśli chodzi o to miejsce... – Chase westchnął ciężko. – Dowiedziałem się od wuja. Wpadłem na niego podczas szkolenia w Chicago. Kilka miesięcy po tym, jak zostałem wcielony do służby. Wuj wybierał się właśnie do Karoliny Południowej. Opowiedział mi o kurierze. Wystarczy?

– To było prawie rok temu. Skąd wiesz, czy nadal istnieje?

Wuj porzucił Chase'a w czasie wojny. Nie ufałam temu człowiekowi.

– FBN nigdy się o tym nie dowiedziało. Znam hasło, miałem dostęp do wszystkich operacji. Od czasu ewakuacji wybrzeża w Karolinie Południowej nic się nie działo.

– I jesteś pewien, że moja mama znalazła tego kuriera? – naciskałam.

– Nie – odparł bez ogródek.

Co oznaczało, że mama mogła być wszędzie. Jednak skoro próbowała dotrzeć do Karoliny Południowej, my powinniśmy zrobić to samo. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny SO dowie się, że jesteśmy zbiegami. Musimy dostać się do punktu najszybciej, jak się da.

Po raz pierwszy poczułam się jak prawdziwa przestępczyni. Zgięłam obolałe ramiona i wsiadłam do samochodu.

Chase wetknął śrubokręt do kolumny kierownicy, a ta odblokowała się z cichym trzaskiem. Pogrzebał czymś pod deską rozdzielczą i po kilku kliknięciach uruchomił silnik. Oparł się o siedzenie i wcisnął gaz. W stacyjce nie było kluczyka.

– Nauczyłeś się tego w SO? – zapytałam z przekąsem.

– Nie – odparł. – W czasie wojny.

Próbowałam sobie wmówić, że nie ma znaczenia, czy samochód został uruchomiony za pomocą kluczyka, czy bez niego, i czy jest kradziony. Chodziło tylko o to, by jak najszybciej dotrzeć do Wirginii.

* * *

Nie mogłam się powstrzymać, żeby na niego nie spoglądać. Minął już miesiąc, odkąd wrócił do domu z Chicago, a ja nadal nie wierzyłam, że tu jest.

– Co? – zapytał z uśmiechem w głosie.

Nie musiał na mnie patrzeć, żeby wiedzieć, że go obserwuję. Siedzieliśmy na tyłach jego domu, zwróceni twarzami w stronę chwastów i traw porastających ogród.

– Nic – odpowiedziałam. – Tylko cieszę się, że wróciłeś. Naprawdę się cieszę.

– Ale tak naprawdę naprawdę? – zapytał, pochylając się do tyłu.

Roześmiał się, kiedy wymierzyłam mu kuksańca.

– Nie prowokuj mnie.

Znowu się zaśmiał, a potem ucichł. Zamyślił się.

– Ja też się cieszę, że wróciłem – powiedział. – Był taki moment, kiedy wątpiłem, czy to w ogóle jeszcze nastąpi.

– Kiedy Chicago zostało zbombardowane? – Mój głos na tle wielkiej połaci nieba nad naszymi głowami brzmiał bardzo skromnie.

– Tak. – Chase zmarszczył brwi i oparł się o górny stopień.

Nie chciałam naciskać, wiedziałam, że nie wszyscy chcą rozmawiać o wojnie. Już miałam zmienić temat, kiedy znowu się odezwał.

– Wiesz, nauczyciel chemii próbował nam wmówić, że te syreny to tylko ćwiczenia. Właśnie pisaliśmy sprawdzian, kiedy wszystko dookoła zaczęło się trząść. Zanim znaleźliśmy się na zewnątrz, dym był już tak gęsty, że zupełnie zasnuł szkolny parking – powiedział Chase, po czym przerwał na chwilę i pokręcił głową. – Zawieźli nas autobusami do areny po zachodniej stronie miasta i dali każdemu dwie minuty na skorzystanie z telefonu i powiadomienie rodziny. Wuj kazał mi przyjechać do restauracji w Elgin, więc się zwinęłam i dojechałam stopem. To była dobra decyzja, bombardowanie trwało trzy dni bez przerwy.

– Jak to autostopem? Ile ty miałaś lat? Piętnaście?

– Szesnaście. – Chase wzruszył ramionami, jakby to był nieistotny szczegół. – Kiedy spotkaliśmy się w Elgin, okazało się, że całe południowo-wschodnie Chicago zostało zbombardowane – od lotniska, wzdłuż autostrady I-90. Wszędzie tylko... chaos. Przesiedlili nas do jakiegoś miasteczka w środkowej Indianie, ale dotarliśmy zaledwie do South Bend, skąd autobusy zostały przekierowane gdzie indziej. Zostaliśmy tam przez jakiś czas. Wuj znalazł pracę dorywczą, ale mnie nie chcieli zatrudnić ze względu na wiek. A potem wuj stwierdził, że bardzo mnie przeprasza, jednak nie może się już mną opiekować. Dał mi swój rower i powiedział, żebym czasami się odezwał.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia.

– Przecież... Jak on mógł! Musiałeś go znienawidzić!

Chase wzruszył ramionami.

– Jeden kłopot z głowy, jedna gęba mniej do wykarmienia – powiedział, a na widok mojej przerażonej miny wyprostował się. – Słuchaj, kiedy padło Baltimore i Waszyngton, i wszyscy ludzie stamtąd zaczęli pakować się w głąb kraju, do Chicago, wuj wiedział, że będzie źle. Nauczył mnie walczyć o siebie. On i mama dorastali w biedzie, więc wiesz, znał się na tym. – Chase zaśmiał się z poczuciem winy i odwrócił głowę tak, że zaczęłam się zastanawiać,

co właściwie miał na myśli.

– Ja na twoim miejscu byłabym śmiertelnie przerażona – powiedziałam.

Chase zdjął czapkę i zaczął nią uderzać o kolano.

– Kiedy stracisz całą rodzinę... strach zyskuje zupełnie inny wymiar. Zresztą, dałem sobie radę. Nie oddalałem się zbyt od Chicago, przemieszczałem się pomiędzy miasteczkami namiotów i obozami Czerwonego Krzyża. Pracowałem dla ludzi, którzy nie zadawali żadnych pytań. Unikałem pracowników opieki społecznej i rodzin zastępczych. No i myślałem o tobie.

– O mnie? – sapnęłam, zbita z tropu.

Przeraziłam się tym, jak jałowe było moje życie. Tym, ile Chase musiał przecierpieć. Wtedy właśnie się odwrócił i po raz pierwszy spojrzął mi w oczy. A potem odezwał się łagodnie i bez zakłopotania.

– O tobie. Jesteś jedynym stałym elementem mojego życia. Kiedy wszystko się rozwaliło, tylko ty mi zostałeś.

Musiła upłynąć chwila, zanim zrozumiałam, że mówi poważnie. A kiedy zdałam sobie z tego sprawę, prawie zapomniałam o oddychaniu.

* * *

Poruszyłam się na siedzeniu. Już nie sądziłam, że moje życie jest jałowe. Doświadczyłam, na czym polega utrata rodziny, a jutro wszyscy żołnierze w kraju będą dysponowali moim zdjęciem.

Gdybyśmy mogli korzystać z głównych szos, wjechalibyśmy do Wirginii jeszcze przed zmrokiem, zanim zacznie obowiązywać godzina policyjna. Jednak w naszej sytuacji Chase musiał trzymać się bocznych dróg, prowadzących bardziej na wschód niż na południe, i unikać potencjalnego spotkania z patrolami SO.

Późnym popołudniem słońce ciągle jeszcze mocno przygrzewało przez przednią szybę. Chase zdjął wojskową bluzę i przerzucił ją przez oparcie fotela. Pod spodem miał tylko cienką koszulkę, pod którą widać było wyrzeźbione mięśnie ramion i barków. Mój wzrok zatrzymał się na nich

odrobinę za długo i nieświadomie pogłaskałam się po brzuchu.

– Staniemy, żeby zrobić zapasy – powiedział, sądząc zapewne, że jestem głodna.

Wcale mi się to nie spodobało. Uważałam, że powinniśmy pokonać jak najwięcej kilometrów przed godziną policyjną. Jednak kiedy zerknęłam ponad ramieniem Chase'a, zauważyłam, że mamy prawie pusty bak. Dotarcie do Wirginii pieszo zajęłoby nam znacznie więcej czasu.

Minęliśmy dwie zamknięte stacje benzynowe, zanim w końcu znaleźliśmy taką, która powinna być czynna, przynajmniej w dni powszednie. Był to niewielki punkt o nazwie Swifty's, z zaledwie dwoma dystrybutorami paliwa. Nad cennikiem ktoś przyczepił kartkę z napisem: „Płatność w środku, tylko gotówka”. Oprócz nas na parkingu nie było nikogo.

– Zaczekaj tutaj – polecił Chase.

Już wysiadałam z auta, ale zamarłam w pół kroku.

– Chyba o czymś zapomniałeś. Nie jestem twoim jeńcem.

Widziałam, jak drgnęły mu mięśnie.

– Masz rację. Jesteś poszukiwanym zbiegiem. Możesz być ich jeńcem.

Rzuciłam mu nienawistne spojrzenie, ale cofnęłam nogę i zamknęłam drzwi. Chociaż nie chciałam tego przyznać, Chase miał rację. Nie powinniśmy pokazywać się razem.

Chase wyjął z auta znoszoną czerwoną koszulę flanelową i włożył ją na T-shirt. Potem wyciągnął spodnie z butów i schował bluzę SO. Wtedy właśnie zakłuło mnie coś boleśnie. To nostalgia. Przypomniałam sobie, jak siedział na stopniach swojego domu, z wyprostowanymi nogami skrzyżowanymi w kostkach. Oczy, ciemne i ostrożne jak ślepiec wilka, przeszywające spojrzeniem nawet z oddali. Gładka, brązowa skóra, pamiątka po indiańskich przodkach matki. Teraz miał krótkie włosy, obcięte po żołniersku, wtedy były gęste i połyskujące, otulały prostokątną twarz.

Wyglądał jak dawny Chase, nawet gdy zachowywał się zupełnie inaczej.

Cieężko przełknęłam ślinę.

Nagle zdałam sobie sprawę z własnego wyglądu. Szary sweter i plisowana granatowa spódniczka wołały głośno: „zakład poprawczy”. Rozejrzałam się po parkingu w poszukiwaniu obcych, bałam się, że ktoś może mnie rozpoznać.

Chase zniknął za przyciemnianą szybą minimarketu. Z każdą kolejną minutą moja paranoja przybierała na sile. Wierzyłam w to, co mówił o porzuceniu służby w SO, ale nie wiedziałam, co tak naprawdę się wydarzyło. Nie powiedział mi w zasadzie nic – ani dlaczego nas aresztował, ani po co wrócił. Równie dobrze mógł właśnie teraz kontaktować się z SO. Zaczęłam wystukiwać obcasami rytm na gumowych dywanikach samochodu.

Słońce wisiało tuż nad drzewami. Za moment zacznie się ściemniać.

Dlaczego to trwało tak długo?

Już chwyciłam za klamkę, żeby sprawdzić, co knuje Chase, kiedy mój wzrok padł na odległe okno wystawowe. Wisiała na nim wielka tablica informacyjna. Poczułam, że krew odplywa mi z twarzy. Chociaż znajdowałam się w odległości jakichś sześciu metrów, doskonale wiedziałam, co jest na niej napisane,

UWAGA, POSZUKIWANI!

**WZYWA SIĘ KAŻDEGO, KTO ZNA MIEJSCE POBYTU TYCH OSÓB,
DO NATYCHMIASTOWEGO ZAWIADOMIENIA**

FEDERALNEGO BIURA NAPRAWCZEGO!

Oczywiście, że widziałam już taką tablicę wcześniej: za szybą sklepu niedaleko szkoły.

Kiedy tylko Brock zorientuje się, że uciekłam, znajdzie się tam także i moja fotografia. Ogarnęło mnie przemożne pragnienie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem już jej nie powiesili. Nie mogłam jednak ryzykować.

A może i tak mignęłam sprzedawcy ze stacji benzynowej, kiedy otworzyłam drzwi? Jak mogłam być taka bezmyślna?

„To jeszcze za wcześnie, przecież zniknęłaś zaledwie kilka godzin temu”
– napomniałam samą siebie.

Oczywiście wyobraźni już widziałam, jak Beth i Ryan przebiegają wzrokiem wszystkie zdjęcia, tak jak wtedy, gdy szukaliśmy Katelyn Meadows. Widziałam, jak mnie bronią, podczas gdy wszyscy dookoła zastanawiają się szeptem, co takiego zrobiłam, że mnie aresztowano. To byli prawdziwi przyjaciele, na pewno nie odwrócili się ode mnie. Nagle uderzyło mnie, że przecież nie wiedzą o śmierci Katelyn. Zadrżałam, uświadamiając sobie, że nigdy się nie dowiedzą, czy ja żyję, czy nie.

Drzwi otworzyły się z nienacką. Mało nie wyskoczyłam przez okno.

– Proszę – powiedział Chase.

Z zawiniętych w folię plastikowych butelek z wodą, które rzuciłam na siedzenie, zsunęła się wydana przez kasjera reszta. Złapałam pieniądze, zanim spadły na podłogę. Na rachunku widniała kwota: ponad trzysta dolarów. Szybko upchnęłam banknoty w kieszeni. Nie chciałam, żeby jakiegokolwiek pieniądze leżały na wierzchu. Byłam zszokowana ilością gotówki, jaką miał przy sobie.

– Zapracowałam na to – powiedział drwiąco, zanim zdołałam go o cokolwiek zapytać. – Żołnierze dostają wypłatę, to normalna praca.

– Nie powiedziałabym, że n o r m a l n a – mruknęłam.

Położyłam zakupy na podłodze, a Chase zabrał się do tankowania. Wśród tego, co kupił – masła orzechowego, chleba i innych podstawowych produktów spożywczych – znalazłam batonik czekoladowy z migdałami. Czyżby pamiętał, że to mój ulubiony? Zapewne nie. Chase już nic nie robił z dobroci serca. Uznałam, że to tylko propozycja rozejmu.

Wystarczyło kilka chwil i Chase połączył druty pod kierownicą, po czym samochód obudził się ponownie do życia. Kiedy wyjeżdżaliśmy na ulicę, spojrzałam przez tylną szybę na tablicę informacyjną. Byłam przerażona tym, jak bardzo zmieniło się moje życie. Uwolnienie z siodeł SO przyniosło mi dotkliwą utratę wolności: już nigdy nie będę mogła chodzić bez strachu

po ulicach.

* * *

Chase włączył radiostację Straży Obyczajowej. Przemawiał jakiś mężczyzna o zimnym, beznamiętnym głosie.

– *...kolejny pojazd FBN został skradziony dzisiaj rano z parkingu fabryki włókienniczej w okolicach Nashville. W wozie znajdowały się mundury przygotowane do rozwieszenia po bazach Tennessee. Brak świadków, sprawcy prawdopodobnie należeli do rebeliantów. Wszelkie podejrzenia należy niezwłocznie zgłosić dowódcom.*

– Kto to? – szepnęłam, zupełnie jakby ten facet z radia mógł mnie usłyszeć.

– Reporter Federalnego Biura Naprawczego. Codziennie czyta wiadomości z regionu, są transmitowane o każdej pełnej godzinie.

– Ci rebelianci to liczna grupa? – zapytałam.

Podobała mi się idea wystąpienia zbrojnego przeciwko SO. Zaczęłam się zastanawiać, czy zamierzają wykorzystać do tego celu mundury.

– Od czasu do czasu komuś przychodzi do głowy, żeby ukraść ciężarówkę z racjami żywnościowymi, ale stosunkowo rzadko. Głównie chodzi o anarchię. Publiczne darcie na strzępy paragrafów, ataki na żołnierzy, zamieszki. Tego typu rzeczy, nic, z czym nie można dać sobie rady.

Skrzywiłam się, słysząc pewność siebie w jego głowie. Kiedyś byłby raczej taki jak ci ludzie, których teraz krytykował.

– *Restrukturyzacja Kentucky, Wirginii i Wirginii Zachodniej dobiegła już prawie końca. W stanach Oregon, Waszyngton, Montana oraz w Dakocie Północnej zacznie się pierwszego czerwca. Szacowany termin zakończenia procesu to wrzesień...*

Jakby przewidując moje pytanie, Chase wyjaśnił, że restrukturyzacja polega na systematycznym analizowaniu spisów ludności w każdym mieście, żeby wyeliminować osoby łamiące paragrafy.

– Właśnie to zrobili u was – powiedział.

Przez ułamek sekundy w jego oczach widziałam ból i nawet poczułam zadowolenie, że tkwi w nim odrobina winy za to, co zrobił. Na samo wspomnienie aresztowania moje dłonie zwinęły się w pięści i z trudem powstrzymałam się, żeby go znowu nie uderzyć.

– To żmudny proces – ciągnął Chase. – Angażujący wiele osób. Wszystkie kartoteki są sprawdzane – medyczne, zawodowe, co tylko istnieje. Każdy, kto nie przestrzega paragrafów, podlega karze albo izolacji.

– Izolacji? – Miałam wrażenie, że rozmawiam z kimś zupełnie obcym, a nie z chłopakiem, którego znałam całe życie.

– Zostaje oddany pod dozór państwowy. Tak jak ty.

– A co się stało z grzywnami? – Przypomniałam sobie, że dostaliśmy kiedyś karę za posiadanie przedwojennego czasopisma o modzie. Przyszło pismo z informacją: „Kontrabanda gazetowa – 50,00 \$”.

– To już przeszłość. Nikogo nie stać na płacenie.

Żaliłam mu się na to, kiedy wrócił z Chicago. Wówczas nie podejrzewałam, że alternatywą będzie aresztowanie i że Chase weźmie w nim czynny udział.

Przysłuchiwalismy się liście poszukiwanych osób. Wstrzymałam oddech, ale nie padło moje nazwisko. Fałszywe dokumenty Chase’a najwyraźniej nie zostały odkryte. Brock nadal wierzyła, że jestem na przepustce. Kiedy relacja dobiegła końca, Chase wyłączył radio.

Nadchodził zmrok. Niebo już zabarwiło się burą szarością. Westchnęłam z niepokojem. Będziemy musieli znaleźć jakiś nocleg, a to oznaczało, że stracimy kilka godzin na ukrywanie się pod granicą Pensylwanii, zamiast zmierzać w tym czasie do celu. Nieopisana strata.

Po prawej stronie pojawił się czerwony znak. Na metalizowanym tle wyraźnie odznaczała się biała farba.

STREFA CZERWONA

Chase nagle się spał.

– Co to jest „strefa czerwona”? – zapytałam. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z taką nazwą.

– Obszar, z którego ludzie zostali ewakuowani. Jak Baltimore, Waszyngton i okoliczne miasta. W żółtej strefie znajdują się bazy Federalnego Biura Naprawczego, czerwona to tereny opuszczone.

Zdałam sobie sprawę, że dotąd żyłam w hermetycznym świecie.

– Niedawno to wprowadzono – dodał.

Po jego tonie poznałam, że nie spodziewał się po drodze żadnej strefy ewakuacji.

Kiedy znaleźliśmy się blisko znaku, naszym oczom ukazał się samochód ukryty za gęstym krzakiem.

N i e b i e s k i samochód. Z widniejącą na drzwiach flagą i krzyżem.

Każdy nerw w moim ciele natychmiast wysłał alarm do mózgu. Było już za późno, żeby zatrzymać się i zawrócić. Chociaż Chase przestrzegał ograniczenia prędkości, wóz patrolowy SO wyjechał na drogę tuż za nami.

Chwilę później włączyły się światła na jego dachu, a powietrze przeszyło głośne wycie koguta.

ROZDZIAŁ 6

Chase zaklął głośno.

Błyskawicznie przeanalizowałam w myślach, co mogło się stać. Brock rozpracowała plan porwania. Chase źle obliczył czas, po jakim SO zacznie go szukać. Ktoś zauważył nas razem na stacji benzynowej.

Nie, to nie może się dzieć naprawdę. Musimy dotrzeć do Karoliny Południowej, tam czeka na mnie mama.

– Nie możesz im uciec? – zapytałam, ale mój wzrok napotkał miazdzące spojrzenie. – Gazu! – krzyknęłam.

– Ember, posłuchaj mnie. Sięgnij do torby z tyłu. W zamkniętej na zamek kieszeni jest broń. Daj mi ją – polecił.

Zawahałam się.

– Dalej!

Podskoczyłam i najdelikatniej, jak się dało, włożyłam rękę do torby.

– Tylko spokojnie – przypomniał.

– Wiem.

Każdy, kto jechał za nami, i tak widział nas przez tylną szybę. Po chwili moje palce znalazły zamek błyskawiczny. Rozsunęłam go i dłoń dotknęła czegoś twardego i zimnego.

– Och... – Poczułam dławiący ucisk w gardle.

Bardzo powoli przełożyłam pistolet nad oparciem, próbując go zasłonić. A potem upuściłam na fotel między nami i od razu zabrałam rękę. Pozbawiona kabury broń wydawała się taka... złowroga i ostateczna. Taka sama jak wtedy w lesie, kiedy była wycelowana w moje serce.

Chase musiał ją wyjąć na stacji benzynowej, gdy się przebierał. Wetknął ją teraz za pasek i przykrył koszulą.

– Kiedy powiem, że masz uciekać, zrób to – oznajmił. – Biegnij prosto do lasu i nie oglądaj się za siebie. Nie możesz dać się złapać. Absolutnie.

Zadrżałam. Podejrzewałam, że jeśli mnie złapią, wrócę do zakładu poprawczego, jednak ton jego głosu mnie przeraził. Kryło się za nim coś o wiele gorszego.

Myśli kłębiły mi się w głowie. Chase chce, żebym uciekała. Żebym zostawiła go samego z żołnierzami, chociaż to przecież z mojego powodu groziło mu niebezpieczeństwo. Nie byłam w stanie obciążyć swojego sumienia jego aresztowaniem – nie po tym, co zrobiłam Seanowi i Rebecce.

Ale musiałam dotrzeć do mamy, tylko to się liczyło.

– A co ty zrobisz? – zapytałam, kiedy zaczął zwalniać.

Nie odpowiedział.

Chociaż tak bardzo się zmienił, chociaż niepokoił mnie mrok w jego oczach, to jednak wydawało mi się niemożliwe, że rozważa zabicie człowieka. Chociaż...

Szybko wyciągnęłam koc z tyłu i zakryłam sobie spódnicę. Liczyłam na to, że żołnierz nie pozna, że mój sweter jest częścią mundurka z zakładu poprawczego. Wydawał się całkiem zwyczajny.

Chase zjechał na bok i wyłączył silnik, zasłaniając kolanami druty wiszące pod kierownicą. Zerknęłam na jego wojskowe spodnie z nadzieją, że patrol nie zwróci na nie uwagi.

Sekundy mijaly boleśnie długo i w końcu z wozu patrolowego, od strony pasażera, wyłonił się żołnierz. Dźwięk zatraskiwanych drzwi zabrzmiał w moich uszach niczym wystrzał armatni. Widziałam w lusterku, że w samochodzie został tylko kierowca.

Podszedł do nas mężczyzna o wiele starszy niż większość żołnierzy, których spotykałam. Miał ogorzałą twarz usianą zmarszczkami i kompletnie siwe włosy zaczesane tak, by zakrywały łysinę. Podszedł powoli do naszego auta i gestem nakazał Chase'owi opuszczenie szyby. Kątem oka obserwowałam każdy ruch mojego towarzysza.

– Prawo jazdy i dowód rejestracyjny – powiedział żołnierz tak samo, jak kiedyś mówili policjanci, zanim ich funkcję przejęła Straż Obyczajowa.

W prawej ręce trzymał skaner.

Chase sięgnął nad moimi kolanami, żeby otworzyć skrytkę. Kiedy oparł rękę na mojej nodze, ciepło bijące od jego skóry rozeszło się promieniście po moim udzie, a gdy wzięłam gwałtowny wdech, poczułam zapach mydła, domu i bezpieczeństwa. Uczucie to zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Chase wyjął kartonik wielkości wizytówki i podał go oficerowi.

– Przykro mi, ale podczas ostatniej kontroli żołnierz zabrał moje prawo jazdy. Mówił, że to konieczne do spisu ludności, i twierdził, że nadal mogę prowadzić.

– Tak, tak. – Żołnierz pokiwał głową, jakby takie sytuacje zdarzały się nagminnie.

Przypomniałam sobie, że podczas aresztowania Bateman schował w kieszeni dowód mamy.

Żołnierz zeskanował kod kreskowy dowodu rejestracyjnego i zaczął wpatrywać się w maleńki wyświetlacz. Zapewne sprawdzał, czy nie wystawiono za nami listu gończego. Mało nie wyskoczyłam ze skóry.

– Ma pan szczęście, że zamrożono opłaty samochodowe, panie Kandinsky. Pana dowód rejestracyjny stracił ważność trzy lata temu.

Chase skinął głową, a żołnierz zwrócił mu dokument.

– Dokąd zmierzacie? – zapytał. – Miasto zostało ewakuowane, od miesięcy stoi puste.

Ścisnęłam dłonie tak mocno, że prawie połamałam sobie kości. Ułożyłam je tak, żeby zakryć siniaki.

– Wiem – skłamał gładko Chase. – Moja ciotka miała tu dom, obiecałem, że zajrzę. Mamy przepustkę.

– Proszę pokazać.

Chase włożył rękę do kieszeni – tej, w której był pistolet. Odwróciłam głowę i zacisnęłam mocno powieki. Wbiłam palce w koc, oczekując wymiany ognia.

„On to zrobi” – pomyślałam. „Zastrzeli tego człowieka”.

– Wkładałeś do kieszeni kurtki – wyrzuciłam z siebie.

Żołnierz czy nie, ten facet w niczym nam nie zawinił.

Chase spojrzął na mnie z urazą.

– To pańska dziewczyna? – zapytał żołnierz, który w końcu zarejestrował moją obecność.

Jego wzrok padł na moje dłonie. Z trudem powstrzymałam ich drżenie.

– Żona – odparł Chase przez zaciśnięte zęby.

No tak, oczywiście. Samotna para bez ślubu spędzająca razem czas tuż przed rozpoczęciem godziny policyjnej zostałaaby skazana za nieobyčajność. Zrozumiałam, że ten żołnierz szukał obrączki na moim palcu, i stwierdziłam, że jeśli przeżyję to spotkanie, będę musiała postarać się o jakiś tani pierścionek.

– To dobrze – odparł.

Poczułam ucisk w żołądku.

Chase spojrzął na mnie.

– Do kieszeni kurtki? Naprawdę? – zapytał i skrzywił się. – Cholera, w takim razie zostawiłem ją w domu. Bardzo pana przepraszam.

– Jaki miała numer? – Żołnierz najwyraźniej chciał sprawdzić Chase’a.

– U-14. Prawda, kochanie?

Skinęłam głową, starając się nie wyglądać na sparaliżowaną ze strachu.

– Niebieski formularz mniej więcej tej wielkości. – Chase pokazał rękoma.

– Tak, zgadza się – odparł żołnierz i zaczął uderzać skanerem o wolną dłoń, zastanawiając się, co z nami zrobić. – Puszczę was, ale kiedy następnym razem zapuścicie się na teren ewakuowany, musicie mieć przepustkę. Czy to jasne? Macie dwadzieścia cztery godziny.

– Tak jest – rzucił Chase. – Bardzo panu dziękujemy.

Chwilę później wóz patrolowy zniknął za zakrętem.

– O Jezu – odezwałam się. Słowa z trudem przeciskały się przez moje gardło.

– Stary piernik nie potrafi nawet wypełniać swoich obowiązków. Regulamin wyraźnie mówi, że bez formularza U-14 żaden cywil nie ma wstępu do strefy czerwonej. Każdy o tym wie.

– Dzięki Bogu on nie! – prawie wykrzyczałam te słowa.

Chase uniósł brew.

– No tak – zgodził się.

W samochodzie zapanowała ponura cisza. Cały czas zastanawiałam się, co Chase by zrobił, gdybym się nie odezwała. Wiedziałam, że wcale nie chciał zastrzelić tego żołnierza, ale byłam też pewna, że nie wykluczał takiej możliwości.

„Przecież nic się nie stało” – tłumaczyłam sobie w duchu.

Jednak jutro, kiedy znajdziemy się na liście poszukiwanych, taka scena będzie wyglądać zupełnie inaczej.

Najwyższy czas zjechać z głównej szosy.

* * *

Jechaliśmy opustoszałymi ulicami czerwonej strefy pod osłoną czarnego jak smoła nieba. Nie spotkaliśmy już żadnych patroli, ale Chase powiedział, że kontrolują miasta w takich rejonach, żeby zapobiegać przestępczości. Po naszym spotkaniu z SO nie miałam już ochoty na powtórkę.

Tyle że oczekiwanie na świt wcale nie było proste.

Żeby zająć czymś ręce, przygotowałam kanapki z masłem orzechowym, a żeby zająć głowę, przekonywałam samą siebie, że bezsensowne jest oskarżanie się o beczynność. Minuty naszej bezpiecznej wolności mijały jedna za drugą, ale nie mogliśmy nic zrobić, dopóki nie skończy się godzina policyjna.

Popchnęłam trzy kanapki w stronę Chase’a. Wziął jedną z wyraźnym wahaniem.

– Przecież do nich nie naplułam – powiedziałam, chociaż dawno przeszła mi ochota na kłótnię.

Uniesione z zaskoczenia brwi wróciły do swojej normalnej pozycji. Być

może nie był przyzwyczajony, że ktoś o niego dba, ale ja czułam się w obowiązku, żeby przyrządzić posiłek. W domu należało to do moich zadań. Na samo wspomnienie, ostre i bolesne, ogarnęła mnie kolejna fala rozpacz.

– Muszę ci coś pokazać – powiedział, jakby chciał się odwdziżyć za to, że przygotowałam dla niego jedzenie.

Wyszedł na zewnątrz, wpuszczając do samochodu lodowate powietrze. Niechętnie poszłam za nim, z latarką w dłoni.

Aż się zapowietrzyłam, kiedy zauważyłam, jak zza jego pasa wyłania się srebrna lufa pistoletu.

Było bardzo ciemno, a las niósł silny zapach martwych liści i ziemi. Nagły, obezwładniający strach zajął miejsce wszystkich dotychczasowych myśli i przejął kontrolę nad zmysłami. Nadal słyszałam złowrogi, metaliczny trzask odbezpieczanej broni, nadal słyszałam podekscytowany głos Randolpha oskarżającego mnie o próbę ucieczki.

– Hej – odezwał się cicho Chase.

Przestraszył mnie, bo okazało się, że jest bliżej, niż sądziłam. Odskokczyłam w bok, wciągając do płuc lodowate powietrze.

– Już to widziałam.

Serce waliło mi tak szybko, jakbym właśnie przebiegła ze dwa kilometry, ale stałam wyprostowana z nadzieją, że nie zauważył mojego przerażenia.

„Weź się w garść” – powiedziałam sobie w duchu. Chase nie był już żołnierzem, a ja nie tkwiłam w zakładzie poprawczym. Nie powinnam o tym zapominać.

Brwi Chase’a złączyły się, jakby poczuł ból. Przez moment mogłabym przysiąc, że czytał mi w myślach, ale potem jego twarz znów przybrała kamienny wyraz.

– Masz pojęcie, jak się obsługuje broń? – zapytał cicho.

Byłam pewna, że myśli o tym, co wydarzyło się podczas spotkania z patrolem.

Rzuciłam mu cierpkie spojrzenie.

– Naprawdę musisz mi zadawać takie pytanie?

Chwycił za lufę i podał mi pistolet.

– Ja... nie lubię broni – powiedziałam.

– To tak jak ja.

Zaskoczył mnie. Był żołnierzem, powinien przywyknąć do broni. Widząc, że nie zamierza rezygnować, wyjęłam mu pistolet z rąk – tak jakbym chwyciła martwego szczura. Nie przewidziałam, że będzie tyle ważył, i o mały włos go nie upuściłam.

– Uważaj, do czego mierzysz – warknął.

Skrzywiłam się i skierowałam lufę w stronę ziemi.

– Jest ciężki.

– To browning hi-power. Kaliber dziewięć milimetrów – wyjaśnił.

Przełknął ślinę, wytarł ręce o spodnie, a potem objął delikatnie moje dłonie, zmuszając mnie, bym zacisnęła palce na rękojeści. Starał się uważać, żeby nie ścisnąć mi poranionych kostek.

W miejscu, w którym mnie dotknął, skóra zapłonęła ogniem – na przekór mojemu umysłowi, który tak bardzo pragnął pogardzić Chase'em. Było to łatwiejsze po tym wszystkim, co zrobił.

– Popatrz. Tu z boku jest bezpiecznik. Kiedy jest włączony, nie można pociągnąć za spust. Rozumiesz?

– Uhm.

Kierując moimi palcami, pokazał mi, jak opróżnić magazynek.

– Ten magazynek mieści trzynaście naboí. To półautomat, co oznacza, że ładuje się sam, ale dopiero wtedy, kiedy zwolnisz kurek. Wtedy ładuje się pierwsza komora i potem wystarczy już tylko pociągnąć za spust.

– Jakie wygodne.

– Taka była idea. No dobrze, nie będziemy tego robić, ale musisz wiedzieć, jak działać, gdybyś napotkała problemy. Odciągasz bezpiecznik. Zwalniasz kurek. Wycelowujesz broń. Pociągasz za spust. Wykorzystujesz

obie ręce. Czy to jasne?

– Tak jest.

– To powtórz.

– Odciągam bezpiecznik. Zwalniam kurek. Wycelowuję broń. Pociągam za spust. – Kiedy wypowiadałam te słowa, miałam wrażenie, jakby ogarnęło mnie niepoprawne poczucie siły.

Chase zabrał pistolet, a wtedy znów mogłam oddychać. Tylko że zaraz potem wyjął nóż.

Przez następne dziesięć minut kuciałam, podczas gdy on obcinał mi włosy. Garściami. Wiedziałam co prawda, że powinniśmy zrobić, co w naszej mocy, aby nikt nas nie rozpoznał, jednak cały ten czas dręczyła mnie myśl, że jeszcze trochę, a nie pozna mnie własna matka, Beth ani przyjaciele. Że razem z włosami znika jakaś – dobrze mi znana – część dawnej mnie, a na jej miejscu powstaje coś... jakby zdeformowana żywa tkanka. Oczywiście, takie myślenie było głupotą. Ja pozostawałam sobą, to cała reszta uległa zmianie.

Wróciliśmy do samochodu, zajęliśmy miejsca i wpatrywaliśmy się przed siebie w upartej, pełnej napięcia ciszy. Wraz z upływem minut zaczęłam zdawać sobie sprawę z jego oddechu – równego, rytmicznego – i w końcu odkryłam, że i mój dostosował się do jego tempa. To, że nawet nieświadomie potrafił mnie uspokoić, to współgranie na tej podstawowej częstotliwości, tylko wzbudzało we mnie pragnienie niemożliwego. Odchyliłam się, by nie odkryć, jak bardzo cierpię z powodu jego bliskości.

Tęskniłam za nim bardziej niż wtedy, kiedy odszedł. Ośmieliłam się zerknąć w jego stronę dopiero, gdy zapadła tak ciemna noc, że nie byłam w stanie dostrzec zarysu sylwetki.

– Odszedłbyś z SO, gdyby ona cię o to nie poprosiła? – Mój głos brzmiał bardzo cicho, był ledwo odróżnialny od oddechu.

– Nie wiem – odpowiedział uczciwie.

Zasnęłam z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej, żałując skrycie,

że nie mógł udzielić mi konkretnej odpowiedzi. Wiedziałabym przynajmniej, co czuje jedno z nas.

* * *

– Dzień dobry – powiedział.

Opierał łokcie na parapecie. Na głowie miał tę samą co zawsze czapkę, z daszkiem wygiętym w półksiężyc. Mimo zmęczenia wiedziałam, że na widok tego uśmiechu szybko nie zasnę.

Kłęcząc w koszuli nocnej na wymiętej kołdrze, otworzyłam okno do końca. Niebo było tak czarne jak wtedy, gdy kładłam się do łóżka.

– Dlaczego nie śpisz? – zapytałam i skinęłam głową w stronę jego pokoju naprzeciwko.

Odwrócił się, a potem wzruszył ramionami.

– Nie byłem zmęczony. Poszliśmy z twoją mamą na miły spacer. Prosiła, żebym ci przekazał, że masz być dzisiaj grzeczna. I nie robić niczego, co ona mogłaby zrobić – powiedział i skrzywił się teatralnie, zupełnie jak mama.

Przewróciłam oczami, ale zrobiło mi się miękko na sercu. Podobało mi się, że Chase odprowadził mamę do kuchni polowej. Nasze miasto nie było już tak bezpieczne jak kiedyś, zwłaszcza o świcie, zaraz po zakończeniu godziny policyjnej. Mama nigdy nie była dość czujna, gdy chodziła gdzieś sama.

– Dzięki. Za to, że się nią zaopiekowałeś.

Spojrzał na mnie zdziwiony, jakby było to coś zupełnie oczywistego.

Wtuliłam twarz głębiej w poduszkę, a wtedy... ona się poruszyła.

Natychmiast otworzyłam oczy.

Znajdowałam się w samochodzie, a nie w domu czy w zakładzie poprawczym. Leżałam skulona na siedzeniu z głową na udzie Chase'a. A przecież między nami nie było już tak jak kiedyś. Zerwałam się jak oparzona.

Przez zaparowane szyby przedostawało się szare światło. Wiedziałam,

że wkrótce zacznie świtać. Był czwartek, a więc dzień, w którym mieliśmy spotkać kuriera. Dzień, w którym miałam zobaczyć się z mamą.

Dzień, w którym zostanie ogłoszona dezercja Chase'a.

Zdjęłam z siebie kurtkę SO, która służyła mi za koc. Próbowałam sobie przypomnieć, jakim cudem się na mnie znalazła...

Chase potarł jednodniowy zarost i otworzył szeroko oczy, kiedy jego wzrok padł na mnie. Przeczesałam palcami krótkie, nierówno obciachane włosy i zasłoniłam usta ręką.

– Pasta do zębów – powiedziałam.

Nie miałam ze sobą szczoteczki, musiał mi wystarczyć palec. Kiedy sięgnęłam do torby, wyrwał mi ją z ręki i sam wyjął pastę. Nie mam pojęcia, dlaczego tak zrobił, przecież już widziałam, że ma broń.

Otworzyłam drzwi samochodu, a wtedy uderzyła mnie fala mroźnego powietrza. Trzęsąc się, odeszłam od auta na tyle, by się rozbudzić, a jednocześnie nie tracić go z oczu. Na południu, w tej kryjówce, powinno być cieplej. Może moja mama już tam jest, siedzi z głową opartą na ramieniu i marudzi, że nie ma kawy z kofeiną, jak to kiedyś bywało. Może są z nią inne matki – ktoś, kto ją wspiera, żeby się tak nie zamartwiała, i chłodzi jej zapędy, bo niewątpliwie będzie próbowała wzniecić jakiś nieprzemyślany bunt. Już widziałam, jak staje na czele ludzi ze zwiniętym w rulon nielegalnym czasopismem w uniesionej ręce, a potem podpala kosz broszur z paragrafami. Na samą myśl uśmiechnęłam się do siebie. Nie zamierzałam nigdy pokazywać jej tego uśmiechu, bałabym się, że odbierze go jako zachętę.

– Fajna kurtka – odezwał się Chase, wyrywając mnie z transu.

Kiedy wychodziłam z auta, zarzuciłam na siebie jego ogromną bluzę. Zupełnie bez zastanowienia. Teraz poczułam się zawstydzona. I rozdarta: nie wiedziałam, czy mam cisnąć mu ją w ramiona, czy raczej otulić się szczelniej. Ostatecznie zaczęłam przestępować z nogi na nogę, jak gdybym chciała utrzymać równowagę na równoważni.

– Musimy postarać się o jakieś ubrania – powiedział, z zainteresowaniem obserwując moją wewnętrzną walkę. – Wyróżniasz się w tym połączeniu mojego munduru z twoim uniformem.

Zmusiłam się do tego, żeby stać spokojnie. Nie miałam pojęcia, jak chciał zdobyć rzeczy, ale podejrzewałam, że będzie to coś w stylu numeru z samochodem. Ku mojemu zdumieniu perspektywa kradzieży wcale mnie nie przerażała. Byle tylko nikt nie został skrzywdzony i byle nie trwało to zbyt długo.

Chwyciłam za przydługawe rękawy i skupiłam się na tym, że wieczorem spotkam się z mamą.

Pół godziny później byliśmy znowu w drodze.

* * *

Tuż po siódmej minęliśmy znak zapowiadający, że zbliżamy się do granicy stanowej z Maryland. Wolałabym jechać prosto do punktu kontrolnego, ale nie mogliśmy ryzykować spotkania z kolejnym patrolem. Tym samym zostaliśmy zmuszeni do wybrania okężnej drogi na południe. Co kilka minut zerkałam na mapę, śledząc wyznaczoną przez Chase'a trasę. Pokazał mi dokładne miejsce, w którym mieliśmy spotkać się z kurierem: Rudy Lane 190 w miejscowości Harrisonburg w stanie Wirginia.

Wiedziałam, że jeśli nie natkniemy się na żadnych żołnierzy, nadal mamy szansę dotrzeć tam na czas.

Chociaż na drodze nie było żadnych samochodów, nie mogliśmy rozwinąć większej prędkości. Brakowało fragmentów asfaltu, a w dodatku szosa była upstrzona śmieciami: tu kołdra, tam szkielet parasola. Spłoszyliśmy sarnę, która skubała zniszczony karton firmy Horizons.

Patrzyłam na to wszystko z poczuciem grozy. Miałam dziewięć lat, kiedy wojna ogarnęła Baltimore, a niedobitki zostały ewakuowane ze stanu tuż przed moimi dziesiątymi urodzinami. Tylko tyle zostało tu po ludzkiej bytności.

Chase pochylił się lekko do przodu, żeby wyminąć zardzewiały motocykl

leżący na samym środku ulicy. Na ten widok coś we mnie drgnęło.

* * *

– *Ej, chyba się nie boisz, co?* – Chase uśmiechał się przebiegle, celowo przybierając prowokujący ton.

Doskonale wiedział, że odkąd skończyłam sześć lat, podejmowałam każde jego wyzwanie. Teraz też miałam taki zamiar.

Przełożyłam nogę przez motor, ściskając ramę z taką siłą, że mogłabym zgiąć metal. Chase chwycił za kierownicę i podniósł nóżkę, a w jego ciemnych oczach zamigotał wesoły ogień. Skinięciem głowy polecił mi, żebym się przesunęła do tyłu, a kiedy to zrobiłam, wsunął długą nogę między mnie a przód motocykla.

Zaczęłam miętosić jego koszulę, szukając czegoś, czego mogłabym się chwycić.

– *Może tak?* – zapytał, po czym złapał moje ręce i przyciągnął do siebie tak, że obejmowałam go teraz w pasie i przyciskałam dłonie do jego klatki piersiowej. A potem chwycił mnie za kolana i przysunął, aż przytuliłam się do jego pleców.

Wstrzymałam oddech. Byliśmy tak blisko, że nie mogłam się skupić. Uderzył prawą stopą i silnik ryknął głośno. Poczulałam wibracje. Serce waliło mi jak oszalałe i zaczynałam wpadać w panikę.

– *Zaczekaj!* – wrzasnęłam w kask. – *A gdzie są instrukcje, wskazówki, jakieś szkolenie albo...*

Na krótką chwilę splótł palce z moimi dłońmi.

– *Pochylaj się tak jak ja. I nie walcz ze mną...*

„Nie walcz ze mną, Ember”.

W roztargnieniu zaczęłam pocierać kciukiem prawą skroń. Muszę koniecznie przestać wspominać chłopaka, którym był kiedyś Chase.

– *Jak wyglądała mama, kiedy ją wypuszczali?* – zapytałam, zmuszając się do porzucenia wspomnień.

– Co takiego? – zapytał.

Zwiesił ramiona i zaczął wyglądać przez boczną szybę.

– Jak wyglądała. Po wyroku.

– Nie mówiłem, że był jakiś wyrok.

Wyprostowałam się.

– Ale dałeś mi to do zrozumienia. Mówiłeś, że ludzie podlegają karze albo izolacji. A potem stwierdziłeś, że ją wypuścili. Czyli odbyła karę, tak?

– Tak.

Jęknęłam. Te jego niejasne odpowiedzi były chyba nawet gorsze niż wcześniejsze śluby milczenia.

– Jak długo ją trzymali?

– Tylko jeden dzień.

– Masz rację, nie zdradzaj mi zbyt wielu szczegółów. Jeszcze nie dam rady ich udźwignąć – zakpiłam, krzyżując ręce na piersi.

Siedział cicho, zatopiony w myślach.

„Co ja ci takiego zrobiłam?” – miałam ochotę krzyknąć mu w twarz. „Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?” Byłoby mi łatwiej zaakceptować jego zachowanie, gdybym nie znała go wcześniej, zanim jeszcze stał się taki zachowawczy, nieufny i zimny. Gdybym nie pamiętała, że kiedyś czytałam w nim jak w otwartej księdze i że dnia nam nie starczało na rozmowy. Doprowadzało mnie to do wściekłości, a – co gorsza – zaczynałam się zastanawiać, czy przypadkiem nie myliłam się ogromnie co do łączącego nas kiedyś uczucia.

Chase zaczął rozprostowywać zeszywniałą szyję.

– Wyglądała... – zawahał się. – Nie wiem, wyglądała jak twoja mama. Krótkie włosy, duże oczy. Drobna. Co mam niby powiedzieć? Widziałem ją tylko przez chwilę.

Prychnęłam, słysząc to podsumowanie. Tylko facet mógł być taki dosłowny.

– I nic poza tym?! Jakie sprawiała wrażenie? Bała się?

Zamyślił się, a ja dostrzegłam niewielkie zmiany na jego twarzy. Jakieś napięcie w kącikach oczu. Od razu się zaniepokoiłam.

– Tak. Bała się – powiedział i odchrząknął. Widziałam, że strach mamy przeniknął przez tę jego skorupę. – Ale była rozsądna. Nie szalała jak niektórzy ludzie, kiedy się czegoś boją. Zważywszy na wszystko, co się wydarzyło, dobrze sobie radziła ze stresem. I była absolutnie pewna, że musimy postępować zgodnie z planem.

– Hm – odparłam i zgarbiłam się.

– No co? – zapytał z ożywieniem.

Przemknęło mi przez myśl, że chyba po raz pierwszy wydawał się zainteresowany tym, co ja myślę.

– W życiu nie nazwałabym jej rozsądną osobą – powiedziałam i od razu tego pożałowałam. Skrzywiłam się z poczuciem, jakbym ją właśnie zdradziła. – To znaczy... Nie mówię, że mama nie potrafi podejmować decyzji, nic takiego. Tylko w stresie ona zwykle... nie potrafi.

Przed oczami stanęła mi nasza kuchnia. Mama płacząca na podłodze, kiedy wyrzuciłam Roya z domu. Te wszystkie sytuacje, kiedy przynosiła do domu zakazane materiały albo upierała się, że przy następnej kontroli ostro zrugą żołnierza. W naszej rodzinie to ja byłam ostoją bezpieczeństwa i równowagi, nie ona. I Chase próbuje mi teraz wmówić, że nie byłam jej wcale potrzebna w najbardziej przerażającym momencie naszego życia? Że poradzi sobie sama? Czym ja się w takim razie tak zamartwiałam?

Zacisnęłam powieki. Oczy mnie piekły od napływających łez, którym nie zamierzałam pozwolić płynąć.

– Byłabyś z niej dumna – powiedział Chase cicho.

Na te słowa serce mi mało nie pękło. Co jest ze mną nie tak? Przecież powinnam czuć jedynie ulgę. Zamiast tego boczyłam się, ponieważ moja mama dawała sobie radę beze mnie. Zupełnie jakbyśmy były od siebie uzależnione.

Ta fala niepokoju zniknęła tak samo szybko, jak się pojawiła, ustępując

miejsca zrozumieniu.

Mama nie musiała czuć się silna, wystarczyło, że dzięki niej to ja miałam siłę. A moja siła dodawała sił jej. Była przecież dorosłą kobietą, powtarzała mi to niezliczone razy. Dotrze do Karoliny Południowej. Teraz jeszcze tylko ja muszę się tam dostać.

* * *

– Przy czymś takim człowiek czuje się mały, prawda? – stwierdziłam, kiedy zbliżyliśmy się do ogromnego klina wyciętego w zboczu góry. Ściany skalne w kolorze musztardy ciągnęły się niemal sto metrów w obie strony, a nad nimi widać było tylko wąski pasek srebrzystego nieba. Drzewa i krzewy, od dawna nieprzycinane przez ekipy zieleni miejskiej, wyciągały do nas swoje zakrzywione ramiona. Chase musiał zmniejszyć prędkość, bo droga była zalana przez lawinę błotną.

Po prawej stronie zauważyłam wielki znak kierujący do centrum turystycznego Sideling Hill. Ktoś przy nim majstrował: tuż pod napisem namalowano sprejem krzyż oraz flagę z wielkim zielonym fluorescencyjnym iksem pośrodku. Kiedy jeszcze mieliśmy telewizję, widziałam podobne znaki w wiadomościach, ale nigdy nie pojawiały się w naszym mieście. Poczułam się nagle jak oswojony domowy kot, który musi przeżyć w dziczy.

– Bo jesteś mała – odparł po długiej chwili. Tak długiej, że już zdążyłam zapomnieć, co mówiłam.

Wyprostowałam się na siedzeniu, żeby sprawiać wrażenie wyższej, jakbym chciała przez to powiedzieć, że przecież metr sześćdziesiąt dwa to znowu nie a ż t a k mały, ale samochód zaczął podskakiwać na wertepach i nie dało się wysiedzieć sztywno.

Przejechaliśmy przez Sideling Hill i skierowaliśmy się na Hagerstown, oddalonego stąd o pięćdziesiąt pięć kilometrów, jeśli wierzyć drogowskazom. Miasto ewakuowano w takim pośpiechu, że w sklepach porzucono cały towar. Za chwilę mieliśmy się przekonać, co z tego zostało po ośmiu latach. Potem zamierzaliśmy zjechać na południe, w stronę

Harrisonburg.

– Myślisz, że tu jest bezpiecznie? – zapytałam, mając w pamięci gangi grasujące w opuszczonych miastach.

Straż Obyczajowa powstała po to, żeby walczyć z przestępczością w takich miejscach jak to.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie – odparł. – Ale FBN wyczyściło tę okolicę.

– Od razu czuję się lepiej – stwierdziłam.

Chase wjechał na drogę międzystanową numer 81, a kiedy znaleźliśmy się w mieście, bacznie obserwował teren. Pierwsze domy, które ukazały się naszym oczom, były całkiem spore, otoczone przez wielkie ogrody i masywne drzewa. W miarę jak zbliżaliśmy się do centrum, wokół zaczęły wyrastać niewielkie domki, a potem szeregowce i osiedla mieszkaniowe. Supermarket. Restauracja. Wszystko pokryte szarą warstwą popiołu przypominającego brudny śnieg, zupełnie odpornego na działania pogody.

Żadnych dzieci bawiących się na ulicach. Żadnych szczekających w obejściu psów. Ani jednego samochodu na drodze.

To zakonserwowane przez czas miasteczko było zupełnie martwe. Zauważyłam po prawej stronie centrum handlowe i szybko wskazałam je palcem. Chase zjechał przy pierwszej sposobności i skręcił w Garland Groh Boulevard. Chwilę później znaleźliśmy się przed starym sklepem z artykułami sportowymi. U nas w mieście też był podobny sklep, ale został zamknięty w czasie wojny. Straż Obyczajowa przekształciła go w ośrodek dystrybucji mundurów.

Tuż za parkingiem dostrzegłam opustoszałą autostradę prowadzącą prosto do punktu kontrolnego. Serce aż mi podskoczyło na ten widok. Mieliśmy nieco ponad pięć godzin do czasu, kiedy SO ogłosi dezercję Chase'a. Musimy zabrać, ile się da, a potem uciekać. I to szybko.

Chase rozłączył druty nad kolanami i silnik zgasł. Zanim jednak otworzył drzwi, wyjął spod siedzenia czarną wąską pałkę. Pociemniał na twarzy, kiedy zobaczył, że wpatruję się w nią szeroko otwartymi oczami.

Pistolet tkwił w przedniej kieszeni torby. Chase wolał nikomu nie zdradzać, że ma broń palną. Byłoby to równie mądre jak wysunięcie z kieszeni banknotu studolarowego i liczenie na to, że nikt go nie ukradnie.

– Na wszelki wypadek się nie oddalaj.

Skinęłam głową i wyszliśmy z bezpiecznego wnętrza auta. Nasze buty zostawiały ślady na cienkiej warstwie szarego pyłu, który pokrywał asfalt.

Obeszliśmy budynek, trzymając się blisko siebie. Szyby w wysokich oknach sklepowych były wybite, a resztki szkła zwisały z pomalowanych na zielono framug niczym lodowe stalaktyty. Wielkie uchwyty na dwóch skrzydłach przeszklonych kiedyś drzwi zostały złączone grubym metalowym łańcuchem, chociaż nie ostał się już ani kawałek szyby.

Chase wszedł do sklepu, a ja rozejrzałam się po parkingu. Nie licząc spalonej hondy, w której ktoś podłożył ogień wiele lat temu, teren wydawał się pusty.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze i ruszyłam za Chase'em do środka.

Na mojej drodze znalazła się rzucona na bok kasa. Metalowe regały i stoły leżały przewrócone, ciśnięte w przejścia. Brakowało większości ubrań – zapewne je rozkradziono, a to, co zostało, było porozrzucane po podłodze, jakby przez sklep przeszło tornado. Przeciskając się w głąb budynku, zauważyłam urządzenia do ćwiczeń i hantle, wszystkie z jaskrawym emblematem Straży Obyczajowej, przekreślonym dużym iksem. Na zniszczoną, pokrytą laminatem podłogę wysypała się cała zawartość regału z akcesoriami sportowymi. Piłki do baseballu, piłki nożne i koszykowe sięgały aż do przeciwległej ściany.

– Postaraj się znaleźć jakieś ubrania. A ja rozejrzę się, co jeszcze można stąd wziąć.

Skinęłam głową. I chociaż było to niedorzeczne, zważywszy na stan sklepu, zaczęłam sprawdzać, czy nie widać nigdzie kamer.

– Nikt cię nie nakryje – powiedział Chase, jakby czytał mi w myślach. – Przeszukaj sklep, większych szkód i tak już tu nie wyrządzimy.

Miał rację, tylko że wydarzenia ostatnich tygodni przyprawiły mnie o paranoję. Ten sklep mnie przerażał. Bałam się, że SO jakimś cudem może nas tu podglądać. Że to pułapka.

Ucieszyłam się, że Chase chce wejść na piętro, bo tam właśnie prowadziła strzałka i tabliczka z napisem ODZIEŻ DAMSKA. Zepsute ruchome schody zaskrzypiały pod naszym ciężarem. Ruszyliśmy w stronę działu ze sprzętem kempingowym. Teraz wydawało się surrealistyczne, że ludzie mogli kiedyś wypoczywać pod namiotem, ale wiedziałam, że tak właśnie Chase spędzał w dzieciństwie wakacje ze swoją rodziną. Kiedy skręcił w stronę stalowych regałów, poczułam, że ogarnia mnie panika.

– Będziesz tutaj? – zapytałam, pokazując na skotłowany namiot na środku podłogi.

Coś zmieniło się w jego twarzy, kiedy zauważył mój niepokój.

– Nie odejdę daleko – powiedział cicho.

Znajdujący się na środku sufitu świetlik sprawiał, że górne piętro tonęło w bladej poświacie. Jednak im bliżej tyłu sklepu, tym robiło się ciemniej, aż w końcu musiałam mrużyć oczy, żeby widzieć cokolwiek pod nogami. Przekroczyłam ostrożnie sterty rzeczy blokujące przejście i trafiłam na kilka wieszaków z ubraniami, które sprawiały wrażenie nienaruszonych. Koszulki były obcisłe, a spodnie miały dzwonowate nogawki – taka była wtedy moda – ale mimo upływu lat dla mnie wyglądały jak nowe. Materiał był co prawda zakurzony, ale ubrania miały nawet kanty po złożeniu i metki z rozmiarami. Odkąd moja mama straciła pracę, nosiłam wyłącznie rzeczy z centrum dobroczynnego, więc teraz, mimo ponurych okoliczności, aż się zaśmiałam na myśl, że wreszcie będę miała coś nowego.

Znalazłam promocję na damskie buty trekkingowe: 55,99 dolara. „Dla mnie za darmo!” – pomyślałam z poczuciem winy. Zaczęłam grzebać w rozrzuconych po podłodze kartonach w poszukiwaniu mojego rozmiaru. Nie stać by nas było na takie buty nawet osiem lat temu. Biorąc pod uwagę inflację, teraz kosztowałyby pewnie ponad 100 dolarów. Będę miała buty

za sto dolców! Nie mogłam się doczekać, kiedy powiem o tym Beth.

O ile kiedykolwiek ją spotkam.

Z trudem odepchnęłam od siebie tę myśl. Tuż za mną leżały dzinsy, więc szybko chwyciłam parę w moim rozmiarze. Zimowa kurtka była pokryta naprawdę niewielką ilością kurzu, więc ją też zabrałam. A potem jeszcze koszulkę bez rękawów, obcisły T-shirt, koszulkę termiczną i bluzę. Wzięłam też kilka dodatkowych par skarpet na wszelki wypadek oraz nieotwierane opakowanie majtek. Przyszło mi nagle do głowy, że być może mama nie ma żadnych zapasowych ubrań, więc zabrałam po jednej sztuce wszystkiego także i dla niej.

Ale kiedy ruszyłam do przymierzalni, uśmiech zamarł mi na twarzy. Pomieszczenie miało wielkość szafy, a pozbawione górnego światła wyglądało jak cela, którą widziałam w kabinie.

Nie zamierzałam zamykać się w czymś takim.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Chase'a, ale nigdzie go nie było. To dobrze, przynajmniej nie był świadkiem mojego wahania. Jeszcze tylko brakowało, żeby pomyślał, że boję się broni palnej i... ciemności. Wzięłam głęboki oddech, po czym położyłam zabrane rzeczy na podłodze i szybko zabrałam się do przymierzania – z nadzieją, że zdążę, zanim zaczną mnie szukać.

Dzinsy pasowały niemal idealnie, chociaż okazały się nieco za luźne w pasie, bo w zakładzie poprawczym straciłam na wadze. Byłam w połowie zakładania koszulki, kiedy usłyszałam za plecami jakiś szmer.

Obróciłam się gwałtownie i zauważyłam Chase'a jakieś trzy metry dalej. Miał na sobie dzinsy i nową bluzę, a na ramię zarzucił jakiś pakunek. Odskokczyłam do tyłu z koszulką odsłaniającą stanik.

– Daj mi minutę! – zawołałam cienkim głosem. – I odwróć się!

Nie posłuchał. Zrobił kilka kroków do przodu, aż usłyszałam jego oddech i poczułam bliskość ciała. Zamarłam, ale wewnątrz każda komórka mi drżała, jakby przepływał przez nią prąd. Jak długo tu stał i mnie obserwował?

– Co się wydarzyło w zakładzie poprawczym? – zapytał prawie szeptem, a w jego głosie słychać było nutę powstrzymywanej z trudem gwałtowności.

– Co? – Miałam wrażenie, że nurkuję w basenie pełnym lodowatej wody, ale palce odmarzły mi na tyle, żeby obciągnąć koszulkę. Włożyłam na nią pozostałe ubrania.

– Kiedy przyjechałam, zaprowadzili mnie na dół, do tamtego pomieszczenia, i wtedy u s ł y s z a ł e m ciebie. Nie mogę zapomnieć tego krzyku.

Kabina. Chase przerwał Brock i żołnierzom, zanim zdążyli wymierzyć mi karę. Wrzeszczałam. Na samo wspomnienie zrobiło mi się niedobrze.

– Teraz chcesz o tym rozmawiać? – zapytałam z niedowierzaniem.

Nie czekał wcale, aż się odwrócę, tylko nagle znalazł się tuż przede mną. Pochylił się nad moją twarzą i spojrzał mi w oczy. Jego ręce zacisnęły się na moich ramionach tak mocno, że prawie jęknęłam.

– Co oni ci zrobili?

– Co o n i mi zrobili? – zapytałam, strącając jego ręce. – To ty mnie tam wysłałeś, a teraz zaczynasz się przejmować tym, co się ze mną działo, kiedy zniknąłeś?

Nagle poczułam się urażona i zdradzona. Po tym jak został wcielony do wojska, nie zadzwonił ani razu, nie odpisał na żaden list. Nie dał znać, że żyje, że wszystko jest w porządku. Nie interesował się mną i moją mamą. Jego obietnica, że wróci, była wierutnym kłamstwem. Bo wrócił żołnierz, a nie Chase. Żołnierz, który wszystko zniszczył.

Chase zachwiał się, jakbym go popchnęła, po czym przecesał dłońmi czuprynę.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Nie dawałam za wygraną. – Przecież kiedyś... zależało ci na nas. Na mnie i na mamie. Nawet nie próbuj mi wmawiać, że było inaczej. – Pięści zaciskałam tak mocno, że przebiłam paznokciami skórę. Poczułam, jak ból od sińców na kostkach promieniuje mi aż do ramion.

Waliłam prosto z mostu, co było widać po jego twarzy, po odbijających się w jego oczach uczuciach. Czy naprawdę chciałam znać odpowiedź? Czy dobije mnie w momencie, w którym powinnam być silna bardziej niż kiedykolwiek?

Chase otworzył usta i zaraz je zamknął. Jego wzrok napotkał moje spojrzenie i dostrzegłam w nim jakąś dziką rozpacz, jakby błaganie, żebym wyczytała wszystko w jego myślach. I chociaż bardzo tego pragnęłam, nie byłam w stanie. Nie rozumiałam niczego. „O co chodzi? Czego boisz się powiedzieć?”

– Co się wydarzyło? – zapytałam, tym razem spokojniejszym głosem.

Wzrok mu zhardział, jego oczy przypominały teraz szklane paciorki.

– Nie wiem – odparł. – Ludzie się zmieniają, i tyle. – To powiedziawszy, chwycił wypchany zapasami plecak i ruszył po schodach w dół.

Szok zdławił w zarodku moje protesty, jak wiadro lodowatej wody ugasiłoby płomień.

Trzęsącymi się palcami zawiązałam szybko nowe buty i ruszyłam za nim.

* * *

– Co znalazłeś? – zapytałam na dole, kiedy mój oddech wrócił już do normy.

Chase znowu wydawał się ponury, niemal widziałam, jak nad jego głową zbierają się chmury burzowe. To zdusiło we mnie wszelką urazę i tylko na nowo podsycało rozdrażnienie. „Ludzie się zmieniają?” To mnie nie przekonało. Oczywiście, że był zupełnie inny, ale to wcale nie wyjaśniało, d l a c z e g o najpierw nas aresztował, a potem uwolnił. Za to wzbudzało we mnie chęć skopania mu tyłka. A jeszcze bardziej pragnęłam skopać własny, bo mimo tych wszystkich jego tajemnic martwiłam się. Nie wymyśliłam sobie tego szalonego spojrzenia w jego oczach. Było w nim teraz coś mrocznego, jakieś buszujące zło. I t o właśnie tak go zmieniało.

Nie chciał rozmawiać o przeszłości? Świetnie, nawet lepiej. W końcu musimy teraz skupić się na znalezieniu punktu kontrolnego.

– Apteczkę pierwszej pomocy, namiot i suszone produkty spożywcze, do których nie dobrały się szczury.

Pochyliłam się i wepchnęłam pod klapę plecaka wszystkie nowe ciuchy razem ze swetrem z zakładu poprawczego. Chase przymocował pod spodem wypchany śpiwór, ale ani razu przy tym na mnie nie spojrzął.

– Musimy iść – powiedział, zrzucając plecak na ramiona.

Nie miałam zegarka, ale domyślałam się, że jest pewnie koło ósmej. Do punktu kontrolnego mieliśmy jeszcze prawie dwie godziny drogi.

Parking wokół sklepu nadal był pusty. Nie wiem czemu, spodziewałam się zobaczyć jakiś samochód. Wysokie poranne chmury opadały coraz niżej i od czasu, gdy tutaj weszliśmy, przybrały grafitowy odcień. Pachnące siarką powietrze wydawało się zimne i naelektryzowane.

Ruszyłam za Chase'em dookoła budynku i prawie się z nim zderzyłam, bo nagle się zatrzymał.

Zachwiałam się, wyczuwając niebezpieczeństwo, zanim jeszcze zobaczyłam je na własne oczy.

Obok naszego auta znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden, na oko niespełna trzydziestoletni, miał potargane czarne włosy i zakrzywiony nos. Był ubrany w popielatą bluzę z kapturem i workowate spodnie moro. Na lewym ramieniu wisiała mu strzelba myśliwska. Drugi wystawał z samochodu – pod drzwiami od strony kierowcy widać było brudne buty do jazdy na deskorolce.

– Rick! Ej! – syknął ten pierwszy i machnął zamasyścić strzelbą w naszą stronę, po czym oparł ją sobie na ramieniu.

Po chwili usłyszałam znienawidzony dźwięk ładowanego magazynku.

Zamarłam. Od czasu wojny cywilom nie wolno było posiadać broni. Tylko Straż Obyczajowa ją miała.

No i dezterterzy. A byłam pewna, że akurat oni do nich nie należeli.

Facet zwany Rickiem wyłonił się z wnętrza auta: wysoki, nie tak bardzo jak Chase, ale i tak przewyższał mnie o głowę. Był też dobrze zbudowany

i nawet przez obszerne ubranie widać było jego muskulaturę. Brudne włosy sięgały mu do ramion – zarzucił je do tyłu gwałtownym ruchem głowy. Miał na twarzy wypisaną jakąś taką... ochoczość.

– Witaj, bracie! – zawołał.

Chase milczał. Jego twarz zdawała się wykuta ze stali.

– Może jest głuchy – odezwał się drugi mężczyzna.

– Jesteś głuchy? – zapytał Rick.

– Nie.

– No to chyba, bracie, za długo przebywasz z dala od ludzi. Bo jak ktoś mówi „witam”, to trzeba grzecznie odpowiedzieć.

– Nie prowadzę gadki szmatki, kiedy ktoś celuje mi w serce – odparł Chase cichym, opanowanym głosem. – I nie jestem twoim bratem.

Rick spojrzał na swojego kumpla, a potem przeniósł wzrok na nas. Zauważyłam, że ich skóra, a nawet oczy, mają żółtawy odcień, co dziwnie kontrastowało z szarym niebem i popiołem.

– Stan, nasi przyjaciele czują się przez ciebie nieswojo.

Stan zaśmiał się, ale nie opuścił strzelby. Poczułam ciarki na plecach.

– Jak masz na imię, skarbie? – Rick skierował swoje zainteresowanie na mnie.

Zacisnęłam palce na trzymanej kurtce. Nie odpowiedziałam, za to usilnie myślałam. Może nawet udałoby mi się wyjąć broń z torby Chase’a, ale zwróciłabym uwagę tego faceta ze strzelbą.

– Widzisz, Stan? Przestraszyłeś to biedactwo.

Rick zrobił krok do przodu. Chase zasłonił mnie, a wtedy Rick uśmiechnął się pogardliwie.

– Nie bądź skąpy, bracie. Mama cię nie uczyła, że trzeba się dzielić z bliźnimi?

Stan zaśmiał się ochryple, a ja poczułam, że nie jestem w stanie przełknąć śliny. Gardło miałam całkiem zaciśnięte.

Chase zrobił krok w stronę auta, a ja przywarłam do jego pleców.

- A wy dokąd? – Rick przysunął się bliżej.
- Odjeżdżamy – odparł Chase z przekonaniem.
- T y odjeżdżasz.
- Nie zostanę z wami! – wyrwało mi się.

Chase zeszywniał.

– Oooo, jaka przebojowa dziewczyna. – Rick powiedział to w taki sposób, że od razu przypomniałam sobie, jak Randolph mnie chwycił i nazwał „śmieciem”.

Chase przestąpił z nogi na nogę. Ręka Ricka natychmiast odskoczyła do tyłu i mężczyzna wyjął coś z za pasa. Chase nie musiał nawet patrzeć, doskonale wiedział, gdzie stoję. Popchnął mnie mocno i całkowicie zasłonił własnym ciałem.

Widziałam, jak Rick zsuwa skórzany pokrowiec z grubego, połyskującego noża o złowrogiej końcówce.

Krew pulsowała mi w uszach ze strachu. Z jakiegoś powodu ten nóż przerażał mnie bardziej niż strzelba. Nie wiedziałam dlaczego. Nic już nie wiedziałam.

- Połóż plecak – polecił Rick. – Ja zabieram auto i kluczyki.
- Wsiadaj – polecił mi cicho Chase.

Nie miałam pojęcia, co robić. Chase nie patrzył w moją stronę. Nie sądził chyba, że zostawię go samego z dwójką uzbrojonych facetów. Trzymanie się razem było naszą jedyną szansą. Jeśli nie będą chcieli mnie zranić, może – m o ż e – jego też oszczędzą.

Chase zsunął z siebie kurtkę i plecak. Spadły na ziemię.

- Chase – szepnęłam. – Nie odejdę.

Nie powinnam była mówić tego wszystkiego w sklepie. Teraz będzie próbował mnie ochronić, żeby się zrehabilitować.

- Wsiadaj do auta! – zakomenderował.

Stan, ze strzelbą nadal opartą na ramieniu, szybko się do nas zbliżał. Palec trzymał na cynglu.

– Nie! – odparłam stanowczo.

– Dobrze, bardzo dobrze. Tatuś się tobą zajmie – odezwał się Rick, a Stan tylko się roześmiał.

– Spokojnie – powiedział do nich Chase i sięgnął do kieszeni zasłoniętej koszulą.

– Tylko powoli, bracie – ostrzegł go Rick.

Obaj byli już całkiem blisko i – tak samo jak ja – nie spuszczaali wzroku z rąk Chase’a. Tymczasem on błyskawicznym ruchem wyjął zza pasa pałkę i machnął nią w dubeltówkę Stana. Metal przygniótł palce mężczyzny, aż ten krzyknął z bólu. Strzelba upadła z trzaskiem na ziemię.

Chase wykorzystał uniesioną pałkę i uderzył nią w bok, prosto w szczękę Ricka. Siła uderzenia była tak wielka, że wytrąciła Chase’owi pałkę z ręki i cisnęła nią o ścianę budynku. Rick zachwiał się, ale szybko odzyskał równowagę i ruszył na nas z nożem. Poczułam, jak ogarnia mnie panika. Zaraz potem zepchnął mnie z drogi. Chwilę później usłyszałam dźwięk rozdieranego materiału, jęk, a potem na bicepsie Chase’a pojawiła się purpurowa linia. Flanelowy materiał koszuli przykleił się od razu do zakrwawionej skóry.

– Chase! – wrzasnęłam, podnosząc się z ziemi.

Stan zaklął, co tylko przypomniało mi o jego obecności. Działając instynktownie, popędziłam w stronę leżącej na ziemi broni, ale ledwie do niej dotarłam, Stan rzucił się na mnie. Przywarł do moich pleców całym swoim ciałem: ciężkim, cuchnącym starym potem. Zaciśnęłam zęby i objęłam palcami drewnianą rękojeść strzelby, a poranione kostki moich dłoni zaszurały na asfalcie.

Stan chwycił mnie za włosy i szarpnął mocno do tyłu, aż krzyknęłam. Ból rozszedł się promieniście po całej mojej głowie, po czym zniknął.

Odwróciłam się. Chase właśnie rzucił Stana na maskę samochodu, po czym kopnął go z całej siły w brzuch. Facet upadł na kolana i dławił się, podpierając rękoma. Nie przyglądałam mu się dłużej. Podniosłam strzelbę

i ruszyłam biegiem do auta. Bez namysłu upchnęłam broń za siedzeniem.

Odwróciłam się w tej samej chwili, w której Rick – z twarzą umazaną krwią, która lała mu się z nosa strumieniem – rzucił się od tyłu na Chase'a. Znów ogarnęła mnie panika. Nigdzie nie widziałam noża.

Zaczęłam gorączkowo przeszukiwać ziemię, z nadzieją, że nóż nie tkwi w ciele Chase'a. Zamiast noża znalazłam tylko pałkę. Leżała niedaleko przednich kół, obok charczącego Stana. Podniosłam ją, gotowa biec na ratunek Chase'owi, ale przeszkodził mi w tym Rick. Zakrwawiony i rozwścieczony, chwycił mnie za kołnierz koszulki i pociągnął tak mocno, że straciłam równowagę. Wiedziałam, że zamierza użyć mnie jako tarczy przeciwko Chase'owi.

Zaczęłam wymachiwać pałką na wszystkie strony. Dwa, może trzy razy trafiłam na coś twardego, ale nie miałam pojęcia, czy to było coś, czy ktoś. Obcięte włosy oklejały mi twarz, przesłaniając widok. Nagle zostałam popchnięta na chodnik.

Jakiś dźwięk – ni to jęk, ni charkot – przedostał się przez zagłuszające wszystko pulsowanie w uszach. Uniosłam głowę i ku swojemu przerażeniu zauważyłam, że Chase przyparł Ricka do ściany sklepu i przyciska do betonowego muru tak, jakby chciał go udusić. Jakby chciał go zabić.

Zażółcone oczy Ricka mało nie wyszły z orbit. Mężczyzna machnął bezwładnie ręką, jakby chciał się uwolnić z morderczego uścisku.

– Chase! – wydyszałam.

Kiedy zdałam sobie sprawę z jego zamiarów, poczułam się tak, jakby w powietrzu zabrakło nagle tlenu.

– CHASE!

Usłyszał mój głos, ale sprawiał wrażenie, jakby obudził się z głębokiego snu. Przestraszony puścił Ricka, a ten osunął się na ziemię.

Wpatrywałam się w ciało mężczyzny zupełnie przerażona. Oddychał. Żył.

Ledwie żył.

Sekundę później poczułam ostre szarpnięcie za ramię. Chase niemal podniósł mnie z ziemi. Na policzku miał rozsmarowaną krew, ale poza tym wydawał się cały.

– Auto. S z y b k o – powiedział. Jego oczy były tak czarne, że nie potrafiłam dostrzec ciemnobrązowych tęczynek wokół źrenic.

Posłuchałam. Pobiegłam na odrętwiałych nogach, otworzyłam drzwi od strony kierowcy i wsunęłam się na swoje siedzenie. Cały czas nie spuszczałam z oczu obu leżących na chodniku mężczyzn. Chase zadziałał sprawnie. Chwycił to, co zdobyliśmy w sklepie, i wepchnął do samochodu. Chwilę później uruchomił silnik i odjechaliśmy z parkingu z piskiem opon.

ROZDZIAŁ 7

Pruliśmy pustą szosą, a koła podskakiwały z takim impetem, że bałam się, by nie odpadły.

Oddychałam z trudem. Wzrok utkwiłam w tylnej szybie i wypatrywałam jakichkolwiek oznak pościgu. W rękę nadal trzymałam pałkę – niczym miecz w geście obrony.

– Nic ci nie jest? – zapytał Chase.

Zerkał na mnie. Odrywał wzrok od krętej drogi tak często, jak tylko mógł. Włosy miał poszarzałe, ubranie również: wszystko było przyprószone taką samą cienką warstwą pyłu, jaka pokrywała asfalt. Ale jego oczy, pociemniałe od niepokoju, nagle wydały mi się dziwnie znajome. Taksowały właśnie moje ciało, próbując dostrzec, czy nie jestem ranna.

Nie rozumiałam tego wszystkiego. Jeszcze przed chwilą był żołnierzem, pozbawionym emocji robotem, który próbował zabić tamtego faceta. I zrobiłby to, gdybym go nie powstrzymała.

Chciałam coś powiedzieć, ale miałam zbyt ściśnięte gardło.

– Ręka? A co z głową? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami. Chase sięgnął szybko po pałkę, ale odsunęłam się bez namysłu, a tam, gdzie wcześniej siedziałam, został tylko tuman szarego pyłu.

Chase gwałtownie wciągnął powietrze do płuc.

– Okej... nie dotknę cię – powiedział, unosząc rękę w geście poddania.

Chwilę później odwrócił się do kierownicy, ale widziałam, jak drży mu krtań.

Nie, nie chciałam, żeby mnie dotykał. Nie po tym, jak jego ręce zaciskały się na szyi tamtego człowieka.

– Miałeś zamiar go zabić? – zapytałam niemal szeptem.

Dobrze znałam odpowiedź, ale oddałabym wszystko, byle tylko

powiedział, że nie. Że źle to wszystko odebrałam. Że przesadzam. Tak bardzo pragnęłam, by Chase nie okazał się bezwzględny jak Morris, Randolph i inni żołnierze.

Nie spuszczał wzroku z drogi – wymijał śmieci zgromadzone w stosach wzdłuż betonowych barierek.

– Chase? – zaczęłam, z trudem przełykając ślinę. Chociaż wydawało się to zupełnie niemożliwe, moje serce waliło jeszcze mocniej.

Nie odpowiedział.

Nagle zdałam sobie sprawę, że po plecach przechodzi mi zimny dreszcz. Zaczęłam dygotać. Wojskowa pałka wydała się taka gorąca w moich lodowatych palcach, że upuściłam ją na podłogę. Przycisnęłam kolana do brody i pomyślałam, że to siedzenie jest za małe, że tłoczmy się zbyt blisko siebie.

– M-m-możesz zwolnić? – zapytałam.

Wszystko poruszało się zbyt szybko. A przecież tak właśnie musiało być, w przeciwnym razie dogoniłyby nas te wszystkie strachy i okropności. Mimo to ledwo żyłam.

Pokręcił przecząco głową.

Cisza, która potem zapanowała, przyniosła jedną pozytywną rzecz. Dała poczucie dystansu. Z każdym kolejnym kilometrem Chase coraz bardziej się ode mnie oddalał.

* * *

Kiedy w końcu opuściliśmy Czerwoną Strefę, rana zmusiła Chase'a do zatrzymania samochodu. Duszne wnętrze wypełniło się ostrym, metalicznym zapachem, a wtedy przypomniałam sobie, że przecież Rick go zranił. Krew z prawego ramienia kapała na tapicerkę coraz wolniej, bo zaczęła już krzepnąć, jednak ciągle się sączyła. Zerknęłam na nią tylko na moment, bo na widok kałuży na popękany beżowym siedzeniu żołądek mi się zacisnął z niepokoju.

Zdążyłam już usunąć żwir ze skaleczeń na kostkach dłoni, ale kiedy

zaczęłam nerwowo ścisnąć nowe dzinsy, kilka starszych ran znów się otworzyło.

Ciągle zadawałam sobie to samo pytanie: „Co tam się tak naprawdę wydarzyło?”.

Zamach lufą strzelby. Błysk wyciągniętego noża przypominającego kształtem sierp. „Tatuś się tobą zajmie”. Strzępy tych przerażających minut, tak wyraziście, jakby wszystko właśnie się działo. A potem walka.

Gdy zaczęłam odtwarzać to w myślach, poczułam, jak serce mi wali, a całe ciało oblewa zimny, lepki pot. Podczas tego starcia gdzieś zatarła się granica między dobrem i złem. Dobro stało się złem, a zło dobrem.

„Nie” – przekonywałam sama siebie. „Chase tylko próbował nas bronić”. Rick i Stan nadal pozostawali tymi złymi.

Jednak cały czas widziałam to nieobecne, rozwścieczone spojrzenie Chase’a, kiedy przyciskał bezwładne ciało Ricka do ściany. I chociaż wmawiałam sobie, że tylko nas chronił, nie byłam wcale tego taka pewna. W tamtej chwili Chase zapomniał o otaczającym świecie, stał się bezduszną maszyną.

I nie chodziło wcale o strach, że mnie też kiedyś skrzywdzi. Nie wydawało mi się to możliwe. Dawny Chase nigdy by nic takiego nie zrobił. Ale ten żołnierz...

Nie chciałam mieć nic wspólnego z Chase’em zabójcą, bez względu na to, jak niebezpieczna byłaby moja podróż bez niego, bez względu na to, co kiedyś nas łączyło. Nawet jeśli zostało w nim jeszcze trochę dawnego Chase’a, ta silniejsza, bardziej niebezpieczna natura ciągle czaiła się pod powierzchnią.

Zanim dojechaliliśmy do Winchester, niewielkiego miasteczka w Wirginii nadal zamieszkiwanego przez cywilów, podjęłam decyzję, że go zostawię.

W głowie zaczął mi się rysować plan. W kieszeni nadal miałam resztę ze stacji benzynowej. Mogłabym wrócić drogą do Winchester, w końcu było jeszcze dość wcześnie, i odszukać kuriera, zanim wybije południe.

Miałam dobrą intuicję, jeśli chodzi o ludzi – znalazłabym kogoś, komu można zaufać, i poprosiła o pomoc w odnalezieniu dworca. Jeśli to miasteczko przypominało choć trochę moje rodzinne miasto, w dni powszednie autobusy powinny odjeżdżać o dwunastej w południe. A potem wystarczyłoby wmieszać się w tłum, jak to robiłam w szkole średniej. Ani dusza towarzystwa, ani typ samotnika. Ot, pośrodku. Jeżeli będę chodziła z opuszczoną głową i nie utknę bez ruchu w jednym miejscu, Straż Obyczajowa wcale mnie nie zauważy.

Kupując bilet, podam fałszywe nazwisko. A kiedy poproszą o dowód tożsamości, powiem, że oficer zabrał podczas kontroli – tak jak zablokował Chase, gdy zatrzymał nas patrol.

Przez całe życie troszczyłyśmy się z mamą same o siebie, więc z pewnością dam radę odbyć krótką podróż do Karoliny Południowej, bez względu na to, czy jestem poszukiwana, czy nie.

Pod Winchester poprosiłam Chase'a, żeby się zatrzymał, bo muszę się załatwić, ale kazał mi poczekać. Pokazałam palcem na kapiącą mu z ramienia krew, jednak zamiast zająć się raną, on tylko wytarł rękawem czerwoną kałużę.

Wjechaliśmy na tereny wiejskie. Najpierw naszym oczom ukazały się sady owocowe z ogołocionymi drzewami, pokryte szarym pyłem i obrosnięte wysokim zielskiem. Potem pojawiły się pola kukurydzy w podobnym stanie. Jazdę spowalniały porzucone samochody, rudo-czarne od rdzy i pleśni. Większość stała na poboczu, ale niektóre dokończyły żywota na środku drogi. Chase przyglądał się im bacznie, wypatrując, jak się domyśliłam, czających się gdzieś śmieciarzy. Niemal każdy samochód miał powybijane szyby i zapewne został okradziony ze wszystkiego, co cenne, ale nie oznaczało to wcale, że ktoś nie mógł się tu jeszcze pojawić w poszukiwaniu łupów.

Dookoła panowała dziwna, niemal cmentarna cisza. Taki martwy bezruch, od którego ciarki przechodziły mi po plecach. Kiedy padło

Baltimore, a może Waszyngton, tędy przebiegała jedna z tras ewakuacji. Dawno temu widziałam to miejsce w wiadomościach – pokazywali je z lotu ptaka tuż po pierwszych atakach. Wtedy jeszcze dziennikarze mogli używać helikopterów, później zakazano wszystkich niewojskowych lotów.

Masowa ewakuacja. Ulice były wtedy szczelnie wypełnione samochodami oraz pieszymi, a kiedy zdarzył się jakiś wypadek albo samochód z przegrzanym silnikiem zablokował drogę, ludzie spali na rozstawionych przy szosie łózkach w punktach Czerwonego Krzyża. Pamiętałam, jak pokazywali bijących się ludzi oraz ofiary przegrzania. I dzieci błakające się po okolicy w poszukiwaniu rodziców.

Niektóre miasta zaczęto odbudowywać, ale ta szosa od ośmiu lat była zapomniana.

Chase zjechał z chodnika na wyboiste pobocze i okrążył połamany stół jadalny. Większość przykurzonych łodyg rosnących przy samej szosie została wcześniej zdeptana przez szabrowników albo rozjechana przez auta, których kierowcy podczas ewakuacji nie chcieli czekać cierpliwie w korku. Ale za nimi znajdowało się gęste pole, które mogło być wystarczającą osłoną podczas ucieczki.

Chase jęknął z bólu i przełączył bieg. Poczułam przyływ adrenaliny. Za chwilę nadejdzie właściwy moment.

Początkowo się rozzłości, w końcu dał mojej mamie wymuszone słowo. Miałam nadzieję, że nie będzie mnie szukał zbyt długo. Powinien się domyślić, że poszłam odnaleźć kuriera, i pewnie poczuje ulgę, że ma mnie z głowy. Będzie mógł wrócić do swojego życia. Tak jak to zrobił wcześniej. Owszem, jego kariera wojskowa legła w gruzach, ale nie można mnie za to winić. Dawny Chase nigdy nie chciał zostać wcielony do wojska. Dawny Chase nienawidził SO.

Wysiedliśmy z samochodu jednocześnie. Poruszałam się ostrożnie, kątem oka obserwowałam, czy na mnie nie patrzy. Podniósł siedzenie zdrową ręką, mrużąc coś o apteczce.

„No idź”. Dlaczego tak się ociągałam?

„Ponieważ to przez ciebie on jest taki” – usłyszałam jakiś wewnętrzny głos. Mogłam się sprzeczać, że to nie do końca prawda, jednak w rzeczywistości... Faktycznie, kiedyś mogłam to wszystko zmienić.

Nadal miałam przed oczami ten obraz, kiedy stał pod moim domem ze swoim motocyklem, a deszcz ściekał mu z włosów, brody i przemoczonego ubrania.

„Wystarczy, że powiesz, abym nie szedł”.

Oczy mu wtedy płonęły tyloma sprzecznymi emocjami, ale ja się tylko bałam. Bałam się, że przyjdą po niego, żeby go ukarać, i że to będzie moja wina, bo nie chciałam go puścić. Bałam się, że jeśli nie znajdę w sobie siły, by się pożegnać, moja mama zostanie tu sama.

List zadygotał w moich drżących palcach. Nie chowałam go przed deszczem, chciałam, żeby woda zmyła wszystkie słowa, ale za każdym razem, gdy na nie patrzyłam, widziałam tę samą treść.

„Chase Jacob Jennings: Zgodnie z postanowieniami Ustępu 1 Paragrafu 4 Prawa Obyczajowego Stanów Zjednoczonych niniejszym wzywamy obywatela do natychmiastowego stawiennictwa w Federalnym Biurze Naprawczym. Ten dokument stanowi trzecie i ostateczne wezwanie”.

Na widok jego miny serce mi prawie pękło.

Tylko jedno słowo, Em. Powiedz, że chcesz, abym został.

Gdybym je wtedy powiedziała, nie stawilby się na komisji. Nie aresztowałby mojej mamy. A ja nie poznałabym Ricka, Stana, Brock, Randolpha i Morrisa. Nie wiedziałabym, jak to jest tęsknić za nim do bólu. Każdego dnia.

Zaczęło padać, pojedyncze krople stanowiły zapowiedź zbliżającej się burzy. Gdzieś w oddali rozległ się złowrogi grzmot. Kiedy się odwrócił, włożyłam rękę do auta i chwyciłam czekoladę – żeby przetrwała, jeśli nie trafię szybko na tutejszą kuchnię rozdającą darmową zupą.

Miałam trochę pieniędzy, jedzenia i ubrań. Musiało mi to wystarczyć.

Popatrzyłam na Chase'a po raz ostatni. Włosy miał skleione od potu, zapewne z powodu bólu, jaki odczuwał. Wzbudziło to we mnie wszechogarniające uczucie bezradności, a wiedziałam, że nie mogę sobie teraz pozwolić na nic podobnego.

Nic mu nie będzie. Chase był twardzielem i ja też musiałam taka być.

– Żegnaj – szepnęłam.

Wiedziałam, że mój głos brzmi zbyt cicho, by mógł mnie usłyszeć. Odsunęłam się od samochodu, z trudem dusząc w sobie potężne uczucie żalu.

– Muszę się załatwić – powiedziałam łamiącym się głosem.

– Idź – jęknął, zajęty odrywaniem koszuli od rany. – Ale nie oddalaj się zbyt daleko.

Skinęłam głową, odwróciłam się szybko i ruszyłam między rzędami kukurydzy jak najdalej od szosy.

* * *

Mój plan był prosty: chciałam oddalić się jak najbardziej od samochodu, a potem skręcić i iść dalej równoległe do szosy. Poruszałam się szybko, często oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy Chase nie idzie za mną.

Ze wszystkich stron otaczały mnie wysokie pożółkłe badyle, a ostry zapach zgniłej kukurydzy atakował moje zmysły. Kiedy samochód zniknął mi zupełnie z oczu, skręciłam ostro w bok, jednak tutaj rzędy kukurydzy nie były już takie równe. Co chwila musiałam omijać kępy roślin, przez co przestałam się poruszać w linii prostej.

Zgubiłam się.

Łodygi były zbyt wysokie, a ja ciągle napotykałam kręte koleiny wyrzeźbione przez samochody, co tylko pogłębiało moją dezorientację. Podniosłam wzrok, jednak niebo nie straciło swojej ołowianej barwy. Nawet gdybym potrafiła znaleźć drogę po położeniu słońca, teraz i tak nie było to możliwe. Nie wiedziałam, co robić.

Zaczął padać, najpierw delikatnie, a potem deszcz przybrał na sile.

Uderzał w wysuszone kolby, coraz głośniej i głośniej, aż w końcu przedzierałam się przez gęstwinę, ledwo słysząc własne kroki.

Odgarnęłam włosy z twarzy i wytarłam zalane deszczem oczy, próbując zapanować nad oddechem. Nie nałożyłam kaptura, bojąc się, że w ten sposób nie zauważę jakiegoś ważnego punktu albo przesieki, która pozwoli mi wrócić do drogi. Obróciłam się dookoła własnej osi, ale deszcz rozmył już moje ślady. Nie było odwrotu. Gdziekolwiek spojrzełam, wszystko wyglądało identycznie. Po plecach przeszedł mi dreszcz przerażenia.

– Weź się w garść – powiedziałam do siebie na głos.

Doskonale zdawałam sobie sprawę z każdej upływającej sekundy i wiedziałam, że muszę szybko dostać się do Winchester. Złapać autobus i odnaleźć kuriera. Nie miałam czasu na panikę.

Czułam, że oddalam się od mamy.

Przestraszona, zaczęłam biec, z poczuciem, że muszę uciec z więzienia, które sięgało pół metra ponad moją głowę. Waliłam rękoma na oślep, żeby utorować sobie drogę, ale ostre liście kukurydzy rozcinały mi skórę. Za każdym razem, gdy powaliłam łodygę, na jej miejsce pojawiała się następna.

„Zwolnij” – powiedziałam sobie. „Oddychaj. Myśl!”

Jednak moje ciało odmawiało posłuszeństwa. Nie widziałam nigdzie drogi do Winchester, nie byłabym nawet w stanie wrócić do samochodu. Dopadł mnie strach. Biegłam dalej, czując, jak pot miesza się z deszczem, lejącym się z nieba złośliwie. Gdzie jest ta szosa?

W pewnym momencie upadłam prosto w kałużę, a błoto prysnęło mi na twarz i w usta. Wyplułam to, co się dało, i dławiąc się, pobiegłam dalej.

W końcu zauważyłam w oddali gołe pole. Bez wahania ruszyłam w tamtym kierunku. Nie obchodziło mnie już, czy przypadkiem nie wracam do auta, byle tylko zorientować się w położeniu. Kiedy znalazłam się bliżej, zobaczyłam więcej. Zatrzymałam się, złapałam za kolana i ciężko dyszałam, uradowana, że nie jestem już sama.

Przede mną znajdowała się przyczepa podwójnej szerokości, w takim samym burożółtym kolorze jak skóra i oczy Stana oraz Ricka. W jednym narożniku, tam gdzie wiatr zerwał okładzinę, została zabezpieczona pasem blachy. Na ziemi stały trzy wielkie plastikowe zbiorniki, na tyle przezroczyste, że mogłam dostrzec ich płynną zawartość – zapewne deszczówkę. Z futryny drzwi zwieszało się kilka poruszanych wiatrem dzwoneczków. Nie słyszałam ich dźwięku, bo zagłuszał go zacinający deszcz.

Na kwadratowym betonowym podeście, na bujanym fotelu siedziała kobieta i przyglądała się burzy. Dresowe spodnie wisiały jej na łydkach, ramiona miała luźno przykryte dzierganym na drutach swetrem w kolorze śliwki. Sprawiała wrażenie, jakby kiedyś miała mocną budowę ciała, a potem nagle schudła i został jej nadmiar skóry. Widziałam zwisającą fałdę pod brodą i kolejne na nagich ramionach. U stóp kobiety leżał kremowy labrador.

Za domem stał samochód, a za nim widać było zwirową drogę.

Od razu poprawił mi się nastrój. Kobieta wyglądała przyjaźnie, równie dobrze mogła być mamą jakiejś mojej koleżanki, siedzącą na ganku i czekającą, aż dzieci wrócą ze szkoły. Może mogłaby podwieźć mnie do miasta?

Albo nawet do punktu kontrolnego.

„Rudy Lane 190” – powtarzałam w myślach adres.

Poczułam w brzuchu nerwowe klucie, w pamięci miałam głos Chase’a, że nigdzie nie jest bezpiecznie. No cóż, był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Wyszłam spomiędzy kukurydzy na przecinkę, jakieś pięć metrów od miejsca, w którym siedziała kobieta. Podskoczyła tak, że niemal strąciła fotel z podestu.

– Halo? – zawołałam, podchodząc do niej powoli. Starłam się przybrać jak najbardziej niewinną pozę. – Przepraszam, ale chyba się zgubiłam. Być może pani będzie mogła mi pomóc.

Kobieta miała szeroko rozstawione oczy i spłaszczony policzki, z których

na mój widok odpłynęła cała krew. Otworzyła usta i z roztargnieniem zaczęła wygładzać pokryte siwizną włosy. „Chyba już dawno nie miała żadnych niespodziewanych gości” – stwierdziłam.

– Och! – odezwała się nagle i gestem nakazała mi, bym podeszła bliżej. – Deszcz! Cała zmokłaś! Chodź no tutaj!

Ruszyłam ostrożnie w stronę stopni. Kobieta była drobniejsza, niż mi się wydawało, dobrych kilkanaście centymetrów niższa ode mnie. Kiedy znalazłam się pod markizą, położyła delikatnie rękę na moim ramieniu, a potem pogłaskała mnie, jakby chciała się upewnić, czy naprawdę istnieję. Nagle zdałam sobie sprawę, jak muszę wyglądać, ubłocona i kompletnie przemoczona. Przeciągnęłam dłonią po twarzy, z nadzieją, że nie jest zbyt brudna.

Teraz dobrze słyszałam wietrzne dzwonki, ich brzęczenie było wręcz ogłuszające. Aż podskoczyłam, gdy rozległ się wyjątkowo donośny dźwięk, którego kobieta zdawała się w ogóle nie zauważać.

– Wyglądasz, jakbyś miała parszywy dzień – stwierdziła.

Z mojej piersi wyrwał się śmiech, a może szloch – nie byłam pewna. Chwilę później obie się uśmiechałyśmy.

– Och, przepraszam, przepraszam. Wchodź, zaraz zrobię herbaty.

Zatrzymałam się przy drzwiach, podczas gdy ona weszła do środka. Pies, do tej pory zupełnie mnie ignorujący, powąchał anemicznie moją rękę, przytykając do niej białawy nos, a potem wlaźł do przyczepy.

Zajrzałam do środka. Rozglądałam się od jednego końca do drugiego, ale uderzył mnie odór, tak wstrętny i gryzący, że aż mi oczy zaszyły łzami. W ciepłym wnętrzu krążyły roje much, a od ich bzyczenia, połączonego z dźwiękiem dzwonek i ulewy, zaczęła mnie boleć głowa.

W przyczepie panował niewyobrażalny bałagan. Brudne naczynia piętrzyły się w niewielkim metalowym zlewie oraz na blacie. Na składanym stoliku leżały papierowe chusteczki i szmatki we wszystkich możliwych kolorach i rozmiarach. W stojącym w najdalszym kącie łóżku wydzielono

tylko tyle wolnego miejsca, by zmieścić jedną osobę.

Kobieta zaczęła grzebać w stosie naczyń, zapewne szukając czystego kubka. W końcu dała za wygraną i wzruszyła ramionami, a policzki pokraśniały jej z zakłopotania.

– Proszę się nie przejmować – powiedziałam, przekrzykując hałas. – Nie chce mi się aż tak bardzo pić. Zastanawiałam się tylko, czy nie mogłaby mnie pani podwieźć. Mam rodzinę w Harrisonburg – dodałam.

Odór był tak silny, że musiałam się cofnąć.

Kobieta przydreptała bliżej i chwyciła mnie za rękę. Jej dłoń wydała się ciepła i miękka, ale ten bliski kontakt mnie przestraszył. Dobrze, że nie wyczuła mojego dyskomfortu – nie chciałam, żeby wzięła mnie za nieuprzejmą osobę. Przecież proszę ją o przysługę.

– Nie możesz jechać, skarbie. Nie w taką pogodę. Wejdz, proszę.

– Prawdę powiedziawszy, czekają na mnie. – Próbowałam się uśmiechnąć. – Jestem pewna, że już się niepokoją.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi zrobiłam krok do przodu i nagle zdałam sobie sprawę z tego, że otaczają mnie cztery ściany. Pomieszczenie było za małe dla dwóch osób, psa i całego tego bałaganu. Kiedy próbowałam przełknąć ślinę, duszne powietrze przyklejało mi się do gardła. Nieświadomie zaczęłam przesuwać rękę do tyłu.

– Przepraszam za ten nieporządek. Ciężko mi, odkąd zabrakło taty – powiedziała kobieta. Zadrżała jej dolna warga i zafalowała luźna skóra łącząca brodę z szyją.

Nie wyobrażałam sobie, jak mogła żyć z dorosłym mężczyzną w tak zagraconym pomieszczeniu. Zaczęłam się zastanawiać, gdzie jej ojciec sypiał – miałam nadzieję, że nie razem z nią.

– Przykro mi z tego powodu... – powiedziałam i zamarłam z szeroko otwartymi oczami.

Teraz widziałam to, co wcześniej było ukryte za wieszakiem. Z zamocowanego do sufitu haka zwisało zwierzęce ścierwo, może metrowej

długości. To ono było źródłem smrodu. Na podłogę kapłała krew, a pies właśnie ją zlizywał. To coś – cokolwiek to było – zostało odarte ze skóry i przybrało sinobiały odcień. Larwy i muchy tłoczyły się z jednej strony, zupełnie zgniłej. Poczułam w ustach smak kwasów żołądkowych i z trudem je przełknęłam.

– Bo wiesz, odłączyli wodę. I prąd. Mam trochę rzeczy z domu starego Johna, ale... No wiesz... – Kobieta machnęła ręką, zupełnie nie zwracając uwagi na moją reakcję. – To już nieważne, liczy się to, że jesteś.

– Ja... eee... – Odwróciłam się w stronę drzwi, czując, jak ręka kobiety zaciska się na mojej.

– Podoba mi się ta fryzura – powiedziała.

Przysunęła się bliżej, a ja automatycznie zrobiłam krok do tyłu.

– Podoba... się... – zaczęłam, zbyt zaniepokojona widokiem martwego zwierzęcia w jej salonie, żeby dokończyć zdanie.

Pies nadal lizał krew, która poplamiała widoczne spod kurzu linoleum.

– No tak. Przecież zawsze powtarzałam, że lepiej ci będzie w krótszych włosach.

Ze wszystkich rzeczy, jakie się wydarzyły, odkąd pojawiłam się na progu przyczepy, ta uwaga przeraziła mnie najbardziej. Cudem powstrzymałam się, żeby jej nie odepchnąć i nie rzucić się do drzwi.

– Proszę pani... przepraszam, nie wiem, jak się pani nazywa... – powiedziałam. Wyszarpnęłam rękę i zderzyłam się z wieszakiem.

– Alice, przecież wiesz, że nie lubię, kiedy się tak do mnie zwracasz. Mów mi mammo.

– Mammo...

– O właśnie, skarbie.

Widać było, że kobieta absolutnie nie zamierza pozwolić mi wyjść.

– Nie, to znaczy... ja nie jestem Alice. Pani nie rozumie. Przepraszam, nie powinnam była tu przychodzić – powiedziałam i odwróciłam się do wyjścia.

Kobieta rzuciła się z zaskakującą zwinnością, zagroziła mi przejście,

uczepiając się rękoma futryny w drzwiach.

– Proszę mnie wypuścić – odezwałam się drżącym głosem.

Między nami kłębiły się muchy. Smród stawał się coraz silniejszy, a moje przerażenie rosło z każdą chwilą. Z trudem powstrzymywałam się od wymiotów.

– Skarbie, chodzi ci o Luke’a? Przepraszam, bardzo cię przepraszam. Ale mówiłam, odcięli nam prąd i wodę. Kukurydza wyschła, a stary John potrzebuje większości jedzenia dla swojej rodziny. Musiałam go zabić, Alice. Wiem, że go kochałaś, ale ja już umierałam z głodu – paplała gorączkowo.

Twarz jej pobladła, a luźne fałdy skóry zaczęły się trząść.

– T o c z ł o w i e k? – pisnęłam i wbrew rozsądkowi spojrzałam na zwisającego z sufitu trupa.

Żołądek znowu podszedł mi do gardła.

– Luke? Przecież to twój szczeniak! Nie pamiętasz? Och, Alice, obiecuję, znajdziemy ci innego pieska – odparła kobieta, a jej oczy wypełniły się łzami.

Naprawdę przejęła się tym, że mnie uraziła. Mnie... czy też Alice.

Dźwięk wylizywanej przez psa krwi doprowadzał mnie do ostateczności. Próbowałam zakryć usta dłonią, lecz na próżno. Zwymiotowałam na podłogę.

Kobieta odeszła ostrożnie od drzwi i chwyciła za ręcznik, po czym z matczyną dobrocią wytarła mi usta. Odsunęłam ją od siebie słabym ruchem ręki. Kolana miałam jak z waty, w głowie mi się kręciło. Skupiłam wzrok na otwartych drzwiach, na świeżym, chłodnym powiewie wolności.

– Muszę iść – powiedziałam.

– Nie, Alice, wszystko jest już dobrze. Wróciłaś i wszystko będzie dobrze – powtarzała.

Objęła mnie, ale wyrwałam się, niechcący następując na ogon psa. Zaszczekał wściekle, szczerząc na mnie kły.

– Maks! – krzyknęła kobieta, a wtedy wrócił do wylizywania podłogi.

– Moi przyjaciele czekają – spróbowałam.

Gardło paliło mnie od żółci, a z oczu lały się łzy. Wszystko dookoła

wirowało. Kurczyło się.

– Nie, kochanie. Mama jest twoim jedynym przyjacielem – powiedziała.

Wyminęłam ją chwiejnie, a ona, próbując mnie zatrzymać, objęła mnie w pasie. Jak wąż zaciskający się na swojej ofierze.

– Alice, kochanie...

– Puszczaj! – krzyknęłam.

Kiedy zaczęłyśmy się szamotać, wróciły mi siły. Gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że nie chcę jej skrzywdzić, ale będę do tego zmuszona, jeżeli natychmiast mnie nie wypuści.

– Proszę, Alice! – błagała z wysiłkiem, płacząc głośno.

W końcu udało mi się uchwycić futryny i przeciągnęłam się w stronę drzwi. Przy pierwszym powiewie wilgotnego powietrza zwiększyłam wysiłek, oddychając głęboko. Kobieta trzymała mnie coraz mocniej. Coś metalowego spadło z brzękiem z blatu na podłogę, a wietrzne dzwonki uderzyły jeden o drugi: istna kakofonia.

„Uciekaj!” – zakomenderował mój umysł.

Ugięłam kolano i niczym oślica kopnęłam ją z całej siły w goleń. Krzyknęła, puściła mnie i osunęła się na podłogę.

Odwróciłam się ze strachem, że za bardzo ją skrzywdziłam. Ku mojemu przerażeniu zwinęła się na brudnej wykładzinie, w kłębach psiej sierści i śmieciach, po czym zaczęła płakać. Labrador przestał wylizywać krew i zabrał się do lizania jej twarzy.

– Co tu się dzieje? – rozległ się męski głos. Ten, którego już nigdy nie miałam usłyszeć.

Rzuciłam się na Chase’a. Miał ponurą, ale kamienną twarz. Wyczuł, że musimy się spieszyć, chwycił mnie za rękę i pociągnął na zewnątrz. Potknęłam się o fotel, ale odzyskałam równowagę i pobiegłam dalej. Zatrzymałam się dopiero na krawędzi pola kukurydzy, kiedy zauważyłam, że nie ma go ze mną. Stał w progu z wahaniem, blokując drogę tamtej kobiecie.

Zacząłam wciągać do płuc hausty świeżego powietrza, wdzięczna, że deszcz uderza mnie w twarz. Mój żołądek nadal pozostawał zwinięty w supeł. Jak mogłam być tak głupia i wejść do przyczepy? Jak mogłam sądzić, że ona mi pomoże?! Moje plany i moja intuicja okazały się równie bezużyteczne. Świat inny niż moje rodzinne miasteczko okazał się tak samo obcy jak daleka planeta.

Zagrzmiało, a niebo przeszył biały rozgałęziony piorun.

– Cholery jedne z biura, nie możecie jej zostawić w spokoju? – krzyknęła kobieta.

Widziałam ją w drzwiach, kiedy Chase biegł w moją stronę. Nadal leżała na podłodze, obejmując się ramionami.

– Szybciej! – popędziłam go.

Kolana mi dygotały, a w pamięci nadal miałam smród i dźwięk bzyczących much.

– Alice! – płakała kobieta. – Przepraszam za Luke’a! Alice!

W tej chwili byłam rozdarta pomiędzy strachem, współczuciem, odrazą i poczuciem winy, że moja obecność zaburzyła jej kruchą równowagę. A potem kobieta zaczęła wrzeszczeć: był to mrozący krew w żyłach dźwięk, który zakończył się dławiącym szlochem. Rzuciłam się na oślep w pole kukurydzy.

* * *

Chase biegł pierwszy i poruszał się bardzo szybko. Nie zajęło mi zbyt wiele czasu rozpracowanie, że oznaczył drogę, zginając łodygi kukurydzy pod kątem prostym.

„Sprytnie” – pomyślałam.

Po kilku minutach zatrzymał się gwałtownie, chwycił mnie mocno za ramiona i potrząsnął.

– Nie rób tego więcej! Mówiłem, że masz się nie oddalać!

A potem odwrócił się tak samo nieoczekiwanie i ruszył przed siebie. Słyszałam, jak ciska przez ramię niezrozumiałe komentarze, jednak już

na mnie nie spojrział.

Za to ja ciągle zerkałam do tyłu, przerażona i niemal pewna, że ta kobieta zrobi wszystko, żeby mnie złapać. Przyspieszyłam i zrównałam się z Chase'em.

– Wariatka, pewnie od miesiący tam siedzi – mówił. – Ale dlaczego nazywała ciebie Alice? I kim jest Luke?

Poczułam się, jakby nacisnął spust naładowanej broni. Osunęłam się na kolana i podparłam, dysząc ciężko. Przed oczami miałam mroczki, a moim ciałem wstrząsały skurcze. Ciągle czułam smród martwego, gnijącego zwierzęcia. Czułam w ustach jego smak.

Chase zatrzymał się i uklęknął przy mnie. Jego gniew przerodził się w niepokój.

– Ona myślała, że jestem jej córką. Alice – wydyszałam, plując. – Luke był psem. Zabiła go.

– To by wyjaśniało ten smród.

– Chodź! Ona nas goni! – jęknęłam.

Znajdowaliśmy się dość daleko od przyczepy, ale nadal wyczuwałam jej obecność, czułam jej ręce owijające się wokół mojego ciała. Próbowaliśmy wstać, ale znów się zachwiałam. Miałam wrażenie, że deszcz przygwoździł mnie do ziemi.

– Nie, nie goni. Została tam – powiedział cicho.

Delikatnie położył rękę na moich plecach – testując, co dobrze wiedziałam, czy odsunę się od niego, jak wcześniej. Tym razem nie strząsnęłam jego dłoni, ten dotyk działał na mnie dziwnie kojąco. Chase wbił we mnie spojrzenie swoich ciemnych oczu, szukając informacji o tym, co się wydarzyło podczas jego nieobecności.

– Pomóż mi – powiedziałam.

Było mi wszystko jedno, czy zobaczy moje łyzy, o ile w ogóle były widoczne przez ten deszcz. Zależało mi tylko na tym, żeby stamtąd uciec.

Bez słowa wsunął ramię pod moje kolana i podniósł mnie, przyciskając

do piersi niczym małe dziecko. Patrzyłam, jak deszcz zbiera się na kurtce, w zgięciu pasa, i przez moment poddałam się uczuciu lekkości.

– Tak przynajmniej się nie zgubisz.

Ale ja właśnie czułam się zagubiona. Miałam wrażenie, że granica między zagrożeniem a bezpieczeństwem zupełnie się zatarła.

* * *

Kilka minut później pomiędzy łodygami kukurydzy dostrzegłam nasz samochód. Przypominał mi gorzko o nieudanej próbie ucieczki, ale i tak na jego widok poczułam ogromną ulgę.

– Postaw mnie – powiedziałam, wyswobadzając się z uścisku.

Chociaż nie wróciły mi wszystkie siły, potrzebowałam dystansu. Bliskość Chase’a zbyt szybko stała się dla mnie tarczą ochronną, a ja nie miałam pojęcia, po której jej stronie powinnam się znajdować.

Zawahał się, jakby niechętnie to robił, ale postawił mnie dość gwałtownie na ziemi. Gdy tylko znalazłam się poza jego ramionami, wepchnął rękę do kieszeni kurtki. Znajdowaliśmy się tuż przy samochodzie. Sięgnął ręką za moje plecy i otworzył drzwiczki. Jakbym miała ot tak sobie wsiąść. Jakbyśmy mogli udawać, że nic się nie stało.

– Wszystko w porządku? – zapytał, kiedy zdał sobie sprawę z mojej wściekłości.

Na rękach i w ustach czułam wymiociny. Twarz miałam oklejoną błotem. Z każdego centymetra mojego ciała lała się woda. Próbując uciec od faceta, który omal nie zabił uzbrojonego napastnika, wpadłam w sidła szalonej kobiety. I to wszystko wydarzyło się w ciągu paru godzin. O nie, nic nie było „w porządku”.

Zatrzasnęłam drzwiczki, a wtedy uniósł brwi w zaskoczeniu.

– Chciałam od ciebie uciec, ty kretynie! – wrzasnęłam, przekrzykując deszcz uderzający w metalową maskę auta. – Nie zgubiłam się, a przynajmniej nie było to przypadkowe. Ja u c i e k ł a m!

ROZDZIAŁ 8

Mijała sekunda za sekundą. Nadal odczuwałam przemożne pragnienie ucieczki, ale nogi mi wrosły w błotnistą ziemię. Pomiedzy nami zawisł ciężar wypowiedzianych przeze mnie słów. I wcale ich nie żałowałam, chociaż w głębi duszy obawiałam się jego reakcji. Wiedziałam, do czego jest zdolny. Teraz on musiał dowiedzieć się tego samego o mnie.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, Chase wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że masz dobre buty. Do punktu kontrolnego jest kawał drogi – powiedział i uniósł rękę w stronę szosy.

Miał kpiący wzrok, ale w jego oczach czaiło się coś jeszcze. Coś jakby strach, ale przecież było to niemożliwe. On nie bał się niczego.

– Ja... mogę jechać autobusem – wymamrotałam, zerkając na pole kukurydzy. Sprawdziałam, czy nie pojawiła się gdzieś matka Alice.

Za przyczepą stał samochód. A może pojedzie do miasta, żeby mnie szukać? Zważywszy na siłę jej urojeń, wcale nie wydawało się to takie absurdalne.

– A u t o b u s? Do punktu kontrolnego? Doskonały pomysł. Tylko uważaj na przeszukujących autobusy żołnierzy. No i tablice z listą osób poszukiwanych. Orz kontrolera biletów, któremu będziesz musiała pokazać formularz U-11. A także... – z każdym zdaniem jego głos stawał się coraz ostrzejszy.

– Podam fałszywe nazwisko. I mam... pieniądze – wypaliłam.

– Masz m o j e pieniądze, i to pewnie zaledwie połowę tego, co będzie ci potrzebne. Może wrócisz do swojej nowej znajomej i poprosisz o resztę?

– Zrozumiałam.

Jak ja go nienawidziłam. Za to, co wie i czego ja nie wiem.

– Niczego nie rozumiesz! – rzucił z nagłą gwałtownością. Aż podskoczyłam, tak głośno to zabrzmiało, ale ze zdumieniem stwierdziłam,

że wcale się nie boję. – Gdzie indziej nie jest tak jak w domu! W tych regionach nie istnieją żadne bezpieczne dzielnice. Nie ma drzwi, które zamykałyby się po godzinie policyjnej. Jezu, mówili nam, że dziewczyny takie jak ty są niebezpieczne, ale do tej pory w to nie wierzyłem! – Chase wyglądał, jakby miał zamiar zacząć wyrywać sobie włosy z głowy. Uznałam, że jeśli tego nie zrobi, sama mu pomogę.

Widziałam oczyma wyobraźni, jak siedzi w sali, a oficer SO wypisuje na tablicy różne okropności na temat „dziewczyn takich jak ja” – dziewczyn ze szkarłatną piątką przyszytą do bluzki. Skręcało mnie na samą myśl, że w to wierzył.

– To ja jestem niebezpieczna? Ja? Przecież to ty niemal zabiłeś tamtego faceta! Zrobiłbyś to, gdybym cię nie powstrzymała! – wyrzuciłam z siebie całe to rozczarowanie, całe moje skłówanie. Zupełnie jakby to były fale uderzające w betonową zaporę. W tamtym momencie nie obchodziło mnie nawet, że jest ranny.

Widziałam, jak powoli się zmienia. Uniesienie ramion. Wybrzuszenie na żyle szyjnej. Zwężenie czarnych oczu, bardziej niż kiedykolwiek przypominających wilcze ślepie. Ruszył w moją stronę, wielki i złowrogi, blokując dostęp światła. Zrobiłam krok do tyłu i zderzyłam się z autem. Z niepokojem stwierdziłam, że ogarnia mnie panika.

– Chcieli zrobić ci krzywdę – powiedział cichym, pełnym emocji głosem.

– I to ma być usprawiedliwienie?

Nie, nie chciałam zostać skrzywdzona – a już na pewno nie chciałam zginąć – ale to nie mogło usprawiedliwiać żadnego morderstwa, choćby i wstrętnej osoby!

Uderzenie pioruna wyrwało mnie z transu i mój wzrok znów powędrował w stronę kukurydzy. Czy ta kobieta mnie goni? Czy cały czas leży na podłodze i płacze za Alice? Upłynęło zaledwie kilka minut, ale miałam wrażenie, że to były całe wieki.

– Tak, to ma być usprawiedliwienie – rzucił przez zaciśnięte zęby, a jego

oczy rozbłysły razem z błyskawicą. – I nie udawaj, że ty nie postąpiłabyś podobnie.

– Nigdy w życiu!

– N i g d y? Nawet gdyby niebezpieczeństwo groziło twojej mamie? – Te słowa niemal przebiły mnie na wylot.

Gdybym znalazła się na miejscu Chase'a, a moja mama była mną, żadna siła nie oderwałaby mnie od Ricka.

Dotarło do mnie z całą mocą, że w gruncie rzeczy Chase i ja jesteśmy podobni. Wszyscy wiedzą, że pies zapędzony w róg będzie gryzł. Nigdy nie sądziłam, że to j a mogę być tym psem.

Ale z drugiej strony Chase wykorzystał moją miłość do mamy, żeby usprawiedliwić własne czyny. Jakby obie te sprawy w ogóle dało się ze sobą porównać. To było tanie zagranie, nawet jak na niego.

Przyglądał się w milczeniu, jak kotłują się we mnie myśli, ale w końcu musiał zareagować.

– Jeśli uważasz, że lepiej ci będzie samej, zostań tu. W przeciwnym razie wsiadaj do wozu.

Kostki mu pobielwały, gdy chwycił za klamkę, ale nie zrobił żadnego innego gestu. Nie zamierzał zmusić mnie do tego, żebym wsiadła. Dawał mi wybór.

Musiałam z nim jechać. Bez względu na to, jak bardzo mi się to nie podobało, Chase miał rację. Musiałam dotrzeć do kuriera, więc był mi potrzebny.

Zatrzasnął za mną drzwiczki i obszedł maskę, ale zanim wsiadł, zatrzymał się z ręką na drzwiach od strony kierowcy. Być może podejmował tę samą decyzję: ryzykować życie, żeby ze mną zostać, czy iść własną drogą.

Nie od razu zaczęliśmy rozmawiać. Woda przeciekła przez siedzenia i utworzyła kałużę na gumowych dywanikach. W moich przemoczonych butach chlupało, a palce miałam zgrabiące z zimna. Chase włożył ręce pod deskę rozdzielczą i silnik ożył. Chwilę później pędziliśmy ścieżką w stronę

główniej drogi, pogrążeni w kłującej ciszy.

Zegar samochodowy wskazywał dziesiątą dwadzieścia osiem.

– O nie! – szepnęłam z rozpaczą.

Zmarnowałam tyle czasu! Gdybym nie uciekła, dojeżdżalibyśmy właśnie do punktu kontrolnego. Wkrótce SO zacznie na nas polować, a kto wie, jak długo kurier będzie czekał.

Chase także zdawał sobie z tego sprawę. Naraziłam nas na niebezpieczeństwo i wcale nie próbował udawać, że jest inaczej.

Minęliśmy ciężarówkę przewróconą na bok, z podartym brezentem obwiązany wokół górnego koła. Zapewne kiedyś stanowiła czyjeś schronienie, teraz jednak materiał powiewał na wietrze jak biała flaga. Odwróciłam wzrok, dławiąc w sobie poczucie całkowitej beznadziei.

Osunęłam się na siedzeniu. Zdjęłam kurtkę, po czym wodą, która zebrała się w kapturze, opłukałam brudne od wymiocin dłonie. Uznałam, że najlepiej będzie położyć kurtkę na podłodze, zważywszy na to, że ocieka deszczem. Zimne powietrze wbiło się przez sweter w moje ciało. Miałam suche ubrania w torbie Chase'a, ale nie zamierzałam go prosić, by się zatrzymał. Trzeba było nadrobić stracony czas.

– Musisz coś wiedzieć – odezwał się nagle, czym mnie przestraszył.

Właśnie opłukiwałam sobie usta wodą z jednej z butelek.

Zerknęłam na niego: siedział idealnie wyprostowany, a jego wzrok przeszywał na wylot przednią szybę samochodu.

– Zawiozę cię do kryjówki, a potem zniknę. Nie będziesz musiała mnie znosić. Ale dopóki jesteśmy razem, nie bój się mnie. Nie skrzywdzę cię. Obiecuję, że cię nie skrzywdzę.

Zaskoczyło mnie nie tylko jego oświadczenie, ale także ta obietnica. Widziałam, co potrafią żołnierze – co zrobili mojej mamie, Rosie i Rebecce. Może więc Chase wcale nie był taki jak oni? W końcu wyciągnął mnie z zakładu. I mimo że czułam się przy nim źle, to przecież narażał dla mnie swoje życie. Nadal miałam jednak w pamięci to beznamienne spojrzenie,

kiedy zabierał moją mamę. Człowieka można skrzywdzić na wiele sposobów bez użycia pięści.

Chciałam wierzyć, że mogę czuć się w jego obecności bezpiecznie – mimo tego żołnierza, który tak często się w nim odzywał. Pragnęłam zaufać mu na nowo, może nie tak jak dawniej, tylko na inny sposób. I w takim momencie on mówi mi, że znowu odejdzie?

Ale przecież tego właśnie chciałam, prawda? To dlatego uciekłam. Musiałam znaleźć się jak najdalej od niego. Nagle ta moja decyzja – bardzo przemyślana, jak do tej pory sądziłam – wydała mi się zupełnie nierozsądna.

– Okej – powiedziałam.

Ręka mu drgnęła. Zapewne wziął moją niepewność za brak ufności.

– Kiedy minie południe, skończy się zabawa.

– Wiem.

– Nie uda mi się dowieźć cię na miejsce, jeśli mi nie pomożesz.

Spojrzałam na niego, zaskoczona, że oddaje mi część swojej władzy.

– Co mam robić?

– Nie uciekaj – powiedział.

Z furią skrzyżowałam ręce na piersi.

– To wszystko?

Wciągnął powietrze do płuc, głęboko, uspokajająco.

– Musisz mnie słuchać – powiedział stanowczo. – Tak naprawdę. Kiedy powiem, że masz się schować, zrób to. Jeśli każę ci biec, rusz się. I musisz pozwolić, żebym to ja decydował o wszystkim. Za bardzo się wyróżniasz.

„Pochylaj się tak jak ja” – powiedział kiedyś. „Nie walcz ze mną”.

Pamiętałam dobrze wszystkie poniżające wykłady w zakładzie poprawczym na temat poddańczej roli kobiety, ale i tak uważałam, że Chase nieco przesadził.

– Doskonale potrafię się wmieszać w tło, dziękuję bardzo. – W końcu to właśnie robiłam przez całe życie. Tylko dzięki temu nie zwracaliśmy uwagi SO. I w ten sposób zamierzałam też dotrzeć do Karoliny Południowej.

– Nigdy nie byłaś w stanie wmieszać się w tło – odparł. – Nawet kiedy... Nie potrafisz – dokończył, wyraźnie zakłopotany.

– A co to niby ma znaczyć?

– To znaczy... – zaczął się jąkać. – Ludzie po prostu na ciebie patrzą.

Poczułam na sobie jego wzrok. Nagle znów byłam ośmioletnią dziewczynką połykającą łyżę po upadku z roweru. Okoliczni chłopcy wyzywali mnie od beksy, co bolało bardziej niż zdarte kolana. Chase odpędzał ich, nie bacząc na konsekwencje – przecież rzucił się na ratunek dziewczynie. Mój dziesięcioletni bohater.

Uczucie déjà vu rozpląnęło się, ale pomiędzy nami pozostało wspomnienie tamtych wydarzeń. Strach, zawstydzenie, onieśmienie. Poczucie bezpieczeństwa.

– Nigdy nie prosiłam, żebyś mnie bronił – powiedziałam cicho. – Ani wtedy, ani teraz.

Po jego minie widziałam, że nie ma sensu się sprzeczać. Nawet gdyby uznał, że doskonale sama sobie poradzę, i tak czułby się w obowiązku, by się o mnie troszczyć. Im dłużej na niego patrzyłam, tym większy czułam ciężar w piersi. W końcu odwróciłam wzrok.

– Coś jeszcze chciałeś mi powiedzieć? – zapytałam.

– Co? – Wydawał się przestraszony.

– Zasady – oznajmiłam, krzywiąc się. – Jeszcze jakieś zasady?

– Och! – Pokręcił głową. – Na litość boską, nie ufaj nikomu.

Zgodziłam się z nim w tej kwestii, ale tylko połowicznie. Przecież w końcu wsiadłam z nim do samochodu. A odkąd się na to zdecydowałam, zupełnie przestałam się bać.

* * *

O jedenastej trzydzięci wjechaliśmy do wirginijskiego miasteczka Harrisonburg. Od wypatrywania Straży Obyczajowej zaczynałam już widzieć podwójnie. Co pewien czas zerkałam też na mapę, żeby pilotować Chase'a, ale gdy tylko zyskiwałam pewność, że jedziemy dobrze, znowu zaczynałam

sprawdzać, czy w okolicy nie widać żołnierzy.

Przestało padać, a droga nie była już tak zagracona, chociaż od czasu do czasu trzeba było objeżdżać jakieś powalone drzewo. Minęło nas kilka samochodów, ale wcześniej, teraz na szosie nie było nikogo.

Przedmieścia okazały się terenami głównie rolniczymi. W oddali po prawej stronie majaczyły wysokie, zalesione góry. Niebo nadawało im fioletowy odcień, a daleko na horyzoncie potężne szczyty zlewały się z nim całkowicie.

Budynki mieszkalne stały w głębi pól, zabite deskami i oznaczone farbą w spreju, podobnie jak opuszczone domy w Hagerstown. Z szosy nie było widać wyraźnie, ale miałam pewność, że znajduje się na nich ten sam symbol: litera X na insygniach Straży Obyczajowej. Za każdym razem, gdy widziałam ten znak, zaczynałam odczuwać pewien rodzaj dumy: był on dowodem na to, że inni ludzie nienawidzą SO tak samo jak ja.

Chase skręcił w ulicę pełną zalanych błotem dziur i jechał slalomem niczym kolejka w parku rozrywki, aż w końcu asfaltowa szosa przerodziła się w żwirową ścieżkę, a dookoła pojawiły się falujące trawiaste wzgórza.

Byliśmy już niedaleko Rudy Lane, jednak Chase nie chciał parkować przy punkcie kontrolnym. Musieliśmy zostawić auto wraz z wszystkimi zapasami, których nie dalibyśmy rady udźwignąć, w tym ze strzelbą Ricka i Stana.

Gdyby Chase się nie uparł, że pójdziemy gąszczem wysokich krzewów, z pewnością przebiegłabym całą drogę. Wiedziałam, że to mało prawdopodobne, ale i tak miałam nadzieję, że mama nadal tkwi w punkcie kontrolnym. Być może zobaczę ją już za kilka minut! Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, wreszcie byliśmy tak blisko siebie.

Czas mijał, nieświadomy mojego zniecierpliwienia, i wkrótce znaleźliśmy się pośród niewielkich pól. Kiedy wyszliśmy zza dużej kępy drzew, naszym oczom ukazał się dwupiętrowy dom w stylu wiktoriańskim. Wyglądał całkiem przyjaźnie: był słonecznożółty, miał białe zdobne

wykończenia, drewniane schodki i mały, oryginalny ganek. Pomyślałabym, że to wszystko prezentuje się zachęcająco, gdyby nie fakt, że dwa bujane krzesła zostały przykute łańcuchami do barierki, a drzwi wejściowe zabito grubymi deskami.

Rudy Lane 190.

– To tutaj? – zapytałam z rosnącym niepokojem.

Dom wyglądał na niezamieszkały, ale może to tylko pozory. Dla bezpieczeństwa.

– Chyba tak – odparł Chase i wyciągnął broń zza pasa.

Po tym, co wydarzyło się pod sklepem, trudno było się spodziewać, że pozostawi ją w torbie. Ale i tak poczułam na plecach dreszcz zdenerwowania.

Stąpając po okrągłych kamieniach, obeszlśmy wyłożony złotym sidingiem budynek i weszliśmy na ceglane patio, do którego prowadziły z domu tylne drzwi. Na końcu ogrodu widać było zerwaną linkę do prania, a za nią majaczył ciemny, gęsty las. Chase obszedł całość i wrócił do wejścia.

– Chodź tu – zawołał po chwili.

Podeszłam do niego.

Na ścianie znajdował się maleńki wyżłobiony znak, wypełniony czarnymi literami. Nie był skreślony tak jak symbole SO, które widywaliśmy po drodze, z pewnością stanowił element propagandy FBN.

Jeden wielki kraj, jedna wielka rodzina.

Chase wydawał się zdumiony.

– Uważasz, że to pułapka? – zapytałam.

Oczywiście wyobraźni już widziałam, jak odbywają się tu zebrania żołnierzy, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że to absurdalna wizja. SO płaciło za budynki i znaki, a nie opuszczone domy wymalowane graffiti.

– Nie – odparł, ale nie dodał nic więcej.

Odwrócił się i ruszył w stronę ogrodu.

Zapukaliśmy do drzwi od strony patio, ale odpowiedziała nam cisza.

Niepokój, który we mnie narastał, w końcu wypłynął.

– Jesteś pewien, że to miał być czwartek?

– Tak powiedział mój wuj. – Chase też tracił opanowanie.

„Twój wuj porzucił cię, kiedy miałaś szesnaście lat” – miałam ochotę krzyknąć. Uwierzyłam mu tylko dlatego, że Chase mu ufał. Zapomniałam, że przecież straciłam większość zaufania, jakie żywiłam do Chase’a.

– Myślisz, że się spóźniliśmy?

Nie było jeszcze południa, ale nie mieliśmy pojęcia, kiedy kurier wyjechał. Zawisła mi nad głową moja ucieczka. Może to była kara za nią?

Chase wzruszył jednym ramieniem. Pociągnęłam za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

Żadnej odpowiedzi ze środka.

To musi być ten dom. Nie mylimy się, nie możemy się mylić – nie po tym wszystkim, przez co przeszliśmy.

Dotąd nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka jestem krucha, ale teraz cały mój strach wybuchł ze zdwojoną mocą i rozsypałam się na drobne kawałki. Zaczęłam walić pięściami w drzwi. Kopałam tak mocno, że posiniaczyłam sobie palce. Wrzeszczałam, żeby mnie wpuszczono. Ledwo zauważyłam, jak Chase chwyta mnie w pasie i odciąga.

Postawił mnie z boku, obrzucając surowym spojrzeniem, po czym cofnął się nieco i z wielką siłą kopnął w drzwi tuż nad klamką. Powietrze przeszył głośny trzask. Kopnął ponownie, a wtedy drewno wygięło się i zamek ustąpił.

– Zostań tu – polecił, po czym wszedł do ciemnego pomieszczenia i zniknął mi z oczu.

Nadal oddychałam z trudem i cała się trzęsłam. Chwilę później wrócił i pokazał ręką, żebym weszła do środka, teraz oświetlonego blaskiem latarki. Bez namysłu sięgnęłam do kontaktu i ku naszemu obopólnemu zdumieniu z sufitu rozlało się światło po staromodnej prostokątnej kuchni.

– Hm – odezwał się Chase. – Skoro jest tu dostęp do prądu, musimy

znajdować się blisko miasta.

W kuchni czuć było wyraźnie zapach stęchlizny, ale po chwili przestałam go zauważać. Na blacie leżały koce, karton pełen używanej odzieży oraz puste puszki po konserwach. Warzywa. Tuńczyk. Do ściany podłączono niszczarkę do dokumentów, na niej leżał stos niebieskich kartoników.

Formularze U-14.

To właśnie o nich mówił Chase, kiedy zatrzymała nas Straż Obyczajowa. To taki druczek trzeba mieć, kiedy wjeżdża się do Czerwonej Strefy. Najwidoczniej znaleźliśmy się we właściwym miejscu. Tylko gdzie w takim razie był kurier?

Drzwi z holu prowadziły do sypialni, na tyle małej, że mieściło się w niej zaledwie podwójne łóżko oraz toaletka. Za kolejnymi drzwiami znajdował się salon. Zwieszony u sufitu żyrandol nadawał pomieszczeniu atmosferę nostalgicznej elegancji, w czym nie przeszkadzały prowadzące od każdej lampki pajęczyny. Na podłodze widać było świeże odciski stóp.

Nogi zaprowadziły mnie do łazienki, a gdy mój wzrok padł na przeszkloną kabinę prysznicową, od razu przypomniałam sobie, jaka jestem ubrudzona błotem, pyłem i treścią żołądka. W wąskiej szafce za kabiną leżał stos ręczników. Z jakiegoś powodu na ich widok poczułam ogromną tęsknotę za domem.

Chase zaczął przeszukiwać górę, ale w domu nie było nikogo.

– Myślisz, że się rozminęliśmy? – zapytałam gorączkowo.

– Wątpię. Sądzę, że wyszedł na chwilę. Nie byłby taki głupi, żeby zostawiać na wierzchu te blankiety. Przecież miał wyjechać na kolejny tydzień.

„Chyba że nie miał czasu posprzątać”. Żadne z nas nie wypowiedziało jednak tej obawy na głos.

Może Chase miał rację. Ten człowiek wyszedł na moment z domu. Albo uciekał właśnie do Karoliny Południowej. W najgorszym wypadku będziemy musieli się tu ukrywać przez najbliższych parę dni. Starłam się myśleć

pozytywnie, jednak perspektywa czekania przez kolejny tydzień na spotkanie z mamą była wielkim rozczarowaniem.

Zbędną poszewką na poduszkę wytarłam blaty w kuchni. Nastrój mi się nieco poprawił, gdy w kranie zabulgotało, a potem poleciała woda. Jak się okazało, kuchenka także działała. W tej samej chwili, w której ją włączyłam, zaburczało mi w brzuchu. Nic nie jadłam od czasu, kiedy zwymiotowałam w domu tej szalonej kobiety.

Na szczęście zaradny Chase zabrał ze sklepu menażkę i niezbędnik. Napełniłam naczynie wodą i postawiłam na palniku: zamierzałam zrobić zupę jarzynową z paczki.

Kiedy ją mieszałam, Chase usiadł przy stole i włączył radio SO. Na sam widok urządzenia mój niepokój powrócił, ale wygrała ciekawość, czy już o nas mówią.

Radio zatrzeszczało. Tak usilnie się w nie wpatrywałam, że zupełnie zaskoczyły mnie niezdarne ruchy Chase'a próbującego zdjąć kurtkę. Od razu do niego podeszłam.

– Zapomniałam – przyznałam z wyrzutami sumienia. – Daj, pomogę ci.

Opuścił ręce, a ja ostrożnie odpięłam zamek i przygryzając wargę, zsunęłam kurtkę z jego prawego ramienia. Włożył flanelową koszulę, żeby było mu cieplej, ale lepka krew zadziałała jak klej i poszarpana tkanina przywarła mu do skóry. Poczułam, jak pusty żołądek podchodzi mi do gardła.

Widziałam, jak to się stało, pamiętałam, z jaką łatwością metalowe ostrze wbiło się w jego ciało. Chase pozwolił mi dotykać ręki i próbował wyczytać z mojej miny, w jakim jest stanie.

– Musisz zdjąć koszulę – powiedziałam i natychmiast oblałam się rumieńcem.

Nie, żebym miała na myśli cokolwiek nieprzyzwoitego. W końcu kiedy byliśmy dziećmi, setki razy widywałam go bez koszulki. No, może nie po tym, jak nasza przyjaźń przerodziła się w coś innego. Nigdy nie zaszliśmy tak daleko. Jednak i tak nie było powodu, żeby się wstydzić. Absolutnie

żadnego powodu.

Chase nie próbował nawet podnieść ręki. Od razu zaczęłam się zastanawiać, ile szkody wyrządziły mu te wszystkie godziny, podczas których jechał z nieopatrzoną raną.

Widziałam, że mocuje się z guzikami, więc weszłam mu między kolana i starałam się zachowywać tak, jakby moje palce odpinające jeden guzik za drugim nie miały żadnego wpływu na przyspieszone bicie mego serca. Chase skinął krótko w geście podziękowania i wbił wzrok w okno.

Radio przestało trzeszczeć i kuchnię wypełnił nagle ten sam głos, który słyszeliśmy poprzedniego wieczoru. Może to głupie, ale poczułam się tak, jakbyśmy zostali przyłapani na robieniu czegoś zakazanego.

– *Pułkownik David Watts, region dwa-trzy-osiem. Mamy czwartek, dziesiątego marca. A oto dzisiejsza relacja.*

Zdałam sobie sprawę, że minął dopiero jeden dzień, odkąd uciekłam z zakładu. Miałam wrażenie, że upłynęło kilka miesięcy.

Zostawiłam Chase'a i poszłam wyłączyć kuchenkę. Postawiłam na stole naczynie z zupą. Cienkie pierścienie pary uniosły się w zimnym powietrzu.

Pułkownik Watts omawiał działania mające na celu zabezpieczenie granicy kanadyjskiej i meksykańskiej przed „zdrajcami państwowymi”, czyli próbującymi uciec z kraju Amerykanami, po czym oznajmił, że nadal brak informacji na temat zaginionej ciężarówki z mundurami w Tennessee.

Zdjęłam Chase'owi koszulę. Pod spodem miał bieliznę termalną. Kiedy zaczęłam mu ją ściągać przez głowę, zsunęłam także podkoszulek wraz z żalonym opatrunkiem, który sobie założył.

Wszelkie moje wyobrażenia na temat jego ciała błędy przy tym, co zobaczyłam. Ramiona przecinały mu linie twardych mięśni, które spotykały się na szerokiej klatce piersiowej. Mięśnie brzucha miał idealnie wyrzeźbione, a pod dżinsowym paskiem spodni widać było delikatne wgłębienie w kształcie litery V.

Poczułam mrowienie w koniuszkach palców i zaczęłam się zastanawiać,

czy jego skóra jest tak gładka, na jaką wygląda.

– Podaj mi plecak, tam jest apteczka – powiedział.

Podskoczyłam na dźwięk jego głosu, a potem oblałam się takim rumieńcem, że moje policzki stały się chyba fioletowe.

Co we mnie wstąpiło? Właśnie włamaliśmy się do cudzego domu, a ja miałam zająć się jego raną. W całej tej sytuacji nie było zupełnie nic romantycznego.

„Po prostu jestem zmęczona” – tłumaczyłam sobie, chociaż wiedziałam, że to nieprawda. Kiedy pochyliłam się nad plecakiem, specjalnie opuściłam włosy na twarz, żeby ukryć zażenowanie.

Chase znalazł apteczkę i położył ją na stole obok stygnącej zupy. Wyjęłam to, co było potrzebne: trochę gazy, miniaturową buteleczkę wody utlenionej oraz wilgotną ściereczkę. Najdelikatniej, jak się dało, przycisnęłam materiał do rany i zaczęłam zmywać krew. Rozcięcie okazało się głębokie i prowadziło spiralnie od mięśnia dwugłowego wokół ramienia.

Wiedziałam, co muszę zrobić, i zdawałam sobie sprawę, że wcale mu się to nie spodoba. Zamoczyłam gazę w wodzie utlenionej.

– Przepraszam – szepnęłam i przyłożyłam gazę do rany.

Zaklął wściekle i mało mnie nie przewrócił. Zacisnął zęby. Słyszałam, jak gwałtownie wciąga powietrze.

– Mówiłam przepraszam – powtórzyłam i podniosłam się, przyparta do stołu.

Starłam świeżą krew, która wezbrała w krawędziach rany, a potem znalazłam kawałek czystej szmatki i przycisnęłam do rozcięcia. Rana była tak długa, że musiałam użyć obu rąk. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że chwycił mnie zdrową ręką za łokieć i tak trzyma.

– Trzeba chyba założyć szwy – stwierdziłam z poczuciem winy. – Wiem, że szczypie, ale zaraz powinno przejść.

– Piecze jak diabli.

– Nie bądź marudą – zażartowałam.

Pokręcił głową, ale wydawał się mniej spięty niż wcześniej.

Pod szczęką miał ciemnego sińca, jeszcze większy krwiak wyszedł mu na boku. Jakoś go wcześniej nie zauważyłam. Dotknęłam tego miejsca delikatnie koniuszkiem palca, a wtedy syknął.

– Złamał ci żebro? – Strach przed Rickiem zaczął przeradzać się we wściekłość.

– Nie – odpowiedział, nadal skrzywiony. – Ale ty mogłaś.

– Że co?

– Kiedy tak wymachiwałaś tą pałką. Uderzyłaś mnie w bok.

Ze zdumienia otworzyłam szeroko oczy i rozdziawiłam usta.

– Spokojnie. Jego walnęłaś co najmniej dwukrotnie – zaśmiał się.

– Och, Boże... Jezu, przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko uprzedź mnie, jeśli znajdziemy się razem w ciemnej uliczce.

Prawie się uśmiechnęłam.

Kiedy krwawienie ustało, zalepiłam ranę kilkoma plastrami z apteczki – z nadzieją, że to wystarczy. Owinęłam całe ramię czystą gazą i przykleiłam ją białą taśmą.

– Masz zdartą skórę na kostkach – powiedział, zaciskając usta.

Przyjrzałam się swoim dłoniom. Zdarłam sobie skórę, sięgając po leżącą na asfalcie strzelbę, do tego dochodziły siniaki i rany z zakładu poprawczego. Kiedy tylko wspomniał o kostkach, od razu zaczęły mnie boleć. A przez chwilę o nich zapomniałam. Wyczyściłam skórę, ale to Chase przykleił mi kilka plastrów. Jego wzrok omiótł zadane przez Brock rany. Nic nie powiedział na ich temat.

Dłonie Chase'a wydawały się bardzo ciepłe. Zdałam sobie sprawę, że są spuchnięte po walce. Nie był w stanie zacisnąć pięści, nie mógł też rozprostować wszystkich palców. Niektóre zginały się pod dziwnym kątem – podejrzewałam, że dawno temu zostały połamane.

Kiedy skończył, natychmiast odsunął rękę.

Jedliśmy zupełną jedną łyżką, na zmianę. Była przesolona, ale ciepła. Staralam się ignorować fakt, że od czasu do czasu jego skóra ociera się o moją, jednak było to trudne.

Ni z tego, ni z owego poderwał głowę i dał głośniej radio.

– ...napadnięci przez mężczyznę i kobietę w wieku około dwudziestu lat pod sklepem z artykułami sportowymi w Hagerstown w stanie Maryland. Napastnicy są uzbrojeni i powinni być traktowani jako osoby niebezpieczne. Według naszego rozeznania poruszają się brązowym fordem z późnych lat siedemdziesiątych z tablicami rejestracyjnymi ze stanu Michigan lub Minnesota. Mężczyzna może być dezserterem z Federalnego Biura Naprawczego. Ofiary napaści zgłosiły, że podczas pobicia użyta została pałka z wyposażenia FBN. Obecnie ofiarom prezentowane są fotografie wszystkich dezserterów. Sprawcy napaści zostaną odnalezieni, zatrzymani i przesłuchani. Wszelkie informacje należy zgłaszać bezpośrednio dowódcą.

Zwiesiłam głowę, czując, że wszystko we mnie zamarło. Mężczyzna kontynuował swoją relację.

– ...na liście poszukiwanych mamy dodatkowe dwa nazwiska. Ronald Washington, szesnastolatek afrykańskiego pochodzenia, zbiegł z Aresztu dla Młodocianych Przystępców w Richmond. Ember Miller, siedemnastoletnia biała dziewczyna, została prawdopodobnie porwana z zakładu poprawczego dla dziewcząt w Zachodniej Wirginii.

Miałam wrażenie, że serce przestało mi bić.

– Och... – powiedziałam cicho.

Dotarło do mnie jeszcze kilka słów: *żadnych tropów...* W razie jakichkolwiek informacji prosimy o kontakt z linią kryzysową. Z trudem koncentrowałam się na bezdusznym głosie reportera.

– Brock się domyśliła – powiedziałam słabo i zgięłam się w pół. – Pewnie zadzwoniła, żeby sprawdzić ten proces.

Skoro wiedzieli, że byłam „prawdopodobnie porwana”, chyba zdawali

sobie sprawę, że stoi za tym Chase. Wkrótce patrol, który nas zatrzymał, złoży doniesienie. A potem Rick i Stan z Hagerstown. Elementy układanki składały się w całość.

Z trudem przełknęłam ślinę przez ściśnięte gardło.

Chase miał tak ponurą minę, jakiej jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Nie był zaskoczony, co z pewnością można było powiedzieć o mnie, ale wydawał się głęboko zatroskany.

– Martwisz się... – zagałam.

– Mało ci? – Pokazał gestem na radio i przeciągnął ranną ręką po włosach.

Widziałam, że jest zestresowany, ale próbuje się trzymać. Być może dla mnie. A może dla siebie.

– Chodzi o coś więcej niż to, co właśnie usłyszeliśmy – stwierdziłam. – Powiedz mi. Możesz mi przecież powiedzieć.

Przekręcił powoli głowę.

– Za wcześnie ogłosili twoje zniknięcie. Nie sądzę, żeby twoja kierowniczka zadzwoniła do Chicago, żeby sprawdzić, czy faktycznie odbędzie się proces. Myślę, że ktoś się z nią skontaktował.

ROZDZIAŁ 9

– Co takiego? Kto?

Randolph? Czyżby coś podejrzewał? Wróciłam myślami do naszej restrukturyzacji, do jasnowłosego żołnierza o zielonych oczach. Do śladów, które moje paznokcie zostawiły na jego szyi.

– Morris – domyśliłam się.

Wyglądali wtedy, jakby byli przyjaciółmi. „Mówiłeś, że dasz radę” – powiedział Morris, gdy Chase stanął w mojej obronie. Najwyraźniej dobrze wiedział, że mnie i Chase’a coś kiedyś łączyło.

– Znasz go?

– Jakże mogłabym zapomnieć. Przecież mnie aresztował.

– Tucker Morris jest... – Chase skrzywił się, jakby nie mógł znaleźć właściwego słowa. – Był w moim oddziale. Wrócił ze mną po tym, jak... doprowadził cię do autobusu – powiedział i zerknął na mnie pospiesznie, a potem odwrócił wzrok. Twarz miał ściągniętą.

– Dlaczego Tucker miałby dzwonić do zakładu? – zapytałam, zadowolona z tego, że Chase najwidoczniej nie lubi go tak samo jak ja.

Twarz Chase’a przybrała dziwny wyraz. Był bardziej niż zły. Wręcz udęczony. Chyba Tucker musiał mu zrobić coś naprawdę złego.

Albo to Chase zrobił coś złego Tuckerowi. Co wyjaśniałoby, dlaczego Tucker miałby na niego donieść.

– To... złożona historia.

– Jaka historia? – zapytałam z powątpiewaniem.

Chase zaczął postukiwać obcasem w podłogę. Wahał się tak długo, że już zwątpiłam, czy mi odpowie. W końcu westchnął ciężko. Najwyraźniej podjął decyzję, że podzieli się ze mną opowieścią.

– Tucker zaciągnął się do służby mniej więcej w tym samym czasie, kiedy mnie wcielono. Byliśmy w jednym zespole na szkoleniach –

powiedział, pocierając oczy nasadą dłoni.

– I zostaliście kumplami? – dokończyłam za niego lodowatym tonem.

Wyciąganie wyjaśnień z Chase'a przypominało wyrywanie zębów.

– Nie – odparł. – Ale mieliśmy pewne wspólne cechy, niezbędne do treningów. Byliśmy podobnego wzrostu, więc wystawiali nas na bezpośrednie starcia i...

– Walki?

– Tak. Ćwiczenia bojowe. Początkowo wydawał się w porządku, raczej cichy, ale przyzwoity. Mieliśmy razem zajęcia, zupełnie jak w szkole: prawo i jego egzekwowanie. Negocjacje. A potem procedury i zasady postępowania w wypadku nieposłusznych obywateli.

Prychnęłam, myśląc o tym, jak mama kazała żołnierzom wynosić się z naszego domu.

– Wpakował się w kłopoty... – Chase machnął ręką, dając mi do zrozumienia, że ta część historii pozostaje bez związku z resztą. – Od tamtego czasu stał się prawdziwym utrapieniem. Cokolwiek powiedział instruktor, on wdawał się z nim w dyskusje. Odmawiał wykonywania rozkazów. Nie chciał nawet wypełnić poprawnie formularza.

Skrzywiłam się. Wcale mi się nie podobało, że Tucker buntował się przeciwko SO – przecież ja tak właśnie robiłam. I nie chciałam mieć nic wspólnego z tym jasnowłosym, zielonookim tchórzem. Skinęłam niecierpliwie ręką, żeby Chase kontynuował.

– I nie chodziło o to, że on nic nie umie. On celowo starał się wszystko robić źle. Wymykał się z bazy, a potem dawał się złapać i wrzucić do pudła. Obcinano mu wypłatę, degradowano. On nawet uprzedzał wszystkich, co robi, i był... eee... w pewnym związku w rodzinnym mieście, którego nie potrafił zakończyć.

– Trzeba poświęcić życie sprawie, czyż nie? – zapytałam, udając obojętność. Przypomniałam sobie z ukłuciem serca, co Rebeka mówiła mi w zakładzie. „Jakie to musiało być dla ciebie wygodne – pomyślałam gorzko

– że twój związek dało się tak łatwo zakończyć”.

– Właśnie – odparł. Miałam wrażenie, że poczuł ulgę, gdy to powiedziałam. – To standardowa procedura polegająca na zerwaniu wszystkich dotychczasowych związków. Kobiety odwracają uwagę, w y s t a w i a j ą n a p o k u s z e n i e i tak dalej – zaśmiał się z zakłopotaniem.

Pałący kwas podszedł mi do gardła. Nigdy bym nie podejrzewała, że zastosuje się do tak idiotycznej zasady. Skoro to jednak zrobił, jego przemiana stawała się coraz bardziej realna. Miałam wrażenie, że nigdy nie znałam go naprawdę.

Zaczęłam nawet myśleć, że może źle oceniłam Tuckera i że wszelka nadzieja, jaką nosiłam w sobie na powrót starego, dobrego Chase’a, jest złudna, tak jak powrót do domu i skończenie szkoły średniej. To, co powiedział później, całkowicie pozbawiło mnie złudzeń.

– Na rozkaz dowódcy Tucker i ja zostaliśmy partnerami. Dowiedziałem się, że nie awansuję, dopóki on nie zaliczy wszystkich kursów.

– A tego właśnie chciałeś? – wybuchnęłam. – Zdobywać kolejne stopnie? – Próbowałam go sobie wyobrazić w roli przywódcy SO – jak wydaje rozkazy podczas restrukturyzacji, jak oskarża ludzi o pogwałcenie paragrafów. Przecież nie może być aż tak bezduszny.

Prawda?

– Trzeba być w czymś dobrym – stwierdził. Jego głos wydawał mi się tak samo obcy jak wyraz jego twarzy wtedy, gdy zabierał mamę.

Po plecach przeszedł mi dreszcz.

– Tak łatwo nie ustąpił. Początkowo ciągle ze mną walczył. A potem zaczął bić się ze wszystkimi. Specjalnie go prowokowali, żeby tylko zobaczyć, jak przegrywa. Zupełnie jakby ich to bawiło.

Próbowałam zignorować litość, jaką nagle poczułam do Tuckera.

– Nawet oficerowie brali w tym udział. Po musztrze zaczęli ustawiać walki na ringu bokserskim w bazie. Wieści roznosiły się szybko, przychodzili

robić zakłady. Kiedy obstawiali Tuckera, zwykle wygrywali. Wtedy nasz dowódca wbił sobie do głowy, że Tucker byłby dobrym materiałem na przywódcę.

– Jak to? – zapytałam, nic z tego nie rozumiejąc. – Myślałam, że go nienawidzili.

– Może na początku. – Chase wzruszył ramionami. – Ale zaangażował się w walki i zaczęli w nim widzieć żołnierza, jakim mógł się stać. Okrutnego. Nie do pokonania. Tyle że zbyt problematycznego.

Chase odchrząknął i skrzywił się. Poczułam ulgę, widząc, że nie podoba mu się to założenie. A więc było w nim jeszcze coś ludzkiego.

– Dowódca zaproponował mu taki układ: jeśli się weźmie za siebie, będzie ciężko pracował, zostanie wzorcowym chłopcem FBN, zaprzestaną walk i pozwolą mu zostać kapitanem. W przyspieszonym tempie. Normalnie trwa to lata, ale oni zaproponowali mu stopień w kilka miesięcy. W sumie był na straconej pozycji. Im bardziej się opierał, tym bardziej oni pragnęli widzieć go w swoich szeregach. Im posłuszniejszy się stawał, tym bardziej im na nim zależało. W żadnym razie nie mogło wyjść na jego. Zaczęli nim manipulować, żeby go złamać... – Chase zawiesił głos.

– Jak? – zapytałam.

– Nic strasznego – odparł, czerwieniąc się. – Czasami kazali mu biegać przed walką. Albo przez cały dzień nie dawali nic do jedzenia. Obsadzali walki dużymi facetami. Coraz częściej przegrywał i... było coraz gorzej. Przestał kombinować, przyjął ich ofertę. Od tamtego czasu nie miał już o co walczyć.

No faktycznie. N i c s t r a s z n e g o.

Przygryzłam wargę, w milczeniu próbując zrozumieć wszystko, o czym mówił przez ostatnie kilka minut. Czułam żal, że świat stracił nie jednego, ale dwóch dobrych ludzi.

– On jest zazdrosny.

– Co takiego? – Chase poderwał głowę.

– Tucker jest zazdrosny. Ty się wydostałeś. Jesteś wolny. Nie chce, żebyś miał to, czego on mieć nie może.

Chase się zamyślił.

– Jednego tylko nie rozumiem – powiedziałam powoli. – Dlaczego ty jesteś zazdrosny o niego.

– Dlaczego miałbym być o niego zazdrosny? – Chase zamrugał gwałtownie, wyraźnie zaskoczony.

– Nie wiem. Może dlatego, że to ty chciałeś awansować, a wybrali Tuckera.

– Zapłacił za to. – Ramiona Chase’a uniosły się nieznacznie.

– Wiem. I tego właśnie nie rozumiem. To obłeśne, żeby zazdrościć komuś, kto właściwie został poddany torturom. Nawet jeśli s a m chciał być żołnierzem...

– Nie chciał! – rzucił Chase z nagłą porywcznością i uderzył pięścią w stół. Wyprostowałam się jak struna.

Cisza.

Zza moich zaciśniętych zębów wydostało się ciężkie westchnienie.

– Wydawało mi się, że Tucker nie został powołany do służby, tylko sam się zaciągnął.

Z pociemniałych oczu Chase’a nie dało się niczego wyczytać.

– Zgadza się... zaciągnął się... Ja tylko chciałem powiedzieć, że miał trudności z adaptacją.

Opuściłam wzrok na pięść, która wcześniej uderzyła w blat stołu. Patrzyłam na palce, które nie były w stanie wyprostować się do końca.

Rok temu jego dłonie wyglądały chyba inaczej, przecież bym zapamiętała. Były pokryte odciskami, ale miękkie – co czułam, gdy dotykał mojej twarzy – i delikatne, kiedy wplatał mi je we włosy. Teraz były zniszczone. Po walkach.

W tej samej chwili wszystkie uczucia, jakie kłębiły się we mnie do obu tych żołnierzy – litość, wstyd i złość – poszybowały w powietrze niczym

podrzucone piłeczki, zawirowały chaotycznie, po czym nagle wskoczyły na właściwe miejsca.

Tucker, żołnierz karierowicz. Chase, złamany buntownik.

Kiedyś, krótko po odejściu Roya, wdałam się w okropną kłótnię z mamą – najgorszą, jaką kiedykolwiek przeszłyśmy. Wszystko kręciło się wokół jednego: jak to ja go wyrzuciłam, kiedy ją uderzył, i że powinnam pilnować własnego nosa.

Nie wiedziałam, co robić. Nienawidziłam jej za to, że obarcza mnie winą za odejście Roya, chociaż miała rację: to przeze mnie odszedł. Nienawidziłam tego, że nie widzi, jaki był dla niej okropny, i że ją – nas – ocaliłam przed dalszą przemocą. Ale kiedy popatrzyłam w jej czerwone, zapuchnięte oczy, cała moja wściekłość przerodziła się w coś zupełnie innego. Nagle zrobiło mi się jej tak bardzo żal. Dlatego chwyciłam ją w ramiona i przycisnęłam tak mocno, jak tylko potrafiłam, mówiąc, że wszystko będzie dobrze. Mama się rozsypała, a jednak miałam rację. Wszystko skończyło się dobrze.

Teraz czułam nieprzemienne pragnienie, by tak samo postąpić z Chase'em. Przytulić go tak mocno, żeby bolały go żebra. Powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze. Nie zrobiłam tego jednak. Być może dlatego, że nadal mu nie ufałam. A może nie ufałam samej sobie. Prawdę powiedziawszy, nawet gdybym go przytuliła, nawet gdyby mi pozwolił, a potem rozsypał się na kawałki, nie miałabym pojęcia, jak go z powrotem poskładać. Nie wiedziałam, czy wszystko skończy się dobrze dla niego, dla mnie, dla mojej mamy.

– Miałeś rację z tą straconą pozycją – powiedziałam cicho.

Wstał zbyt szybko. Krzesło się zachwiało i spadło z łoskotem na podłogę.

– Poczekaj! – Nie chciałam, żeby odchodził, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

Jednak mleko już się rozlało. Oczy mu zmatowiały, przestał zaciskać usta, a nic porozumienia, która zaczęła się między nami tworzyć, zupełnie

peękła.

Bez słowa chwycił kurtkę i wybiegł na zewnątrz.

– Chase! – zawołałam, ale mojemu głosowi brakowało siły.

Usiadłam przy kuchennym stole i wyłączyłam trzaskające radio. Z roztargnieniem przeciągnęłam palcami po wypukłych bliznach na dłoniach i pomyślałam o jego rękach, o tym, jak głęboko sięgały rany pod niektórymi bliznami.

* * *

– Brakuje ci ich? – zapytałam i od razu tego pożałowałam.

– Tak.

– To musiało być okropne. To znaczy ten wypadek. Przepraszam, głupio to zabrzmiało – powiedziałam i zaczęłam obgryzać paznokcie.

– Nie, nie głupio, tylko... – Podrapał się po głowie. – W zasadzie nigdy o tym z nikim nie rozmawiałem.

Przypomniałam sobie, jak policja zapukała do naszych drzwi. Jak powiedzieli mamie, co się stało. Była potrzebna jakaś znajoma osoba, u której mógłby poczekać na przyjazd wuja z Chicago. Pamiętałam łzy, które płynęły po jego niewinnej twarzy.

W wieku czternastu lat Chase stracił wszystko.

– Było mi cię tak bardzo żal – powiedziałam, myśląc o tym, że jego mama pozwalała mi czasem zapleść swoje gęste czarne włosy w gruby warkocz, który trzymał się na miejscu bez związania. A jego ojciec głaskał mnie niekiedy po głowie i nazywał dzieciakiem.

– Moja siostra była koszmarna – stwierdził Chase i zaśmiał się krótko. – Zmieniła się trochę na lepsze, gdy poszła na studia. Wiesz, kiedy zdarzył się ten wypadek, przyjechała właśnie do domu na ferie zimowe. Rodzice jechali z nią do restauracji.

Pamiętałam. To był pierwszy mróz tamtej zimy. Ten drugi samochód nie był w stanie zahamować.

– Byłem wściekły na Rachel, bo zabrała mi łóżko i musiałem spać

na podłodze. Zostałem w domu tamtego wieczoru, bo się pokłóciliśmy. To takie bezsensowne. – Skrzywił się. – Ostatnie słowa, jakie do niej powiedziałem, nie były zbyt miłe.

Cieężko było znieść to poczucie winy w jego głosie.

– Ale gdybyście się nie pokłócili, pojechałbyś z nimi – zauważyłam.

Wyczuł mój smutek, bo odwrócił do mnie twarz.

– Wiesz, co zapamiętałem z wydarzeń po przyjeździe policji?

– Co?

– Jak siedzisz ze mną na sofie. Nic nie mówiłaś. Po prostu ze mną siedziałaś.

Tamten wypadek zabrał mi Chase'a. I zawiódł do Chicago, gdzie ten żałosny wuj go porzucił. Trzy lata później Chase wrócił do domu – silniejsza, mocniejsza wersja chłopaka, którym kiedyś był – a moja radość z tego, że przeżył, przerodziła się w coś innego. O wiele głębszego, niż, jak sądziłam, było to w ogóle możliwe. Coś, z czego zdałam sobie sprawę krótko przed tym, jak został wcielony do wojska i znów musiał wyjechać.

Ze wszystkiego, co przeżył, najbardziej zniszczyła go żołnierka.

Chwilę później wstałam, zostawiając na stole niedojedzoną zupę, i poszłam umyć łyżkę. Zamyśliłam się i zapomniałam zupełnie, po co podeszłam do zlewu. Pozwoliłam, żeby woda leciała mi po palcach. Powoli do mojej świadomości zaczęła się przedzierać zupełnie inna informacja.

Ciepła woda. A więc ogrzewacz wody działał.

Zaniepokojona wyjrzałam na zewnątrz w poszukiwaniu Chase'a. A co będzie, jeśli kurier pojawi się podczas jego nieobecności? Co będzie, jeśli Chase wcale nie zamierza wrócić?

„Musi pobyć sam” – tłumaczyłam sobie.

Poszłam sprawdzić prysznic. Stwierdziłam, że szybko doprowadzę się do porządku na wypadek, gdybyśmy później nie mieli na to czasu.

Zanim odkręciłam wodę, kątem oka spojrzałam na swoje odbicie

w lustrze. Schudłam w ciągu ostatniego miesiąca – nie byłam chorobliwie chuda, raczej szczupła i bardziej umięśniona. Już w niczym nie przypominałam dziewczyny, którą kiedyś byłam. Ciekawe, czy Chase zwrócił na to uwagę. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie i w ogóle.

Może Rebeka miała rację? Może SO zmusiła go do tego, żeby ze mną skończył? Ale to przecież wcale nie znaczyło, że dochował mi wierności. Czy sypiał z innymi dziewczynami? Sean znalazł na to sposób, Chase na pewno też mógłby to zrobić. Dotarło do mnie, że nienawidzę samej myśli o czymś takim, a potem stwierdziłam, że nienawidzę tego, że tego nienawidzę. W końcu to nie moja sprawa. Ba, życie uczuciowe Chase’a stanowiło w tym momencie mój n a j m n i e j s z y problem.

Czy coś było ze mną nie tak? Nawet jeśli po wyjaśnieniach niektóre jego działania nabrały nieco więcej sensu, to nie oznaczało jeszcze, że przestał być nieznośny. Zresztą skąd miałam wiedzieć, czy w ogóle mówi prawdę? Tę całą historię poznałam przecież przy okazji nieszczęść spotykających Tuckera. Nawet jeśli kiedyś Chase był nimi autentycznie poruszony, teraz mógł być już zupełnie inną osobą.

Odkręciłam wodę i już miałam się rozebrać, kiedy nagły trzask w kuchni wyrwał mnie z zamyślenia.

Chase wrócił. Jak się miałam za chwilę przekonać, w szaleńczym pośpiechu.

Wpadł do łazienki tak, że mało nie wyrwał drzwi z zawiasów, aż odskoczyły od ściany. Dzikim wzrokiem omiół pomieszczenie.

– Co...

Bez słowa wyjaśnienia wpełznął mnie do szafy, wcisnął się do niej ze mną i zamknął drzwi. Doskonale wyczuwałam jego oddech i bicie serca. Niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźliśmy.

W szafie było ciasno, ledwo się mieściliśmy na stojąco. Półki z ręcznikami wbijały mi się w biodra i kolana, ale Chase i tak zdołał objąć moje ciało. Dłonią zakrywał mi usta. Kiedy instynktownie zacisnęłam na niej

zęby, poczułam smak potu.

To adrenalina z niego uchodziła. Moje serce przyspieszyło, by zrównać się z biciem jego serca.

– Halo? – Z kuchni dało się słyszeć męski głos.

Zamarłam w objęciach Chase’a. Przyciskał mnie mocno do siebie, pochylając się tak, by stać plecami do drzwi.

– Nie odpowiadaj – szepnął mi do ucha.

– Halo? Jest tu ktoś?

Chwilę później usłyszałam głośny brzęk i chlupot. Zapewne nasza zupa została strącona ze stołu. A potem czyjeś kroki na drewnianej podłodze.

Brakowało mi tlenu. Rozpaczliwym gestem oderwałam rękę Chase’a od ust. Puścił mnie, ale przycisnął twarzą do swojego ramienia.

– Masz go? – krzyknął inny męski głos.

– Dokąd się wybierasz? – powiedział jeszcze ktoś inny, a potem usłyszałam głośny trzask.

Może to był stół kuchenny.

– Zamierzacie mnie aresztować? – zapytał pierwszy głos. Sprawiał wrażenie chętnego do negocjacji.

Jeden z dwóch pozostałych się zaśmiał.

– Dobrze wiesz, że już tego nie robimy, staruszk.

Znowu dały się słyszeć odgłosy walki, a potem ktoś ciągnął coś ciężkiego po podłodze.

– Nie! – błagał mężczyzna. – Proszę! Mam rodzinę!

– Trzeba było wcześniej o tym myśleć.

– Myślisz, że oni stosują się do paragrafów? – zakpił ten drugi.

Na dźwięk słowa „paragrafy” cała zaczęłam się trząść. A więc to byli żołnierze.

Nie mogliśmy uciec. Nie mieliśmy jak się stąd wydostać.

K l i k. Powietrze przeszył metaliczny dźwięk. Taki dźwięk mogła wydać wyłącznie broń palna.

Szarpnęłam się nieświadomie. Nie mogłam tu zostać. Nie mogłam umrzeć w tej szafie.

– Nikt cię nawet nie tknie – szepnął Chase w moje włosy.

Tak bardzo chciałam mu wierzyć! Jednak kiedy odwróciłam głowę, w świetle przedostającym się przez szczelinę między drzwiami zauważyłam, że uniósł swój pistolet i celował w łazienkę na wysokości swojego serca.

Aż mi dech zaparło. Nadal coś do mnie szeptał, ale nie byłam w stanie zrozumieć słów. Zacisnęłam drżące palce na jego koszuli i zagryzłam materiał osłaniający jego klatkę piersiową.

Ktoś wszedł do sypialni.

– Czysto – usłyszeliśmy.

„Tylko nie tutaj. Nie wchodzi tutaj”.

Drzwi do łazienki otworzyły się ze skrzypieniem.

Na płytkach podłogowych rozległy się czyjeś kroki, lekko piszczące. Nowe buty.

Teraz, kiedy drzwi były otwarte, wyraźnie słyszałam szloch kuriera w sąsiednim pomieszczeniu. Błagał, żeby darowali mu życie. Płakał, powtarzając imię swojego synka. A n d r e w.

– Chciałeś się kąpać, staruszkule? – wrzasnął żołnierz z łazienki.

Zacisnęłam powieki i starałam się stać absolutnie nieruchomo. Dlaczego odkręciłam tę wodę? Co ja sobie myślałam? Że jesteśmy u siebie w domu? Przez ten błąd zginiemy.

Kurier nadal krzyczał, a potem jęknął, uderzony czymś w głowę. Zdusiłam szloch w ramieniu Chase'a.

– Miałem, ale... ale... ogrzewacz wody... zepsuty... zapomniałem – wydukał.

Poczułam, jak żołądek mi się zaciska.

Chase powoli odbezpieczył pistolet. Rozległ się ledwie słyszalny trzask, a ja już się przygotowałam na eksplozję. Na ucieczkę.

Żołnierz wyszedł z łazienki.

Sekundę później bębenki mi prawie popękały od wystrzałów.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że całe ciało Chase'a, od łydek aż po czubek głowy, wciska mnie w kąt szafy. Znowu coś do mnie szeptał. Nie słyszałam ani słowa, tak głośno huczała mi w żyłach krew, ale czułam, jak jego usta poruszają się przy moim uchu.

– Idę do góry – powiedział żołnierz. – Kryj mnie. Za chwilę zabierzemy ciało.

Kroki na piętro. Skrzypiąca podłoga pod ich ciężarem. Już nie było słychać płaczu kuriera, nie wołał już swojego syna. Poczułam, jak do gardła podchodzi mi żółć.

FBN zabija cywilów.

Zanim dotarło do mnie, jakie może to mieć następstwa, Chase już ciągnął mnie z łazienki do korytarza. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, miałam wrażenie, że przebijamy się przez głęboką wodę.

Chase zatrzymał się gwałtownie na progu kuchni. Spojrzałam w dół i zauważyłam wystające spod stołu nogi. W dzinsach. Zanim udało mi się dostrzec cokolwiek więcej, masywne ramię Chase'a znów zasłoniło mi widok.

Ale i tak poczułam to wszystko. Metaliczną woń krwi. Pieprzny zapach dymu z lufy.

Słyszałam też, jak kurier z trudem wciąga powietrze.

Zrobiłam krok do przodu, prowadzona przez Chase'a, i poślizgnęłam się na czymś mokrym. Próbowałam przełknąć ślinę, lecz moje gardło przypominało papier ścierny.

Mężczyzna zaczął oddychać inaczej.

Chase zatrzymał się i pochylił, ale nadal zasłaniał mi oczy.

– Lewisburg... Zachodnia... Wir... ginia... druga... godzi... na... wtorek...

– O Boże – wyrwało mi się z piersi.

Moje wyobrażenie było chyba tak samo przerażające jak prawdziwy widok. Znowu zaskrzypiał sufit nad naszymi głowami.

– Teren czysty! – zawołał jeden z żołnierzy z góry.

– Szukaj... znaku...

To było wszystko, co powiedział kurier. Rozległo się westchnienie, a potem już nic.

Chase odsłonił mi oczy dopiero na zewnątrz, a i wtedy nie puścił mojej ręki. Ciągnął mnie przez opustoszały ogród w stronę lasu. Na szczęście moje nogi znów pracowały tak jak trzeba.

– Nie oglądaj się – polecił, przerywając ciszę.

Lodowate powietrze kłuło mnie w miejscach, w których pojawiły się krople potu – na szyi i czole. Pod naszymi stopami trzeszczała zamarznęta trawa. Musiałam naprawdę pędzić, żeby dotrzymać mu kroku. Wpadliśmy do lasu, ale żadne z nas nie zrobiło nic, by ograniczyć hałas łamanych gałęzi. Wzrok utkwiałam w plecaku, który miał na ramionach. Musiał go chwycić, kiedy biegliliśmy przez kuchnię. Słyszałam jedynie dźwięki lasu, zagłuszone nieco moim pospiesznym oddechem. I moje myśli. Były głośne, bardzo głośne.

Kurier nie żył. Został zamordowany.

Mama będzie musiała znaleźć innego.

Nawet jeśli już udało jej się dotrzeć do Karoliny Południowej, i tak nie jest bezpieczna. Nigdy już nie będzie. I ja też nie.

Już nigdy nie zobaczę Beth. Próba kontaktu z nią byłaby zaproszeniem żołnierzy do jej domu.

I wreszcie: t o m o j a w i n a. Co prawda to nie ja zabiłam kuriera, nie ponosiłam odpowiedzialności za jego śmierć. Jednak zdawałam sobie sprawę, że nadal by żył, gdyby nie tacy ludzie jak ja.

„Mówili nam, że dziewczyny takie jak ty są niebezpieczne” – powiedział Chase po tym, jak uciekłam. Wtedy mu nie wierzyłam, teraz wiedziałam, że ma rację.

Byłam niebezpieczna. Człowiek, zupełnie obcy człowiek, zginął, ratując nam życie.

Powzięłam silne postanowienie: muszę żyć, bo gdybym teraz umarła, jego śmierć stałaby się zupełnie bezcelowa.

„Skup się”. Ostatnie słowa kuriera miały nam pomóc, tyle że ten plan był jeszcze bardziej niejasny niż poprzedni. O jaki znak chodziło? Przecież punkty kontrolne nie reklamowały swoich usług. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd iść. Nie mieliśmy pojęcia, kogo możemy bezpiecznie o cokolwiek zapytać. Nie mogliśmy nawet wrócić do auta po tym, jak w radiu ogłoszono jego kradzież. Zналиśmy jedynie datę i godzinę, a wyznaczony termin zbliżał się wielkimi krokami.

Cały czas miałam przed oczami te rozłożone na kuchennej podłodze nogi. W uszach dźwięczało mi płaczliwe błaganie kuriera, by mógł wrócić do synka. W moim umyśle ten bezimienny żołnierz, który go zabił, przerodził się w Randolpha. A potem nagle zamiast kuchni zobaczyłam las za zakładem poprawczym i to ja płakałam, błagając o to, bym mogła wrócić do mamy. To moje nogi leżały na zimnej, mokrej ziemi.

– Ember! – Chase potrząsnął moimi ramionami, przywracając mnie do rzeczywistości.

Było już ciemno, nie wiedziałam, jak długo tak biegniemy. Zupełnie straciłam poczucie czasu.

– Jeśli nas złapią, to właśnie z nami zrobią – powiedziałam, znów koncentrując się na teraźniejszości.

Chase ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Zaczął mnie ciągnąć za sobą.

Gwałtownie połykałam mroźne powietrze. Serce biło mi jak oszalałe z wysiłku, adrenalina też robiła swoje.

– A co jeśli złapią moją mamę?

Przecież już została skazana. A skoro dotarła do bazy, to znaczy, że odbyła swoją karę. Tylko czy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie, gdyby została schwytana w punkcie kontrolnym?

Chase skulił się, ale dalej szedł szybkim krokiem. Las gęstniał,

za naszymi plecami nie było już widać linii budynków.

– Osoby, które dopuściły się wielokrotnego pogwałcenia paragrafów, podlegają procesom prowadzonym przez sądy wyższej instancji Federalnego Biura Naprawczego i otrzymują odpowiednie wyroki – wyrecytował.

– Co oznaczają „odpowiednie wyroki”, kapitanie Jennings? – zapytałam. Rozpacz w moim głosie wzięła górę nad paniką.

– Nie jestem kapitanem. Byłem zaledwie sierżantem.

– Ale co to o z n a c z a? – jęknęłam.

Nie odpowiadał przez dobrą minutę.

– Najgorsze z możliwych – odparł w końcu cicho. – Może opłacałoby się rozważyć... powagę sytuacji.

Zatrzymałam się w miejscu. Nagły brak ruchu po tak długim biegu sprawił, że zaczęło mi się kręcić w głowie.

– Opłacałoby się?

Odwrócił się do mnie. Jego oczy patrzyły na mnie ostrożnie, ale nie mogłam z nich niczego wyczytać. Tylko mięsień drgnął mu w szczęce.

– O p ł a c a ł o b y s i ę? – krzyknęłam.

– Bądź ciszej – ostrzegł.

– Ty... – Głos mi zadrzał. Całe ciało mi drżało. Dławiący gdzieś w środku gniew wy dostał się na powierzchnię w postaci fali wściekłości. – Czy mi się to podoba, czy nie, będzie mi potrzebna twoja pomoc. Powiesz „skacz”, i ja skoczę. Powiesz „biegnij”, pobiegnę. Tylko dlatego, że ty się znasz na wszystkim, a ja nie mam czasu, żeby się tego nauczyć. Ale nie będziesz mi mówił, co by się opłacało robić, kiedy mówimy o mojej mamie! Nie ma minuty, żebym nie rozważała powagi naszej sytuacji!

Chase podszedł bliżej, chwycił mnie za ramię i pochylił się nad moją twarzą.

– Doskonale – powiedział. – Tylko czy przyszło ci do głowy, że nie jesteś mi potrzebna? Że, gdy mnie złapią, będę miał szczęście, jeżeli zginę tak szybko jak ten biedak? Taka właśnie jest moja sytuacja: nie ma powrotu.

Ryzykuję własne życie, żebyś dotarła bezpiecznie do celu, i dopóki nie umrę, będę za to prześladowany.

Poczułam, jak reszta krwi odpływa mi z twarzy. Chase puścił mnie gwałtownie, jak gdyby nagle zdał sobie sprawę, że trzyma mnie za rękę. Skupiłam się na jego grdyce, która przesuwiała się z góry na dół, gdy próbował przełknąć ślinę.

Wstyd zdławił moją złość. Palący, wstrętny, dobijający wstyd. Mogłabym zniknąć pod jego naporem, ale Chase wbił we mnie wzrok, tak że nie byłam w stanie patrzeć gdzie indziej.

– Ja... wcale nie zapomniałam, jakie to dla ciebie niebezpieczne – powiedziałam ostrożnie, starając się powstrzymać płaczliwy ton.

Chase wzruszył ramionami. Nie wiedziałam, czy odrzuca moje przeprosiny, czy bagatelizuje wartość własnego życia. Tak czy inaczej, poczułam się jeszcze gorzej.

Ocecił swoje położenie okrutnie, ale niestety miał rację. Wydawało mi się niemożliwe, żebym miała aż tak wielki wpływ na czyjeś życie – nie byłam w stanie tego pojąć. Tak więc niezdarnie wskazałam ręką kierunek, w którym zmierzaliśmy.

Czas mijał bezlitośnie.

* * *

Wędrowaliśmy przez całą noc i większość następnego dnia, zatrzymując się tylko wtedy, gdy było to konieczne. Nie raz Chase był świadkiem, jak przestraszyłam się nagle jakiegoś cienia, a i ja niekiedy widziałam, jak oczy mu ciemnieją, zupełnie jakby dręczyło go okropne wspomnienie. Nie rozmawialiśmy o tym, że jedno patrzy czujnie na drugie, a kiedy atmosfera stawała się zbyt napięta, wycofywaliśmy się do swoich skorup.

Droga była ciężka. Przez wzgórza nie prowadziła żadna ścieżka, więc jeśli akurat nie przedzieraliśmy się przez gęste krzaki, to brodziliśmy w strumieniach albo grzęźliśmy w błocie. Kiedy zniknęła adrenalina, nasze ciała zeszywniały i stały się powolne, zupełnie jak nienaoliwiona maszyna.

Nie wracaliśmy do tego, co zdarzyło się w domu kuriera i co później każde z nas powiedziało. To wszystko tkwiło w nas, zamknięte gdzieś głęboko. Rozmyślałam tylko o tym, czy mama jest bezpieczna, i gdyby zmęczenie nie odłączyło mojego mózgu, z pewnością znalazłabym się na skraju hysterii.

Zapadł zmrok i Chase postanowił w końcu się zatrzymać. Oboje potykaliśmy się co chwila i z każdym krokiem poruszaliśmy się coraz bardziej niezdarnie.

– Nikt nas nie goni, rozbijemy tu obóz – powiedział.

Jego głos brzmiał bardzo stanowczo, a ja czułam się tak wyczerpana, że nie było sensu protestować.

Znajdowaliśmy się na małej polanie w kształcie koślawego okręgu, otoczonej sosnami. Ziemia była względnie równa i niezbyt kamienista. Chase rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku i czy będziemy mieli ewentualne drogi ucieczki, a potem zaczął montować aluminiowy stelaż skradzionego namiotu.

Kiedy sięgnęłam po jego plecak, żeby wyjąć jedzenie, natychmiast przerwał swoje zajęcie i sam zabrał się do wypakowywania. Zaczęłam się nawet zastanawiać, co takiego tam ukrywa, jednak byłam zbyt zmęczona, żeby się tym przejąć. Z resztek pokruszonego chleba zrobiłam kanapki i postanowiłam przejrzeć zapasy. Mieliśmy jeszcze dwie paczki liofilizowanej zupy oraz osiem batoników zbożowych z wyposażenia FBN. Wiedziałam, że nie starczą nam na długo. Będziemy musieli szybko znaleźć coś do jedzenia.

– Chase? – odezwałam się po chwili, wracając myślami do zakładu poprawczego.

– Taaa?

– Gdyby strażnik w zakładzie został eee... przyłapany z... podopieczną... Jak myślisz, wydaliby na niego wyrok śmierci? – Miałam nadzieję, że zrozumiał, o co mi chodzi, bo nie bardzo chciałam wyjaśniać, co się

właściwie wydarzyło.

Chase z impetem zaczął wpychać długi pręt w nylonowe oczko. Miałam wrażenie, że pociemniał na twarzy, ale może tylko mi się wydawało w kiepskim oświetleniu.

– Prawdopodobnie nie. Nie była to zdrada stanu. Zapewne urządziliby nad nim sąd polowy. Zostałby usunięty dyscyplinarnie. Zdarza się, chociaż niezbyt często.

Od razu poczułam się lepiej. Uwolnienie się z macek FBN – tego właśnie chcieli Sean i Rebeka.

– To nic dobrego – dodał Chase na widok mojej miny. – Zwolnieni żołnierze zostają wciągnięci na czarną listę. Nic nie zrobią – nie znajdą pracy, nie kupią domu, nie dostaną pomocy rządowej. Żadnego legalnego zatrudnienia – jeśli przyłapią go na pobieraniu wypłaty, będzie powszechnie pogardzany.

– To jak ma żyć?

– Nie ma, i o to właśnie chodzi.

Chase przerwał rozbijanie namiotu i zaczął mi się przypatrywać.

– Jak widzę, bardzo się przejmujesz jego losem – wyrzucił z siebie.

– No tak. Przeze mnie ma zapewne zniszczone życie – odparłam z rozpaczą.

Chase wrócił do swojej pracy, ale z mniejszą gwałtownością.

– Gdyby przestrzegał zasad, nie miałby problemu.

– Nie zapominaj, że gdybyś ty przestrzegał zasad, też nie miałbyś problemu! – warknęłam.

W głowie mi pulsowało. Wróciły słowa, które powiedział po morderstwie kuriera, i otworzyły niezabliźnione rany. Będzie ścigany do końca życia przeze mnie. Jestem obciążeniem. Jestem niebezpieczna. Stanowię niepotrzebny balast. Już to pojęłam.

Moje rozmyślenia przerwało długie, przeciągłe wycie w oddali. Zerwałam się na równe nogi, ale Chase tylko nadstawił ucha, a chwilę

później wrócił do rozstawiania namiotu, jakby go to nie obeszło.

– Kojot – poinformował mnie.

Zaczęłam rozcierać ręce.

– Głodny kojot?

Patrzył na mnie przez chwilę, jak gdyby oceniał, czy naprawdę się boję.

– Zapewne. Ale nie martw się. On się bardziej obawia nas niż my jego.

Zaczęłam rozglądać się dookoła obozowiska, wyobrażając sobie, jak zgraja rozwścieczonych kojotów podkrada się do swojego następnego posiłku.

Chase nagle się roześmiał.

– Co?

– Nic. Tylko... tylko po wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni, ty pękasz przed kojotem.

Wydułam wargi, a wtedy znów się zaśmiał. Chwilę później ja też chichotałam. Ten śmiech był zaraźliwy.

Intensywność wszystkich emocji wpływała dziwnie na moją wesołość. Wkrótce trzymałam się za brzuch, a łzy płynęły mi ciurkiem. Na szczęście Chase reagował tak samo. Kiedy nasza głupawka dobiegła końca, uśmiechnął się do mnie.

– Fajny – powiedziałam.

– Ale co?

– Twój śmiech. Nie słyszałam go od jakiegoś roku.

Uśmiech zamarł mu na twarzy, a mnie zrobiło się boleśnie przykro, że tak się znów zamknął w swojej skorupie.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Wspominanie przeszłości okazało się błędem.

Chase odwrócił się, żeby dokończyć rozbijanie obozowiska, i dopiero wtedy zauważyłam, że spod koszuli wystaje mu pistolet. Widocznie włożył go tam, kiedy nie patrzyłam. Najwyraźniej bardziej przejmował się głodnym kojotem, niż dawał to po sobie poznać.

Po umyciu zębów poczułam się odrobinę lepiej. Skropiłam twarz wodą, a potem zdjęłam buty z obolałych nóg i wczółgałam się do namiotu. Miał niecały metr wysokości i jednej osobie było w nim ciasno, przy dwóch robiło się wyjątkowo tłoczno – zwłaszcza jeśli jedna z nich miała posturę olbrzyma.

Jednak kiedy Chase zasunął zamek przy wejściu i odwrócił się, i tak z zaskoczeniem przyjął fakt, że nasze twarze znajdują się tak blisko siebie.

Od razu przypomniała mi się pewna czarno-biała fotografia. Rozczochrane włosy, gęste rzęsy, wyraziste kości policzkowe, które rzucały cienie na twarz, nadając jej wyraz zuchwałości i tajemniczości. Delikatny łuk górnej wargi.

Żołądek przeszła mi gorąca iskra. Przez chwilę słyszałam jedynie dźwięk mojego walącego serca. A potem obraz zniknął.

Błagałam w myślach, żeby puls nie bił tak szybko, jednak mnie nie posłuchał. Jednym przeciągłym spojrzeniem Chase odebrał mi siły, wykradł samokontrolę. A to, jak wiedziałam z doświadczenia, stawiało mnie na bardzo grząskim gruncie.

Absolutnie nie mogłam znów zakochać się w Chasie Jenningsie, bo to tak, jakbym zakochała się w burzy. Zjawisko ekscytujące i potężne – owszem. Nawet piękne. Ale wybuchowe, nieprzewidywalne, a w rezultacie krótkotrwałe.

„Jesteś zmęczona, idź już spać” – powiedziałam do siebie w myślach.

I wtedy właśnie zdałam sobie sprawę, że mamy tylko jeden śpiwór.

– Nie będę chyba zdejmowała ubrania, co? – W głowie mi wirowało. Mocno zacisnęłam powieki.

– Jeśli nie chcesz – odparł cicho.

– Chodzi o to, że może trzeba będzie szybko uciekać. Tak jak wczoraj.

– Masz rację.

„Zamknij paszczę i się połóż” – nakazałam sobie. Ale nie było to łatwe. W brzuchu wszystko mi tańczyło z nerwów. Nie miałam pojęcia, jak się ułożyć. Zaczęłam analizować każdy możliwy ruch, gdzie powinnam dać

nogę, gdzie rękę.

– Myślisz tak głośno, że mnie głowa zaczyna boleć.

Spróbowałam odwzajemnić jego złość i to mi trochę pomogło. Było mi łatwiej przebywać w towarzystwie Chase’a, gdy stawał się okrutny. Robiło się trudniej, kiedy się ze sobą nie kłóciliśmy. Wtedy przypominało mi się, jak to dawniej było między nami.

– Czekasz na zaproszenie? – zapytał.

– Przydałoby się – przyznałam zrzędliwie.

– Chodź tu.

Musiałam się uśmiechnąć. Chase był kwintesencją uprzejmości. Naprawdę. Wzięłam głęboki wdech, po czym wczołgałam się obok niego i położyłam głowę na swetrze.

Chase wypuścił powietrze z teatralną przesadą. Wsunął rękę pod moją głowę, objął mnie delikatnie i przyciągnął do siebie. Poczułam ciepło jego skóry przenikające przez wszystkie warstwy ubrania i jego oddech, muskający mi włosy. Puls mi od razu podskoczył. Chase zapiął do końca śpiwór, a ja, pod wpływem impulsu, przełożyłam kolano przez jego udo i oparłam głowę na jego ramieniu. Wtedy usłyszałam bicie jego serca. Szybsze, niż mogłam się spodziewać, silne i wyraźne.

Odchrząknął raz, a potem drugi.

– Sorry, trochę tu ciasno. Mam nadzieję, że tak może być – powiedziałam i poruszyłam nieco nogą, żeby wiedział, o czym mówię.

Znów odchrząknął.

– Jest okej – powiedział.

– Naprawdę nie jest ci niewygodnie?

– Jest okej – powtórzył krótko.

Jego klatka piersiowa, chociaż twarda, wydawała się tak wygodna pod moim policzkiem, a jego zapach – jakby drewna i mydła – działał na mnie kojąco i usypiająco. Bolały mnie wszystkie mięśnie, odciski na stopach rwały, ale nawet i to wkrótce ustąpiło. Wyczerpanie osłabiło mój instynkt

obronny i nic na to nie mogłam poradzić, chociaż wiedziałam, że gdy znajduję się tak blisko Chase'a, powinnam zachować ostrożność. W końcu poczułam się bezpiecznie. Ogarnął mnie spokój. Po pewnym czasie przestało mnie nawet obchodzić, czy znajdzie nas Straż Obyczajowa, czy nie. Żebym tylko mogła się najpierw wyspać.

Chase oddychał powoli, a miarowe ruchy jego klatki piersiowej nadawały mu bardziej ludzki wymiar. Poczucie samotności, które ciążyło mi przez cały dzień, teraz jakby osłabło. Nagle przyłapałam się na pragnieniu, by dotknął mojej twarzy, włosów, ręki zwiniętej na jego piersi, a tym samym dodał mi otuchy, zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Chase się jednak nie poruszył.

Jakiś kojot wydał z siebie przeciągły, osamotniony krzyk. Mimowolnie się wzdrygnęłam.

– A jeśli on...

– Nie przyjdzie tu, już ja tego dopilnuję – powiedział, a potem westchnął cicho i szepnął: – Śpij spokojnie, Ember.

I chociaż ziemia była zimna i nierówna, a dżinsy okręciły mi się wokół nóg, zapadłam w sen.

ROZDZIAŁ 10

Zaczęło się od delikatnego drgnięcia w barku. Nic nadzwyczajnego, ale ponieważ nadal opierałam głowę na klatce piersiowej Chase'a, ten ruch od razu mnie obudził.

Cichy jęk. A potem zduszony krzyk. Usłyszałam, jak coś – zapewne jego pięść albo pięta – uderza o ziemię. Połową ciała musiał leżeć poza śpiworem, bo zbyt swobodnie się poruszał. Śliski materiał zaszeleścił, kiedy drgnął po raz drugi.

Odsunęłam śpiwór i usiadłam. Aż mi zaparło dech, gdy lodowate powietrze omiotło nasze ciała. Chase znieruchomiał. Przez chwilę sądziłam, że go obudziłam, ale potem obrócił się gwałtownie, zwracając się do mnie przodem, podkulając kolana pod moimi.

Sączące się przez nylon namiotu światło księżyca ukazało jego twarz, wykrzywioną w grymasie potwornego cierpienia. Na widok tego olbrzymiego faceta zwiniętego w pozycji embrionalnej, trzęsącego się ze strachu, serce mi się ścisnęło.

A potem Chase zawył. Jego krzyk przeszył mnie na wylot i wszystkie wątpliwości odnośnie do jego osoby natychmiast prysły. Jedna moja ręka powędrowała do jego ramienia, druga – do policzka.

– Chase – szepnęłam.

Gwałtownie otworzył oczy, spojrzenie miał dzikie, nieprzytomne. W ułamku sekundy jego ręka zacisnęła się wokół mojego gardła. Drugą zamachnął się do tyłu, gotów wymierzyć cios.

Nie mogłam oddychać, a więc nie byłam w stanie krzyknąć. Gardło mnie paliło, a z oczu pociekły łzy.

– Jezu, Ember!

Natychmiast rozluźnił uchwyt i rzucił się do tyłu, zderzając się ze ścianą namiotu, który zatrzęsł się w posadach. Przestraszony Chase próbował wstać,

ale i to się nie powiodło. Uderzył głową w stelaż i znów ukucnął. Całe jego ciało drżało, zupełnie jakby był dzikim zwierzęciem zamkniętym w klatce. Nie widziałam jego twarzy, ale słyszałam oddech, ciężki i urywany.

Ręce mi się trzęsły, bo je podniosłam w geście kapitulacji. Nadal czułam na gardle pulsowanie od zaciskających się na nim palców. Wspomnienie pałki Randolpha. Mojego słabego punktu. Odskokczyłam do tyłu, zderzając się ze słupkiem namiotu. Ten znów się zatrząsł.

– Przepraszam... – wydusiłam słabym głosem.

– Poczekaj. Ja nie... – Wyciągnął rękę, żeby chwycić mnie za ramię, ale w ostatniej chwili się wycofał, jakby nie ufał samemu sobie.

Zasłoniłam usta ręką, drugą chwyciłam się za łokieć. Powieki miałam zaciśnięte.

– Zrobiłem ci krzywdę? – zapytał nerwowo.

Nic nie powiedziałam, tylko pokręciłam energicznie głową. Nie chciałam otwierać oczu. Nie byłam w stanie patrzeć na żołnierza, bo położyłam się spać z kimś innym.

– Przepraszam. Ja... nie chciałem. To sen – wyrzucił z siebie.

Jego słowa balansowały na cienkiej granicy między strachem a pogardą dla samego siebie.

Ręce Chase'a znajdowały się tak blisko moich, że czułam bijące od nich ciepło. Powoli, bardzo powoli pogładził opuszkami palców mój wilgotny policzek. Mimowolnie wzdrygnęłam się pod dotykiem jego ręki, choć był tak delikatny.

Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. A potem bez słowa włożył buty, zabrał kurtkę i wyszedł na zewnątrz.

* * *

Przez kilka godzin wpatrywałam się w ciemność, zdezorientowana, momentami nawet przerażona, podczas gdy Chase chodził w tę i we w tę wokół namiotu. Znów przyszła mi do głowy ucieczka, ale wiedziałam, że tylko zgubiłabym się w ciemnym lesie.

Po pewnym czasie zdałam sobie sprawę, że kroki ucichły. Ogarnął mnie nagły strach, że Chase mnie zostawił. Nie mogłam na to pozwolić, bo – chociaż przyznawałam się do tego wyjątkowo niechętnie – liczyłam, że pomoże mi odnaleźć mamę. Był mi potrzebny.

Wygrzebałam się ze śpiwora i podpełzłam do wyjścia. Zgrabiętymi palcami mocowałam się z zamkiem i w końcu się udało.

Ciemność nieco już ustąpiła, ale jeszcze nie świtało. Chase siedział oparty o drzewo, jakieś trzy metry od namiotu, i czuwał. Ukucnęłam z poczuciem ulgi, że jednak tu jest.

Temperatura gwałtownie spadła, leżące na ziemi sosnowe igły błyszcząły od szronu. Zanim wydostałam się z namiotu, Chase zdążył już wstać. Zaczął się przeciągać, zupełnie jak skostniały z zimna starzec. Ogarnęła mnie irytacja. Dlaczego nie wrócił do namiotu, przecież zrobiłabym mu miejsce? Lepiej było leżeć obok siebie w zakłopotaniu, niż umrzeć z wyziębienia.

Jednak kiedy podeszłam bliżej, mój gniew przerodził się w niepokój. Na jego policzkach widniały czerwone plamy, a usta były suche i sine z zimna. Chociaż miał na sobie kurtkę, gwałtownie się trząsł, a z każdym jego ruchem kurtka trzeszczała głośno. Jego oddech nie stawał się mgiełką tak jak mój. Stracił całe ciepło.

Pobiegłam do namiotu i wróciłam ze śpiworem. Nie protestował, gdy zarzuciłam mu go na ramiona, ale kiedy próbował chwycić materiał, ten wyslizgnął mu się ze zgrabiętych palców. Wtedy właśnie zauważyłam, że kostki prawej dłoni ma opuchnięte i poranione. Wzdłuż palców pociekła mu strużka krwi.

– Twoja ręka! – zawołałam.

Wbił wzrok w ziemię, celowo unikając mojego oskarżycielskiego spojrzenia – zupełnie jak dziecko przyłapano na kradzieży.

– Nnnnic mmmi nie jest. Mmmożesz iść się jeszcze zdrzemmmnąć – powiedział. Brzmiało to tak, jakby nawet gardło miał pokryte warstwą lodu.

Skrzyżowałam ręce na piersi i wyczekująco uniosłam brwi. Rozpostarł

palce, krzywiąc się z bólu.

– Wdałem się w bójkę – odparł z bladym uśmiechem. – Z drzewem – dodał, widząc moje zaniepokojenie.

– Widzę, że przegrałeś.

– Ppppowinnaś zobaczyć drzewo.

Zaśmiałam się wbrew sobie, czując, jak chłód przenika przez moje ubranie. Jak on tu wytrzymał bez ruchu?

Rozgrzał się odrobinę i zaczął nawet tupać. Przynajmniej coś pozytywnego.

– Pppprzepraszam, Ember.

Zaskoczyło mnie, że użył mojego imienia. Odkąd po mnie wrócił, zwracał się tak do mnie tylko przy wydawaniu rozkazów albo gdy był wściekły czy zaskoczony. Powiedział to teraz z taką rozpaczą, że aż serce mi się zaczęło krajać.

– I przepraszam zzza to, co powiedziałem wczoraj. To nnnnieprawda. I cała reszta też. Zakład poprawczy i... w ogóle. W życiu nie sądziłem... Boże, twoje ręce. A przecież wiem, że było jeszcze gorzej. Widzę to po tobie. Ja... tak mi przykro... – Kopnął ziemię, a potem skrzywił się, jakby złamał sobie palec.

Wiedziałam, że zauważył blizny po biciu Brock i moje zdenerwowanie na widok broni palnej, ale byłam zaskoczona tym, jak bardzo go to dręczyło. Wcześniej nic o tym nie wspominał.

Nie mogłam dłużej tego znosić. Przysunęłam się bliżej i nie zareagowałam, kiedy się szarpnął. Zaczęłam pocierać jego ręce, starając się nie dotykać rany. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Jego przeprosiny zbiły mnie z tropu i nie byłam pewna, czy powinnam wierzyć w ich szczerość.

– Nie rób tego – powiedział, ale bez przekonania. – Nie powinnaś...

– Dotykać cię? Nie martw się, nikomu nie powiem – odparłam, urażona.

– Nie jestem tym, kim byłem kiedyś. Nie bądź dla mnie miła.

Zastanowiło mnie, co takiego straszego zrobił, że nie chciał przyjąć

nawet odrobiny ciepła od drugiej osoby. Miałam wrażenie, że nie potrafię nienawidzić go tak bardzo, jak on nienawidził samego siebie.

Odsunął mnie od siebie bardzo delikatnie, jakbym była zrobiona ze szkła. Wiedziałam, że nie chce mnie znowu skrzywdzić, ale i tak poczułam się odrzucona.

– Pozwoliłabym ci wrócić do namiotu – powiedziałam.

– Wiem.

Podniosłam głowę i zobaczyłam cienie pod jego oczami.

– Więc dlaczego...

– Obiecałem, że nigdy cię nie skrzywdzę.

Chwyciłam się za szyję. Po jego uścisku nie został nawet ślad, w końcu szybko odsunął rękę. Przestraszyłam się tylko, nic mi się nie stało.

Najwyraźniej Chase postanowił się ukarać. Zimnem i zadawanym sobie bólem. Zupełnie jakby poczucie winy i wstydu nie wystarczyły. Wiedziałam, że wyniósł to ze służby w SO. Żałowałam, że nie potrafię wzbudzić w sobie złości i porządnie go ochrzanić. Niestety, ogarnęło mnie jedynie współczucie, a tego nie mogłam mu zdradzić, bo wiedziałam, że to tylko podsyciłoby jego zakłopotanie. No i powstrzymałam się, chociaż znów miałam ogromną ochotę go objąć. Zamiast tego stałam blisko, czekając, aż się rozgrzeje. Z nadzieją, że dzięki mojej obecności zrozumie, że jego pokuta dobiegła końca.

* * *

W ciągu dnia ociepliło się, ale tylko nieznacznie. Przez ujemne temperatury droga była śliska, a mgła przesłaniała nam widoczność. Na skutek niesprzyjających warunków posuwaliśmy się z prędkością o połowę mniejszą niż poprzedniego dnia, każdy krok bowiem wymagał zdwojonego wysiłku i zwiększonej koncentracji.

Minęły dwie doby, podczas których niewiele jedliśmy, spaliśmy i rozmawialiśmy. Czas nieubłaganie uciekał. Kiedy w poniedziałek rano wzeszło słońce, ogarnęło nas nerwowe poczucie pośpiechu. Został nam

niecały dzień na odnalezienie punktu kontrolnego.

A przecież nie był to nasz jedyny problem. Podzieliliśmy żywność na skromne racje, ale i tak skończyło nam się jedzenie, a od poprzedniego dnia nie trafiliśmy na strumień, żeby napełnić puste bidony.

Gdy zaczęliśmy zbliżać się do jakiejś cywilizacji, na ziemi znowu pojawiło się mnóstwo śmieci. Chase zaczął przekopywać ścinki, puszki i wyblakłe opakowania po żywności firmy Horizons w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia. Perspektywa żywienia się odpadkami nie wydawała mi się już tak odrażająca jak kiedyś.

Było późne popołudnie, kiedy usłyszeliśmy dźwięk opon poruszających się po asfalcie. Gdzieś blisko jechał samochód.

– Przekroczyliśmy już granicę stanu? – zapytałam, przepychając się, żeby zobaczyć, jak daleko zaszliśmy.

Chociaż nienawidziłam myśli, że znów znajdziemy się w świetle reflektorów, wiedziałam, że nie mamy innego wyjścia.

Las kończył się i przechodził w gęste, szarozielone zarośla, które wypełzały dziko na pustą drogę. Dalej rozciągało się pole otoczone drutem kolczastym i obrośnięte dookoła drzewami. Przekrzywiona czerwona skrzynka pocztowa wskazywała na krętą drogę niecały kilometr dalej. Tamto auto, skądkolwiek jechało, już zniknęło.

Chase wciągnął mnie z powrotem w krzaki i poszedł na zwiady. Z miejsca, w którym się ukrywałam, widziałam, jak wyciąga z plecaka mapę i patrzy na drogę. A potem opuszcza wzrok. I wznosi go ku niebu.

„Do tego właśnie sprowadza się teraz moje życie” – pomyślałam, przyglądając się Chase’owi. „Żeby przeżyć, zdaję się na faceta, który najwyraźniej oczekuje znaku z nieba”.

Beth uznałaby, że to przezabawne. Ryan powiedziałaby, że to wyjątkowo niepraktyczne. Zastanawianie się nad tym, jak zareagowałiby moi przyjaciele, przyniosło mi pewną ulgę. Dzięki ich obecności czułam się silniejsza, chociaż przez ułamek sekundy wyobraziłam sobie, że we mnie

wątpią. Że posądzają mnie o zrobienie czegoś okropnego, o czym nie mają pojęcia – czegoś, co doprowadziło mnie do mojej obecnej sytuacji.

Nie. Oni nigdy się nie zmieniają.

Chase się jednak zmienił.

– Podążamy na południowy wschód, równoległe do autostrady, która biegnie kilka kilometrów stąd – oznajmił po powrocie. – Ale jesteśmy dalej od punktu kontrolnego, niż myślałem. Musimy przyspieszyć.

Poczułam, jak ogarnia mnie fala zdenerwowania. Nogi miałam tak sztywne, że ledwo je zginałam, pęcherze na stopach wypełniły się krwią, a mimo to szliśmy dalej. Nie mogliśmy spóźnić się na spotkanie z kurierem. Musieliśmy uciec SO i znaleźć moją mamę. Znów poczułam się tak, jakby to, że żyjemy, nadawało sens śmierci tego biednego człowieka w Harrisonburg.

Po pewnym czasie Chase wyjął ostatni kawałek owsianego batonika z wyposażenia FBN i podał mi. Odłamałam rożek, po czym oddałam mu resztę. Doceniałam ten gest, jednak wiedziałam, że jest tak samo głodny jak ja.

Ledwo otworzyłam usta, żeby zapytać o ranę na ramieniu, kiedy usłyszeliśmy dobiegające zza drzew głosy. Instynktownie oboje pochyliliśmy się nisko, ale szybko zdaliśmy sobie sprawę, że ci ludzie nie idą w naszą stronę, ale stoją nam na drodze.

– Z tamtego domu? – zapytałam, przypominając sobie skrzynkę.

– Może. Idź za mną.

Zaczęliśmy skradać się w ich stronę. Po dziesięciu metrach głosy było słychać całkiem wyraźnie. Jacyś mężczyźni, co najmniej dwóch, krzyczeli coś do siebie. Po kolejnych dwudziestu metrach zarośla się rozrzedziły.

– Wynoś się z mojej posesji! – krzyczał jeden.

– Zastrzelę cię, jeśli to będzie konieczne – odparł drugi. – Nie chcę tego, ale tak właśnie zrobię!

Z a s t r z e l ę? To słowo napełniło mnie lękiem. Znajdowałam się już na tyle blisko, że widziałam trzy osoby. Jakieś dziesięć metrów dalej,

na pastwisku dla bydła, stał umięśniony mężczyzna o ciemnych włosach, przyprószonych siwizną na skroniach. Miał na sobie dżinsy oraz stary wojskowy sweter w zielonym kolorze, a przez ramię przerzucił sobie kij baseballowy. Poruszał się dość niewprawnie i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że ma tylko jedną rękę. Po jego prawej stronie znajdował się brodaty włóczęga ze srebrnym pistoletem w dłoni oraz mała postać w jakichś łańchmanach. Kiedy mój oddech ucichł nieco, usłyszałam jej szloch. Na ziemi między całą trójką leżała martwa krowa.

Kłusownicy.

Chase chwycił mnie za ramię i skinieniem głowy nakazał odwrót. W jego dłoni błysnęła broń. Trzymał ją w gotowości, z palcem na spuście, ale celował w ziemię. Widać było, że wolałby nas do tego nie mieszać.

Czułam się rozdarta. Słusznie byłoby pomóc farmerowi, który zapewne próbował bronić swojej własności, uzbrojony jedynie w kij baseballowy. Tylko czy powinniśmy aż tak ryzykować?

Wtem powietrze przeszył huk wystrzału, który odbił się echem od drzew i uderzył w moje bębny. To włóczęga strzelił ponad głowę farmera, nie przestraszył jednak tego dzielnego człowieka. Znów wrócił do mnie obraz nóg kuriera na podłodze w kuchni. Chase uniósł broń i popchnął mnie w dół, na ziemię.

Nagle rozległ się płacz, tak blisko nas, że aż podskoczyłam. Przez sekundę myślałam nawet, że to może ja płaczę. Odwróciłam głowę w bok, próbując usłyszeć coś poza swoim przyspieszonym oddechem. To nie mogła być tamta kobieta – znajdowała się zbyt daleko – a dźwięk był za wysoki, by pochodził od mężczyzny. Znów usłyszałam szlochanie. Gdzieś blisko. Przeciągnęłam paznokciami po ziemi, gotowa do ucieczki. Uniosłam się na nogach i wtedy go zobaczyłam.

To był chłopiec. Najwyżej siedmioletni.

Miał brązowe włosy zaczesane z przedziałkiem i zasmarkany nos, pasujący do czerwonego jak pomidor swetra. Od razu poznałam, że przyszedł

z farmerem: był zbyt dobrze ubrany, by wędrować z parą włóczęgów. Ukrywał się i z przerażeniem patrzył, jak przestępca celuje do jego taty.

Bez namysłu wyskoczyłam spod chwytu Chase'a, żeby podpełznąć do chłopca, który ukrywał się jakieś trzy metry od nas.

– Ember! – syknął Chase.

Głos bandyty zagrzemiał tuż przed nami.

– Jasne, ja też kiedyś miałem dom. Dom, pracę i samochód. Dwa samochody! A teraz nie jestem nawet w stanie wyżywić rodziny! – Rozległ się jego płacz.

Widać było, że jego desperacja narasta. Oboje z Chase'em zamarliśmy.

Chłopiec zapłakał głośno, a wtedy włóczęga odwrócił się gwałtownie w naszą stronę.

– Co to było? Jest tam jeszcze ktoś? Kto tam?

– Nie ma nikogo! – powiedział stanowczo farmer. – Tylko my.

– Słyszałem kogoś! – Bandyta ruszył w naszym kierunku.

Zamarłam, wbijając dłonie w warstwę mokrych liści. Chłopiec nadal znajdował się około trzech metrów dalej, ale teraz już mnie widział. Stał, zakrywając usta obiema rękoma, a jego twarz błyszczała od łez. Podniosłam drżący palec do ust, rozpaczliwie próbując go uciszyć. Dlaczego nie wycofaliśmy się, tak jak tego chciał Chase?

Trzask łamanych gałązek wyrwał mnie z zamyślenia. Na ułamek sekundy napotkałam wzrok Chase'a i rozpoznałam to jego twarde spojrzenie żołnierza. A potem, ku mojemu zdziwieniu, Chase upuścił plecak, wstał i wyprostował się. Jeszcze nigdy nie budził we mnie takiej grozy.

– A kim ty, do diabła, jesteś? – wrzasnął bandyta, celując prosto w serce Chase'a.

W głowie kłębiły mi się myśli. „Co on robi?” Próbowałam chwycić go za kostkę z nadzieją, że uda mi się go ściągnąć na ziemię i przemówić mu do rozsądku, jednak było już za późno. Zrozumiałam, że Chase chce kryć tego chłopca: pokazuje się, żeby bandyta nie zaczął strzelać na oślep w stronę

drzew. Zrobiło mi się słabo na samą myśl, że mogłoby mu się stać coś złego.

– Tylko spokojnie. Odłóż broń – usłyszałam opanowany głos Chase’a.

Kłusownik zawahał się, a potem cofnął o kilka kroków.

– Kim jesteś?

– Wędrowcem, tak samo jak ty. Cholernie zimno, prawda? To chyba najgorsze w tym wszystkim. Zimno. Słuchaj, wiem, że jesteś głodny. Mam dodatkowe jedzenie na dzisiaj, chętnie się z tobą podzielę, a potem obmyślimy jakiś plan. Co ty na to?

– Cofnij się!

Farmer przenosił wzrok z jednego uzbrojonego mężczyzny na drugiego, a potem spojrzął na las, gdzie ukrywał się jego syn. Powietrze było gęste od napięcia.

– Proszę, Eddie! – wyjęczała kobieta włóczęgi. – Proszę, chodźmy!

Mężczyzna przysunął obie ręce do głowy i przyłożył lufę pistoletu do skroni.

„Zastrzeli się” – pomyślałam z przerażeniem.

– Zobacz, odkładam broń, okej? – powiedział Chase. – Ty też odłóż swoją, a wtedy dam ci jedzenie – dodał.

Przyglądałam się zszokowana, jak Chase opuszcza pistolet. Wiedziałam, że negocjacje stanowiły element szkolenia, ale czy się nie mylił? Przecież stawał się zupełnie bezbronny!

Trzask w pobliskich zaroślach odwrócił moją uwagę od Chase’a. To chłopiec właśnie wychodził z kryjówki.

– Ej, ty! – szepnęłam. – Na ziemię!

Nie posłuchał. Najwyraźniej uznał, że Chase opanował sytuację.

– Tata! – Chłopiec puścił się biegiem w stronę farmera, którego zaskoczenie przerodziło się w bezbrzeżne przerażenie.

Mężczyzna upuścił kij.

Bandyta zaklął, przestraszony, i nerwowo wycelował srebrny pistolet w wybiegającego z lasu dzieciaka.

– Ember! NIE! – wrzasnął Chase.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że i ja wstałam, a moje nogi niosły mnie szybko do przodu. W stronę chłopca. Byłam bliżej niż jego ojciec, mogłam dopaść go pierwsza. Tylko o tym myślałam.

Bum! Kula wystrzeliła w chwili, kiedy zderzyłam się z chłopcem. Upadliśmy na trawę, zdyszani i splątani.

– Ronnie! – Farmer odepchnął mnie na bok i chwycił swoje dziecko, sprawdzając, czy nie jest ranne.

Ja też omiotłam chłopca wzrokiem. Miał poplamione błotem dżinsy i sweter, a na jego poblądłej, niewinnej twarzy malowało się przerażenie. Nie, nie został postrzelony, a i ja nie odczuwałam bólu, nie licząc utraty tchu. A więc został tylko...

– Chase! – zawołałam, podrywając się.

Pobiegłam przez mokrą trawę i kałuże do leżących na ziemi mężczyzn. Dopiero po chwili zrozumiałam, że się biją.

Obeszłam martwą krowę, a wtedy dotarło do mnie, że Chase wygrywa. Miał nad swoim przeciwnikiem przewagę ponad dwudziestu kilogramów, a do tego był młody i wyszkolony. Kobieta też się na niego rzuciła, ale została odepchnięta i teraz płakała rozpaczliwie. Nie wiedzieć czemu, oba pistolety leżały na ziemi.

Mój wzrok zatrzymał się na broni Chase'a, bo ta leżała bliżej. Podniosłam ją pospiesznie, zapominając o wszystkich tych spustach i komorach, po czym wycelowałam w kotłowaninę zakrwawionych ciuchów przewalających się przede mną.

Ręce mi się trzęsły. Nie byłabym w stanie strzelić do włóczęgi tak, żeby nie ryzykować trafienia w Chase'a.

– Przestańcie! – krzyknęłam.

Chase mocno uderzył włóczęgę w twarz. Łokciem. Mężczyzna wbił paznokcie w jego ranne ramię, a wtedy Chase syknął z bólu.

Wówczas coś we mnie pękło. W moich żyłach szybciej popłynęła krew.

Patrzyłam przez szpary zasnuwane czerwoną mgłą. Przestało mnie nagle obchodzić, jak żaloszny i głodny jest ten włóczęga.

Musiałam to przerwać. N a t y c h m i a s t.

Uniosłam broń w kierunku nieba i pociągnęłam za spust. Głośny wystrzał odbił się echem w moich uszach. Boleśnie poczułam odrzut w nadgarstku, promieniowało aż do przedramienia. Krzyknęłam, a pistolet wypadł z mojej odrętwiałej dłoni. W głowie miałam absurdalną, ale niezwykle kojącą pustkę.

Chase poderwał się na nogi, dysząc ciężko. Z jego twarzy zniknęły wszelkie ślady spokojnych negocjacji, odsłaniając tkwiącą głębiej brutalność. Szukał wzrokiem źródła wystrzału i w końcu popatrzył na mnie.

Kobieta pomogła wstać swojemu mężowi. Jego nos i usta przypominały krwawą, ubłoconą miazgę. Chwilę później oboje zniknęli bez słowa pomiędzy drzewami.

Spoglądałam za nimi z poczuciem utraconego celu. „Co mam teraz robić?” Wszystko zdarzyło się tak szybko i równie pospiesznie zakończyło.

Gdy się odwróciłam, Chase szedł w moją stronę. Jego postawa mówiła mi, że jest wściekły, nie musiał nawet otwierać ust.

Nie myślałam logicznie. W uszach dzwonił mi jeszcze wystrzał, w głowie huczało, a łzy przesłaniały mi widok. Powstrzymywany strach wrócił ze zdwojoną siłą. Pobiegłam do Chase'a i rzuciłam mu się w ramiona.

Początkowo wydawał się zaskoczony, ale zaraz odwzajemnił uścisk.

– Już dobrze – powiedział uspokajająco. – Nikomu nic się nie stało. Wszystko w porządku.

Jego słowa przeszły mi na wylot. Po raz pierwszy, odkąd wyrwał mnie z zakładu, zrozumiałam, że nie będę spokojna, dopóki nie będzie bezpieczny. Cierpienie, koszmary, kłótnie – to wszystko nie miało znaczenia. Chase był częścią mnie samej.

– Nie rób tego! Już nigdy tego nie rób! – błagałam.

– Mógłbym to samo powiedzieć o tobie – odparł.

Na szyi czułam jego ciepły oddech.

– Obiecuj! – zażądałam.

– Ja... obiecuję.

– Nie mogę cię stracić.

W tamtej chwili nie chodziło mi wcale o dotarcie do Karoliny Południowej. Chodziło mi o to, że był mi potrzebny. Taki, jaki był. Jakim nadal mógł być, gdyby nie odszedł. Nie miałam pojęcia, dlaczego to powiedziałam, ale w tamtej chwili absolutnie nie żałowałam swoich słów.

Chase zawahał się, a potem przyciągnął mnie jeszcze bliżej, tak że ledwo mogłam oddychać. Moje stopy nie sięgały już ziemi, czułam tylko, jak wbija dłonie w moją kurtkę.

– Wiem – powiedział.

Serce zaczęło mi bić wolniej, chociaż mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. A więc wiedział. Pamiętał, co nas łączyło, kiedy jeszcze byliśmy razem. Czułam, że spadła z niego kamienna maska i otoczył nas jakiś blask. Wreszcie wrócił mój stary dobry Chase.

I wtedy ktoś odchrząknął.

Odkoczyliśmy od siebie jak niewłaściwe strony magnesu, a to, co pojawiło się między nami niczym most, rozsypało się nagle jak kruche szkło. Zapomnieliśmy o tym, że nie jesteśmy sami, że tuż obok stoi ten farmer. Kij baseballowy wsunął pod kikut ręki, drugą dłoń trzymał na głowie syna. Chłopiec uśmiechał się teraz głupkowato. Oblała mnie fala gorąca, chociaż temperatura zaczęła spadać.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Patrick Lofton, a to mój syn Ronnie.

* * *

Dwadzieścia minut później szliśmy za Patrickiem i Ronniem w stronę ich domu. Ku zmartwieniu farmera byliśmy zmuszeni zostawić krowę tam, gdzie leżała. Dopiero rano będzie można ją pochować. Patrick nie mógł jej zabrać na mięso, nie miał odpowiednio dużego i chłodnego pomieszczenia, w którym mógłby je przechowywać, a ich kupiec, niejaki Billings, miał się

pojawić dopiero za tydzień. Zadrżałam, gdy padło słowo „rzeźnia”. Od razu przypomniał mi się martwy pies wiszący w przyczepie kempingowej tamtej wariatki.

Patrick uparł się, żebyśmy wstąpili do nich do domu, aby jego żona mogła się nam odwdziżyć posiłkiem. Powiedzieliśmy, że musimy ruszać dalej, że czeka na nas rodzina w Lewisburg, ale wtedy zaproponował, że nas tam odwiezie, a my się zgodziliśmy. Nieznani mieszkańcy farmy nie mogli być groźniejsi od zdesperowanych, wygłodzonych ludzi z lasu.

Zresztą wiedziałam, że jeśli wkrótce czegoś nie zjemy, znajdziemy się w podobnej sytuacji jak tamci włóczędzy.

Chase przedstawił nas jako Jacoba i Elizabeth, a Patrick najwyraźniej to zaakceptował, chociaż przecież wcześniej wołaliśmy do siebie prawdziwymi imionami. Te wymyślone wcale mi się nie podobały. W ogóle nie wyglądałam jak Elizabeth. Jediną posiadaczką tego imienia, jaką znałam, była moja przyjaciółka Beth, kilkanaście centymetrów wyższa ode mnie, i do tego rudowłosa. No ale i tak dobrze, że Chase nie nazwał mnie Alice.

Chase wymyślił świetną bajeczkę o tym, jak po zbombardowaniu Chicago zostaliśmy przesiedleni do Richmond, na co Patrick przyznał, że i on był świadkiem podobnych dramatów. Jako żołnierz armii amerykańskiej stacjonował w San Francisco, kiedy miasto upadało. To właśnie wtedy stracił rękę.

Dotarliśmy do wałacej się szopy. Przed wielkimi drzwiami budynku stał zielony traktor. Naprzeciwko znajdowało się pastwisko, w mroku ledwie widać było zarys około trzydziestu czarnych krów.

– Jacob, czy mógłbyś zostawić tu swoją broń? – zapytał Patrick, stając przed stodołą. – Tylko do czasu wyjazdu. Nie wnosimy broni do domu, bo Ronnie jest jeszcze taki mały.

Już miałam powiedzieć, że nie jest zbyt mały na to, żeby ktoś go zastrzelił, ale ugryzłam się w język. Wiedziałam, że prośba Patricka ma raczej związek z nieufnością wobec nas niż z młodym wiekiem chłopca.

Chase wyprostował się, ale skinął głową. W końcu miał jeszcze pałkę i nóż.

– Oczywiście – powiedział. – Nie ma sprawy.

Patrick siłą otworzył skrzypiące drzwi stodoły, a wtedy uderzył w nas stęchły zapach siana, piętrzącego się w belach wzdłuż zniszczonych drewnianych ścian. Wewnątrz, na kawałku otwartej przestrzeni, stał motocykl ze srebrną kierownicą. Na jego widok ogarnęła mnie nostalgia.

– Wow! Przestali produkować sportstery przed wojną – powiedział Chase z podziwem.

Patrick się zaśmiał.

– Nieźle. Widzę, że znasz się na motorach, co?

– Miałem kiedyś crossovera. Co prawda bez skrzyni...

– Tato, chodźmy! Mama musi wyjść! – przerwał im Ronnie.

Uśmiech wywołany komplementem zniknął z twarzy Patricka. Mężczyzna wyjął z kieszeni klucz i otworzył szafkę stojącą w narożniku stodoły. Na górnej półce leżała strzelba myśliwska. Położył obok niej swój pistolet. Chase zawahał się na ułamek sekundy, ale zrobił to samo ze swoją bronią.

Loftonowie mieli ciepły, przestronny dom. W znajdującym się tuż za pralnią salonie było mnóstwo samochodzików i rozmaitych figurek. W ścianę wmurowano kominek, na półce nad paleniskiem stało kilkanaście rodzinnych fotografii. Same uśmiechnięte twarze. Chase zdjął plecak i zaczęliśmy wycierać buty. Spojrzałam na niego, unosząc brwi, odpowiedział mi tym samym.

Loftonowie mieli pieniądze.

Nie byli bogaci, z pewnością posiadali mniej niż my, zanim mama straciła pracę. W salonie nie mieli nawet telewizora. Ale na stoliku stał szklany wazon i ozdobna lampka, wszędzie wały się zabawki, książki i rozrzucone przez Ronniego ubrania. Gdybym była w tarapatach finansowych, na pewno sprzedalabym te wszystkie zbyteczne przedmioty. Skoro tego nie zrobili, musieli radzić sobie lepiej niż większość ludzi

w kraju.

W kuchni, nad centralnie umieszczoną wysepką, znajdowało się okno dachowe. Ściany pomalowano na burgundowo, a ścierki i przybory kuchenne były w eleganckiej czerni. Z wielkiego wolnowaru stojącego na marmurowym blacie unosił się przepyszny słony zapach. Zdałam sobie sprawę, że od bardzo dawna nie jadłam mięsa. Nie było go w kuchni polowej, a w domu, przy ograniczonym zasilaniu, nie byliśmy w stanie uruchomić lodówki. Z trudem powstrzymałam się, żeby nie wetknąć nosa do naczynia. Dopiero znajome buczenie generatora odwróciło moją uwagę.

Nie wiedziałam, czy żołądek ścisnął mi się z głodu, czy z nagłego zdenerwowania. Generator? W prywatnym domu? Co innego w obiektach publicznych. Kim byli ci ludzie? Przyjaciółmi prezydenta? Na pewno nieźle zarabiali, wołowina osiągała niebotyczne ceny.

– Skarbie! – zawołał Patrick. – Mary Jane! Wszystko jest w porządku, możesz wychodzić! – dodał i włożył klucze do ceramicznej miseczki stojącej obok lodówki.

Usłyszałam trzask w korytarzu, a w podłodze, pod dywanem, uniosły się drzwiczki.

– Kiedy pojawiają się kłopoty, rodzina chowa się w piwnicy – wyjaśnił Patrick. Ronnie wbiegł do kuchni i zaczął ślizgać się na wykładzinie. – A przynajmniej większość rodziny – dodał pod nosem.

– To się często zdarza? – zapytałam.

– Częściej, niżbym sobie tego życzył – odparł gorzko. – Co parę miesięcy, rzadziej zimą. Ale pistolet był nowością – dodał z posępną miną.

– Ronnie? Jest z tobą? – Do pomieszczenia wparowała drobna kobieta.

Miała rdzawe włosy, obcięte do linii brody, džinsy oraz sweter w romby. Wyglądała olśniewająco, zupełnie nie pasowała do mojego wyobrażenia żony farmera. Jej widok uświadomił mi boleśnie, jak obszarpani i brudni jesteśmy po długiej wędrówce przez dzicz. Zobaczyła nas i zatrzymała się gwałtownie.

Patrick przedstawił nas sobie i pokrótce wyjaśnił sytuację. Na policzkach

kobiety zakwitł rumieniec. Nieświadomie zaczęła przeczesać palcami włosy syna, a on oparł się o jej nogę jak mruczący z zadowolenia kot.

– Witajcie... Mój Boże, witajcie – odezwała się w końcu. – I dziękuję.

– Pomyślałem sobie, że Jacob i Elizabeth zechcieliby zostać na kolację – powiedział Patrick. Na tę sugestię mój żołądek znowu zaburczał. – Mają rodzinę w Lewisburg, zaproponowałem, że rano ich odwiozę.

R a n o?

– Ty... to znaczy, oczywiście, jak najbardziej – odparła Mary Jane, potrząsając głową.

– Przepraszam – odezwałam się z nadzieją, że z mojego głosu nie przebija niewdzięczność – ale sądziłam, że pojedziemy do Lewisburg jeszcze dzisiaj. – Spojrzałam przez okno. Nie było całkiem ciemno.

– Mój wujek nie czuje się dobrze – dodał Chase.

Patrick zmarszczył brwi.

– Podróżowanie po godzinie policyjnej jest niezgodne z prawem. A zresztą po tym wszystkim, co zrobiliście...

„Niezgodne z prawem” wymówił w taki sposób, że poczułam ciarki na plecach. Najwyraźniej Patrick stosował się do przepisów. Nadepnęłam ukradkowo Chase’a – nie patrząc na mnie, od razu skinął głową w geście zgody.

Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy zostać na noc – a przynajmniej udawać, że zostajemy – by nie ryzykować, że Patrick powiadomi SO. Mieli generator, a więc z pewnością telefon działał tu po zapadnięciu zmroku. Ich uległość mnie przerażała.

Mary Jane uśmiechnęła się sztucznie.

– Nawet nie próbujcie protestować – powiedziała. – Zostajecie na noc, a rano osobiście zawiozę was do Lewisburg. Nie ma innej opcji.

Nie było, rozumiałam to dobrze.

– To bardzo miłe z waszej strony – odparłam. Miałam nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt posępnie.

Jakby na potwierdzenie tego, że wyglądam okropnie, Mary Jane zaprowadziła mnie szybko do łazienki i wręczyła zniszczony ręcznik, który wyciągnęła z pralni, oraz kostkę mydła. Chase ruszył za nami ze swoim plecakiem. Wiedziałam, że próbuje rozpracować układ domu, znaleźć wszystkie wyjścia.

– Oni są wyjątkowo przyjacielscy – szepnęłam, gdy mył ręce. – Przecież moglibyśmy być seryjnymi mordercami.

Chase mruknął coś na potwierdzenie.

– Nie możemy tu zostać do rana – poinformowałam go, chociaż moje zakrwawione, pokryte pęcherzami stopy oraz zdrętwiałe mięśnie pleców i łydek mówiły coś innego.

Nie odpowiedział. Znów wpadł w mroczny nastrój, a mnie ogarnęła wściekłość, że przy obcych przybiera taką radosną minę, a dla mnie ma tylko milczenie. Tamta chwila, pod lasem, minęła bezpowrotnie i żal mi było jej bardziej, niż potrafiłam przyznać.

Gdy wychodził z łazienki, omiół wzrokiem wielką garderobę i pluszową złotą kołdrę. Wydawał się wszystkim zainteresowany. Chyba nie miał zamiaru niczego ukraść? Przynajmniej dopóki Loftonowie siedzieli w sąsiednim pokoju.

Dzięki generatorowi prądu woda była ciepła i przyjemnie koła moje obolałe ciało, podczas gdy zmywałam kolejne warstwy brudu. Ale i tak nie byłam w stanie się zrelaksować. Nie miałam pojęcia, co dzieje się w tym domu. I to mi się nie podobało.

Szybko się przebrałam, zawiązałam ciasno buty – na wypadek, gdyby trzeba było się pospiesznie ewakuować – po czym zerknęłam na swoje odbicie w lustrze. Zszokowały mnie moje krótkie włosy. Nie miałam okazji przyzwyczać się do nowego wyglądu. Na mokrej głowie widać było nierówne pasma w miejscach, w których najwyraźniej nóż się Chase'owi ześlizgnął. Krzywiąc się, uklękłam na podłodze, żeby znaleźć w plecaku gumkę do włosów, ale moja ręka zatrzymała się na zewnętrznej kieszeni.

Dlaczego Chase nie pozwalał mi nigdy zajrzeć do środka? Sam wyciągał wszystko to, co było mi potrzebne. Wiedziałam, że coś przede mną ukrywa.

Zerknęłam na drzwi w obawie, że może wrócić. Wyteżęłam słuch, ale dobiegły mnie tylko dźwięki, jakie wydawał w salonie Ronnie, bawiąc się samochodzikami. Odpięłam gruby miedziany zamek.

Na wierzchu leżały ubrania, zwinięte ciasno, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Większość była wilgotna po tym, jak przemokliśmy dzień wcześniej. Pod ubraniami znalazłam gumkę do włosów. Odruchowo założyłam ją sobie na nadgarstek, po czym szperałam dalej. Zapałki, latarka, ta okropna pałka, plastikowy pojemnik z mydłem i inne przybory toaletowe. Znalazłam też plastikową torebkę, zamykaną na suwak, pełną pieniędzy. Szczęka mi opadła na widok tego zwitka banknotów. Same dwudziestki. Prawie pięć tysięcy dolarów. Ile czasu musiał odkładać, żeby uzbierać taką sumę?

A potem moja dłoń trafiła na coś jeszcze. Biuletyn z paragrafami, owinięty gumką wokół czegoś prostokątnego i twardego. Gumka zsunęła się z łatwością, a papier otworzył na zgięciach, ukazując książkę. Pomiedzy jej kartki były powpychane jakieś papiery.

Serce mi załomotało. Na zniszczonej okładce widniał tytuł *Frankenstein*.

* * *

– *O co chodzi z tą książką?* – *W jego głosie słychać było delikatną kpinę.*

Siedziałam na stoliku nocnym i patrzyłam, jak chodzi po moim pokoju. Podnosił ostrożnie kolejne przedmioty. Odkładał je. Ścierał, jeśli zostawił ślad palca. Od czasu wojny nie wiedział, jak to jest mieć różne rzeczy na własność.

– *Podoba mi się. Coś nie tak?*

– *Po prostu interesujący wybór* – *odparł, teraz jeszcze bardziej zaintrygowany.* – *Nie jest zbyt... dziewczęca* – *dodał ze śmiechem.*

– *Napisała ją kobieta.*

– *Kobieta, która uwielbiała potwory.*

– *Może ja też je lubię – powiedziałam, skrywając uśmiech.*

– *Naprawdę? – Chase popatrzył na mnie przez zmrużone oczy.*

Usiadł obok na łóżku i podskoczył kilka razy, nieprzyzwyczajony do materaca. A potem zaśmiał się jak dziecko.

– *Zresztą, tak naprawdę, wcale nie jest potworem – oświadczyłam. – To ludzie robią z niego potwora, bo jest inny. Wiesz, to smutne. Że ludzie tak cię mogą zniszczyć. I że tak się starasz zrobić coś dobrego i po prostu nie potrafisz.*

„Zupełnie jak ja, kiedy kazałam Royowi trzymać się z daleka od mamy” – chciałam dodać. Poczułam, że oblewa mnie gorący pot.

Chase przechylił głowę i wbił we mnie wzrok. Patrzył w taki sposób, jakby zaglądał mi do wnętrza. Czułam się naga, jaką mnie jeszcze nikt nigdy nie oglądał, a jednocześnie zupełnie bezpieczna, jakby nie miał nigdy zdradzić nikomu, co odkrył. Oplótł palcami moją dłoń.

– *Musiał być samotny – powiedział.*

* * *

Otworzyłam książkę i delikatnie rozwinęłam niewielki zwitek papierów, z których dwa miały pistacjowy kolor. To były dokumenty prawne, na mocy których Chase Jennings stawał się posiadaczem domu swoich rodziców. Poczułam smutek na myśl, jakie brzemię nosi.

Pozostałe papiery – było ich coś około trzydziestu – zostały zwinięte tak mocno i były tak pogniecione, że wystarczył jeden nieostrożny ruch, a z pewnością bym je podarła. Serce mi szybciej zabiło. Poznawałam ten papier... to pismo.

To były m o j e listy. Te, które pisałam do Chase’a, kiedy służył w SO. Otworzyłam kilka, wiedząc, że powinnam się spieszyć – nie mogłam się jednak oprzeć pokusie sprawdzenia, czy są prawdziwe. Przejrzałam moją bezsensowną paplaninę: co słyhać u mnie i u Beth, jak nam idzie w szkole, o czym rozmawiałam z mamą. Moje własne słowa wzbudziły we mnie nostalgię. Za twardym kuchennym blatem i zapachem waniliowych świec,

przy których pisałam do późna w nocy. Za troską o jego bezpieczeństwo. Za tęsknotą, jaką czułam.

O tym też pisałam. O tym, że mi go brakuje. Że czekam z niecierpliwością, aż napisze, co u niego. Każdy list kończyłam słowami: „Z wyrazami miłości, Ember”, i była to prawda. Kochałam wtedy Chase’a Jenningsa.

Przypomniałam sobie, jak mnie trzymał w lesie, i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nadal go nie kocham.

Na samą myśl serce mi się ścisnęło. Czułam się zupełnie zdezorientowana. Chase był denerwujący i niekonsekwentny. Rządził się, był nadopiekuńczy i nic mi nie mówił. Nikt mi nie sprawiał tyle bólu co on.

Ponieważ, o czym dobrze wiedziałam, nikt nie znaczył dla mnie tyle co Chase. Nikt oprócz mamy, ale do niej czułam zupełnie inną miłość. Różnica była taka jak między potrzebą tlenu a potrzebą wody.

Wkurzyłam się nie wiedzieć czemu. Po co trzymał te listy? Czasami miałam wrażenie, że nie może znieść mojej obecności, a jednak nosił podczas służby i wędrówki przez połowę kraju wspomnienie tego, co nas kiedyś łączyło. Jak bardzo faktycznie różnił się dawny Chase, m ó j Chase, od tego żołnierza?

I ile będzie kosztowała mnie nadzieja, że nadal mu na mnie zależy?

Włożyłam listy z powrotem do książki, starając się umieścić je dokładnie tam, skąd były wyjęte. Wtedy właśnie mój wzrok padł na cytat – słowa narratora, Wiktora, do jego ukochanej.

Mam pewną tajemnicę, Elżbieto, tajemnicę straszliwą; kiedy Ci ją wyjawię, zimny dreszcz grozy przeniknie Twe ciało, a potem – z pewnością ani trochę zdziwiona moim cierpieniem – będziesz się zdumiewać, że przeżyłem te wszystkie okropności.^[2]

Zadrżałam mimowolnie. Najwyraźniej moja nowa tożsamość nie wzięła się znikąd.

ROZDZIAŁ II

– Dlaczego jesteś taki wielki? – zapytał Ronnie z zachwytem.

Stanął właśnie na krześle w jadalni, próbując dorównać wzrostem Chase'owi, ale i tak wydawał się przy nim taki malutki.

– Jem mnóstwo warzyw – odparł Chase, czym zyskał aprobatę Mary Jane. – Będziesz miał coś przeciwko temu, jeśli tu usiądę? – Chase wybrał miejsce pod ścianą, dzięki któremu miał dobry widok na cały pokój.

– Nie – odparł chłopiec.

– Ronnie, odpowiadaj grzeczniej – zwróciła mu uwagę Mary Jane.

Właśnie pomagałam jej nakryć do stołu.

– Nie, dziękuję – poprawił się.

Kobieta zaśmiała się nerwowo.

– Usiądź, Ronnie. Tutaj, koło mamy. – Najwyraźniej chciała, żeby jej syn – jedyna osoba zadowolona ze wspólnego posiłku – znalazł się pomiędzy rodzicami. Co oznaczało, że musiałam usiąść po drugiej stronie stołu, obok Chase'a.

Byłam zła, że Patrick nie zawiózł nas od razu do Lewisburg. Jego wcześniejsza serdeczność gdzieś zniknęła. Teraz sprawiał wrażenie, jakby żałował, że zaprosił nas do domu. I pomyśleć, że na taką samą serdeczność liczyłam wcześniej, kiedy uciekłam od Chase'a.

Usiedliśmy przy stole, a Ronnie zaczął się wygłupiać, ale atmosfera wyraźnie zgęstniała. W końcu zabraliśmy się do jedzenia i mogliśmy skupić się na czymś innym niż my sami. Ledwo przełknęłam pierwszy kęs, a już wepchnęłam do ust kolejną porcję pieczeni. Chciałam zjeść jak najwięcej się da, nie miałam pojęcia, kiedy znów będziemy mieć szansę na ciepły posiłek.

Pozwoliłam, by Chase prowadził rozmowę. Był lepszym kłamcą niż ja. Ubarwił pierwotną wersję o krewnych w Lewisburg, jednak w granicach rozsądku, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Byłam pod wrażeniem jego

opowieści – tylu zdań nie wypowiedział do mnie przez cały tydzień.

Gdy wszyscy skupiali swoją uwagę na nim, ukradkowo schowałam bułkę do kieszeni – na później.

Kiedy rozmowa wróciła do tematu Ronniego, Chase zdawał się wykończony. Pochylał się nad talerzem, wpatrując w jakiś nieistniejący punkt. Ile spał w ciągu kilku ostatnich dni? Zeszłej nocy prawie w ogóle. Poprzedniej uciekaliśmy. Kto wie, co było wcześniej?

I tej nocy też nie zaśnie. Gdy tylko znajdziemy się sami, będziemy musieli zdecydować, czy zostajemy, czy próbujemy się wymknąć. Tak czy inaczej, nie mogliśmy liczyć na odpoczynek.

Do końca posiłku atmosfera była dość napięta. Jeśli Ronnie nie zaczynał opowiadać jakiejś historii, wszyscy milczeli. Z każdą sekundą rosło we mnie poczucie, że znaleźliśmy się w pułapce. Jedyne, co trzymało mnie przy stole, to perspektywa złamania godziny policyjnej oraz wizja porannej jazdy do Lewisburg.

Mary Jane także wyczuła napięcie, bo włączyła stojące na blacie radio. Gdy zabrała się do zmywania naczyń, dołączyłam do niej. Trzaskające dźwięki przypominały mi o odbiorniku schowanym w plecaku Chase'a. Miałam nadzieję, że usłyszę muzykę, ale niestety.

Wiadomości już się zaczęły. Reporterka, niejaka Felicity Bridewell, ostatnią sylabę każdego słowa wymawiała w sposób, który denerwująco podkreślał jej pewność siebie. Mówiła właśnie o zwiększeniu przestępczości w Czerwonych Strefach oraz ustawie FBN zmierzającej do wzmocnienia patroli na granicach.

Ze strachem przypominałam sobie żołnierzy, którzy zatrzymali nas na drodze.

W sąsiednim pomieszczeniu ucichły męskie głosy. Wiedziałam, że Chase też słucha radia. Stałam w nerwowym oczekiwaniu, czując suchość w gardle.

– ...śledztwo w sprawie morderstwa kolejnego oficera FBN w Wirginii w dzisiejszym dniu. Władze uznały, że to druga ofiara przestępcy zwanego

wirginijskim snajperem. Do tej pory nie znaleziono żadnego świadka...

Jakiś snajper zabija oficerów FBN... Czy to ma związek z ukradzioną w Tennessee ciężarówką z mundurami? Poczułam dziwne mrowienie w okolicy serca. Nie powinnam była cieszyć się z przemocy, ale fakt, że ludzie buntowali się, walczyli, napęśniał mnie nadzieją.

Zanim zabrali moją mamę, akceptowałam, że SO wchodzi tak głęboko w nasze życie. Nie podobało mi się to, ale prawdę mówiąc, nie wszystko, co robili, było złe. Zgodnie z Ustawą Naprawczą pojawiły się kuchnie polowe wydające zupę, bez których byśmy zapewne umarli z głodu, i zamrożono kredyty hipoteczne. Jednak od czasu restrukturyzacji moje poglądy zaczęły się krystalizować. Teraz widziałam wyraźnie, że wszystkie zmiany były tylko formą nacisku, sposobem uzależnienia nas od maszyny prześladowań. Nigdy wcześniej nie dostrzegałam, że przepaść między rządem a narodem jest tak wielka.

Straż Obyczajowa zabrała mi moje życie. Nie mogłam wrócić do szkoły, nie mogłam pojechać do domu. Być może już nigdy nie zobaczę Beth i Ryana. Po raz pierwszy, odkąd skończyła się wojna, próbowałam wyobrazić sobie, jak wyglądałby świat bez SO. Bez Czerwonych Stref i godzin policyjnych. Bez zakładów poprawczych oraz paragrafów. I zrozumiałam, że jednak mogę przeżyć, bo właśnie to z Chase'em robimy. Potrząsnęłam głową, żeby odzyskać przejrzystość myślenia. Przecież jestem osobą, która zawsze wszystko trzyma w ryzach, a nie kimś, kto wiecznie prosi się o kłopoty. Przyłączenie się do ruchu oporu byłoby szalone. Nieodpowiedzialne. Zresztą teraz i tak nie miało znaczenia – teraz musiałam odnaleźć mamę.

– ...zabójstwa przypominającego egzekucję w miejscowości Harrisonburg w Wirginii. Ofiara to niezidentyfikowany biały mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat – oznajmiła dziennikarka, po czym nastąpiła chwila przerwy i dało się słyszeć szelest przekładanych kartek. Otrzymaliśmy właśnie informację, że Federalne Biuro Naprawcze przypisuje to morderstwo

wirginijskiemu snajperowi, co oznaczałoby serię trzech zabójstw na terenie stanu Wirginia. Obywatelom zaleca się przebywanie poza ewakuowanymi obszarami i przestrzeganie paragrafów Prawa Obyczajowego.

Zacisnęłam ręce jedna na drugiej, żeby powstrzymać ich drżenie. Straż Obyczajowa winę za popełnione przez siebie morderstwo przypisała ruchowi oporu – temu snajperowi, kimkolwiek on był.

Mary Jane trajkotała coś o tym, że w kraju zrobiło się tak niebezpiecznie i że jest wdzięczna FBN. Miałam ochotę wykrzyknąć jej prawdę prosto w twarz, jednak wiedziałam, że to niemożliwe. Radio znów przykuło moją uwagę. Zamarłam.

– ...Jennings, który zbiegł na początku tego tygodnia z oddziału FBN, może być uzbrojony i niebezpieczny, dlatego należy zachować szczególną ostrożność. Wszelkich informacji na temat miejsca pobytu tego przestępcy prosimy udzielać telefonicznie, dzwoniąc na linię kryzysową. To była ostatnia wiadomość dzisiejszego wieczoru. Informacje czytała dla państwa Felicity Bridewell.

Przegapiłam tę wiadomość! O czym ona mówiła? Mary Jane zagłuszyła niemal wszystko!

Nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy, wiedziałam, że wyczyta prawdę z mojej twarzy. Gdybyśmy teraz uciekli, Loftonowie zyskaliby pewność, że mamy coś na sumieniu. Wbiłam wzrok w okno, wpatrywałam się w smugi pozostawione na szybie przez spływający wcześniej deszcz, i mało nie krzyknęłam, kiedy ręka Chase'a spoczęła na moich plecach.

– Kolacja była wspaniała, prawda, Elizabeth? – zapytał, uśmiechając się bez wyrazu.

Wyrwał mnie z postępującego ataku paniki. Wiedziałam, że to tylko na pokaz, ale jego dotyk przyniósł mi ukojenie. Znów wczułam się w swoją rolę.

– Przepyszna – powiedziałam, czując, że odzyskuję panowanie nad kończynami.

Kolejne minuty mijały jak w transie. Kiedy wreszcie oprzytomniałam, staliśmy z Chase'em w pokoju gościnnym naprzeciwko sypialni Ronniego. Na jednej ze ścian wisiał gobelin charakterystyczny dla Amiszów. Na widok wzorku składającego się z kolorowych kwadracików oczy zaczęły mi łzawić. Chase próbował otworzyć okno, jednak przeszkodziła mu w tym żelazna krata. Miała nie wpuszczać złodziei do środka. Ani nie wypuszczać przestępców na zewnątrz. Mocno przełknęłam ślinę.

– Chyba się nie domyślają – powiedziałam niepewnie.

Chase pokręcił głową. Teraz, kiedy nie musiał się wysilać i udawać, znów stał się śmiertelnie poważny.

– Może Patrick nie słyszał, jak wołam cię po imieniu tam, pod lasem.

– Był wtedy nieco zajęty, to fakt – odparł Chase.

Domknął ostrożnie okno, marszcząc czoło tak, że między brwiami zrobiła mu się głęboka bruzda. A potem przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą.

– To co robimy? – zapytałam. – Nie chcę czekać do rana.

– Przed domem stoi furgonetka, a w stodole motor, ale nie możemy ryzykować jazdy po godzinie policyjnej – odparł poważnym tonem. – Ruszymy pieszo, kiedy zasną.

Co oznaczało, że będziemy ich więźniami, dopóki nie udadzą się do łóżek.

* * *

Chase poszedł się umyć, a ja ruszyłam na palcach przez korytarz, zastanawiając się, dlaczego nie słyszę głosów Mary Jane i Ronniego. „Pewnie go usypia” – pomyślałam. Wydało mi się to całkiem naturalne. Patrick siedział nadal w salonie i coś czytał. Położył wysoko nogi i miał na nosie okulary. Przełknęłam ślinę, przypominając sobie niechętnie, jak razem z mamą zwykle czytałyśmy na sofie po zapadnięciu godziny policyjnej.

Serce przestało mi łomotać. Wszystko wydawało się normalne. Chociaż co ja mogłam wiedzieć?

Kiedy wróciłam po cichu do pokoju gościnnego, Chase siedział na krawędzi łóżka, z łokciami opartymi na kolanach i głową ukrytą w rękach. Nie ruszał się. Myślałam nawet, że zasnął. Przez chwilę mu się przyglądałam, nie mogłam oderwać od niego wzroku.

Najwyraźniej coś odwróciło jego uwagę w trakcie przebierania się. Nadal miał na sobie dżinsy i buty, ale czysta koszula leżała nietknięta na łóżku. Chociaż działało oświetlenie, zdecydował się zapalić świeczkę, a migoczący płomień podkreślał tylko ostro zarysowaną linię szczęki i szyi. Z miejsca, w którym stałam, widać było kilka grubych blizn na plecach. Nie zauważyłam ich podczas pobytu w domu przy Rudy Lane. Te blizny, przecinające po skosie jego plecy, jakby ślady po jakichś pazurach, wzbudziły moją złość. Chciałam się dowiedzieć, kto go skrzywdził, chciałam go chronić. Nie wiedziałam, czy to możliwe, ale czułam, że nie jest to wykluczone.

Z drugiej strony z tymi bliznami i spiralną raną, widoczną teraz, gdy żaden bandaż nie przykrywał jego ramienia, wydawał się taki niebezpieczny.

W moich oczach był... niebezpiecznie piękny.

Całe napięcie, które się we mnie kumulowało, teraz tajemniczo zogniskowało się na Chasie. Zadrżałam z niepewności. Cała energia, jaka mi jeszcze została, zaczęła iskrzyć w dzielącym nas powietrzu niczym prąd.

Pragnęłam podejść do niego, ale nogi wrosły mi w podłogę. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale nie znalazłam żadnego słowa. Pomyślałam o listach, które trzymał w plecaku, o tym, co mogły znaczyć, gdyby tylko zechciał dopuścić mnie do tajemnicy, i znów poczułam się dezorientowana.

Nadal się nie ruszał, tak jak i ja, a potem westchnął cicho, aż mi się serce ścisnęło. Coś było nie tak. Tak brzmiało westchnienie bólu, a nie zmęczenia.

– Bardzo boli cię ręka? – zapytałam.

Podskoczył. Widocznie nie słyszał, jak weszłam. Zapomniałam, że przyszłam na palcach, żeby nie zwracać uwagi Patricka.

Zarzucił na siebie koszulę, odrobinę zbyt gorączkowo, jak na mój gust.

Zamknęłam za sobą drzwi.

– Chodzi o... tego chłopca. To jeszcze dzieciak. Mogłem go zastrzelić. – W jego głosie słychać było wstyd, prawie się nim dławiał. Oparłam się o ścianę, bo zrobiło mi się słabo od emocji. – Ani przez chwilę o nim nie myślałem. Ile on ma lat, sześć? Siedem? Niewiele brakowało, a bym sobie poszedł i skazał go na śmierć.

Czułam, jak moje brwi samowolnie się do siebie zbliżają, a na myśl, że Chase mógłby stamtąd odejść, zrobiło mi się słabo.

– Ale nie poszedłeś.

– Dzięki tobie – odparł i dopiero wtedy podniósł wzrok. Spojrzał na mnie pociemniałymi, pełnymi bólu oczami. – Tamten facet wymachiwał pistoletem w stronę dziecka, a ja myślałem tylko o tobie. O tym, że może wyrządzić ci krzywdę. Nie mogłem mu na to pozwolić. Ci idioci w Hagerstown. I tamten patrol drogowy. Mogłem ich... Co jest ze mną nie tak?

Przełknęłam ślinę, co przyszło mi z trudem, miałam bowiem ściśnięte gardło. Chase znów wbił wzrok we własne ręce. Ale teraz nie przypominały wcale dłoni boksera. Sprawiały wrażenie wielkich, pokrytych odciskami, pustych. Poczułam znajomy ucisk w żołądku. Gdybym powiedziała mu wtedy, żeby zapomniał o SO, żeby został ze mną mimo powołania, nie byłby teraz złamanym człowiekiem.

– Zwracasz uwagę na ludzi, zawsze... – zaczęłam, ale potrząsnął głową, odrzucając moje słowa.

– Tylko ty mnie tu trzymasz.

– W takim razie przykro mi, że psuję ci całą zabawę – odparłam, wstrząśnięta.

– Zabawę? – powtórzył słabym głosem. – Uważasz... Ember, jesteś jedynym, co mi zostało. Wszystko inne – moja rodzina, dom, moja dusza – to zniknęło. Nie mam pojęcia, kim u diabła teraz jestem. Gdyby nie ty... sam nie wiem.

Znowu przybrał twardy ton głosu i zaczął wpatrywać się w podłogę,

zaskoczony i zawstydzony jednocześnie. Miałam otwarte usta, ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Chciałam go pocieszyć, zapewnić, że nadal jest Chase'em, przekonać o tym samą siebie. A co, jeśli miał rację?

– Chodź tutaj – usłyszałam własny głos. Własną prośbę.

Zdumiała nas oboje.

Przez kilka długich chwil nic się nie działo, a potem jakaś tajemnicza, magnetyczna siła zaczęła przyciągać nas powoli do siebie. Miał ostrożny, zagubiony wyraz twarzy. Widziałam, że wcale nie chce iść dalej i nie rozumie, dlaczego znalazł się już tak blisko mnie.

Oderwał ode mnie spojrzenie i ku mojemu zaskoczeniu ostrożnie zanurzył twarz w moich włosach. Czułam na ramieniu jego ciepły oddech. On sam roztaczał wokół siebie woń lasu i delikatny zapach mydła. Całe ciało zaczęło mi mrowieć.

Przesunęłam głowę, muskając go policzkiem po szyi, a pod dotykiem jego skóry przez plecy przeszedł mi dreszcz. Tylko Chase i nikt inny wywoływał we mnie takie uczucia. Był moją kotwicą podczas nawałnicy, a jednocześnie sam był nawałnicą, więc niemal zawsze czułam się bezpieczna, ale i przerażona. Nie było na świecie drugiej takiej zagmatwanej i potężnej siły, jaką wywoływała jego obecność. Czy on też to czuł? Czy wiedział?

– Widziałam listy – przyznałam. – Te, które pisałam do ciebie. Znalazłam je w plecaku.

Podniósł gwałtownie głowę, a jego wzrok przygwoździł mnie do podłogi. Widać było, że irytacja zastąpiła wcześniej odsłonięte uczucia. Jego spojrzenie paliło mnie z mocą, której nie potrafiłam zrozumieć.

Ale zaraz przestało.

– Przepraszam. Nie powinienem był tego robić – powiedział i odsunął się o krok. A potem o kolejny. Włożył ręce do kieszeni i wziął płytki oddech, zupełnie jakby w pokoju zabrakło nagle powietrza.

Było mu przykro, że mnie dotknął, ba – chyba nawet tego żałował.

Poczułam się taka mała, nic niewarta, i ogarnęła mnie wściekłość, że nic dla niego nie znaczę, podczas gdy on znaczy dla mnie tak wiele.

Nie byłam nic niewarta. Byłam ważna. Może nie dla niego, ale dla kogoś innego.

Nie od razu wiedziałam, jak zareagować. Oczy piekły mnie od powstrzymywanych łez, jednak nie zamierzałam płakać. Uniosłam podbródek najdumniej jak się dało i odezwałam się z udawanym spokojem:

– Powinieneś się przespać, Chase. Wyglądasz na zmęczonego. Ja będę czuwać, nie musisz się o to martwić.

To powiedziawszy, odwróciłam się i usiadłam na łóżku. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, a potem położył się na podłodze z nożem w dłoni. Nawet nie rozpiął śpiwora.

* * *

Oparłam się łokciami na jego klatce piersiowej i popatrzyłam w dół, na jego twarz. Przeciągnął palcem po krawędzi mojej brody i po policzkach, a potem zmierzwił mi włosy.

– Nie zapomnisz mnie, prawda? – odezwałam się beztruskim tonem, z nadzieją, że nie pozna, jak bardzo boję się tego, co miało się zdarzyć następnego dnia.

Przez sekundę marszczył kąciki ust, a potem usiadł, a ja podniosłam się na kolana. Obciągnął i wygładził moją koszulkę.

– Nie – odparł z poszarzałą twarzą. – Myślę, że ciebie nie można zapomnieć.

Ciężki, powolny oddech i powaga w jego głosie nadawały temu wszystkiemu rys realizmu, a ja nie chciałam, żeby to było realne. Nie chciałam, żeby odszedł. Gdybym otworzyła usta, poprosiłabym go, żeby został. Poprosiłabym go o to i zniszczyłabym mu życie.

Oczy mnie piekły, a gardło dławił palący skurcz. Odwróciłam się, wstrzymałam oddech i próbowałam powstrzymać drżenie ramion. I tak zauważył, a kiedy dotknął mojej ręki, wyrwałam ją – jeszcze bardziej bolało

mnie to, że wcale nie jest zły z powodu swojego wyjazdu. Że jest miły, by mi ułatwić rozstanie. Nienawidziłam SO. Moja mama miała rację, mówiąc, że oni zabierają wszystko to, co dobre.

Tyle było niepewności. A co, jeśli już nigdy go nie zobaczę? Nie miałam na nic wpływu.

I nagle przyszła mi do głowy szalona myśl, że być może, jeśli przyspieszę ten etap, on wróci do domu. Może to będzie zupełnie tak jak odrywanie plastra z rany, ale przynajmniej wróci.

– Chcę się pożegnać – oznajmiłam, łamiącym się już teraz głosem. – Zmieniłam zdanie, nie chcę czekać do rana – dodałam.

Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. No i co z tego, że byłam tchórzem?

Dotknął mnie, delikatnie odgarniając włosy z mojej twarzy. Musnął wargami moje ucho.

– Nie zapomnę cię – powtórzył cicho.

Przywarłam do niego z rozpaczą, a on przyciągnął mnie bliżej. Objął mnie ramionami, kolanami otoczył moje nogi. Czułam, jak wciąga powietrze do płuc, jak przyciska usta do mojego karku.

– Obiecuję, że wrócę. Bez względu na to, co się wydarzy. – Chociaż jego głos był ledwie głośniejszy od szeptu, słyszeć w nim było stanowczość. Wierzyłam mu bezgranicznie.

– Będę na ciebie czekać – powiedziałam.

Odwróciłam głowę i ukryłam mokrą twarz w jego ramieniu. Trzymał mnie tak długo, dopóki znów nie oddychałam normalnie. A potem położył się obok.

– Śpij spokojnie, Ember – powiedział.

Kiedy obudziłam się rano, już go nie było.

** * **

Chase faktycznie zasnął. Spał cichym snem bez snów, a ja czuwałam, zadręczając się myślami. Bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam ruszyć w dalszą drogę. Zastanawiałam się, jakie jest prawdopodobieństwo zatrzymania nas przez patrol SO. Przecież mogłoby się nam udać.

Moglibyśmy dotrzeć do Lewisburg, odszukać kuriera i jutro znaleźć się w Karolinie Południowej.

Jeśli miałabym być szczerą z samą sobą, nie tylko sprawa mamy tak mnie gnała do przodu. Byłam pewna, że to, co zaszło pomiędzy mną i Chase'em, wprowadzi niezręczną atmosferę, a tego chciałam za wszelką cenę uniknąć. Wiedziałam, że Chase planuje odejść, kiedy znajdziemy się w bezpiecznym miejscu, i może nawet była to słuszna decyzja. Skoro moja obecność nie wystarczyła, by go zatrzymać... Wcale nie chciałam, żeby tkwił przy mnie.

Zaczęłam obgryzać paznokcie, wściekła, że tak mi na nim zależy.

Po jakiejś godzinie wyszłam na palcach na korytarz. U Patricka nadal świeciło się światło. Słyszałam, jak przewraca się na sofie, słyszałam szelest kartek tej jego denerwującej książki. Dlaczego nie może iść do łóżka? Miałam wrażenie, że specjalnie tak siedzi i pilnuje domu, żebyśmy niczego nie ukradli.

Nie mogłam go za to winić.

Już wracałam do Chase'a, kiedy dobiegło mnie skrzypienie podłogi po drugiej stronie korytarza. Schowałam się w pokoju gościnnym i nasłuchiwałam. Chwilę później rozległ się stukot otwieranych drzwi do piwnicy.

– Billings już jest? – usłyszałam szept Mary Jane.

A więc kryła się w piwnicy, zapewne wraz z synem. Byłam głupia, posądzając ich o naiwność. Siedzieli tam od kolacji. A schodzili do piwnicy, kiedy groziło im niebezpieczeństwo.

B i l l i n g s. Kim był Billings? Odpowiedź przyszła powoli. Patrick już wcześniej wspomniał to nazwisko. To był ich kupiec, ten, który zabierał bydło do rzeźni.

– Jeszcze nie, ale powinien niedługo się pojawić. Zamknij dobrze drzwi.

– Będiesz na siebie uważał? – zapytała kobieta z przestrachem. – Jeśli to naprawdę ten facet, o którym mówili w radiu, jest niebezpieczny. Nie mogę uwierzyć, że przyprowadziłeś ich do domu. Przecież Ronnie...

– Nie mów mi o Ronniem! – warknął Patrick, a potem westchnął ciężko.
– Słuchaj, mnie też się to nie podoba, ale za ostatniego żołnierza dostaliśmy tysiąc dolarów. Ten powinien być wart więcej, w końcu jest ścigany. I kto wie, może dorzucą coś jeszcze za dziewczynę. To by wystarczyło na przetrwanie lata, nie musielibyśmy przenosić się do miasta. Rozmawialiśmy o tym.

Żołądek mnie zakłuł tak, jakbym połknęła całe opakowanie pinezek. Nagle wszystko stało się jasne.

Loftonowie uśpili naszą czujność gościnnością, by nas tu zatrzymać. Powinnam była zacząć coś podejrzewać w chwili, w której weszliśmy do domu. Generator prądu? Zabawki dziecięce? Dlaczego nie zaufałam własnej intuicji? A teraz nawet nie mieliśmy pistoletu.

Billings, kimkolwiek był, już tu jechał. Zapomniałam o tym, że mnie wszystko boli. Musiałam obudzić Chase'a. Trzeba było uciekać.
N a t y c h m i a s t.

Nie czekałam na dalszy ciąg rozmowy. Po cichu przebiegłam przez korytarz do naszego pokoju i chwyciłam Chase'a za kostkę u nogi. Usiadł szybko, ale było tak ciemno, że ledwo go widziałam.

– Co się stało? – zapytał, od razu przytomny i czujny. – Nic ci nie jest?

– Musimy uciekać, oni zadzwonili po kogoś. Matka i chłopiec są na dole, a Patrick bawi się w strażnika więziennego – powiedziałam na jednym wydechu.

Chase zerwał się na równe nogi. Wsunął pałkę za pasek spodni i wcisnął mi nóż do ręki.

– Masz – powiedział, rzucając mi plecak.

– Jak się stąd wydostaniemy? – zapytałam. – Patrick...

– Zostaw go mnie, Ember. I posłuchaj, dobrze? Musisz wymknąć się tylnym wejściem. Schowaj się w lesie i kieruj się w stronę drogi. Ja zaraz do ciebie dołączę.

– Nie idziesz ze mną? – Niemal krzyknęłam, chociaż już to wyczytałam

z jego głosu.

Chciał się upewnić, czy nikt mnie nie goni, bez względu na to, czym to groziło. Byłam oszołomiona.

Chwycił moją twarz w dłonie i pogładził kciukami po policzkach. Stał tak blisko, że gdy się odezwał, czułam, jak powietrze się porusza.

– Staraj się nie rzucać w oczy. Idź drogą do Lewisburg i znajdź kuriera. W plecaku masz pieniądze, wystarczy, żeby mu zapłacić. Tylko nie dawaj mu wszystkiego, dopóki nie dowiezie cię do kryjówki.

– Ja nie... – szepnęłam, teraz już przerażona.

Chwyciłam go za ręce i ścisnęłam za palce. Nie mogłam uwierzyć, że to mówi. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym zostawić go w takim niebezpieczeństwie.

– Uważaj, z kim rozmawiasz, trzymaj spuszczoną głowę. Wiesz, co robić, nie ufaj nikomu. – Słowa wydostawały się z jego ust tak szybko, że stawały się nieprzerwanym ciągiem.

– A co z tobą? Nie zostawię cię tutaj!

– Zostawisz! Ember, przepraszam, że wszystko spieprzyłem. Nigdy nie chciałem cię zranić. Jest jeszcze tyle...

I nagle jego usta dotknęły moich, ciepłe i natarczywe. Złe i przerażone. Wypełnione tym wszystkim, czego nie były w stanie oddać słowa.

Odsunął mnie od siebie, ale zaraz potem przyciągnął jeszcze raz i pocałował mocniej, głębiej, wsuwając ręce w moje włosy. Zacisnęłam pięści na jego koszuli, rozdarła pomiędzy wyborem: odepchnąć go czy raczej nie pozwolić, by mnie wypuścił z objęć. W głowie mi huczało.

Pocałunek zakończył się zbyt szybko. Chase musnął mi jeszcze wargami czoło, a potem otworzyliśmy po cichu drzwi, z trudem powstrzymując pragnienie, by wyrwać je z zawiasów. Nie mogłam uwierzyć, że zamierzam uciec bez niego. Nie będzie miał pieniędzy, żadnych zapasów. Wszystko we mnie krzyczało, że tak nie powinno być.

„On przyjdzie” – powiedziałam sobie. „Jeśli będzie mógł”.

Na palcach wyszłam na korytarz. Chase tuż za mną. W drodze do tylnych drzwi musiałam minąć salon. Patrick z pewnością siedzi nadal na sofie i czyta, może ma broń. Światła są włączone, przez ten przeklęty generator prądu będą widoczna jak na dłoni.

Minęłam drzwi do piwnicy i poczułam nagłą ochotę, by kopnąć w nie jak najmocniej się da. Czy to ona zadzwoniła do Billingsa? Czy Patrick? Tak, to pewnie on. Mógł to zrobić, kiedy razem z Chase'em pomagaliśmy sprzątać po kolacji. I to wszystko po tym, jak uratowaliśmy ich syna.

Chase wyprzedził mnie, w ciemności muskając kciukiem moje usta. Wiedziałam, że to pożegnanie, i jego dotyk poruszył mnie do głębi.

Wszedł do salonu. Usłyszałam, jak Patrick gwałtownie się podnosi.

– Proszę nie wstawać – powiedział Chase cicho. – Ja tylko zszedłem po szklankę wody, jeśli można.

– Oczywiście. Już daję – zaoferował się Patrick.

Chwilę później patrzyłam na plecy Chase'a znikającego w kuchni, modląc się, żebym nie spoglądała na niego po raz ostatni. Wymknęłam się do holu w stronę pralni, ale zatrzymałam się na linoleum.

Jeśli otworzę drzwi, usłyszą mnie z kuchni. Chase dobrze o tym wiedział. Z pewnością nie pozwoli Patrickowi mnie złapać, ale co będzie musiał w tym celu zrobić, tego nie byłam w stanie przewidzieć.

Przez chwilę nasłuchiwałam dźwięków leżącej z kranu wody i stłumionej rozmowy. Wszystkie nerwy miałam na wierzchu. Chwyciłam za klamkę tak mocno, że aż kostki mi pobielały, a klamka zastukotała pod moim dotykiem. Głosy przeniosły się teraz do salonu.

„Dlaczego on nie ucieka?”

Znałam jednak odpowiedź na to pytanie: chciał dać mi czas. Nie słyszał, żebym otworzyła drzwi. Przeklęłam go pod nosem.

Zebrałam się na odwagę i przebiegłam przez korytarz. Wpadłam do kuchni z drugiej strony. Lampy się świeciły i oślepiły mnie zupełnie, ale w pomieszczeniu nie było nikogo. Ruszyłam prosto do lodówki, zabrałam

wszystkie klucze ze stojącej obok miseczki i skierowałam się ku wyjściu.

Otworzyłam drzwi najciszej, jak potrafiłam, i na odrętwiałych nogach wybiegłam na zewnątrz. Lodowate powietrze uderzyło mnie w twarz, aż mi zaparło dech. Popędziłam do jedynej rzeczy, która mogła mi pomóc.

Do znajdującego się pod kuchennym oknem generatora prądu. Może jeśli wyłączę wszystkie światła, umożliwię Chase'owi ucieczkę.

Zahamowałam przed buczącą skrzynką i zaczęłam desperacko szukać wyłącznika: nie miałam czasu na wyciągnięcie latarki, liczyła się każda sekunda.

W ciszy usłyszałam jakiś dźwięk i zamarłam. Kroki. Dochodziły z daleka, przez moment sądziłam nawet, że to krowy na pastwisku. Zesztywniałam jednak, gdy moich uszu dobiegły ciche ludzkie głosy, a kroki się zbliżyły.

To nie mógł być ani Patrick, ani Chase, bo przecież nie wyszli z domu, tak samo jak Mary Jane i Ronnie. To musiał być ten Billings.

Nasłuchiwałam uważnie, jednak hałas generatora zagłuszał słowa. Jedno było pewne: jacyś mężczyźni szli właśnie w stronę domu. Nie miałam pojęcia, skąd się wzięli, nie słyszałam żadnego samochodu.

Zresztą to nie było ważne. Liczyło się tylko, że Chase jest nadal w środku.

W panice zaczęłam opukiwać chropowaty metal generatora. Coś mnie zapiekło i z trudem powstrzymałam krzyk. W końcu znalazłam wyłącznik, odsunęłam osłonę i pstryknęłam.

W uszach zadzwoniła mi nagła cisza. Za kuchennym oknem zapanowała ciemność.

Z domu dochodziły odgłosy szamotaniny. Ogarnięta przerażeniem, pobiegłam na oślep przed siebie. Potykałam się o kamienie i kępy trawy. Księżyc rzucał nieziemską poświatę na pastwisko, a ja czułam na sobie spojrzenie tępych krowich oczu.

Nie zmierzałam jednak do lasu, lecz do stodoły. Miałam klucze, liczyłam

na to, że uda mi się zabrać broń, znaleźć Chase'a, a potem... Nie byłam w stanie myśleć o tym, co będzie potem. Właśnie otwierałam potężne drewniane wrota, kiedy usłyszałam coś za plecami.

„Nie!”

Odwróciłam się gwałtownie w kierunku domu, jednak w ciemności nic nie widziałam. Ukucnęłam w mroku i wstrzymałam oddech. Wiedziałam, że jeśli się nie ruszę, ten ktoś może mnie nie zauważyć. A gdybym pobiegła, zdradziłby mnie hałas.

Kroki nie zatrzymały się i po chwili czyjś wielki cień przesłonił mi księżyc. A potem silne ręce podniosły mnie z ziemi i wciągnęły do stodoły. Otworzyłam usta, żeby krzyczeć, ale zacisnęła się na nich wielka dłoń.

Chase.

Z mojej piersi wyrwał się szloch, kiedy poznałam, że to on. Nie odezwał się, tylko postawił mnie na podłodze i pobiegł w głąb budynku, szukając tylnego wyjścia. Było zamknięte, i to na łańcuch. Kopnął w drzwi, a drewno popękało pod naporem. Kopnął po raz drugi i łańcuch opadł na ziemię. „Zbyt dużo hałasu!”

– Klucze! – wyszeptałam i pokazałam mu wszystko, co wcześniej wepchnęłam sobie do kieszeni.

Przez chwilę szukał właściwego. Byłam pewna, że chce znaleźć klucz do szafki z bronią, ale się myliłam. Wypuścił z ręki niepotrzebny pęk, który z brzękiem upadł na ziemię, i pociągnął mnie w stronę motoru.

Chwilę później siedziałam tuż za nim na siodełku. Przekręcił kluczyk w stacyjce i przycisnął sprzęgło lewą ręką. Motor zamruczał cicho. To z pewnością nie wszystko, na co go stać. Tym razem nie zawahałam się, tak jak rok wcześniej: przysunęłam się bliżej, objęłam kolanami uda Chase'a i chwyciłam go mocno w pasie. Chyba jeszcze nikt nas nie gonił.

– Głowa na dół – polecił. – I trzymaj się.

Skinęłam, przyciskając policzek do jego pleców.

Wydostaliśmy się na zewnątrz tylnymi drzwiami, wychodzącymi na las.

Chase skręcił w prawo, prowadził motor ku tyłowi ciemnego domu. Serce mi waliło, uderzając o żebra Chase'a. Już prawie. Już tak blisko wyjazdu.

W końcu naszym oczom ukazała się żwirowa droga. Wiła się w stronę głównej szosy, przy której stały dwa samochody. Oba były puste. Zostawili je tu, żeby nas zaskoczyć.

Nagle ścisnęło mnie w dołku z przerażenia. To nie były zwykłe samochody. To były wozy FBN.

A więc Billings był żołnierzem. FBN kupowało bydło od Loftonów. Większość fabryk żywności należała teraz do rządu, bo firma Horizons wykupiła w czasie wojny wszystkie większe marki. Oczywiście, że to im Patrick sprzedawał wołowinę.

Chase chwycił rękę, którą go obejmowałam, ścisnął ją mocno i uderzył stopą w pedał. Powietrze przeszył głośny warkot, z pewnością doskonale słyszalny w domu Loftonów.

Zacisnęłam zęby i przytrzymałam się mocniej.

Wskoczyliśmy na drogę, rozsypując dookoła żwir. Nie miałam pojęcia, czy Patrick wyszedł z domu z żołnierzami. Nie odwróciłam się.

Zatrzymaliśmy się dopiero na szosie. Chase potrzebował niecałych trzydziestu sekund, żeby przerzucić nogi przez siedzenie motocykla, zeskoczyć na ziemię i przebić opony w obu autach.

* * *

Jechaliśmy w stronę miasta zwanego Hinton. Widziałam tę nazwę połyskującą blado na zielonym metalicznym znaku drogowym. Ogarnęło mnie druzgoczące poczucie klęski, kiedy minęliśmy zjazd do Lewisburg. Musieliśmy. Loftonowie na pewno powiedzieli żołnierzom, że tam właśnie zmierzamy.

A więc nie dojdzie do spotkania z kurierem.

Kiedy zeszło ze mnie całe napięcie, zaczęłam się trząść – nie wiem, czy ze strachu, czy dlatego, że lodowate powietrze przesywało mi skórę.

Jechaliśmy szosą po godzinie policyjnej i tylko włączany od czasu

do czasu reflektor prowadził nas w mroku. Silnik warczał mi w uszach, zwracając uwagę wszystkich dookoła. Widziałam, że Chase jest ogromnie skupiony – próbował zachować jak największą prędkość, a przy tym ominąć blokujące przejazd konary i gałęzie.

Zacisnęłam powieki. Loftonowie na nas donieśli, i to po tym, jak uratowaliśmy życie ich syna. „Nie ufaj nikomu” – powiedział mi Chase. Miał rację.

Kiedy zacznie się pościg? Na pewno zwołali posiłki. Przy odrobinie szczęścia zyskaliśmy nieco cennego czasu, przecinając im opony. A jeśli szczęście bardziej nam dopisze, ci, którzy będą nas ścigać, pójdą tropem Lewisburg. Tylko czy warto się łudzić?

Ciemność budziła mój niepokój. Wyobrażałam sobie, że zewsząd obserwują nas czyjeś oczy. Za każdym razem, gdy Chase wykonywał ostry manewr, by ominąć jakąś przeszkodę, podskakiwałam ze strachu.

Jechaliśmy najdłuższe pół godziny w moim życiu. W końcu mignęła nam tablica z informacją, że do Hinton zostało już tylko trzynaście kilometrów. Chase pomógł mi zsiąść w zacienionym rowie przy szosie, po czym wjechał motorem prosto w zarośla. Zakryliśmy go dobrze gałęziami oraz igłami i w milczeniu zatarliśmy nasze ślady. A potem znów zniknęliśmy w lesie. Moim zdaniem mieliśmy sporo szczęścia, że przetrwaliśmy tak długo. I zostało nam jeszcze trochę czasu do wschodu słońca.

Chase wziął plecak i przemykał pomiędzy drzewami, trzymając się równoległe do szosy. Sierpowaty księżyc dawał wystarczająco dużo światła, żebyśmy widzieli drogę.

I wtedy rozległ się dźwięk syren.

ROZDZIAŁ 12

Chase trzymał mnie za rękę i ciągnął, a potem ja ciągnęłam jego i bieглиśmy, uciekając od szosy w stronę, gdzie las był tak gęsty, że nawet światło księżyca nie mogło się przez tę gęstwinę przebić. Pod stopami szeleściły suche liście, gałęzie haczyły o nasze ubrania i zostawiały piekące szramy na gołej skórze. Potknęłam się, ale zanim zdołałam odzyskać równowagę, Chase mi pomógł.

Zbliżali się.

Serce mi łomotało jak oszalałe i mimo zimnego marcowego powietrza na czoło wystąpiły krople potu. Zawodzące wycie syren przedostawało się przez gąszcz drzew i atakowało moje uszy, mimo huczącego w nich pulsu. Niebieskie światło rozbłyskało strugami omiatającymi długie, czarne cienie.

Byli coraz bliżej.

– Stop! – Pociągnęłam Chase’a w dół, za pień potężnego drzewa powalonego jakąś dawną burzą, a teraz porośniętego bluszczem i kolczastymi krzakami. Ukucnął obok mnie, znieruchomiał i zamilkł.

Pędzili szosą, uciszając dźwiękiem syren owady i zwierzęta. Byłam zbyt przerażona, żeby drgnąć.

„Nie zatrzymujcie się, nie zatrzymujcie, nie...”

Przemknęli obok nas. Jeden, dwa, trzy wozy. Jechali w stronę domu Loftonów.

Chwilę później znów byliśmy w lesie tylko my.

Chase oddychał nierówno, co tylko przypomniało mi, że już od dawna nie nabrałam powietrza do płuc.

Na trzęsących się nogach ruszyliśmy dalej, aż w końcu dotarliśmy do obrzeży Hinton. Droga była niezwykle mozolna: żadne z nas nie miało zamiaru zbliżyć się do szosy, a na ścieżce, którą sobie torowaliśmy jakieś trzydzieści metrów od drogi w gąszczu krzewów i drzew, panowała

całkowita ciemność. Czułam, że moje ciało jest coraz bardziej wyczerpane, pewnie w wyniku spadku adrenaliny i bezsennej nocy, jednak mój umysł pracował na pełnych obrotach.

Wreszcie, na długo przed świtem, znaleźliśmy się na skraju parkingu pokrytego śmieciami z przepełnionych pojemników. Widziałam zarys otynkowanego budynku pasażu handlowego. Był opuszczony, większość okien wystawowych została pokryta graffiti. Wszystko sprawiało wrażenie bezpiecznego miejsca – żadnych patroli FBN, żadnych gangów.

Na parkingu stały cztery auta. Wszystkie wydawały się porzucone.

– Potrafiłbyś któreś z nich uruchomić? – zapytałam od razu.

Chase prychnął.

– Musimy poczekać do rana. Teraz nie możemy jechać, na otwartym terenie, w nocy, zauważą nas od razu.

Musiałam przyznać mu rację, chociaż zrobiłam to niechętnie. Do świtu zostało jeszcze kilka godzin.

Daleko po lewej zobaczyłam jakiś wielki, zwalisty kształt. Była to stara, zardzewiała podstawa ciężarówki, bez kabiny. Nie podobało mi się, że zasłania znajdujący się w tyle las. Czułam się wystawiona na widok, co tylko przypominało mi, że nie powinniśmy wychodzić na otwarty teren. Że w tej chwili powinniśmy już być obok mojej mamy. Wbiłam piętę w ziemię.

– Hej, zapomnij o Lewisburg – odezwał się Chase ciepłym głosem. – Powiedziałem, że dostarczę cię do kryjówki, i tak będzie. Obiecuję.

Łzy, o których istnieniu nie miałam pojęcia, zgromadziły się w moich oczach i pociekły po policzkach. „Jak?” – chciałam krzyknąć. „Jak się tam dostaniemy? Jak możesz mi to obiecywać? Przecież nawet nie znasz drogi!” Wiedziałam jednak, że Chase nie odpowie mi na te pytania, a gdybym je zadała, oboje poczulibyśmy się gorzej. Chwyciłam za plecak i szukając w ciemności zamka, ukradkiem wytarłam oczy.

Ukradzione ze sklepu sportowego rzeczy znajdowały się na górze. Nadal

były wilgotne i z pewnością włożenie ich nie będzie niczym przyjemnym, ale to nie miało znaczenia. Musieliśmy się przebrać. Podałam Chase'owi nową koszulę flanelową, żałując, że nie możemy wyrzucić kurtek. Było jednak zbyt zimno.

– Co się wydarzyło tam w domu? – zapytałam, kiedy grudka, którą czułam w gardle, przesunęła się niżej.

Pospiesznie rozebrałam się do bielizny termicznej i zamiast swetra włożyłam różowy polar, który wybrałam wcześniej dla mamy. Kiedy tylko wbiłam się z powrotem w kurtkę, natychmiast ukryłam w niej brodę, blokując dostęp zimnego powietrza kłującego mnie w twarz igiełkami lodu.

– Patrick łąził za mną jak cień – odpowiedział Chase. – Próbowałam odciągnąć go od tylnego wejścia, najlepiej zmusić do zejścia do piwnicy, do żony. Wtedy właśnie przez główne drzwi wparowali ci goście, których wezwał. Zapewne Billings oraz trzech innych. Udało mi się jednego z nich nieźle trzepnąć, zanim...

– U d e r z y ł e ś żołnierza? – pisnęłam.

Jeśli nas złapią, będzie to groziło strasznymi konsekwencjami.

– Nie miałem wyboru – odparł. Słyszałam, że zdejmuje koszulę i aż jęknął, kiedy tkanina dotknęła rany na ramieniu. – Jeden z nich powiedział: „to on” i sięgnął po pistolet. Ten sukinsyn i jego żona musieli wiedzieć, kim jesteśmy, zanim jeszcze usłyszeli wiadomości.

Skinęłam głową, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że przecież mnie nie widzi.

– Sądzi, że dostaną za nas nagrodę – wyjaśniłam. „Za ostatniego żołnierza dostaliśmy tysiąc dolarów” – powiedział Patrick. „Ten powinien być wart więcej, w końcu jest ścigany. I kto wie, może dorzucą coś jeszcze za dziewczynę?” Robiło mi się niedobrze na myśl, że nasze życie miało metkę z ceną, z kwotą, za którą można było nakarmić i utrzymać rodzinę.

Chase zaklął po cichu, czułam, jak ta informacja powoli do niego dociera i wsiąka w jego krwiobieg. Kiedy się znów odezwał, mówił pozbawionym

emocji tonem.

– Jeden z nich wyłączył światło, ale ciemność nie przyniosła efektów, jakich oczekiwali. Wybiegłem tylnym wyjściem i wtedy cię znalazłem.

– To ja wyłączyłam światło – przyznałam.

– Że co?

– Odcięłam generator.

– Odcięłaś... – Minęła długa chwila, a potem podszedł do mnie powoli i położył ręce na moich ramionach. Był zdezorientowany, a to budziło mój dyskomfort. Oto znów stał przy mnie, dotykał mnie, a jego myśli nie przystawały do czynów.

– Drzysz – powiedział nerwowo.

Strząsnęłam jego ręce, ale było już za późno. Wszystkie emocje, które próbowałam w sobie zdusić od czasu jego pożegnalnego pocałunku, teraz wróciły do mnie potężną falą. Tęsknota i nadzieja. Poczucie odrzucenia. Wzmocnione faktem, że nie mieliśmy szansy na dotarcie do Lewisburg i do mojej mamy. Chase najwyraźniej wyczuł, że coś jest nie tak, i pochylił się nad moją twarzą.

– Hej, jesteś...

Spoliczkowałam go.

Przez pełne trzy sekundy staliśmy nieruchomo, a potem się odezwał.

– Cholera. Szybka jesteś.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – prawie na niego krzyknęłam. Ręka mnie bolała na tyle mocno, że przynajmniej wiedziałam, że nie rozpadła się na kawałki z zimna.

– Ja... chyba tak – zaczął się plątać. – Za co to było?

– Dobrze wiesz, za co! – powiedziałam z furią. – Jak śmiesz... t a k się zachowywać... po... po wiesz czym!

– N i e wiem – odparł otwarcie. – Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

– Pocałowałaś mnie!

Zachwiał się, a jego oddech zaświszczał głośno.

– Wtedy ci to jakoś nie przeszkadzało – powiedział.

Warknęłam na niego, po czym chwyciłam za plecak i zamknęłam go gwałtownie.

– Myślałam, że całuję się z kimś innym – odparłam. „Moim dawnym Chase’em”.

Wyrwał mi plecak i zarzucił sobie na ramiona, a potem zdjął go z powrotem, zapewne przypominając sobie, że nigdzie nie idziemy, i cisnął na ziemię.

– Mówiłem ci. Jego już nie ma. Zapomnij o nim.

Odwróciłam się, połykając łzy. Po tym jak Chase potwierdził istnienie dwóch swoich tożsamości, powinnam poczuć się lepiej, ale było wręcz przeciwnie. Miałam wrażenie, że nie wytrzymam z nim ani chwili dłużej. Nie mogłam się już doczekać świtu.

– Ember, zaczekaj! – zawołał za mną. Chwycił mnie za rękę i przytrzymał mocno.

Odwróciłam się niechętnie, ale nie podniosłam głowy i nie spojrzałam mu w oczy.

– Słuchaj... Wiem, że czujesz niepokój. Ale na pewno nic mu nie jest – powiedział z frustracją w głosie.

„Nic mu nie jest?”

– Ale co... o kim ty mówisz? – Wydawało mi się, że zrozumiał, o kim rozmawiamy. O Chasie, który mnie kiedyś kochał, i obecnym, któremu na mnie nie zależało. Jednak on mówił o kimś zupełnie innym.

Poczułam palące upokorzenie.

– O strażniku z zakładu. To nie jego miałaś na myśli?

– Seana? – zapytałam, zdumiona. A potem przypomniałam sobie, jak Randolph w kabinie insynuował, że zabawiałam się ze strażnikiem, a później ja sama potwierdziłam te przypuszczenia, pytając Chase’a, co się stanie, jeśli żołnierz zostanie przyłapany z podopieczną. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, on pamiętał akurat t o?

Wstyd czułam zaledwie przez ułamek sekundy, natychmiast bowiem dotarła do mnie świadomość tego, że zostałam obrażona.

– Sądysz, że pozwoliłabym ci się pocałować, gdybym była z kimś innym?

– Nie miałaś większego wyboru – odparł z oburzeniem.

– Nie jestem jakąś tanią dziwką! – wyrzuciłam z siebie. – Nie mam pojęcia, w jakim towarzystwie się obracałeś, ale...

– Poczekaj...

– Jak śmiesz! Całowałeś mnie, sądząc, że mam chłopaka! Jakim ty jesteś człowiekiem, co?

– Uspokój się! – przerwał mi. W mojej wściekłości naruszyłam jego przestrzeń osobistą i teraz dzieliły nas zaledwie centymetry. – Po pierwsze, doskonale wiem, że nie jesteś łatwa. Właściwie jesteś najtrudniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Po drugie, nigdy nie twierdziłem, że jestem dobrym człowiekiem. I wreszcie, po trzecie, skoro nie mówiłaś o Seanie, to kogo, u licha, miałaś na myśli?

– To... – zaczęłam się jąkać. – To nie twój interes – odpowiedziałam wymijająco.

– Skoro myślałaś o innym facecie, całując się ze mną, to to jest mój interes – oznajmił z rozgorączkowaniem.

– Już nie! Zresztą co cię to obchodzi?

Wyprostował się, zmuszając mnie, bym spojrzała prawie trzydzieści centymetrów do góry, w jego oczy.

– Nie obchodzi.

– Sprawiasz inne wrażenie.

Kopnął w ziemię. Mijała sekunda za sekundą, ale wydawało się, jakby upływały godziny.

– Masz rację. To mnie nie obchodzi – powiedział lodowatym tonem.

Ścisnęło mnie w żołądku, ale wiedziałam, że tak jest lepiej. I tak odejdzie, kiedy dotrzemy do kryjówki, więc jakiegokolwiek ciepłe uczucia tylko

by wszystko skomplikowały.

Chase wypuścił z płuc powietrze, a potem oboje odwróciliśmy się w stronę parkingu, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Próbował włączyć radio, jednak nawet nie zatrzeszczało. Bateria zamokła albo po prostu się wyczerpała. Gdyby udało nam się złapać częstotliwość, moglibyśmy śledzić poczynania SO. A tak błądziliśmy po omacku.

Niepokój wyciszył mój gniew, a ziąb sparaliżował nerwy. Zerknęłam w jego stronę i ze zdumieniem stwierdziłam, że mnie obserwuje. W nikłym świetle księżyca widać było zaledwie zarys jego twarzy.

– Dzięki. Za uratowanie mi dzisiaj życia.

Nie dodał już nic więcej, a i ja nie nakłaniałam go do dalszej rozmowy. Usiadłam tylko, a on zajął miejsce obok mnie. Przyciągnęłam kolana do piersi, opatuliłam głowę kapturem kurtki i postanowiłam dotrwać tak do świtu.

* * *

Chase obudził mnie godzinę później. Kiedy zasnęłam, przykrył nas śpiworem, ale sam czuwał. Potarłam oczy, od razu przytomna i czujna.

Chociaż słońce już wstawało, na dworze było jeszcze ciemno. Świerszcze przestały grać, ustępując miejsca kolejnej zmianie leśnych muzykantów: stukającemu w drzewo dzięciołowi oraz jakiemuś – zapewne ogromnemu – owadowi, którego brzęczenie przypominało gwizd pociągu. Poczułam, że coś łązi mi po ręce, i zaczęłam podskakiwać, wykonując przy tym mnóstwo niepotrzebnych ruchów.

A jednak nic mi nie chodziło po skórze. Zauważyłam za to na serdecznym palcu lewej ręki cienką złotą obrączkę.

– Skąd...

– Nie mylili się, biorąc nas za złodziei – odparł. Miał na myśli farmerów.

Stwierdziłam, że musiał przejrzeć ich dom zaraz po naszym przyjściu, ale po tym, co zrobili, wcale nie miałam wyrzutów sumienia.

– Ożeniłeś się ze mną, gdy spałam? – zapytałam, nie kryjąc zdumienia.

Niebo zaczęło sinieć we fioletowej poświacie, dzięki czemu zobaczyłam, że twarz Chase'a pokrywa się nieco głębszą czerwienią.

– Uderzyłaś mnie za to, że cię pocałowałem. Uznałem, że będzie bezpieczniej, jeśli ożenię się z tobą, póki śpisz.

Krótki śmiech zupełnie mnie zaskoczył. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio Chase żartował. Uznałam, że między nami zgoda. Zaczęłam podziwiać obrączkę: Loftonowie mieli tyle wszystkiego, że pewnie nawet nie zauważą zguby.

– Ale moja mama się zdziwi.

Opuścił głowę.

– To tylko zabezpieczenie. Nic poważnego – odparł z cieniem złości. Najwyraźniej żarty się skończyły.

Już miałam odszczeknąć, że nie musi być taki niemiły, kiedy nagle zamarł i pokazał ręką na parking.

– Patrz!

Wschód słońca przyniósł lepszą widoczność. Na znajdującym się w oddali spodzie ciężarówki widniała cynkowana tabliczka przybita krzywo do metalowego boku.

JEDEN WIELKI KRAJ, JEDNA WIELKA RODZINA

– Nie wydaje ci się, że... – zaczęłam, ale już wiedział, co zamierzam powiedzieć. Kąciki jego ust uniosły się chytrze.

Kurier kazał nam wypatrywać znaku. Byłam pewna, że właśnie to miał na myśli.

Omiotliśmy wzrokiem parking, szukając jakichkolwiek śladów niebezpieczeństwa, a potem pobiegliśmy do ciężarówki. Stała jakieś sto metrów od nas. Nie mogłam przestać myśleć o ostatnim parkingu, na którym byliśmy, tym pod sklepem sportowym, i poczułam gęsią skórę na karku. Ostrożnie rozejrzałam się dookoła.

Kiedy podchodziliśmy do osiemnastokołowego pojazdu, ze środka dobiegł nas jakiś szelest.

Odskoczyłam do tyłu, schowałam się za metalowym bokiem i zamarłam. Chociaż spodziewałam się, że zastaniemy tu jakąś pomoc, moje wyszkolone już ciało zareagowało błyskawicznie. Chase skoczył przede mnie i wyjął pałkę zza pasa. Żałowałam, że nie mamy broni, ignorując przelotną myśl, że jeszcze dwa dni wcześniej coś takiego w życiu nie przysłoby mi do głowy.

To mogło być jakieś zwierzę. Chwilę później usłyszeliśmy jednak wyraźne i charakterystyczne kroki na metalowej podłodze.

Chase zerknął przez ramię, upewniając się, czy jestem za nim.

Ukucnęłam, żeby spojrzeć pod ciężarówką, pomiędzy przebitymi, spłaszczonymi oponami, i dostrzegłam nogi zeskakującej na ziemię osoby. A potem kolejnej i w końcu jeszcze trzeciej, chociaż ta schodziła wolniej – najwyraźniej czekała, aż tamci podadzą jej rękę.

Ich troje, nas dwoje. Pewnie spali, kiedy się tu zjawiliśmy, a jeśli nie, to po prostu ściany ciężarówki wytłumiły nasze głosy. W przeciwnym razie nie mielibyśmy tyle szczęścia. Nie wiedzieliśmy, jaką mają broń, a od lasu dzieliło nas jakieś pięćdziesiąt metrów.

„Błagam, niech będą nastawieni przyjaźnie”.

Chwilę później zza ciężarówki wyłonił się chłopak mniej więcej w moim wieku – i zamarł.

Był ubrany w starą marynarkę, podartą i połataną różnymi tkaninami, a pod nią miał kilka warstw koszulek. Bojówki przewiązał czerwonym sznurkiem. Powiedział coś, czego nie usłyszeliśmy, a wtedy pojawiły się dwie dziewczyny. Jedna była jego wzrostu i miała na sobie zniszczoną koszulkę termiczną z długim rękawem. Druga, niska, miała śliczną cerę w kolorze kawy z mlekiem i okrągłe, gładkie policzki.

I była co najmniej w szóstym miesiącu ciąży.

W mojej krwi buzowała podejrzliwość. Oni z pewnością mogli

powiedzieć to samo. Odwrócili głowy, żeby naradzić się po cichu. Chase schował pałkę za pasem i uniósł puste ręce w pokojowym geście. Zrobił kilka powolnych kroków do przodu.

Znajdowaliśmy się sześć metrów od siebie, a ta trójka nadal się nie ruszyła. Zauważyłam, że chłopak odsuwa marynarkę i moim oczom ukazał się wciśnięty za pas klucz do kół. Zapało mi dech, ale i tak czułam pewną ulgę, że nie widać pistoletu ani noża. Na razie.

Chase spojrzął na niego pogardliwie.

– Stójcie! – zawołał chłopak.

Zatrzymaliśmy się.

– Nie chcemy kłopotów – powiedział Chase, zupełnie nieprzestraszony.

Wysoka dziewczyna odwróciła się do chłopaka i coś mu szepnęła do ucha. Teraz, kiedy znaleźliśmy się bliżej, widać było, że to bliźnięta. Mieli takie same, bezpłciowe twarze: proste brwi, płaskie kości policzkowe, podkreślone przez niedożywienie, i ciemne włosy, tworzące na środku czoła tak zwany wdowi szpic.

– Macie coś dla nas? – zapytała bliźniaczka.

– Szukamy kuriera – odezwałam się.

Czułam, jak stojący obok mnie Chase tężeje, i zaczęłam się zastanawiać, czy nie było to zbyt śmiałe. Ale nie sądziłam, żeby ci ludzie mieli na nas donieść Straży Obyczajowej, a przynajmniej nie od razu. Handel czymkolwiek, z czego SO czerpała zyski, był nielegalny.

– Jesteśmy sprzedawcami samochodów, a nie kierowcami – odezwała się dziewczyna.

Brat trącił ją łokciem.

Nie podobał mi się ton jej głosu. Ani to, jak patrzyła na Chase'a.

– Wiecie, gdzie jest kurier czy nie? – zapytałam.

– Jeden jest w Lewisburg i jeździ do Georgii i Karoliny...

– Nie możemy iść do Lewisburg – przerwał jej Chase.

– W takim razie w Harrisonburg, ale to dalej.

– Tam też nie możemy – odparł Chase bez wyrazu.

Zacisnęłam zęby.

– Zły chłopiec. – Dziewczyna zaśmiała się kokieteryjnie, patrząc na Chase’a.

Zwęziłam oczy i chociaż było zimno, podciągnęłam rękaw, żeby widziała obrączkę na moim palcu.

Ta niższa dziewczyna zaczęła szeptać coś do swojego chłopaka.

Kiedy się odwróciła, położyła rękę na dużym brzuchu. Nagle zrobiło mi się ich żal. Miała nie więcej niż piętnaście, może szesnaście lat – była zbyt młoda na małżeństwo – i złamała paragrafy Prawa Obyczajowego. Prawdopodobnie dlatego żyli w ciężarówce.

– SO was ściga? – zapytała.

Milczeliśmy.

– Musicie dostać się do Knoxville – ciągnęła. – W Tennessee. Wiecie, gdzie to jest?

Od razu podniosłam głowę.

– Co jest w Knoxville? – zapytał Chase.

– Kurier? – Czułam, jak przyspiesza mi oddech.

– Całe podziemie – odparła bliźniaczka. – Mnóstwo ludzi tam zmierza. Tam pojechała połowa naszych samochodów. Totalna likwidacja – zaśmiała się.

– Knoxville – powtórzyłam.

Usłyszałam, jak Chase powoli wypuszcza powietrze.

Znów wracaliśmy na właściwą drogę.

* * *

To był długi dzień.

Nowe Czerwone Strefy, czyli miasta ewakuowane w czasie wojny, oraz Żółte Strefy, zajęte całkowicie przez Straż Obyczajową, były oznaczone odpowiednimi kolorami na znakach drogowych. Zmuszało to kierowców do wielokrotnych objazdów przez Wirginię i północną część Tennessee.

Przysypiałam na krótko, ale ani razu nie zapadłam w głęboki sen. Tkwiłam na krawędzi, moje serce biło odrobinę zbyt szybko, a mój umysł wypełniały liczne troski.

Co chwila przypominałam sobie bliźniaczkę i to wspomnienie napawało mnie rozgoryczeniem. Uparła się, żebyśmy kupili auto, a ponieważ nie mieliśmy niczego, co byłoby im potrzebne, musieliśmy zapłacić. Tysiąc dolarów. W gotówce. Za coś, co nawet do nich nie należało. Ale ponieważ spuścili całą benzynę, mieliśmy związane ręce.

Ale i tak nie żałowałam, że ich spotkaliśmy.

„Całe podziemie” – powiedziała ta dziewczyna. Cały ruch oporu. Nie wyobrażałam sobie, jak to może wyglądać. Ludzie tacy jak my. Uciekinierzy spiskujący przeciwko SO. Moje wyobrażenia wydawały się zbyt nierealistyczne. Liczyło się jedynie odnalezienie kogoś, kto zabierze nas do Karoliny Południowej.

Z upływem czasu czułam nasilający się znajomy ucisk w żołądku, świadczący o zdenerwowaniu. Moja mama znalazła się poza naszym zasięgiem. Próbowałam skupić się na tym, jak wyglądała, ale widziałam tylko fragmenty obrazów. Krótkie włosy z ozdobami. Stopy w skarpetkach na kuchennej podłodze.

Musiałam odszukać ją jak najszybciej, bałam się, że niedługo nawet i te obrazy znikną z mojej pamięci.

W końcu znaleźliśmy się blisko celu. Gdy dojeżdżaliśmy do Knoxville, liczba wozów SO na drodze wyraźnie się zwiększyła.

Były też inne samochody, niezbyt liczne, ale wystarczyły, żeby wmieszać się w tłum. Co wcale nie zmniejszyło naszego zdenerwowania, kiedy co chwila mijały nas wojskowe patrole.

A potem naszym oczom ukazał się znak. **ŻÓŁTA STREFA**. Zachodnia część Knoxville została niedawno zamknięta dla obywateli i utworzono tam bazę Straży Obyczajowej.

– Myślisz, że nas okłamali? – zapytałam nerwowo Chase’a. – Sądziś,

że nas tu przysłali, bo daliśmy im za mało pieniędzy?

– Nie – odparł, ale nie brzmiał zbyt przekonująco. – Uważam, że najbezpieczniej jest w cieniu wroga. Tutaj działa ruch oporu.

Tak więc ruszyliśmy, by znaleźć schronienie pod nosem potwora.

Chase wjechał w ruchliwy zjazd, przejechał przez szare wody rzeki Holston i zaparkował na ciemnym placu, za wzniesionymi z piaskowca budynkami szpitala miejskiego. Gdy wysiedliśmy, otoczyły nas dźwięki i zapachy tętniącego życiem miasta. Po kilku dniach w lesie obecność tylu ludzi paranoicznie mnie przytłoczyła, miałam wrażenie, jakby wszyscy nas obserwowali. Czułam zapach ścieków, potu, smogu wypełniającego nieruchome powietrze. To wcale nie zmniejszyło mojego niepokoju.

Było chłodno, ale nie zimno. Na niebie pojawiły się niskie chmury, a deszcz wisiał w powietrzu. Chase wziął plecak i obszedł auto dookoła. Nie musiał mi przypominać, żebym wszystko zabrała. Dobrze wiedziałam, że już tu nie wrócimy.

Weszliśmy na ulicę i natychmiast znaleźliśmy się w tłumie pieszych. Niektórzy pędzili, pracujący szczęściarze w strojach służbowych. Inni, bezdomni, stali z boku z kartonowymi tabliczkami i żebrali. Jeszcze inni skręcali się, drapali, rozmawiali ze swoimi halucynacjami. Na haju albo psychicznie chorzy. Na mocy Ustawy Naprawczej zlikwidowano programy lecznicze, żeby finansować FBN.

Na chodnikach było tak ciasno, że ledwo znaleźliśmy miejsce dla siebie. Chase przysunął się bliżej i chociaż miał mroczny wyraz twarzy, wiedziałam, że znosi to lepiej ode mnie. Po zbombardowaniu Chicago jakoś przeżył w takich miejscach, w których ludzie gromadzili się po ewakuacji z dużych miast.

– Uważaj na plecy – ostrzegł mnie. – I moich też możesz pilnować przy okazji – dodał, skracając paski plecaka. Pieniądze przełożył do kieszeni z przodu.

– Od czego zaczniemy? – zapytałam.

To było największe miasto, jakie kiedykolwiek widziałam. Może i ruch oporu był tu wielki, ale i tak szukaliśmy igły w stogu siana.

– Trzeba iść za ludźmi w łąchmanach – odparł. – Zaprowadzą nas do jedzenia, a tam, gdzie jest jedzenie, tam są rozmowy.

Miał rację. Przeszliśmy kilka przecznic i znaleźliśmy się w płynącej rzece wygłodniałych ludzi. Na każdym słupie telefonicznym, płocie, na każdych drzwiach wisiały wielkie arkusze Prawa Obyczajowego. Minęliśmy tory kolejowe i weszliśmy na plac targowy, długi, wybetonowany, otoczony płaskimi, ceglanyymi budynkami, które kiedyś mieściły zapewne sklepy. Obecnie były to hostele, punkty medyczne albo pustostany.

Na tyłach placu tłum gęstniał. Tysiące ludzi przyszło w poszukiwaniu jedzenia lub schronienia. Widać też było siostry salwatorianki w granatowych spódnicach i zawiązanych pod szyją chustkach, krzątające się przy tymczasowych łózkach polowych w obozie Czerwonego Krzyża. Ciężko przełknęłam ślinę. Zdałam sobie sprawę, że i ja mogłam znaleźć się wśród nich.

Kątem oka dostrzegłam mundur i od razu podskoczył mi poziom adrenaliny we krwi. Czysty, odprasowany niebieski materiał odznaczał się wyraźnie na tle brudnych łąchmanów.

Żołnierze.

Omiotłam wzrokiem okolicę i zauważyłam jeszcze dwóch. Stali za nieoznakowanym wozem meblowym i wypakowywali skrzynie z jedzeniem. Zajmowali pozycję po prawej stronie zwężenia prowadzącego do otwartego obszaru placu. Nie próbowali nawet ukrywać swoich pistoletów: byli uzbrojeni, gotowi strzelać do każdego, kto pokusiłby się o kradzież.

Chase też ich zauważył. Od razu opuścił głowę, żeby nie górować nad innymi wzrostem. Rozejrzałam się po tłumie. Zbyt wiele osób dreptało na plac, za to nikt z niego nie wychodził. Gdybyśmy zaczęli teraz biec, wywołalibyśmy zamieszanie i z trudem moglibyśmy precyzyjnie przycisnąć się pomiędzy

ludźmi. A gdyby żołnierze chcieli nas gonić... Mieli broń. Tłum z pewnością rozstępowałyby się przed nimi szybciej niż przed nami.

Uznaliśmy, że musimy dostać się do kuchni polowej. Chase stwierdził, że tam możemy dyskretnie rozpytać o kuriera. Jednak jedyna droga do kuchni prowadziła obok żołnierzy. Kiedy ich minimy, nie znajdziemy się wcale w pułapce bez wyjścia – widziałam z mojego miejsca, że od placu odchodziły boczne uliczki. Jednak i tak podejmiemy ogromne ryzyko: przejdziemy zaledwie jakieś trzy metry od żołnierzy.

Chwyliłam Chase'a za rękę i ścisnęłam pospiesznie, zadając w ten sposób pytanie, którego nie ośmieliłam się wypowiedzieć na głos. Po ułamku wahania odpowiedział podobnym uściskiem. Podejmiemy próbę minięcia SO.

– Podnieś kołnierz – powiedział.

Od razu wykonałam polecenie. Ruszyliśmy do przodu, przez tłum objających się o nas ludzi, w kierunku przewężenia.

„Proszę, nie patrzcie w tę stronę” – powtarzałam w myślach, skupiając całą swoją energię na tych dwóch żołnierzach.

– Patrz do przodu – powiedział Chase tak cicho, że tylko ja mogłam go usłyszeć. – Nie zatrzymuj się.

Pot pokrył moją twarz, mimo że przez plac wiał zimny, wieczorny wiatr. Miałam wrażenie, jakby ktoś ścisnął mi skronie imadłem.

„Idź, nie przestawaj iść” – powtarzałam sobie w duchu.

Kątem oka widziałam żołnierzy znajdujących się zaledwie trzy metry od nas.

Jeden z nich odwrócił się pospiesznie, ukazując przyklejone do ucha radio. Od tyłu zauważyłam jego jasnobrązowe włosy i szczupłą sylwetkę. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakbym już go kiedyś widziała.

„Nie przestawaj iść”.

Minęliśmy skrzynie z żywnością oraz obu żołnierzy i skierowaliśmy się ku otwartej przestrzeni placu.

Z trudem powstrzymałam się, żeby nie odwrócić głowy. Chase przyspieszył kroku, ciągnąc mnie po mokrym chodniku za róg, z dala od strumienia pieszych. Tu było nieco spokojniej i chyba po raz pierwszy od kilku minut znów mogłam oddychać.

– Co oni tam robią? – zapytałam.

SO zapewniała co prawda żywność dla kuchni polowych w naszym mieście, ale to ochotnicy zajmowali się dostarczaniem jej na miejsce. Zawsze sądziłam, że żołnierze nie chcieli zadawać się z biedotą, której akurat nie musieli aresztować.

– Widocznie w mieście brakuje jedzenia.

– To by wyjaśniało tę broń – zauważyłam pośpiesznie.

Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej.

Kiedy ruszyliśmy dalej, zdałam sobie nagle sprawę, jak dobrze odżywieni się wydajemy i jacy czysti. Pojedynczy włóczędzy kręcący się w okolicy spoglądali na nas z nienawiścią, jakbyśmy należeli do rodziny królewskiej. Chase musiał mieć rację co do braku żywności: najwyraźniej w tym wielkim mieście nie starczało jedzenia dla wszystkich.

Minęliśmy bezdomnego opierającego się o buczący głośno generator prądu pod toaletą publiczną. Miał w ręku kartonik z napisem „przyjmę każdą pomoc” i wyglądał na wycieńczonego. Z jego chudego, kościstego ciała zwieszały się poplamione łachmany. Pergaminowa skóra pokrywała osadzone głęboko oczy, a na twarzy widać było oliwkowe plamy od głodu.

Chase zatrzymał się przy nim i przez chwilę sądziłam, że zamierza dać mu pieniądze. Ta hojność mnie przerażała. Jeśli Chase wyjmie portfel, wygłodniali włóczędzy rzucą się na nas jak wataha wilków.

Sekundę później Chase wyprostował się i chwycił mnie z powrotem za rękę.

– Trzymaj się blisko – powiedział, przyciągając mnie do siebie.

Podskoczyłam, kiedy usłyszałam jakieś szmery za plecami. Odwróciłam się, myśląc, że konieczna będzie obrona, ale tylko otworzyłam usta

ze zdziwienia. Wataha wilków, owszem, ruszyła do ataku, ale wcale nie na nas, tylko na... głodującego bezdomnego mężczyznę. Byłam wściekła bardziej niż kiedykolwiek, gdy zdałam sobie sprawę, że zamierzają go okraść. Dłonie pokryły mi się kropelkami potu, jednak Chase trzymał mnie mocno.

Kobieta i mężczyzna o zapadniętych policzkach ukradli mu kubek na monety i kartonowy napis. Ktoś inny zabrał mu buty. Jeszcze inny – jego poplamiony sweter. Wypadły przy tym zwinięte ulotki z paragrafami Prawa Obyczajowego i poszybowały w powietrze. Ten człowiek wypychał sobie ubranie papierem, żeby było mu ciepiej.

Moim oczom ukazała się naga, sina jak popiół klatka piersiowa zgiętego mężczyzny. Sztywne kończyny wyginały się pod dziwnymi kątami, ale on sam pozostawał wiotki niczym szmaciana lalka. Ktoś pewnie pozbawił go wcześniej przytomności albo po prostu był zbyt słaby, żeby się opierać.

– Musimy mu pomóc! – powiedziałam pełnym emocji głosem.

To była zbrodnia: jak ten człowiek ma przeżyć bez ciepłej odzieży?

– Nic nie możemy zrobić. Jeśli nie pójdziemy dalej, to samo czeka nas – powiedział Chase i popchnął mnie do przodu.

– Chase! – krzyknęłam i zaparłam się piętami o ziemię, ale i tak nie udało mi się go zatrzymać.

– Jest za późno – powiedział twardo i od razu zrozumiałam, co ma na myśli.

Ten człowiek był martwy.

Jak długo tak siedział samotny? Kiedy po raz ostatni miał coś w ustach? Dzień? Dwa? T y d z i e ń? Jakież to było zimne i nieprzyjazne miasto, skoro nikt tu nawet nie zauważał śmierci.

A gdzie ci żołnierze? Czyżby nie mieli zamiaru niczego z tym zrobić?

Odpowiedź była jasna. NIE. SO nie zamierzała robić absolutnie nic. Nędzarze i nieszczęśnicy mieli się sami powyбивać w pień, dzięki czemu żołnierzom zostałyby mniej roboty.

Od razu przyszła mi do głowy Katelyn Meadows. Co strażnicy z zakładu zrobili z jej ciałem? Oddano je rodzicom? Czy w ogóle jej rodzice jeszcze żyją? Nagle poczułam się stara, miałam wrażenie, że niespodziewanie przybyło mi lat.

Chase pociągnął mnie przez kłębiący się tłum. Miałam wrażenie, jakbym płynęła w powietrzu, jakby moje stopy ledwo dotykały ziemi. Pragnęłam zasnąć i obudzić się w domu, w moim pokoju, z mamą śpiewającą za ścianą. Chciałam iść do Beth, żeby odrobić lekcje i porozmawiać o wszystkim i o niczym. Chciałam tego, co niemożliwe.

Ktoś w nas wpadł, zapewne pchnięty przez ludzi. Ręka Chase'a puściła moją dłoń i poleciałam na bok. Nie upadłam jednak: było to niemożliwe w tym tłumie.

W uszach zaczęło mi szumieć, a krew nagle przyspieszyła.

– Ch... Jacob! – wrzasnęłam z nadzieją, że może zareaguje na swoje drugie imię. Wszyscy dookoła teraz krzyczeli, pchali się, napierali. Czy nadal próbowali dotrzeć do nieboszczyka? Czy może chodziło o coś innego? Tak czy inaczej, Chase mi nie odpowiedział. – Jacob! – zawołałam, ale równie dobrze mogłam krzyczeć pod wodą. I tak nikt mnie nie słyszał.

Mocne uderzenie w plecy pchnęło mnie do przodu, w stronę betonowego podłoża, ale po drodze odbiłam się od jakiegoś człowieka. Ktoś chwycił mnie za rękę, niemal wyrywając mi ramię ze stawu: próbował się przytrzymać. Ogarnął mnie ocean chaosu, górna połowa mojego ciała popłynęła w jedną stronę, podczas gdy nogi w drugą, a po chwili poczułam pod butami makabryczną miękkość ciała i ludzkich kości.

– Jedzenie! – ktoś krzyknął. – Tam jest jedzenie!

Chyba nie chodziło im o kuchnię polową, bo ta znajdowała się po drugiej stronie placu. A temu martwemu człowiekowi nic już nie można było ukraść. Zapewne musieli mieć na myśli ciężarówkę, którą wcześniej mijaliśmy. Nie wyobrażałam sobie jednak, jak ci ludzie zamierzali przedostać się przez kordon uzbrojonych żołnierzy.

Ledwo odzyskałam równowagę, a czyjeś palce zacisnęły się na moim łokciu.

– Och, dzięki Bogu! – zawołałam i odwróciłam się tylko po to, by zobaczyć tył męskiej głowy o krótko obciętych brązowych włosach oraz granatowy kołnierz. Ktoś wyciągał mnie z tłumu.

Nie był to Chase, tylko żołnierz.

– Nie! Proszę, proszę zaczekać! – Próbowałam się opierać. Zaparłam się nogami o ziemię i ciągnęłam w drugą stronę. – Nastąpiła pomyłka.

– Idź, Miller – rzucił ten ktoś przez ramię.

Ogarnęło mnie przerażenie. Ten żołnierz wiedział, kim jestem. A więc mnie znaleźli, Chase musi uciekać. Grozi mu większe niebezpieczeństwo. Może uda mu się dotrzeć do mojej mamy.

Musiałam użyć siły całej swojej woli, żeby nie zawołać go po imieniu najgłośniej, jak się dało. Zdawałam sobie jednak sprawę, że jeśli to zrobię, podpiszę na niego wyrok śmierci.

– Nie jestem... nie wiem, kim jest Miller! – powiedziałam, odpychając żołnierza obiema rękami. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, wokół panowało zbyt wielkie zamieszanie. Potężny chaos.

– Pomocy! – zawołałam w końcu. – Ratunku!

Nawet jeśli ktokolwiek mnie usłyszał, nikt nie zareagował. Gdy żołnierz ciągnął mnie w stronę ciemnej uliczki, uczepliłam się płaszcz jakiegoś mężczyzny, ale ten tylko strząsnął moje ręce. Chwyciłam jakąś kobietę za włosy. Uderzyła mnie w ramię, a moja pięść rozwarła się, ukazując kilka pojedynczych kosmyków.

Dookoła zapanowała nagle cisza. Na placu nadal panował harmider, ale uliczka była opustoszała, nie licząc kilku szczurów uciekających za przepelniony kontener ze śmieciami. Widziałam, jak jedna czy dwie osoby spoglądają w naszą stronę, ale chociaż ich oczy otwierały się szeroko, szybko odwracali wzrok, śmiertelnie przerażeni.

Zostałam sam na sam z żołnierzem.

ROZDZIAŁ 13

Ogarnęła mnie panika.

Próbowałam walczyć, chociaż włosy przesłaniały mi widok. Nie chciałam stanąć, w końcu musiał mnie nieść. Zauważyłam przebłyszki mundur. Granatowe wojskowe spodnie na czarnych butach. Pasek. Pistolet. Złotą naszywkę z nazwiskiem Wagner. Zapadł zmierzch i w ciemnej uliczce nie byłam w stanie przyjrzeć się jego twarzy.

– Przestań! – powiedział.

Zdławiłam w sobie strach i zamachnęłam się pięścią w jego głowę, doskonale zdając sobie sprawę, że za coś takiego czeka mnie więzienie albo śmierć.

– Przestań! – wrzasnął znowu. – Popatrz na mnie!

Dźwignął mnie i jak taranem cisnął w mur. Moja głowa uderzyła potężnie w cegły, wszystkie narządy zadrżały w moim wnętrzu, a ja ujrzałam gwiazdy.

Ale uspokoiłam się i wtedy zobaczyłam jego przystojną twarz. Mocne rysy. Niebieskie oczy, już nie puste i bez wyrazu. Jasnobrązowe włosy. To właśnie tego żołnierza widziałam przy wozie z jedzeniem. To on wydał mi się znajomy.

– Sean? – zapytałam, zszokowana.

Sean Banks, a nie żaden Wagner. Kim w ogóle był Wagner?

Nie miałam jednak okazji, by o to zapytać. Sekundę później zostaliśmy powaleni na ziemię, bo z boku wyskoczyło coś potężnego i uderzyło w Seana.

Nie coś. Chase.

Podniosłam się, żeby zejść im z drogi. Rozległ się głuchy łomot, a potem zduszony jęk. Któremuś z nich zabrakło powietrza. Przez chwilę się mocowali, a potem Chase przygwoździł Seana do chodnika, wyginając mu rękę do tyłu pod dziwnym kątem. Wyrwał mu broń i uderzył nią niezbyt

delikatnie w tył głowy Seana.

– Ember... – Był zbyt zdenerwowany, żeby użyć pseudonimu.

Pytał, czy coś mi się stało, i od razu wiedziałam, że od mojej odpowiedzi będzie zależało, co zrobi z napastnikiem.

– Chase, to Sean! Znam go! – powiedziałam. – Nic się nie stało, wszystko dobrze!

– To, co widziałem, nie wyglądało dobrze – odparł.

– Jezu, puść mnie wreszcie! – Głos Seana był przytłumiony. Krzyknął z bólu, gdy mu strzeliło w ramieniu. – Nie jestem z FBN!

– Widzę – odpowiedział Chase. – Nie masz typowej broni – wyjaśnił, patrząc na pistolet.

Mój wzrok też powędrował w tamtą stronę. Pistolet był czarny, a nie srebrny jak Chase'a.

Wyobraziłam sobie, co Chase musiał pomyśleć, kiedy zobaczył mnie przyciśniętą do muru. Pewnie sądził, że czeka mnie to samo, czym grozili mi Rick i Stan, gdy kazali wsiadać do swojego auta.

– Puść go, Chase. – Cała się trzęsłam.

– Próbowałam jej powiedzieć, że to tylko ja! – odezwał się Sean błagalnie. – Ale mało mi nie urwała głowy!

– Tak właśnie było – potwierdziłam pośpiesznie.

Chase popatrzył na mnie, szukając w moich oczach prawdy. Po chwili skinął głową, ale nie wydawał się zadowolony z faktu, że wypuszcza napastnika.

– Spróbuj ją tylko dotknąć! – ostrzegł Seana. Gniew mu jeszcze nie minął i w dalszym ciągu trzymał w ręku broń. – Dlaczego wywołałeś zamieszki?

S e a n wywołał zamieszki? C e l o w o? I nagle wszystko stało się jasne. To dlatego nie został rozerwany na strzępy przez tłum. I dlatego miał na sobie kradziony mundur z nazwiskiem Wagner.

Sean wstał z oburzeniem i wytarł twarz rękawem.

– Bo na tym polegała dzisiejsza misja. Zabrać bogatym, dać biednym.

A teraz, kiedy pojawi się prawdziwa FBN i nie zacznie rozdawać dodatkowych racji żywnościowych, ludzie się na tyle wkurzą, że dojdzie do buntu.

A więc Sean przyłączył się do ruchu oporu. W głowie zaczęło mi huczeć od kłębiących się myśli. Ciężarówka z mundurami, skradziona właśnie tu, w Tennessee. Snajper. Czy to jego ludzie byli za to odpowiedzialni? Może to właśnie Seana szukaliśmy! Może nawet zna kuriera!

Chase położył kciuk na mojej brodzie i delikatnie obrócił mi twarz raz w jedną, raz w drugą stronę, sprawdzając, czy nie jestem ranna. Sean przyglądał się nam z zaciekawieniem.

– Zauważyłem was na placu. Poszedłem za wami i...

– ...i zaczekałeś, aż ona będzie sama – warknął Chase.

Sean zrobił krok do tyłu.

– Tak. Dziwisz mi się? – dodał, machając rękoma w stronę Chase’a.

– Tylko spokojnie, jeden z drugim – powiedziałam.

Chase zrobił krok do przodu. Sean się uchylił.

– Zwolnili mnie po tym, jak ci pomogłem – powiedział szybko. – Przyjechałem tu, żeby znaleźć Rebekę.

– Co takiego? – Próbowałam się przysunąć, ale Chase mnie zatrzymał. – Ona tu jest? Z tobą?

– W środku, w bazie. Tam, gdzie trzymają wszystkich więźniów oczekujących na proces. Może o tym nie wiedziałaś? – rzucił przez zęby, patrząc na mnie groźnie.

– Nie wiedziałam – odparłam i ciężko przełknęłam ślinę, przypominając sobie ostatni raz, kiedy widziałam Rebekę Lansing. – Zabrali ją, nie miałam pojęcia dokąd.

Sean patrzył na mnie podejrzliwie. Wiedziałam, że chciałby mi wierzyć, ale nie był skłonny do ufności. Byłam ciekawa, jak odkrył, że Rebeka jest właśnie tutaj. Czy podziemie o tym wiedziało? Może mają dostęp do danych SO? Czy wiedzą coś o mojej mamie?

– Nie mamy czasu na pogaduszki – wtrącił Chase. – Ta kryjówka w Karolinie Południowej – jak tam się dostać?

Sean popatrzył najpierw na Chase’a, potem na mnie, a następnie przeniósł wzrok na plac, gdzie nadal trwały zamieszki.

– Zaraz godzina policyjna – powiedział i pokręcił głową. – Lepiej chodźcie ze mną. Znam faceta, który organizuje przerzuty. Odjeżdża za parę dni. Zabiorę go do was, jeśli tylko opowiesz mi o Rebecie – dodał i prychnął ironicznie. – Pomożesz mi, a ja cię wydostanę. Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów, co, Miller?

Odwróciłam głowę, żeby uniknąć oskarżycielskiego spojrzenia: najpierw Seana, a potem Chase’a. Zdałam sobie sprawę, że Chase nie wie, o co chodzi. Żołądek mi się zacisnął z poczucia winy.

– Chętnie bym was tu zostawił, ale mam wrażenie, że nie przyjęlibyście tego z radością, prawda? – zwrócił się do Chase’a.

Ten spojrział na niego wściekle, po czym odwrócił się do mnie.

– Decyzja należy do ciebie.

To był pierwszy raz, kiedy Chase pozwolił mi całkowicie przejąć kontrolę nad sytuacją. Popatrzyłam na dawnego żołnierza, teraz ubranego w kradziony mundur. Pójście z Seanem wydawało się bardziej niebezpieczne, ale musieliśmy podjąć takie ryzyko, żeby znaleźć kuriera. Zresztą byłam Seanowi winna informacje o Rebecie. Tylko tyle mogłam zrobić, żeby odkupić swoje winy.

Niechętnie skinęłam głową.

* * *

Za kontenerem Sean zdjął mundur, pod którym miał zniszczone cywilne ubranie. Kradziony uniform wepchnął do worka na śmieci i zarzucił go sobie na ramię – tak jak inni włóczędzy, noszący na plecach cały swój dobytek. W milczeniu ruszyliśmy za nim ciemną alejką. Kluczył uliczkami, aż w końcu znaleźliśmy się przed starym ceglany budynkiem motelu Wayland Inn.

Było to zapuszczone miejsce, jedno z tych, których z całą pewnością bym unikała, nawet gdyby nie było opustoszałe. Z jednej strony budynku w górę piął się przerośnięty bluszcz, co drugie okno zabito deskami, ale na murach nie dało się zauważyć śladów graffiti, czego nie można było powiedzieć o sąsiednich budowlach. Tego motelu nikt nie ruszał.

Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej. Zmierzch zabarwił gromadzące się chmury, nadając im perłowy odcień. Pospieszenie przeszliśmy na drugą stronę ulicy, rozglądając się, czy nie widać patroli, a potem weszliśmy przez szklane drzwi.

Zimne wieczorne powietrze dostało się wraz z nami do środka i utworzyło wokół kilka białych obłoczków. W pomieszczeniu śmierdziało nikotyną. Dym pochodził z papierosa zwieszzonego z ust rudego faceta za ladą. Papierosy stanowiły luksus, na który tylko nieliczni mogli sobie pozwolić. Zaczęłam się zastanawiać, czy ten człowiek też należy do ruchu oporu.

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie, Sean sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów bez filtra firmy Horizons, po czym położył ją na blacie. Rude brwi mężczyzny uniosły się, a na jego twarzy zakwitło zadowolenie. Przechylił nieznacznie głowę, co było wystarczającym zapewnieniem, że nie zamierza zadawać żadnych pytań. Bez słowa ruszyliśmy po poplamionej czerwonej wykładzinie.

Na wprost schodów leżał jakiś facet w łachmanach. Długie dredy spływały mu po ramionach niczym martwe węże. Oczy miał przysłonięte ciężkimi powiekami. Na nasz widok podniósł się niezdarnie i obrzucił wszystkich podejrzliwym spojrzeniem. Wyczuwałam od niego woń potu i alkoholu.

Obeszłam go i weszłam na schody, na których Sean się zatrzymał.

– To tutaj spotkamy kuriera?

Sean pokręcił przecząco głową.

Chwilę później pijak z korytarza wślizgnął się do środka tuż za nami,

prostując się całkowicie w momencie, w którym zamknęły się drzwi. Gdy się zbliżył, zobaczyłam, że wcale nie jest pijany. Patrzył zbyt przytomnie, a jego ruchy były precyzyjne.

– Wallace wie, że idziesz z nimi? – zapytał Seana szorstko.

– Jasne – odparł Sean, po czym spojrzał na Chase’a z ukosa. – On teraz obszuka twoją dziewczynę, więc jeśli to możliwe, postaraj się nie sprać go na kwaśne jabłko.

Poczułam, jak na policzki wypływa mi rumieniec, ale nikt, nawet Chase, chyba tego nie zauważył.

Kimkolwiek był Wallace, z pewnością nie mógł wiedzieć, że przyszliśmy – w końcu moja obecność na placu zaskoczyła Seana. Nie chciałam kłamać na zupełnie mi obcy temat, dlatego się nie odezwałam.

Ochroniarz obmacał najpierw Chase’a, potem mnie. Zrobił to szybko i sprawnie, ale i tak poczułam się napastowana, kiedy zaczął dotykać mnie po nogach i w talii. Gdy sięgnął mi do kieszeni i wyjął sześciocalowy nóż Chase’a, odskoczyłam gwałtownie.

– Możesz go później odebrać, jeśli Wallace pozwoli – wyjaśnił. Przeszukał plecak i wyciągnął z niego pałkę oraz radio SO. – To też – dodał, po czym wepchnął wszystko do płaszcza i wrócił do korytarza, żeby pełnić straż.

– Kim jest Wallace? – zapytałam, kiedy ruszyliśmy w górę metalowych schodów. Z każdym naszym krokiem słychać było ich dźwięk.

– To szef tutejszej operacji. I – uprzedzając twoje pytanie – nie, on nie jest kurierem. Tamten nazywa się Tubman, ale jest już za późno, żeby ciągnąć was dzisiaj przez miasto do jego punktu zbiórki.

– W takim razie gdzie się teraz znajdujemy? – zapytałam, rozczarowana i rozdrażniona.

Sean popchnął drzwi i wszedł na korytarz czwartego piętra. Światła były zgaszone i w mrocznym holu poczułam się nieco klaustrofobicznie. Przed jednymi ze zdartych drewnianych drzwi siedziała para, mężczyzna i kobieta

w zniszczonych ciuchach, i grała w karty. Na nasz widok oboje gwałtownie się podnieśli.

– W siedzibie ruchu oporu – odparł Sean.

* * *

– Kim jesteście? – zapytał mężczyzna, taksując nas wzrokiem.

Nie był dużo wyższy ode mnie, ale miał budowę potężnego pnia. Nawet jego głowa miała kształt puszkki. Był chyba pod wrażeniem wyglądu Chase'a, jednak na mnie popatrzył krzywo. Pewnie sądził, że Chase bardziej się przyda ruchowi oporu, a to założenie tylko mnie zirytowało.

– Znam ją z zakładu dla dziewczyn – odparł Sean. – To Miller, a on nazywa się...

– Jennings – dokończyła za niego dziewczyna.

Długie czarne włosy związała z tyłu w kitkę. Widać było, że to nie jest jej naturalny kolor, bo brwi miała niemal przezroczyste, a skórę bardzo jasną. Byłam ciekawa, skąd wzięła farbę. Tego typu rzeczy zaliczano do kontrabandy. SO uważała, że są n i e p r z y z w o i t e.

– Codziennie śledziłyśmy wiadomości na wasz temat – wyjaśniła dziewczyna, a ja otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia.

A więc ludzie wiedzieli, kim jesteśmy, wystarczyło podać nazwisko. To nie wróżyło nic dobrego. Skoro oni nas znali, to SO musiała nadal śledzić nasze poczynania. Czekala, aż powinie nam się noga.

Po neutralnym tonie jej głosu nie byłam w stanie stwierdzić, czy jest przeciwna naszej obecności, czy nie.

– Nie zrezygnowali z poszukiwań – facet odezwał się z rozdrażnieniem. – Znasz zasady, Banks.

– I znam też wyjątki. Miller ma informacje.

Dla n i e g o. Informacje dla Seana. O Rebecce. O niczym więcej nie miałam pojęcia. Pozostawała mi nadzieja, że Sean nie wpakuje mnie w kłopoty.

Puszkogłowy spojrział na mnie przez zmrużone oczy.

– Nie wątpię – powiedział.

Chase się poruszył.

– Biorę za nich odpowiedzialność. – Sean popatrzył na Chase’a surowo, jakby mówił: „Nie każ mi żałować tego, co robisz”, po czym zapukał dwa razy do strzeżonych przez parę drzwi.

– O co mu chodzi? – zapytałam Seana szeptem.

– Parę dni temu w punkcie w Harrisonburg został zamordowany kurier. Znalezione dowody wskazują na to, że w zabójstwo jest zamieszana kobieta.

– Jakie dowody? – zapytałam pospiesznie.

Stojący obok mnie Chase znieruchomiał.

– Chyba ślady butów.

Zmusiłam się do oddychania.

Kiedy Chase wyciągał mnie na zewnątrz, poślizgnęłam się na czymś. Na czymś mokrym. Na krwi. Moje ślady prowadziły do drzwi. Ogarnęło mnie pragnienie, by natychmiast zedrzeć sobie buty z nóg.

– Riggins pewnie sądzi, że to ty. – Sean nie próbował ukrywać tematu naszej rozmowy.

– Ale to nie ja! – odparłam z przerażeniem, odwracając się do puszkogłowego.

Ten wydawał się niespeszony, ale i nieprzekonany.

Zacisnęłam dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie. Robiło się coraz niebezpieczniej. Ludzie rozpoznawali nasze nazwiska. Łączono mnie z morderstwem. A teraz ukrywaliśmy się przed dużą grupą ruchu oporu. Nadzieja i modlitwa – tylko to mogło nam pomóc w dotarciu cało i zdrowo do kryjówki.

Mój wzrok poszybował w stronę Chase’a. Wyglądał jak wilk przygotowujący się do ataku. Czułam, jak bije od niego energia, i wiedziałam, że jest gotów na wszystko.

Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem, a potem otworzyły szeroko, bo Sean został rozpoznany.

Weszliśmy do wąskiego pomieszczenia, w którym czuć było stęchlizną. Na nagich ścianach widniała pożółkła farba, a z tyłu stało kilka skrzyń jedzenia i około trzydziestu kartonów oznaczonych rozmiarami: M, L, XL. Mundury. S k r a d z i o n e mundury.

Pod boczną ścianą zobaczyłam szarą wełnianą sofę, jedyny mebel w całym pomieszczeniu. Drzwi oznaczono jaskrawoczerwonymi kółkami. Na nasz widok z sofy podniósł się mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat. Miał wąsy oraz długie przetłuszczone włosy, zbyt siwe jak na młodą twarz.

Jego towarzysz pilnujący drzwi był znacznie młodszy: mógł mieć czternaście albo piętnaście lat. Jasnozielone oczy częściowo przysłaniała mu grzywka w mysim kolorze. W ręku trzymał strzelbę – opuszczoną, ale nadal śmiercionośną.

– Kim oni są? – zapytał mężczyzna o przyprószonych siwizną włosach.

– To dziewczyna, którą poznałem podczas pełnienia służby. Odszukała mnie – skłamał Sean. – Potrzebne im schronienie.

– Potrzebne...

– A zanim wpadniesz w szal, Wallace, chciałbym ci przypomnieć, że jestem tutaj tylko dlatego...

– Narażasz całą operację dla jednej dziewczyny? – wybuchnął Wallace. – Do cholery, Banks, to nie jest zabawa!

Byłam rozdrażniona, zmęczona, głodna i bliska rozpacz. Z jednej strony rozumiałam konieczność zachowania ostrożności, z drugiej czułam wściekłość, że ten facet traktuje nas jak dzieci, które uciekły opiekunce.

– Czy sprawiamy wrażenie, jakbyśmy się dobrze bawili? – zapytałam gorączkowo.

Na ramieniu poczułam dłoń Chase'a. Tamten chłopak nadal trzymał w ręku broń. Atmosfera zrobiła się gorąca.

– Mamy tu stosowne procedury inicjacji – Wallace zwrócił się do mnie.

W porywie nagłej wściekłości, zupełnie bez namysłu, pokazałam odbarwione szramy na dłoniach.

– Doskonale znam procedury inicjacji – wyrzuciłam z siebie. – Może więc pominiemy wstęp i przejdziemy dalej?

Usta Wallace’a uniosły się w cynicznym uśmiešku, który chwilę później ustąpił wyrazowi zrozumienia.

– Rozumiem. I zapewniam, że to tylko środek ostrożności, nic więcej – odparł już spokojniej.

Sean odchrząknął.

– Wallace chce się upewnić, czy żaden rekrut nie przychodzi tu śledzony i czy nie pracuje dla FBN.

– Poświadczyłeś za nas – powiedziałam z uporem. – Sean może za mnie poręczyć. Nikt nas nie śledził i, do cholery, w życiu nie pracowałabym dla SO.

– Sean jest z nami zbyt krótko, żeby mógł przejąć za was odpowiedzialność – odparł Wallace bez emocji.

Sean zacisnął zęby.

– Czyli co, zamierzasz mnie wyrzucić?

Wallace jęknął.

– Może dzięki temu następna osoba by się dwa razy zastanowiła – powiedział i przez kilka sekund wpatrywał się we mnie i w Chase’a.

Najwyraźniej podjął decyzję i uznał, że im nie zagrażamy, bo ręką nakazał chłopakowi przy drzwiach, żeby opuścił broń. Westchnęłam głośno. Chase nie.

– Przepraszam za takie przyjęcie, ale jestem pewien, że rozumiecie, dlaczego nie rozsyłamy dookoła zaproszeń – powiedział i skinął głową w moją stronę. – Jestem Wallace. Tam jest Billy. A wy?

Kiedy nas przedstawiłam, Wallace od razu zmienił wyraz twarzy.

– Jennings. Interesujące. Już dawno nie mieliśmy u siebie celebrytów – powiedział, ale jego zainteresowanie szybko zgasło. – Rozumiem, że Sean nie podkreślił, jak ważna jest dyskrecja?

– Nikomu nic nie powiemy – obiecałam.

– O n na pewno nie – odparł Wallace, patrząc na Chase’a.

Miał rację. Chase, co do niego niepodobne, dziwnie milczał. Z natury nie był gadatliwy, ale zwykle nie wpadał w tak posępny nastrój. Coś mu ciążyło, wyczuwałam to.

– Przypuszczam, że szukacie u nas pracy – powiedział Wallace.

Chase zeszywniał, aż się zaczęłam zastanawiać, co sobie pomyślał. Logiczne byłoby, gdyby chciał przystąpić do ruchu oporu. W ten sposób mógłby zemścić się na SO za wszystko, co mu zabrali.

Poczułam w sobie podobne pragnienie, ale zdusiłam je w zarodku. Nie mogłam planować niczego ponad odnalezienie mamy. Wszystko po kolei.

– Szukamy pana Tubmana – powiedziałam, bo Chase się nie odezwał.

Jego milczenie zaczęło być dla mnie niezręczne. Najwyraźniej ruch oporu kusił go bardziej, niż sądziłam. Gdyby się teraz przyłączył, zapewne już nie towarzyszyłby mi do końca podróży. Przystąpiłam z nogi na nogę, zdenerwowana możliwością szybkiego rozstania.

– Kryjówka. – Wallace cmoknął. – Szkoda waszych talentów – dodał, zwracając się do nas obojga.

Nie miałam pojęcia, jakie moje talenty może mieć na myśli, ale po chwili zrozumiałam, że zapewne relacje radiowe przedstawiły mnie jako osobę zdecydowanie sprytniejszą, niż w istocie byłam. Na pewno podkreślono, że uciekłam z zakładu, od SO. Że poradziliśmy sobie ze złodziejami w Hagerstown i ukradliśmy kilka samochodów. Oczywiście, wszystko to była prawda, tylko w rzeczywistości wyglądało to znacznie mniej imponująco.

– Niczego nie szkoda – odparł Chase twardo.

Poczułam się nieco pewniej, wiedząc, że nadal trzymamy się właściwego wyboru. Mieliśmy coś jeszcze powiedzieć, kiedy na zewnątrz dało się słyszeć jakieś zamieszanie i po chwili do środka wpadło trzech mężczyzn. Dwóch z nich musiało być braćmi. Jeden miał około trzydziestu lat, drugi wydawał się starszy. Mieli ciemne włosy i ciemne oczy, ale młodszemu niedawno ktoś

złamał nos, a pod prawym okiem starszego zakwitł świeży siniak. Trzeci miał kręcone rude włosy i był mniej więcej w wieku Chase'a. Jego policzek pokrywała skorupa zaschniętej krwi. Nie poznawałam ich, ale wiedziałam, że to na pewno pozostali żołnierze z placu, bo mieli takie same worki na śmieci jak Sean, wypakowane mundurami.

W pomieszczeniu wybuchł nagle chór głosów. Wszyscy próbowali powiedzieć coś jednocześnie.

– Wyprowadź ich stąd, Banks. A potem wróć po sprawozdanie – zarządził Wallace. – Jutro osobiście dostarczysz ich Tubmanowi.

Wolałabym zostać z nimi, ale cieszyłam się, że Wallace wyraził zgodę na nasze spotkanie z kurierem.

Sean wyprowadził nas na korytarz i skręcił w przeciwną stronę niż schody. Zza kilkorga drzwi wyłoniły się głowy osób zainteresowanych tym, co wydarzyło się na placu. Nie bez zdumienia zdałam sobie sprawę, że całe piętro jest pełne członków podziemia.

Weszliśmy do małego pokoju znacznie bardziej zagraconego niż pomieszczenie Wallace'a. W kącie stał nadjedzony przez mole aksamitny fotel, a tuż obok niego leżał goły dwuosobowy materac. Na niewielkim stoliku nocnym znajdowały się pudełka z płatkami śniadaniowymi i butelkowana woda Horizons.

– Ten pokój należy do kogoś? – zapytałam, zerkając tęsknie na płatki. Nie jadłam niczego od naszego porannego postoju we wschodniej części Kentucky i umierałam z głodu.

– Należał – odparł Sean ponuro. Posmutniałam na myśl, że poprzedni lokator albo został złapany, albo zginął. – Mów, Miller. I to szybko.

Pospiesznie opowiedziałam mu wszystko, co wiedziałam, zaczynając od nocy, podczas której ich zaszantażowałam, a kończąc na moim uprowadzeniu z kabiny. Bałam się spojrzeć na Chase'a. Nie, żeby on sam nie zrobił nigdy nic złego, ale... skrzywdziłam dwoje ludzi i ta tajemnica paliła mnie od środka. Czułam wstyd większy niż kiedykolwiek.

Kiedy mówiłam, Chase zaczął krążyć po pokoju jak zwierzę uwięzione w klatce. Otworzył okno, za którym widniały żeliwne schody przeciwpożarowe. Ten widok nieco go uspokoił, ale nadal milczał. Ciężła mi jego opinia. Być może zasłużyłam sobie na nią.

– Coś jej się stało? – Sean odwrócił głowę. Był załamany.

– Nie wiem – odparłam i zamknęłam oczy.

Pamiętałam trzask pałki spadającej na jej drobne ciało. Tak, coś jej się stało. Jednak gorączkowy błysk w oczach Seana powstrzymał mnie przed zdradzeniem prawdy. Byłoby okrutne z mojej strony, gdybym mu to powiedziała, wiedząc, że nic nie może zrobić.

– I nigdy nie doniosłaś Brock na Rebeke? – Nadal wydawał się podejrzliwy.

– Nie. Rebeka była... – zaczęłam i przerwałam. – Rebeka była moją przyjaciółką. Może nie od razu i pewnie ona teraz uważa inaczej. Ale zawsze będę ją pamiętać. Wiem, że nie ma to już znaczenia, ale żałuję, że to wszystko nie skończyło się inaczej.

Sean milczał przez chwilę.

– Jak się dowiedziałeś, że ona tu jest? – zapytał w końcu Chase.

Zastanawiałam się, czy powodowała nim czysta ciekawość, czy może jakiś inny powód zmusił go do przerywania milczenia.

Sean wyjaśnił nam szybko, że został zwolniony z bazy w Cincinnati, dokąd wysłano go po incydencie w zakładzie poprawczym, i poznał Billy'ego i Rigginsa, którzy przyjechali tam werbować zagubionych żołnierzy do ruchu oporu. Billy miał także inne zdolności: potrafił włamywać się do wozów SO i pozyskiwać z ich urządzeń skanujących listy więźniów. W ten sposób Sean dowiedział się o tym, że Rebeka została przeniesiona.

Przypomniałam sobie skaner, którego użyli żołnierze z patrolu na drodze. Miniaturowy komputer. Wychodziło na to, że Billy jest bardzo sprytny.

Ponieważ Sean nie potrafiłby włamać się do bazy, nie tracąc przy tym życia, uznał, że będzie pracował dla podziemia, dopóki Billy nie dowie się

czegoś więcej o Rebecce.

Sean nie zdążył powiedzieć nam niczego więcej, bo Wallace zawołał go z holu.

– Jutro zaprowadzę was do kuriera – oznajmił.

– Sean, poczekaj – odezwałam się, kiedy wychodził. – Ja... przykro mi bardzo.

Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie zmęczonym wzrokiem. W jego oczach nie było już ani nienawiści, ani nieufności. Nie winił mnie za to, co się stało. Nie wiedzieć czemu, było to dla mnie jeszcze gorsze.

– To nie nam, Miller, tylko FBN. To im powinno być przykro.

* * *

Po pewnym czasie podeszłam do okna. Chłodne powietrze podziałało na mnie kojąco. Było już ciemno, a pomiędzy prętami schodów przeciwpożarowych widać było reflektory pełzające po odległych skrzyżowaniach. Na mojej skórze pojawiła się gęsia skórka. Zapadła już godzina policyjna. Straż Obyczajowa była na dole. Dookoła. Wszędzie.

„To im powinno być przykro” – powiedział Sean.

Miał rację. Zabrali Reбекę, zabrali moją mamę. I niemal złamali Chase’a. Teraz już nigdy nie będziemy mogli wrócić do domu, czeka nas wieczne ukrywanie się.

Próbowałam myśleć o czymś innym, ale mój umysł bombardowały obrazy minionego dnia. Tłumy głodujących ludzi. Martwy człowiek przy generatorze prądu. Sean – kiedy jeszcze nie wiedziałam, że to on – wyciągający mnie z tłumu. I ta myśl, że Chase’owi może się jeszcze udać, nawet jeśli ja zostanę złapana.

Był silniejszy. Miał naturę wojownika. Potrafiłby przeżyć w tym świecie.

– Potrzebny nam nowy plan. Nowe zasady – zaczęłam z nadzieją, że mój głos brzmi mocno.

Chase nasłuchiwał, co dzieje się w korytarzu, ale na dźwięk mojego głosu odsunął się od drzwi i czekał na dalszy ciąg. Liczyłam na to, że nie będzie

niczego utrudniał, już i tak było mi wyjątkowo ciężko przyznać się do tego wszystkiego, co właśnie zamierzałam powiedzieć.

– Jeżeli SO znajdzie jedno z nas, drugie musi iść dalej. Musi dotrzeć do kryjówki, znaleźć moją mamę i upewnić się, czy wszystko z nią w porządku.

Moje słowa były pozbawione wyrazu. Chase milczał.

– Nie możesz mnie szukać, jeśli zostanę aresztowana, rozumiesz?

Nadal cisza.

– Chase! – Uderzyłam pięścią w parapet, aż szyba zadrżała. – Czy ty mnie słuchasz?

– Tak. – Stanął tuż za mną.

Odwróciłam się gwałtownie.

– Tak? Zrobisz, co mówię? – Wiedziałam, że powinnam czuć ulgę, a jednak było inaczej.

– Tak, słucham. Nie, nie zrobię tego.

Po plecach przeszedł mi ten sam lodowaty dreszcz, który czułam wcześniej, tam na placu. Strach, że moja mama będzie zdana tylko na siebie. Lęk, że Chase zostanie złapany i skazany na śmierć. Do oczu napłynęły mi łzy, nie było sensu próbować z nimi walczyć.

– Dlaczego? A co, jeśli mi się coś stanie...

– Nic ci się nie stanie! – zawołał i chwycił mnie za łokcie, zmuszając do tego, bym stanęła na palcach. W jego oczach płonął gniew, taki, który wzbierał w nim jedynie wtedy, gdy się bał.

„Skąd ja to wiem?” – przemknęło mi przez myśl. Jakim cudem czytam w jego emocjach, skoro ledwo rozpoznaję własne?

– A jeśli jednak? – odparowałam. – Mogę zginąć jak Katelyn Meadows! Mogę umrzeć z głodu jak ten człowiek na placu! Mogę zostać zabrana przez SO, zastrzelona...

– PRZESTAŃ! – krzyknął.

Otworzyłam szeroko usta. Chase oddychał nierówno, a w ciemnym

pomieszczeniu błyszczała jego pobladła twarz. Próbował zapanować nad sobą, ale udało mu się to tylko połowicznie.

– Ember, przysięgam na całe moje życie, że nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało.

Opadłam mu w ramiona, zanosząc się płaczem. Bałam się. Bałam się, bo nie chciałam umierać. Nie mogłam zginąć, bo nie zabezpieczyłam przyszłości mamy ani Chase’a. Osób, które kochałam.

Nigdy wcześniej tak przy nim nie płakałam. Puściło wszystko to, co do tej pory wstrzymywałam. Utrata mamy. Tęsknota za przyjaciółmi. Krzywda, jaką wyrzudiłam Seanowi i Rebecce. Kurier z Rudy Lane błagający o ocalenie życia. Ten człowiek na placu. Chase przyciągnął mnie mocno do siebie, osłaniając swoim ciałem przed strachami, które atakowały nas oboje.

– Dlaczego poszedłeś za mną? – szlochałam. – Gdyby Sean był prawdziwym żołnierzem, mógłbyś zginąć.

– To dla mnie nieważne.

– Ale dla mnie ważne!

– Nie zostawię cię.

Odsunęłam się. Nie chciał mnie wypuścić z objęć.

– A czy właśnie tego nie robisz? Nie zostawiasz mnie? Gdy tylko znajdziemy się w kryjówce?

Otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

– Ja... zamierzałem tobie pozostawić tę decyzję.

Co to niby miało znaczyć? Miałam wyrzucić go z bezpiecznego schronienia tylko dlatego, że nie chciałam go widzieć? Jakbyśmy wcale nie żyli osobno przez większość naszego życia? Jakie miałam prawo do takiej decyzji? Nie, to wcale nie o to chodziło. Zrzucił na mnie ten wybór, bo łatwiej by mu było, gdybym to ja go odrzuciła. Nie raniły wtedy moich uczuć. Mógłby wrócić tu i przyłączyć się do ruchu oporu.

– Zostaw mnie – powiedziałam drżącym głosem. Próbowалам oddychać,

ale płuca miałam dziwnie ściśnięte. – Wiem, że chcesz dotrzymać obietnicy, więc proszę bardzo. Chroń mnie. Ale kiedy już się znajdziemy na miejscu, twoje zobowiązanie wygaśnie. Nic mi nie jesteś winien. Przeżyłam już raz to, że odszedłeś, Chase, przeżyję i drugi.

Patrzył na mnie wstrząśnięty. Sama nie wierzyłam, że to wszystko powiedziałam.

– Jestem zmęczona – dodałam. – Tutaj dosyć ludzi stoi na warcie. – Otworzyłam drzwi, starając się mimo wszystko unieść podbródek. – Chcę zostać sama, tak będzie lepiej.

– Nie dla mnie.

Zanim zdołałam się odwrócić, położył dłoń na mojej i cicho zamknął drzwi. Byłam świadoma każdego jego ruchu, każdego drgnięcia. Napięcia mięśni. Zmiany tempa oddechu. Dotyku jego ciepłych palców na mojej ręce. I tak samo wyczuwałam zmiany w sobie. Mrowienie skóry. Wątpliwości, które ciążyły mi jak głaz.

– Nie jest mi dobrze – powiedział. – Bez ciebie.

Poczułam się, jakbym właśnie nie zauważyła stopnia, schodząc w dół po schodach. To, co mówił, nie miało sensu, ale dotknęły mnie emocje płynące z jego słów.

– Nie baw się mną, Chase. To nie jest śmieszne.

– Nie jest – zgodził się.

– Co powiedziałaś?

Położył rękę na gardle, jak gdyby chciał powstrzymać wychodzące słowa, jednak i tak wydostały się na powierzchnię.

– Jesteś domem. Dla mnie.

Moja pierwsza myśl była reakcją obronną. „Wycofa się z tego, co powiedział”. Tak samo jak u Loftonów. Jak potem w lesie. Chciałam, żeby przestał, żeby później nie bolało, ale nie byłam w stanie mu tego przekazać. Tak bardzo pragnęłam, żeby to była prawda.

Usiadłam na łóżku.

– Przypominam ci dom – doprecyzowałam, czując, jak wracają wspomnienia z dalekiej przeszłości.

Uklęknął przede mną.

– Nie. Ty j e s t e ś moim domem.

Byłam zbyt zaskoczona, żeby się odezwać.

Pomyślałam o domu, o tym, co dla mnie znaczył. Bezpieczeństwo i miłość. Szczęście. Mogłam się tylko domyślać, co to może znaczyć dla kogoś takiego jak Chase, który od czasu śmierci rodziców nie miał żadnego punktu zaczepienia, żadnej stabilizacji.

I to wszystko teraz, kiedy wiedział już, co zrobiłam Seanowi i Rebecce.

Przyglądał mi się, próbując odczytać reakcję na jego słowa. Pragnęłam mu powiedzieć, jak bardzo jestem poruszona, ale żadne zdanie nie oddałoby moich uczuć.

Ostrożnie sięgnęłam po jego rękę, a kiedy podał mi ją bez wahania, położyłam ją sobie na policzku. Widziałam, że ciężko przełyka ślinę, że jego wielkie, wilczobrazowe oczy ciemnieją, jak to miało miejsce zawsze, gdy ogarniały go głębokie emocje. Przysunął się do mnie bliżej.

– Myśl o mnie – szepnął, a potem jego wargi dotknęły moich.

Pocałunek był taki delikatny. Przywracał we mnie wspomnienia tego, co czułam, gdy wyobrażałam sobie jego dotyk przed rokiem. Gdy był tylko duchem przypominającym mi o mojej samotności. Potrzebowałam tego. Pragnęłam, żeby był tu ze mną całym sobą, a nie jakimś bladym echem przeszłości.

Przyciągnęłam go do siebie. Wyczuwając zaproszenie, pogłębił pocałunek, aż przez całe moje ciało przeszedł prąd. A potem jego dłonie powędrowały do moich ramion i w dół pleców, pozostawiając za sobą falę gorąca.

– To byłeś ty – powiedziałam cicho. – To o tobie zawsze myślę.

Intensywność jego spojrzenia pozbawiła mnie tchu.

Czułam go, czułam każdy jego fragment. Jego dusza stanowiła jedność

z moją. Jego rozgrzana krew płynęła moimi żyłami. Sądziłam, że byłyśmy z mamą blisko, i nie mijałam się z prawdą, ale to nie była taka bliskość. Chase i ja niemal w ogóle się nie dotykaliśmy – nie licząc dłoni, ust i kolan – ale nie istniała żadna cząstka mojego ciała, która by do niego nie należała.

Nie byłam w stanie się odezwać, ale gdybym potrafiła, powiedziałabym mu, jak bardzo za nim tęskniłam. Powiedziałabym, że akceptuję to, kim się stał, razem z jego poczuciem winy i lękami. Obiecałabym, że będę przy nim, gdy będzie wracał do siebie.

– Dziękuję – szepnął.

Czyżby słyszał moje myśli? Nie wydawało mi się to wcale takie pozbawione sensu. Ale bez względu na to, czym się kierował, dziękując mi, byłam mu wdzięczna.

Tulił mnie do siebie, nasz puls zwolnił i stał się jednym pojedynczym biciem serca. W moim umyśle zapanowała kompletna, błoga cisza.

* * *

Obudziły mnie jakieś głosy. Nie miałam pojęcia, jak długo spałam, ale leżałam na śpiworze sama.

Czyżby to, co się wydarzyło, było tylko snem? W ostatnich dniach wszystko wydawało się takie surrealistyczne... Wyznanie Chase'a doskonale wpisywało się w ten nurt. Ale moje usta pamiętały dotyk jego warg, a moje serce czuło ból w związku z jego nieobecnością.

Usiadłam na materacu, włożyłam buty i wyszłam z pokoju. Korytarz był pusty i kiepsko oświetlony, a dźwięki dochodziły z pokoju Wallace'a, więc zakradłam się w tamtą stronę. Zza drzwi słychać było dość cichy męski głos.

– Jesteś pewien, że nie zmienisz zdania?

– Nie teraz – usłyszałam odpowiedź Chase'a. – Może kiedyś.

Zajrzałam do środka. Chase opierał się o blat przy kuchence, a Billy, Wallace i Sean stali naprzeciwko.

Wzrok Chase'a napotkał mój i przez chwilę cały świat dookoła zadrżał. Wiedziałam już, że to, co się między nami wydarzyło, wcale nie było snem.

Było prawdziwe, a on też czuł to samo. Pokryłam się rumieńcem.

Chase podszedł do mnie, tym samym kończąc rozmowę. Wyciągnął rękę, a ja ją wzięłam. Nie byłam w stanie ukryć nieśmiałego uśmiechu, jaki zakwitł mi na twarzy na widok tego gestu.

– Chwilę. – Wallace wyszczerzył zęby i zanim powiedział cokolwiek więcej, wiedziałam już, do czego zmierza. – Ciebie też chętnie byśmy widzieli w naszej rodzinie, Miller.

W tej samej chwili przypomniałam sobie kredo Straży Obyczajowej, wymalowane na wozie, który zabrał moją mamę. A potem na ścianie domu przy Rudy Lane i ciężarówce w Hinton. *Jeden wielki kraj, jedna wielka rodzina.* Wallace wierzył, że można sobie wybrać rodzinę. Że jeśli wszystkie przybrane dzieci tego kraju złączą się, mogą stanowić jedną całość.

Na zewnątrz zagrzmiało, a potem deszcz zaczął walić w zasłonięte okna. Sean zapalił jeszcze jedną świecę i postawił ją na blacie obok nas.

– Mówiłem ci, Wallace, że nie – powiedział Chase. Czułam, jak się spiął.

Miał rację. Nie mogłam przyłączyć się do ruchu oporu, przynajmniej nie teraz. Ale nie podobało mi się, że Chase odpowiada za mnie. Uniosłam brwi. O czym oni wcześniej rozmawiali? Chase nie odzywał się do tych ludzi, kiedy przyszliśmy, a teraz, kiedy spałam, nagle odbyli tajemniczą konferencję? Zaczęłam się prostować, próbując zwabić wzrok Chase'a. Ten jednak przyglądał się Wallace'owi.

– Dlaczego cię aresztowali? – zapytał mnie Wallace.

W jego głosie pobrzmiwało zainteresowanie, ale wiedziałam, że pyta, by mi coś udowodnić. Chciał wykorzystać moje niesprawiedliwe aresztowanie – miało mi dać powód do walki.

– To nieważne – odpowiedział za mnie Chase.

– Paragraf piąty – odezwał się Sean. – Połowa dziewczyn w zakładzie za to siedzi.

– Idziemy – rzucił Chase gwałtownie.

Dlaczego próbował mnie chronić? Przecież to nie miało sensu.

– To wszystko jest chore, właśnie dlatego uciekłem. Tego typu sprawy o tym zaważyły. – Wallace podrapał się po ramieniu, a ja dojrzałam, że spod jego długiego rękawa wychodzi jakiś drut.

– Uciekłeś z SO, ponieważ wysyłają dziewczyny do zakładu poprawczego? – zapytałam powoli. Było to dla mnie dziwne.

Atmosfera w pokoju zmieniła się nagle. Zapanowała w nim powaga, napięcie.

Chase próbował wyciągnąć mnie na korytarz.

– Zaczekaj – powiedziałam.

Deszcz lał teraz głośnymi falami.

– Uciekł z powodu egzekucji – wyjaśnił usłużnie Billy.

Przypomniałam sobie kuriera w Harrisonburg. Wiedziałam, do czego zdolna jest SO. Cała krew odpłynęła mi nagle z twarzy.

– Czyjej?

– Zamknij się – Chase polecił Billy’emu ostro.

– Tych, którzy nie przestrzegają paragrafów – odparł Billy buntowniczo.

Serce przestało mi bić.

– Wystarczy, Billy! – warknął Wallace i obrzucił Chase’a twardym, krytycznym spojrzeniem.

– Nie wiesz? – zapytał mnie Sean, a potem jego wzrok także powędrował w stronę Chase’a. – Myślałem, że jej powiedziałaś.

– Ani słowa więcej – ostrzegł go Chase. Trzymał mnie teraz mocno za ramię i ciągnął do wyjścia.

– Przestań! – krzyknęłam. – Czy ktoś mi powie, o co chodzi?

Deszcze. Fale deszczu. Uderzające w budynek motelu.

– Osoby oskarżone o nieprzestrzeganie paragrafów i dezertery. Tak jak Billy powiedział, dokonuje się na nich egzekucji – powiedział cicho Sean. Chase zrobił krok do tyłu. – Ona ma prawo wiedzieć – dodał Sean.

– Chcą przeprowadzić egzekucję na mnie? – zapytałam słabym głosem.

– Nie na tobie – wyjaśnił Billy. – Na oskarżonych. Na twojej mamie.

ROZDZIAŁ 14

Miałam wrażenie, że pokój zaczął wirować. Chwyciłam się blatu, ledwie rejestrując to, że Billy i Wallace wyszli na korytarz.

– Ember – powiedział powoli Chase. Trzymał się jednak z dala.

– Dlaczego mieliby to zrobić? – zapytałam słabo, ale zadając pytanie, dobrze wiedziałam, że to całkiem możliwe. Byłam przecież w punkcie przy Rudy Lane w momencie, gdy żołnierze znaleźli kuriera.

– Bo nie pasujemy do nowego, moralnego państwa – powiedział Sean posępnie.

– Wiedziałaś – zaatakowałam go. – W zakładzie. Wiedziałaś, kiedy próbowałam uciec, i nic mi nie powiedziałaś.

Poruszył się nerwowo.

– Słyszałem plotki. Musisz mnie zrozumieć. Sądziłem, że powiesz Brock o mnie i o Rebecce. Uznałem, że jeśli nie będziesz miała powodu do ucieczki, nie będziesz też miała powodu, żeby dochować tajemnicy.

– Odejdź ode mnie.

– Ember... – Chase wymówił moje imię w taki sposób, jakby tulił ranne pisklę.

Wiedział od początku. Ukrył przede mną prawdę. Dlaczego?

– Musimy iść. – Wyminęłam go i pobiegłam do naszego pokoju. Ludzie stojący na korytarzu obserwowali moje poczynania, ale ledwo ich zauważałam. Ogarnął mnie tak paraliżujący strach, że z trudem przełykałam ślinę. Kolana miałam jak z waty, ale przecież musiałam być silna. Tak, teraz musiałam być wyjątkowo silna.

Zarzuciłam plecak na ramię zbyt szybkim ruchem i musiałam się przytrzymać ściany, żeby nie upaść.

– Cholera, Ember. Zaczekaj! – Chase próbował zdjąć ze mnie plecak. W świetle rzucanym przez świeczkę jego twarz wydawała się upiornie blada.

– Nie. Idziemy. Nie mamy czasu! – wrzasnęłam. – Co jest z tobą?
Musimy iść!

– Ember, zdejmij plecak.

– Chase! Mamie grozi niebezpieczeństwo! Pewnie w tej chwili już jej szukają! Musimy ją znaleźć! – Z moich oczu trysnęły gorące łzy, łzy przerażenia i zagubienia. Nie byłam na niego wściekła, zbyt się bałam, by móc się złościć.

– Nie możemy iść, nie teraz.

– Ona jest przestraszona, znam ją. Nikt się nią tak nie zaopiekuje jak ja!

Odsunął się do ściany. Oczy miał wielkie, szklane i tak samo przerażone jak moje. Przez moment sądziłam, że wreszcie zrozumiał. Myliłam się.

– Ember, tak mi przykro.

– To niech ci nie będzie. Po prostu chodźmy!

– Ember! – Chase uderzył się w nogę. Zrobił to tak mocno, że zamarłam.

– Ona nie żyje.

„Jak można powiedzieć coś tak strasznego” – to była moja pierwsza myśl. „Jak można być tak okrutnym, żeby powiedzieć coś tak potwornego”.

Plecak zaczął mi nagle ciążyć, miałam wrażenie, że pod jego ciężarem przechyliłam się do tyłu.

– Co? – Mój głos brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka.

Chase zakrył usta dłońmi, jakby chciał ogrzać je swoim oddechem.

– Przykro mi, Em. Nie żyje.

– Nie nazywaj mnie tak! – warknęłam. – Dlaczego mówisz mi coś takiego?

– Twoja mama nie żyje.

– Przestań! – wrzasnęłam. Łzy pociekły mi wartkim strumieniem i ledwo mogłam oddychać.

– Przykro mi.

– Mylisz się. Mylisz się!

Pokręcił głową.

– Byłem przy tym – powiedział, a głos mu się załamał.

Musiałam przytrzymać się ściany.

– Bbbyłeś? O czym ty mówisz? Musimy iść. – Mojemu głosowi brakowało siły. I przekonania.

Jakimś cudem oboje znaleźliśmy się na podłodze. Chase przyciągnął mnie mocno do siebie, a ja byłem zbyt zszokowana, żeby się opierać.

– Sądziłem, że kiedy ci powiem, nie będziesz chciała ze mną jechać. Albo uciekniesz. Ember, wiem, że nie miałem racji. Przepraszam. Najpierw zamierzałem zabrać cię w bezpieczne miejsce, chciałem ci powiedzieć, jak tylko doprowadzę cię do kryjówki.

Nie oszukiwał. Udręka na jego twarzy mówiła wszystko.

Moja mama nie żyła.

Poczułam potworny ból w dwóch miejscach: z przodu głowy i w brzuchu, jakby wbijały się we mnie lodowate ostrza. Sztyletowały mnie tak długo, dopóki nie zaczęłam krwawić, dopóki moje ciało nie przestało żyć.

Słyszałam ją. Słyszałam jej głos. Ember. Wołała mnie po imieniu. Jak mogła być martwa, skoro słyszałam ją tak wyraźnie.

– Przykro mi – powtarzał w kółko. – Nie chciałem cię zranić. Ja tylko chciałem zabrać cię w bezpieczne miejsce. Tak mi przykro.

Znajdował się zbyt blisko. Osaczał mnie. Odepchnęłam go.

– Odejdź – jęknęłam.

– Co mam robić? – zapytał z rozpaczą. – Nie wiem, co mam robić.

– Co się stało z moją mamą?

Zawahał się. Nie chciał mi powiedzieć.

– Mów! Dlaczego wszyscy wszystko przede mną coś ukrywają? Mów!

– Ember, ona nie żyje. To ci powinno wystarczyć.

– Nie bądź tchórzem!

– Okej. Dobrze.

Uklęknął przede mną, składając ręce na brzuchu. Ramiona mu się trzęsły, a na skroni pojawiła się strużka potu.

– Walki mnie nie zmieniły, więc dowódca szukał czegoś innego. Tucker pokazał mu moje listy. Te, które pisałem do ciebie. Sądziłem, że zostały nadane, ale... on je gromadził. Dowiedzieli się, kim jesteś. I że nie skończyłem z tobą, tak jak miałem. Powiedzieli, że mam się zgodzić na wszystko albo... Jezu. Albo zrobią ci krzywdę. Więc poszliśmy na ugodę. Koniec walk, koniec z tobą, a oni mnie awansują, by pokazać innym, że system zawsze zwycięża. Zrobiłem wszystko, co kazali. Myślałem, że to wystarczy, że zostawią cię w spokoju. Jak się okazało, nie wystarczyło. To miał być ostateczny sprawdzian. Twoje aresztowanie. Wykorzystali ciebie, żeby mnie złamać. Zabraliśmy twoją mamę do bazy w Lexington – razem z innymi osobami z całego stanu, które nie przestrzegały paragrafu piątego. Została osadzona w celi. Dowódca oddziału – Bateman – był wkurzony tym, co się wydarzyło pod twoim domem. Wściekł się, że nie wykonałem rozkazu i nie zostałem w aucie. Powiedział, że wyłamuję się, że jestem porażką, a nie żołnierzem. Zgłosił to dowództwu.

Chase przerwał i pochylił się do przodu, jakby miał zacząć wymiotować.

– Dokończ – zażądałam. Jego głos ledwo do mnie docierał, zagłuszony moimi myślami.

– Stałem przed komisją dyscyplinarną, był tam też mój dowódca. Oznajmił, że przyszła pora wprowadzić w czyn to, do czego byłem szkolony. Powiedział, że jeszcze mogę zostać kapitanem. Że mógłbym się zrehabilitować... przeprowadzając egzekucję. Miałem zacząć od twojej mamy. Nie zgodziłem się. Powiedziałem, że jestem tylko kierowcą. Że przewożę transporty. Oświadczyłem, że może mnie wyrzucić. Może zwolnić mnie dyscyplinarnie.

Chase znów uderzył się w udo. Płakałam cicho.

– Kazał mi wypełnić rozkaz. Powiedział, że jeśli ja tego nie zrobię, zrobi to ktoś inny. Groził, że wyciągną cię z zakładu i spotka cię taki sam los. Nie wiedziałem, co robić. Zanim się zorientowałem, Tucker eskortował mnie do jej celi, a ja miałem w ręku broń.

Chciałam krzyczeć, żeby przestał, ale wiedziałam, że muszę usłyszeć to do końca. Musiałam wiedzieć, co się stało. Z oczu Chase'a płynęły łzy.

– Twoja mama. Jezu. Musiała wcześniej płakać, bo całą koszulę miała moką. Zobaczyła mnie, uśmiechnęła się i podbiegła do mnie. Chwyciła mnie za bluzę i powiedziała: „Dzięki Bogu, że tu jesteś, Chase”. A ja miałem ją zabić. Podniosłem pistolet, a ona wycofała się na krzesło. Usiadła i na mnie patrzyła. Tylko patrzyła. Przez chwilę sądziłem, że to zrobię. Że muszę. Ale nic się nie wydarzyło. Mój dowódca stał za nami. Powiedział, że mam pociągnąć za ten cholerny spust albo będę patrzył, jak mordują ciebie. Twoja mama to usłyszała. Chwyciła za moją broń, pochyliła się i kazała mi cię odnaleźć, gdziekolwiek jesteś, i się tobą zaopiekować. „Moja maleńka”, tak ciebie nazwała. I powiedziała, żebym się nie bał. O n a powiedziała m i, że mam się nie bać.

A potem do niej strzelił. I... to był koniec. Umarła obok mnie. Nawet nie wiem, co działo się później. Wylądowałem na tydzień w karcerze.

Cisza. Długa, dławiąca cisza.

Czułam, jak mózg mi paruje w gorączkowej próbie zrozumienia tego, co się stało, i jednoczesnym staraniu, by wymazać z pamięci ostatnie trzydzieści minut.

– Może gdybyś porozmawiał z dowódcą... Może gdybyś mu powiedział, że ona na to nie zasłużyła... – mój głos wydawał się taki wąły.

– To nie zrobiłoby różnicy.

– Nie wiesz tego! Nawet nie próbowałeś! Mogłeś porozmawiać z nimi i... i... mogłeś nie wracać do domu... na treningach mogłeś nie być taki... taki jak to ty! Mogłeś kazać nam uciekać!

Czułam się szalona, tak jak szalone były moje słowa.

– Wiem – powiedział i nic już nie dodał.

Lodowaty młot uderzał w moją czaszkę. Wiedziałam, że to prawda, chociaż nie chciałam wierzyć.

– Ona nie żyje. – Zdałam sobie z tego sprawę.

– Tak – skinął głową.

– Okłamałeś mnie. Pozwoliłeś mi wierzyć, że ona żyje. Że jest w bezpiecznej kryjówce! – wrzasnęłam nagle. Teraz pojawił się gniew. Pałace, pełne nienawiści, trujące mnie od środka uczucie.

– Wiem.

– Nie zamierzałeś w ogóle mi powiedzieć?

– Zamierzałem. Kiedy już będziemy daleko od tego. Nie chciałem tylko, żebyś dowiedziała się wszystkiego. Nikt nie powinien być zmuszony do wysłuchania całej tej historii.

– A więc ty możesz ją znieść, a ja nie? To m o j a mama, Chase!

– Nie chciałem powiedzieć, że ty sobie z tym nie poradzisz. Ja tylko... sam nie wiem. Nie chciałem, żebyś cierpiała.

– Wolałeś, żebym uwierzyła w kłamstwo, niż cierpiała? Kto, do cholery, pozwolił ci podejmować taką decyzję?

– Nie wiem. – Mówił szczerze. Naprawdę nie wiedział, co robi. Położył otwarte dłonie na kolanach, jakby błagał choćby o cień wskazówki, której mógłby się uchwycić.

Teraz spadałam. Byłam kulą śniegową toczącą się w dół zbocza. Wiedziałam, że na dole znajduje się ceglany mur, o który się rozbiję. Roztrzaskam na milion kawałków.

– Wiedziałeś od samego początku. Od dnia, w którym zabrałeś mnie z zakładu. Wiedziałeś, że ona nie żyje, widziałeś, jak umierała. I ukryłeś to przede mną.

– Tak.

Szybciej, spadałam coraz szybciej.

– Jak mogłeś?

Pokręcił tylko głową.

Żołądek mi się zaciskał.

„Nie, nic z tego nie jest realne”.

– Powiedziałeś... powiedziałeś to wszystko, a ja... ja ci uwierzyłam.

– Nie, Ember. To była prawda. – W jego głosie pojawiło się błaganie.

Pokręciłam głową. Prawda nie istniała.

– Kocham cię, Ember.

Te słowa przeszły mi na wylot. Wpatrywałam się w niego przez dłuższą chwilę, przerażona, bo zdałam sobie sprawę, że nigdy wcześniej mi tego nie mówił. Pomyślałam, że może jest wręcz przeciwnie. Może Chase tak naprawdę mnie *n i e n a w i d z i*. To dlatego tak mnie okłamywał. To dlatego mnie ranił. Jak można być tak okrutnym?

Oczy Chase'a były pełne tego, co kiedyś brałam za szczerość.

– Nie powinienem był teraz tego mówić. To dla ciebie za wiele. Zrzucam na ciebie zbyt wiele. Ale... Jezu, tak jest naprawdę. Ja...

– *N i e!* Ufałam ci, sądziłam, że to prawda, ale się myliłam. To wszystko kłamstwo! – Zrobiło mi się niedobrze, poczułam obrzydzenie do samej siebie. Miałam ochotę wypełznąć z własnej skóry i wyjść z tego brudnego pomieszczenia pełnego wstrętnej obłudy.

– To nie tak, przecież wiesz. Proszę cię. – Wyciągnął rękę w stronę mojej dłoni.

– Nie! – krzyknęłam. – Nie dotykaj mnie! Nawet nie próbuj mnie dotknąć, już nigdy w życiu!

Uderzyłam w ścianę. Mój świat właśnie się rozpadł, wszystko, w co wierzyłam, runęło w gruzach. Okazało się fałszem.

Nie byłam w stanie myśleć. Tylko pochyliłam się do przodu i uderzyłam go najmocniej, jak się dało. Ból rozszedł się promieniście po mojej ręce od miejsca, w którym moja dłoń zetknęła się z jego szczęką. Uderzyłam jeszcze raz. I jeszcze. Nawet nie próbował mnie powstrzymać. Położył tylko rękę pod moim łokciem, dodając mi siłę, żebym mogła uderzać mocniej.

Gdy nie byłam już w stanie wymierzyć ani jednego ciosu, zgięłam się wpół, czując mdłości. W niczym nie byłam lepsza od Roya, który bił moją mamę. Chciałam przemocą złagodzić swoje cierpienie. Pokazać Chase'owi, jak bardzo się myli. Kiedy zdałam sobie sprawę z podobieństwa do Roya,

rzeczywistość ukazała mi się w jeszcze ciemniejszych barwach.

– Okej, bij mnie. Zasłużyłem.

Jakby to miało w czymś pomóc. Jakby to mogło zmienić bieg wydarzeń.

– Już nie – jęknęłam.

Uniósł ręce.

– Ember, zrobię, co zechcesz. Tylko proszę, pozwól się odwieźć w bezpieczne miejsce. O to w tym wszystkim chodziło. Wiedziałem, że kiedy się dowiesz, nie będziesz chciała mieć ze mną nic wspólnego, a dopóki będziesz wierzyła, że twoja mama jest w Karolinie Południowej, pozwolisz mi się tam zawieźć. Powiedziałem ci na początku, że jeśli tylko zechcesz, mogę potem zniknąć na zawsze.

– Nigdzie z tobą nie jadę.

– Proszę. Tylko zawiozę cię w bezpieczne miejsce.

Wściekłe uderzenia bólu. Poczucie wszechogarniającej straty. Mama. Chase. Beth. Rebeka. Zaufanie. Miłość. Został tylko szkielet tego, co było kiedyś mną.

– Nie.

– Skoro nie chcesz posłuchać mnie, zrób to dla niej. Lori chciała, żebyś się trzymała jak najdalej od tego wszystkiego.

– Przestań! – krzyknęłam. Nie mogłam znieść, jak wypowiada jej imię.

Chase zwiesił głowę.

– Wszystko zepsułem. Od samego początku. Nic nie zrobiłem dobrze. W twojej kwestii. I twojej mamy. Ona tak bardzo cię kochała, Ember.

– To przez ciebie zginęła.

A, co gorsza, zginęła też przeze mnie. Bo gdybym nie kazała Chase'owi odejść, nie poszedłby do wojska. Nigdy nie wzięliby go sobie za cel. Nie wykorzystaliby nas, żeby go złamać. Jakimś okrutnym zrzędzeniem losu zabiłam własną matkę. Czułam tak ogromny wstyd, że nie byłam w stanie go wypowiedzieć.

Chase zakołysał się na piętach, a potem wstał. Wiedziałam, że go

zraniłam, i zrobiłam to celowo. Chciałam, żeby go zabolalo. Żeby bolało go tak bardzo jak mnie. Tylko czy to było możliwe?

– Tak – odparł krótko. – Zginęła przeze mnie.

Minęło kilka minut i w końcu wyszedł. Usłyszałam tylko, jak drzwi zamykają się za nim cicho.

* * *

Szlochałam przez długie godziny, zwinięta w kłębek. W końcu nie miałam już ani jednej łzy. A potem płakałam bez łez.

Każdy obraz, jaki pojawiał się przed oczami, sprawiał mi prawdziwy ból. Każda myśl prowadziła do jednego i tego samego wniosku.

Zostałam sama. Zupełnie sama.

Kiedy znowu mogłam oddychać, zmusiłam się, żeby wstać, i z trudem podeszłam do okna. Słyszałam jakieś głosy w korytarzu, ktoś pytał Chase'a, co się stało. Nie odpowiedział. Nie miało to żadnego znaczenia.

Moje ramiona były ciężkie. Moja głowa wydawała się ciężka. Napęczniała.

Powietrze. „Jakie miłe uczucie” – pomyślałam z roztargnieniem.

Ześlizgnęłam się przez parapet na schody przeciwpożarowe. Musiałam powstrzymać tę gorączkę. Balkon był taki mały, ale przecież mogłam zejść po drabince na dół. Mogłam zejść na ulicę. Z góry wyglądała jak czarna dziura. Może mogłabym w niej zniknąć.

Deszcz działał kojąco. Było to pierwsze kojące uczucie, jakiego doznałam po tym, co wydawało mi się wiecznością. Przesiąkał przez moje ubranie i moczył mi włosy. Zmywał sól z mojej twarzy. Wpadał mi pod powieki przez sklezione rzęsy i czyścił oczy.

Szłam i szłam, nie mogąc skupić się na niczym. Nie pamiętając niczego.

Światła wcale mnie nie zdziwiły, może nieznacznie zainteresowały. Wkrótce samochód zatrzymał się wzdłuż chodnika, tam gdzie stałam. Wyszli z niego jacyś mężczyźni, odezwali się ostrym tonem. Mówili coś, czego nie rozumiałam. Chwycili mnie za ręce, zaciągnęli na tylne siedzenie,

gdzie deszcz nie mógł mnie już osiągnąć.

* * *

Metaliczny odgłos zamykanych drzwi. Zamrugałam i otworzyłam oczy. Nad moją głową migotała i brzęczała jarzeniówka. Sufit upstrzony był suchymi płatami białej farby. Materac, na którym leżałam, przesiąkł potem i pleśnią. Nie miałam poduszki ani przykrycia.

Gdzie byłam? I jak długo? To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia.

– Nie chce jeść – rozległ się przytłumiony głos zza drzwi.

– Mam to w nosie – odpowiedział mu inny męski głos.

– Ja też – powiedział ten pierwszy. – Ale nie dożyje do procesu, jeśli będzie odmawiać jedzenia.

– No to umrze. Nie ona pierwsza.

Przestałam słyszeć, żeby nie dopuścić do siebie tych bezdusznych uwag. Przestałam myśleć, żeby nie mieć kontaktu ze świadomością.

* * *

Czyjaś dłoń potrząsała mnie za ramię. A potem poczułam silne uszczyknięcie na wrażliwej skórze przedramienia. Ból zmusił mnie do gwałtownego otwarcia oczu. Najwyraźniej byłam zdolna do tego, by jeszcze coś czuć.

– Musisz wstać. Wstawaj! – Tym razem był to głos kobiety, podsycony złością.

Jęknęłam i odwróciłam się. Twarzą dotknęłam zimnej betonowej ściany.

– Jeśli nie przestaniesz, będziesz miała kłopoty.

– Zostaw mnie – wydusiłam z siebie słabym głosem.

– Przez trzy dni cię zostawiałam, teraz czas się ruszyć.

Znów potrząsnęła mnie za ramię, a kiedy przewróciłam się na plecy, chwyciła mnie za ręce i podciągnęła do pozycji siedzącej. Miałam zawroty głowy i byłam kompletnie zdezorientowana.

– Hej! – Klepnęła mnie lekko w policzek. – Będziesz wymiotować?

– Nie – odpowiedziałam słabo.

– Hm. I tak nie miałybyś czym.

Wcisnęła mi w rękę plastikową miseczkę wypełnioną papką, która przypominała wodnistą owsiankę. Zaczęłam wpatrywać się w nią bez wyrazu.

– Niewiarygodne – powiedziała kobieta, po czym nabrała owsiankę na łyżkę i wepchnęła mi do ust.

Zaczęłam dławić się i pluć, a jednak mdła, letnia paćka popłynęła w dół przełyku do mojego wygłodzonego żołądka. Wkrótce poczułam chęć zjedzenia więcej.

Jadłam, po raz pierwszy zwracając uwagę na kobietę, która przyniosła mi owsiankę. Miała sęcate, zwyrodniałe od reumatyzmu dłonie i głębokie bruzdy wokół ust. Do jej twarzy przyklejona była zatroskana mina – miało się wrażenie, że na stałe – a jej niebieskie oczy wydawały się przezroczyście. Nie zdziwiłabym się zupełnie, gdyby się okazało, że jest niewidoma, jednak jej ruchy temu przeczyły.

Miała siwe, falowane włosy, była ubrana w plisowaną granatową spódnicę i zapinaną na guziki bluzkę. Ubranie skrywało jej obwisłe ciało w taki sam sposób, jak jutowy worek skrywa ziemniaki.

„Nie słyszałaś o siostrach salwatoriankach?” – usłyszałam w myślach głos Rosy. „Są odpowiedzią Straży Obyczajowej na wyzwolenie kobiet”.

Miałam wrażenie, że nigdy nie wyszłam z zakładu poprawczego.

Znajdowałam się w mikroskopijnej celi. Wąska prycza dotykała ściany i prawie zderzała się ze stojącą u jej stóp metalową toaletą. Poza tym miejsca było tyle, że kobieta ledwo mogła stać przede mną tak, żebyśmy się nie dotykały kolanami.

– Gdzie ja jestem? – zapytałam. Głos mi się załamał. Od dawna go nie używałam.

– Areszt Śledczy w Knoxville.

A więc jednak mnie złapali.

„Wkrótce mnie zabiją” – pomyślałam zupełnie bez emocji.

– Kończ jedzenie, Miller. – Kobieta potrąciła moją miskę i część jej zawartości wylała się na papierowy kitel przypominający to, co zakłada się pacjentom w szpitalach. Ktoś musiał mi zabrać moje ubranie.

– Zna pani moje nazwisko.

A więc nikt się nie dał nabrać na moje obcięte włosy. No cóż.

– Wkładaj suknię – zdenerwowała się. – Nie możesz w tym zostać.

Bez cienia wstydu rozebrałam się do bielizny i włożyłam na siebie za duży uniform siostr salwatorianek. Musiałam obyć się bez chustki. Poza tym przypominałam wyglądem tę przezroczystoooką kobietę.

– Co teraz?

– Teraz zaczekaj, aż ktoś po ciebie przyjdzie – odparła i zapukała dwukrotnie do drzwi. Wyszła z celi, gdy zostały otwarte od zewnątrz.

Wbiłam wzrok w przeciwną ścianę, nie myśląc o niczym.

* * *

Jakiś czas później usłyszałam brzęk kluczy, a potem metaliczny zgrzyt, po czym bariera oddzielająca mnie od świata została odsunięta i w drzwiach ukazał się szczupły, szeroki w klatce piersiowej żołnierz. Miał drobną twarz, zielone oczy o przeszywającym spojrzeniu i jasne włosy przyczesane na bok. W dużej dłoni trzymał jakieś papiery na podkładce oraz długopis, a jego druga ręka od łokcia w dół tkwiła w gipsie.

Na biodrze, obok pałki, miał przytroczony pistolet. Zaczęłam się zastanawiać, czy przyszedł po to, żeby mnie zabić, tak samo jak dowódca Chase’a zabił moją mamę. Z zaskoczeniem uświadomiłam sobie, że niespecjalnie mnie to obchodzi. Przynajmniej ten koszmar się skończy.

Było w nim coś dziwnego, jakbym skądś go pamiętała. Poszczególne elementy układanki zaczęły przesuwać się po kolei na właściwe miejsca.

– Twoje kostki wyglądają dramatycznie. Co ty robiłaś, jakieś walki kogutów uprawiałaś?

Zerknęłam na dłonie. Przecież wyglądały już całkiem dobrze. Strupy odpadły, zostały tylko cienkie białe blizny. Większość ciemniejszych sińców zbladła. Poruszyłam palcami. Tylko tępy ból.

– Nie masz pojęcia, kim jestem – powiedział i spojrział ukradkiem na drzwi.

Wtedy zauważyłam trzy przebarwione kreski na jego szyi. Ślady po paznokciach. M o i c h paznokciach.

– Tucker Morris.

– Taaa – odparł powoli, jakby to było coś najbardziej oczywistego pod słońcem.

Cisza.

– Nie ciekawi cię nawet, po co tu przyszedłem?

– A ma to jakieś znaczenie? Przecież i tak mnie zastrzelicie. – Mój głos był pozbawiony wyrazu. Bez emocji.

– Zabrzmiało makabrycznie.

– Nie mam racji?

Uśmiechnął się z wyższością.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem, o kim mówisz – odparłam, zaciskając zęby.

– Ukrywanie informacji nie pomoże ci w procesie.

– A co pomoże mi w procesie? – zapytałam posępnie.

– Na przykład bycie miłą w stosunku do mnie. – W jego tonie pojawiła się wesoła nuta, zupełnie jakbyśmy ze sobą flirtowali. Mało nie zwymiotowałam.

– Nie będę miłą dla kogoś, kto bierze udział w mordowaniu niewinnych ludzi. – Słowa paliły mnie w język, ale moje martwe serce nawet nie drgnęło.

– Powiedział ci? Myślałem, że stchórzy. Tak jak z nią.

Poczułam iskrę gniewu. Chciałam rzucić się na niego z pazurami, jak wtedy, gdy zabierał moją mamę. Ale pragnienie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło, i została tylko gorycz.

– Jesteś sukinsynem, Tucker.

– Też mógłbym powiedzieć to o tobie. – Ucieszył się z własnej inteligencji. – Ale uważaj na swój język. Nie wolno odzywać się w taki sposób do żołnierza.

Prychnęłam. Co niby miałyby mi zrobić? Zabić mnie? No, proszę!

Zawahał się.

– Jennings ma już w swoich papierach wpisane porwanie małoletniej, napaść z bronią w ręku, kradzież własności państwowej i co najmniej dziesięć innych, drobniejszych przewinień. To nie jest osoba, którą warto chronić. On by tego na pewno nie zrobił.

Nie dałam mu szansy, żeby mnie ochronił – uciekłam, gdy pilnował drzwi. Zanim się zorientował, że mnie nie ma, ja już z pewnością leżałam w tej celi.

Zaczęłam się zastanawiać, o co mnie oskarżą. Na pewno o coś związanego z ucieczką z zakładu. Kradzież i napad. Co jeszcze? Fałszywe małżeństwo niezatwierdzone przez państwo? Z jakiegoś powodu uznałam tę listę za zabawną i nawet niespecjalnie przejmowałam się, czy przypiszą mi poczynania snajpera, czy nie.

– Dlaczego tu w ogóle jesteś? Myślałam, że byłeś w oddziale transportowym czy coś takiego.

– Awansowałem. Robię karierę. Wkrótce pewnie zostanę oficerem.

– Gratulacje – powiedziałam, ale nie spieszył go ton mojego głosu.

– Twój proces został przesunięty na koniec tygodnia.

– Cholera. Nie mógłbyś wcisnąć mnie już dzisiaj?

– Zyskałem dla ciebie trzy dodatkowe dni, żebyś mogła pokontemplować swój los. Chcę, żebyś poznała wszystkie uroki więzienia. To taki gest w stronę naszego wspólnego przyjaciela – powiedział i jakiś miesiąc zadrżał mu na twarzy.

Tucker był na wskroś zły. Jeszcze bardziej nikczemny niż Chase.

– Do czasu wyroku oddelegowuję cię do sprzątnia.

Otworzył drzwi do celi i gestem nakazał, bym wyszła na korytarz. Nogi się pode mną uginały, bo od kilku dni nie chodziłam, a przez pierwsze chwile czułam zawroty głowy. Byłam zaskoczona, że Tucker wypuszcza mnie bez kajdanek.

Kobieta, która mnie obudziła, teraz szorowała posadzki. Miała gumowe rękawice sięgające łokci, a przy niej stało wiadro z mydlinami.

– Delilah, to jest Ember Miller – oznajmił Tucker od progu.

Podniosła wzrok, a potem wstała z klęczek.

– Tak jest.

– Do czasu procesu będzie ci pomagała.

Delilah skinęła posłusznie głową, a Tucker odciągnął mnie na bok.

– Będę na końcu korytarza, w tamtym gabinecie. Przyjdź do mnie, kiedy skończycie.

– Już się nie mogę doczekać.

Zaśmiała się, odchodząc.

– Bierz szczotkę. Szorujemy podłogi. A potem będzie inne sprzątanie – powiedziała Delilah. Widać, że nie była typem gaduły.

Przesuwałyśmy się z celi do celi, szorując posadzki, ścierając prycze, pucując toalety. Tylko dwa pomieszczenia były zajęte, nie weszłyśmy do nich od razu.

W czasie naszej pracy w korytarzu pojawił się zakuty w kajdanki mężczyzna o ziemistej cerze i posiniaczonym policzku. Towarzyszyło mu czterech strażników, z których jeden niósł srebrny neseser. Bez pardonu wepchnęli więźnia do pustej celi i kilka minut później wszyscy czterej wrócili tam, skąd przyszli.

– Proces – wyjaśniła Delilah.

Zaczęłam się zastanawiać, jaki dostał wyrok.

Kiedy skończyłyśmy, zeszałam za Delilah na dół, do stołówki, gdzie od żołnierza z siatką na włosach odebrałyśmy dwie tace z szarą papką. Przyglądałam się, jak żołnierze wchodzą i wychodzą przez główne wejście

budynku, strzeżone przez wartownika za grubą szybą. Za każdym razem, gdy drzwi się otwierały, moje bębni atakowało przeszywające buczenie.

Wróciłyśmy do góry i Delilah zdjęła kluczyk z cienkiego metalowego łańcuszka na szyi. Otworzyła nim drzwi.

Skazaniec leżał zwinięty w kłębek na swojej pryczy. Miał na sobie kanarkowożółty kaftan i kołysał się żałośnie w przód i w tył, mamrocząc coś pod nosem.

– Jedzenie – powiedziała Delilah i postawiła tacę na końcu posłania.

Zamknęła drzwi, po czym zaznaczyła krzyżykiem rubrykę POSIŁKI na zawieszanej na klamce karcie.

W następnej celi mężczyzna o oliwkowej karnacji opierał się o ścianę i obgryzał paznokcie.

– Macie jakiś koc albo coś? – zapytał szybko. – O, cześć – dodał na mój widok.

Popatrzyłam na niego z zaciekawieniem.

– Jedzenie – powiedziała znów Delilah, zostawiając tacę na pryczy. Jakiś strażnik minął celę i skierował się ku schodom.

– Dokąd on idzie? – zapytałam.

– Na obchód. Obchodzą wszystkie korytarze co trzydzieści minut.

– Myślałam, że w więzieniu panuje ostrzejszy rygor.

Pokręciła głową.

– To niewielki areszt. Tymczasowi skazańcy. Środki ostrożności są tu minimalne. Główne więzienie znajduje się w Charlotte. – Delilah była bardzo rzeczową osobą. – Mam nadzieję, że masz mocny żołądek.

– Dlaczego?

– Bo teraz będzie prawdziwe sprzątanie.

Poszłyśmy do magazynu, w którym znajdowały się zapasy. Wybielacz. Rękawiczki. Więzienne stroje. Ręczniki. Koce. Sądziłam, że weźmie nakrycie dla tamtego faceta z celi, ale nie. Zamiast tego chwyciła za wózek na brudną bieliznę, z głębokim pojemnikiem zamkniętym metalową

przykrywką. Ruszyliśmy w stronę trzeciej zajętej celi, tej z żołnierzem, który właśnie skończył swój proces.

Spojrzałam na tabliczkę. Wielkimi literami napisano na niej jedno słowo: SKOŃCZONE.

Na ułamek sekundy wróciłam myślami do rozmowy z Rebeką w zakładzie. Sean mówił jej, że słyszał słowo „s k o Ń c z o n e” czy „s k o Ń c z y ć” w odniesieniu do więźniów oskarżonych o pogwałcenie paragrafów. Wtedy naiwnie wierzyłam, że i moja mama została odesłana do podobnego zakładu.

Ledwo tylko drzwi się otworzyły, a już wiedziałam, dlaczego Delilah pytała mnie o żołądek.

Mężczyzna przed nami leżał skręcony na wąskiej pryczy. Kolanami dotykał materaca, a ramiona miał zwrócone ku sufitowi. Jego brązowe włosy ciągle były potargane, a na ziemistym policzku nadal miał ciemnego sińca.

Tylko że teraz był martwy.

Przyszedł mi na myśl obraz tamtego zagłodzonego mężczyzny z placu. Jaki chudy i kruchy się wydawał... Założyłam, że śpi, kiedy on tak naprawdę nie żył.

Tutaj było inaczej. Ten człowiek faktycznie wyglądał na martwego. Nie wydawał się spokojny ani śpiący, lecz siny, zimny i udręczony, jak gdyby śmierć zabrała jego umysł, zanim jeszcze ciało było na to gotowe. Wiedziałam teraz, dlaczego ludzie zamykają zmarłym oczy. Te pozbawione życia gałki śledziły każdy mój ruch, niczym oczy Mona Lizy.

Zrobiłam krok do tyłu i poczułam, jak kolana mi drżą. Po kilku sekundach trzęsłam się już cała. Nie byłam w stanie oderwać wzroku od tego człowieka, a mój mózg przekształcił jego twarz w obraz Chase'a. Ciemne oczy o badawczym spojrzeniu teraz zupełnie matowe. Jeśli go złapią, czeka go taki sam los.

Mimo wszystko nie chciałam, żeby Chase zginął. Miałam nadzieję, że jest już daleko, że uciekł, kiedy zobaczył, że zniknęłam.

Delilah uniosła ciało do pozycji siedzącej. Poczułam, jak żółć podchodzi mi do gardła, ale przełknęłam ją. Chwilę później kobieta przesunęła zwłoki bokiem na wózek, aż uderzyły z łoskotem o metalowe dno.

Zrobiło mi się niedobrze. Zmusiłam umysł do skupienia uwagi. Do zachowania choćby namiastki siły.

– Ciągłe trzymasz się pionowo? – zapytała Delilah i popchnęła wózek na korytarz, w przeciwną stronę niż schody.

Nie patrzyła na mnie, ale skinęłam głową i ruszyłam za nią powoli. Obserwowałam swoje stopy, jak się przesuwają jedna za drugą. Była to jedyna rzecz, na jakiej mogłam się skoncentrować, żeby nie zwymiotować.

– Pomaga, jeśli nie myśli się o nich jak o ludziach.

Tak. Zapewne pomaga.

Na końcu korytarza znajdowała się winda towarowa. Była czarna, oklejona brudem i kiepsko oświetlona. Delilah wepchnęła do środka wózek, a ja próbowałam sobie wmówić, że nie wiezie nim wcale ludzkich zwłok.

Wysiadłyśmy na parterze i wyszłyśmy niestrzeżonymi drzwiami, które Delilah otworzyła noszonym na szyi kluczem. Pchając wózek, ruszyła wąską tylną alejką, aż dotarłyśmy do wysokiego ogrodzenia zwieńczonego zwojami drutu kolczastego. W ogrodzeniu znajdowała się brama, pilnowana przez dwóch żołnierzy w wartowni. Zobaczyli wózek i bez słowa pozwolili nam przejść.

– Chyba wiedzą, co robią – stwierdziłam.

– Zamierzasz mi pomóc czy nie? – zapytała Delilah, zaczynając mozolną wspinaczkę.

Stałam obok niej i walcząc z mdłościami, chwyciłam za śliską metalową rączkę. Wspólnymi siłami wepchnęłyśmy wózek na stromy wał pokryty asfaltem i otoczony przyciętym żywopłotem, który wił się wokół wartowni. Zanim dotarłyśmy na szczyt, byłam już spocona.

Moim oczom ukazał się niski betonowy budynek na planie kwadratu. Wokół rosły piękne drzewa o zwisających gałęziach, kontrastujące z czarnym

dymem wydobywającym się kłębam z komina budynku. W powietrzu czuć było siarkę. Droga zakręcała przed wejściem, tworząc kształt kropli. Jak łza.

– Do tamtych drzwi. – Delilah wskazała ręką.

Pomogłam jej popchnąć ciężki wózek do bocznego wejścia zacienionego płócienną markizą. Kobieta wcisnęła dzwonek i od razu odeszła.

– Mamy go tu tak... zostawić? – zapytałam.

Skinęła głową.

– Krematorium – wyjaśniła.

Znów przewróciło mi się w żołądku.

„Moją mamę też zabrali do czegoś takiego”. Ogarnęło mnie takie przerażenie, że ledwo mogłam iść.

Mdłości nie były już tak silne, więc ruszyłam osłabła za Delilah. Na najwyższym punkcie wzgórza kobieta przystanęła. Popatrzyłam w ślad za jej wzrokiem, czując, że po raz pierwszy, odkąd weszliśmy do tamtej trzeciej celi, nogi są w stanie utrzymać ciężar mojego ciała.

Przed nami rozciągała się baza FBN. Wszystkie budynki wyglądały podobnie, szare i ponure. Niektóre miały zwaliste dobudówki, inne były smukłe. Wszystkie stanowiły wariację na ten sam, trupi temat. Pomiędzy nimi rosły małe, wypielęgnowane trawniczki, od wejścia do wejścia prowadziły białe ścieżki. Cały kompleks rozciągał się na kilka kilometrów, otoczony wysokim stalowym ogrodzeniem, przez które wcześniej przechodziłyśmy. W oddali dostrzegłam rzekę i szpital, przy którym zostawiliśmy samochód. Plac musiał być gdzieś niedaleko, tak jak i Wayland Inn, siedziba ruchu oporu.

Ileż informacji mogłabym im przekazać. Położenie kompleksu. Liczba strażników pilnujących korytarzy. Układ bazy. Wcześniej wątpiłam w swoją przydatność dla podziemia. Teraz przestałam.

Poczułam, jak zapala się we mnie iskierka. Jakaś emocja, praktycznie nierozpoznawalna.

Nadzieja.

A gdyby udało mi się znaleźć sposób, żeby przekazać te informacje Wallace'owi? Nawet jeśli mnie pisana jest śmierć, ta wiedza mogłaby ocalić innych. Niewinnych ludzi, jak moja mama. Czułam fizyczny ból na myśl, że posiadane przeze mnie informacje mogłyby pomóc komuś w uratowaniu mamy.

Odwróciłam się i zobaczyłam pozostałości opuszczonego miasta: zapewne jakieś mieszkalne dzielnice Knoxville. Wzdłuż krętych asfaltowych alejek stały liczne bloki i szeregowce. Z tej odległości ich maleńkie ogródki nie wydawały się wcale zapuszczone. Z daleka nie było widać pomazanych ścian i wybitych szyb.

Moją uwagę przyciągnęła wznosząca się nad horyzontem stara tablica z cenami paliwa. Na lewo biegła główna szosa – w linii prostej od miejsca, w którym się znajdowałyśmy.

– To też należy do bazy? – zapytałam.

– Nie. Baza jest tylko tam. Ta część miasta została ewakuowana, to Czerwona Strefa.

Moje brwi złączyły się na znak zdumienia.

– Chce pani powiedzieć, że w tej chwili nie jesteśmy w bazie?

– Bystra jesteś – zakpiła.

– Jak często pani tu przychodzi?

– Za każdym razem, kiedy muszę wynieść odpady.

Skrzywiłam się, słysząc te słowa.

– I nigdy nie przyszło pani do głowy, żeby tak po prostu iść dalej?

– Ciągle o tym myślę.

– To dlaczego pani tego nie robi?

Popatrzyła na mnie, ukazując zmęczoną twarz.

– Gdyby tylko coś tam na mnie czekało, dawno by mnie tu nie było.

Spojrzała na mnie krytycznie, próbując stwierdzić, co zamierzam. Najwyraźniej moje myśli były tak samo przejrzyste jak jej oczy.

Tam była Beth. Rebeka w niebezpieczeństwie. Przydałabym się

Wallace'owi i ruchowi oporu. Jak mogłam im odmówić – teraz, kiedy wiedziałam, że mama zginęła? Było tyle osób takich jak ja, które nie miały pojęcia o morderczych działaniach SO. Tyle osób poniosło śmierć, podczas gdy ich bliscy czekali z nadzieją na spotkanie. Musiałam coś zrobić, choćby coś niewielkiego. C o k o l w i e k. Dla mojej mamy.

Gdybym teraz uciekła, Delilah miałaby do pokonania zaledwie kilka metrów, żeby zaalarmować strażnika przy bramie. Ale Tucker powiedział, że mam jeszcze trzy dni do procesu. Jeśli zdobędę ich zaufanie, może pozwolą mi przyjść tu samej, a wtedy będę mogła uciec.

– Masz ochotę na kulkę w plecy, co? – zapytała, ale wcale nie czekała na odpowiedź.

Ruszyła w dół zbocza. A ja za nią, opracowując plan ucieczki.

ROZDZIAŁ 15

Delilah nie odezwała się do mnie już do końca dnia. Kazała mi poskładać ręczniki w magazynie i wcale nie próbowała ukryć złości, że nie polecono mi wrócić do celi.

Wraz z wybiciem godziny policyjnej rozległ się dźwięk brzęczyka i generator przejął zasilanie. Mało kto miał okazję to usłyszeć, nie licząc bowiem strażnika na schodach, korytarz był zupełnie pusty.

Kiedy w końcu weszłam do gabinetu, Tucker kończył jakąś papierkową robotę.

– Czego chcesz? – zapytałam.

Wysunął pistolet z kabury, a ja pomyślałam: „To koniec. Zamierza mnie zastrzelić”. Przygotowałam się na ból, który miał zaraz nastąpić, jednak Tucker schował broń do stojącego w narożniku sejfu, zamknął go, a kluczyk umieścił w szufladzie biurka. Powietrze wróciło mi do płuc z głośnym świstem. Tucker przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

– Nie jesteś chyba m ę ż a t k ą, co? – zapytał, jakby był dziesięcioletkiem pytającym o brokuły lub coś podobnego.

Poczułam, że na policzkach zakwita mi rumieniec. Przypomniłam mi, że nadal jestem żywą, oddychającą istotą ludzką.

– Nie.

– To o co chodzi z tą obrączką?

Byłam zaskoczona, że nadal mam ją na palcu.

– O nic. Znalazłam ją kiedyś.

To ta obrączka, którą Chase ukradł dla mnie u Loftonów. Kiedy udawaliśmy, że jesteśmy małżeństwem. Jak się okazało, mnóstwo rzeczy udawaliśmy.

Nie zdjęłam obrączki tylko dlatego, że Tucker mnie obserwował, jednak nagle zrobiła się dziwnie ciasna.

– Rozmawiałem z dowódcą – powiedział, przybierając swoją zwykłą, zarozumiałą minę. – Będiesz tu nocowała aż do procesu.

Tyle to i ja wiedziałam, ale i tak zadrżałam. Kto wie, czy rano będę jeszcze żyła?

– Widziałam dzisiaj efekty waszych procesów – oznajmiłam oskarżycielsko.

Przypomniałam sobie, jak twarz tamtego zabitego żołnierza przeobraziła się w twarz Chase'a, i przez ułamek sekundy zaczęłam się zastanawiać, czy on też czuł takie obezwładniające przerażenie za każdym razem, kiedy wspominałam o mamie. Czy na każde wspomnienie strach żłobił w nim nową ranę. Ta myśl szybko jednak minęła, ustępując poczuciu zdrady.

– No i? – zapytał Tucker, zupełnie jakby to nic nie znaczyło. – Najlepszym sposobem na zdławienie nieposłuszeństwa jest szybkie i zdecydowane działanie.

Bez wątpienia nauczył się tego od oficerów. Cień dumy w jego głosie tak bardzo mi go obrzydzał, że o mały włos wybiegłabym z gabinetu. Przyszedł mi do głowy Wallace i ruch oporu. I Rebeka, która być może znajdowała się w tym samym budynku. Wiedziałam, że muszę zostać.

– Dajcie im jakąś tabletkę czy co?

– Zastrzyk ze strychniny. Nie mogą oddychać, mięśnie się kurczą i pojawiają się konwulsje. A potem przychodzi śmierć. Szybko – dodał, zupełnie jakby chciał mnie pocieszyć, jednak w jego głosie nie było emocji.

– Dziewczynom też to robicie? Podajecie strychninę? – Starłam się przybrać przerażony wyraz twarzy, chociaż wcale się nie bałam. Śmierć nie wydawała mi się już taka straszna jak kiedyś, a Tucker Morris nie budził we mnie grozy. Był słaby. Potrzebował SO. Potrzebował czegoś, w co mógłby wierzyć, bo prawdopodobnie wiara w samego siebie byłaby dla niego zbyt przygnębiająca.

– Czasami – odparł.

Wiedziałam, że myśli teraz o mojej mamie. Nienawidziłam go za to,

że znalazła się w jego umyśle, choćby tylko w śladowej postaci.

– Nie wiesz, czy przeprowadzono egzekucję Rebeki Lansing? To dziewczyna z zakładu w Wirginii Zachodniej. Blondynka, ładna...

– Niezłe cycki...

– Chyba. – Poczulałam nadzieję.

– Nie.

– Ale powiedziałaś właśnie...

– Nie mogę udzielić ci takich informacji. – Oczy mu się świeciły z poczucia władzy. – No chyba że...

– Chyba że co?

– Mogę ci to sprzedać.

– Za co? – zapytałam z powątpiewaniem. Zdałam sobie nagle sprawę, jak ciasny jest ten gabinet.

– Co byś powiedziała na buziaka? A potem zobaczymy. – Tucker oparł się o ścianę, wysuwając biodra do przodu. Zdrową rękę zwiesił u boku i wyglądał wyjątkowo arogancko. Nie mogłam uwierzyć, że chce całować się z kimś, kto za kilka dni będzie trupem.

– Nie bądź śmieszny.

– Mogę się założyć, że to mu się podobało – wybuchnął śmiechem. – Trudna do zdobycia.

Policzki mnie zapiekły. To było zbyt osobiste. Zbyt intymne.

Kiedy odwróciłam się, żeby wyjść z gabinetu, chwycił mnie zdrową ręką za oba nadgarstki i skręcił mi je nad głową tak, że przeszył mnie ból aż po ramiona. Był szybki, tak samo jak wtedy, kiedy po nas przyjechali. Popełniłam błąd, nie doceniając go tylko dlatego, że złamał sobie rękę. Popchnął mnie na szafkę i przycisnął swoim ciałem. Pełną wyższości minę nosił z taką dumą, jakby to była ekskluzywna woda toaletowa.

Ogarnęła mnie wściekłość. Nikomu nie wolno mnie dotykać bez pozwolenia. Już nie.

Chciałam z nim walczyć.

Oczywiście, był ode mnie większy i silniejszy. Pewnie w końcu by wygrał. Ale przynajmniej udałoby mi się wymierzyć mu kilka porządnych ciosów. Zwłaszcza gdybym dała upust swojej złości.

Nie mogłam uwierzyć, że myślę w ten sposób. Jak Chase. Chyba zaczynałam tracić rozum.

Twarz Tuckera znajdowała się teraz blisko mojej, tak blisko, że czułam na ustach jego oddech. Zielone oczy płonęły z podniecenia – jakże inny był to widok od tego, który znałam. Chase badał mnie wzrokiem, próbując odczytać moje uczucia. Tucker starał się tylko zobaczyć swoje odbicie.

– Odsuń się albo zacznę krzyczeć.

Wiedziałam dobrze, że Tucker nie będzie ryzykował. Ktoś mógłby zobaczyć go z więźniarką, z czymś w rodzaju śmiecia z zakładu poprawczego. Poza tym nie zamierzałam posuwać się ani kroku dalej, dopóki nie będę pewna, że wywiąże się z obietnicy.

– Ooo – jęknął cicho. – Nie wiedziałem, że lubisz sprośności.

– Sir? – Delilah wetknęła głowę w drzwi gabinetu. – Och! – Poczerwieniła na twarzy, a jej wzrok powędrował w stronę podłogi. Tucker natychmiast puścił moje ręce.

– Czego chcesz? – warknął.

– Przepraszam, sir, ale wracam na noc do domu. Nie byłam pewna, czy jutro też mam pracować z panną Miller – powiedziała to wszystko na jednym oddechu, wyraźnie wzburzona.

Poczułam wstyd. Nie chciałam, by ktokolwiek pomyślał, że były to mile widziane przeze mnie awanse.

– Tak, jutro tak samo – powiedział Tucker, a potem się uśmiechnął. – I jeszcze jedno, Delilah. Odrobina dyskrecji, jeśli można prosić. Nie chciałbym stracić tak pracowitej osoby.

Delilah zdawała się skurczyć do rozmiarów krasnoludka. Obie wiedziałyśmy, że kiedy Tucker powiedział „stracić”, nie miał wcale na myśli wyrzucenia jej z pracy.

Liczył się czas. Minęłam szybko Delilah i wyszłam na korytarz, bo właśnie strażnik przyszedł na obchód. Skinął Tuckerowi na powitanie, a ten odwzajemnił gest i zamknął za sobą drzwi gabinetu.

A potem, bez słowa, zamknął mnie w celi.

* * *

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Drżąc, wpatrywałam się w ciemność. W swojej niesłychanej dobroci Tucker podarował mi stary dziurawy ręcznik i taki sam koc. To była demonstracja władzy, próba udowodnienia mi, że potrafi zaoferować drobne wygody nawet w tej poczekalni śmierci. Jaki dobroduszny oprawca.

Podarłam cienki ręcznik na strzępy i nawet nie dotknęłam koca.

Gdy stanęłam na pryczy, byłam w stanie wyrzeć przez zakratowane okienko. Na zewnątrz panowała absolutna cisza, nie licząc odgłosów pojedynczych wartowników maszerujących po wybetonowanych ścieżkach. Zakładałam, że w bazie pracuje więcej cywilów takich jak Delilah, ale oczywiście nie mogli znajdować się na dworze po zapadnięciu godziny policyjnej. Nawet gdybym teraz wydostała się z celi, nocna ucieczka byłaby równoznaczna z samobójstwem.

Osunęłam się po ścianie i przyciągnęłam kolana do klatki piersiowej. Zaczęłam dmuchać na nadgarstki, na których nadal widniały czerwone ślady po uchwycie Tuckera.

I nagle, bez zapowiedzi, moje oczy wypełniły się łzami.

– Nie – powiedziałam głośno.

Jeśli pozwolę wypłynąć jednej łzie, zaraz dołączy do niej druga, a potem kolejne. Nie mogłam sobie pozwolić na słabość, musiałam pomóc ruchowi oporu. Stwierdziłam, że nie pomszczę mojej zamordowanej mamy, jeśli pozwolę, by spotkał mnie taki sam los.

Tak więc balansowałam na krawędzi pomiędzy lekkomyślnością a rozpaczą.

Próbowałam powstrzymać obrazy, ale i tak ukazały mi się przed oczami.

Na tle ciemnej celi, zupełnie jak w kinie, mój umysł wypełnił się wspomnieniami Chase'a.

Moja mama w celi. Samotna, tak jak ja teraz, a do tego przerażona. Wchodzący Chase, a za nim Tucker Morris oraz inni żołnierze. Chase unoszący broń. Czy się opierała? Jestem pewna, że tak. Potem strach, a po nim litość i jej wyszeptane błaganie odnoszące się do mnie. I jego pokrętne rozumowanie, że je spełni, jeśli ją zabije. Ale nie mógł tego zrobić, wyręczył go jakiś bezimienny dowódca. A Chase był zmuszony na to patrzeć.

Winiłam go za śmierć mamy, wydawało mi się to takie oczywiste. Jednak kiedy jeszcze raz zaczęłam przyglądać się tym scenom, stały się rozmazane i wykoślawione. Chase był ofiarą gniewu SO tylko dlatego, że pozostał sobą. Obarczanie go odpowiedzialnością za to, co się stało z mamą, nie miało sensu.

Kiedy to zrozumiałam, nie byłam już w stanie powstrzymać łez. Zalały mnie, na równi ze smutkiem, rozpaczą i nienawiścią. Gardziłam sobą. I ta pogarda sięgała głębiej niż nienawiść do samego siebie, którą widziałam w oczach Chase'a. I była bardziej sprawiedliwa.

Popełniłam koszmarny błąd.

Chase wrócił do mnie po wojnie, zgłosił się do wojska tylko dlatego, że ja mu kazałam. Zawsze próbował mnie chronić, nawet jeśli istniało ryzyko, że straci przy tym życie albo będzie musiał kogoś zabić. Jego kłamstwa miały być tarczą. Nie było to mądre posunięcie. Jednak kiedy pomyślałam o tym, z czym się musiał zmierzyć, doszłam do wniosku, że nie mogę całkowicie go winić za ukrywanie prawdy.

On cały czas pragnął, żebym była bezpieczna. Odrzuciłam jego opiekę, cisnęłam mu nią w twarz. Próbowałam zranić go jeszcze bardziej i muszę przyznać, że mi się to udało.

Moją udrękę przerwały słowa Seana.

„To nie nam, Miller, tylko FBN. To im powinno być przykro”.

Teraz to wreszcie rozumiałam. To, co się stało, nie było winą Chase'a.

Ani moją. Ba, nawet Tucker nie ponosił za to winy. Tylko FBN. Prezydent. To przez nich ludzie cierpieli, a ci, którzy nie czuli bólu, po prostu przeszli pranie mózgów.

Zaczęłam gorączkowo obracać obręczkę na palcu.

Zanim przyszedł ranek, miałam już plan.

Zamierzałam uciec z bazy, wrócić do siedziby ruchu oporu, a potem odnaleźć Chase'a, gdziekolwiek by był. Chciałam wszystko naprawić. Dla niego. Dla mamy. Dla Rebeki.

A jeśli mi się nie uda, zginę, próbując.

* * *

Ku mojemu przerażeniu rano kolejny żołnierz został „skończony”. Mężczyzna, którego karmiłam jeszcze dzień wcześniej, leżał teraz na posadzce, częściowo pod łóżkiem. Jego wargi były białe, a twarz poszarzała. Miał otwarte, martwe oczy.

Znów zrobiło mi się niedobrze i zaczęłam się zastanawiać, czy mogłam temu zapobiec. Czy mogłam go uratować. Wiedziałam, że do tego nie przywyknę, jak najwyraźniej przywykła Delilah.

Postępowaliśmy zupełnie tak jak poprzednio. Tyle tylko, że tym razem przełknęłam gromadzącą mi się w gardle żółć i skupiłam się na szczegółach. Na tym, którądy Delilah szła po wyjściu z windy. Na ciemnym korytarzu na dole, gdzie nie było nikogo. Na wszystkich momentach, w których korzystała ze swojego klucza. I na tym, gdzie dokładnie zostawiała wózek przed krematorium.

Musiałam opanować to do perfekcji. Następnym razem pokonam tę drogę sama.

Na obiad znów dostałyśmy papkę ze stołówki. Nie działała mi dobrze na żołądek, ale do tego, co planowałam, potrzebowałam energii.

Pod koniec dnia weszłam za Delilah do magazynu. Nakryłam się kocem, chociaż w godzinach pracy na oddziale było całkiem ciepło. Chciałam przekonać Tuckera, że jestem wdzięczna za jego współczucie – i tak też było.

Okazał się jedynym strażnikiem niezaskoczonym moim wyglądem.

Przyjęłam jego podarunek, a dzięki temu sądził, że panuje nad sytuacją. Że nie stanowią zagrożenia. Przestał się pilnować i o to właśnie mi chodziło.

Przez cały dzień bacznie obserwowałam Delilah. Potrzebny był mi klucz, który nosiła na szyi. Wiedziałam, że nie odda mi go dobrowolnie, była na to zbyt strachliwa. A więc trzeba było go wykraść. Żeby mieć pewność, że nie storpeduje moich planów, musiałam zyskać nad nią przewagę.

I tu właśnie wkraczał na scenę Tucker.

Kiedy podeszłam do Delilah, wylewała do zlewu wybielacz z wiadra.

– Muszę porozmawiać z Morrisem – powiedziałam.

Machnęła tylko ręką i nawet na mnie nie spojrzała, ale na jej obwisłych policzkach zakwitł rumieniec. Obie przypomnialiśmy sobie scenę, której była świadkiem poprzedniego wieczoru.

– Przyjdę po ciebie rano – oznajmiła.

Skinęłam głową.

Zmusiłam się do tego, by nonszalanckim krokiem przejść do gabinetu Tuckera. Poczułam przyływ adrenaliny. Powstrzymałam się przed rzucaniem nerwowych spojrzeń na drzwi i tylko otuliłam się mocniej kocem.

Tucker wypełniał papiery tak samo jak poprzedniego dnia. Nic nie powiedział, tylko uniósł jedną brew.

– Chcę się dowiedzieć czegoś o Rebecce Lansing.

– Znasz cenę.

– Znam.

Odłożył dokumenty, uśmiechając się z wyższością, i okrążył biurko.

– No to płąć.

– Moment. Ja... boję się, że ten strażnik nas zobaczy. – Staralam się udawać zdenerwowanie. Pomyślałam sobie, że spodoba się to Tuckerowi. Dla zwiększenia efektu okręciłam sobie włosy wokół palca.

– Przeszedł tędy zaledwie pięć minut temu.

– Idź sprawdzić – powiedziałam. – Nie chcę, żeby nam ktoś przeszkodził

tak jak wczoraj.

Rozpromienił się na te słowa.

– Dobra. Zaczekaj.

Żałosny gość.

Nie było go tylko kilka minut, ale wystarczyło mi to zupełnie, żeby zrobić, co trzeba. Wprawić maszynę w ruch przed zaplanowaną na następny dzień ucieczką.

Kiedy wrócił, siedziałam na sięgającej bioder szafce, obok mnie leżał zdjęty koc. Stukałam niecierpliwie piętami w drewno i zmusiałam się, żeby myśleć o wolności, a nie o tym, co za chwilę nastąpi.

– Czysto – oznajmił, podchodząc.

Nie wahał się, tylko od razu wskoczył między moje kolana, przesuwał mnie do krawędzi. A potem pochylił się nad moją twarzą.

Źle pachniał, źle smakował. Miał zbyt twarde usta. Egoistyczne dłonie. Próbowałam się odsunąć, ale objął mnie twardo zagipsowaną ręką. Druga powędrowała w górę mojego brzucha, a potem jeszcze wyżej, po drapiącej tkaninie pokrywającej mi biodra. I jeszcze wyżej, gdzie absolutnie nie chciałam czuć jego palców.

– Wystarczy. – Miałam wrażenie, że wszystkie moje nerwy zastygły. Odepchnęłam go, pełna obrzydzenia do samej siebie.

– Jeszcze nie. – Tucker znów pochylił się nade mną, ale popchnęłam mocno jego ramiona, a potem uniosłam kolano. Jeśli będzie próbował się do mnie dobierać, moja stopa wyląduje prosto na jego kroczu. Byłam gotowa do ataku.

– Tylko spróbuj – ostrzegłam.

Zaśmiał się i unióśł ręce na znak, że się poddaje.

– Szkoda, że Jennings nie mógł tego widzieć. Nawet nie musielibyśmy go zabijać, sam by się zastrzelił.

– Coś sporo o nim gadasz – zdenerwowałam się. – Gdybym nie wiedziała, jak jest, pomyślałabym, że złamał ci serce, Tucker.

Powiedziałam o kilka słów za dużo.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, a kiedy powrócił, towarzyszył mu mściwy ogień w oczach. Przesunął palcami po mojej szyi, wymacując tętnicę. Był bardzo delikatny, ale czułam moc bijącą z jego palców. Oddychałam nierówno, zaciskając dłonie w pięści. Tucker był zazdrosny o Chase'a, o całą uwagę, jaką mu poświęcono. Był gotów mnie skrzywdzić tylko po to, by zemścić się na swoim dawnym partnerze.

– Boisz się? – szepnął. – Wiesz, co mógłbym ci zrobić?

– Rebeka Lansing – powiedziałam, zmuszając się do przełknięcia śliny.

– Zakład poprawczy w Chicago.

Aż mnie ścisnęło w żołądku. Chicago! Tam, gdzie Chase mieszkał ze swoim wujem. Gdzie zabrali go do wojska. Niełatwo będzie odnaleźć ją w zniszczonym wojną mieście, w którym znajdowała się jedna z największych baz wojskowych w kraju.

– Nie zabili jej?

– Miała szczęście. Kto wie, może i tobie też się poszczęści?

Czas było iść, zeskoczyłam z szafki.

– Chwila, chwila. – Zastawił mi drogę. – Dopiero zaczęliśmy. Nie możesz oczekiwać, że facet się ot tak wyłączy.

Z trudem powstrzymałam odruch wymiotny, ale zaraz nadstawiłam uszu.

– Idzie strażnik. Nadal chcesz się bawić? Może on chętnie popatrzy.

Tucker zasłuchał się, a potem skrzywił, bo rozpoznał kroki. Kiedy na mnie nie patrzył, chwyciłam koc i wymknęłam się na korytarz. Gdyby strażnik mnie zobaczył, Tucker nie byłby w stanie ukryć, że byliśmy razem.

– Dobrze rozegrane – powiedział i klasnął cicho. – Niezła z ciebie kocietka, co?

Twarz mnie paliła, a zęby zacisnęły się gwałtownie, ale zmusiłam się, żeby iść powoli, bo wiedziałam, że obserwuje każdy mój krok. Poczekalam, aż otworzy drzwi i wpuści mnie do celi. Chwilę później słyszałam jego przytłumioną rozmowę ze strażnikiem, a potem obaj zeszli na dół.

Wtedy rozwinęłam zmięty koc, wyjęłam z niego pistolet – ten, który ukradłam Tuckerowi, kiedy sprawdzał, czy korytarz jest pusty – i uśmiechnęłam się.

* * *

Nie spałam, tylko planowałam ucieczkę krok po kroku.

Delilah przyjdzie po mnie, ledwo minie godzina policyjna. Pójdziemy do magazynu, a wtedy zmuszę ją, żeby oddała mi klucz. Mam nadzieję, że nie będzie głośno protestować, kiedy ją zamknę w środku. Pójdę z wózkiem do windy, po drodze mijając gabinet, i zjadę na dół. Strażnicy przy tylnej bramie nie zatrzymają mnie, bo założą, że zmierzam do krematorium. Zresztą będą mieli rację. Zostawię wózek przy bocznym wejściu, pod markizą. I wtedy ucieknę.

Nie pozwoliłam sobie na analizowanie żadnych możliwych odstępstw od tego planu. Doskonale wiedziałam, co powinnam zrobić, jeśli coś pójdzie nie tak.

Obracałam pistolet w palcach, ogrzewając dłonią zimny uchwyt. Przyzwyczajając się do jego obecności. To była taka sama broń, jaką miał Chase: gładka, srebrna, o grubej lufie. Przesunęłam bezpiecznik w tę i z powrotem, by przywyknąć do jego dźwięku.

Zacząłam się zastanawiać, co pomyśleliby sobie Beth i Ryan, gdyby mnie teraz zobaczyli. Nie byłam już małą przestraszoną dziewczynką, którą żołnierze wywozili do zakładu poprawczego. Coś się we mnie zmieniło, coś zniknęło, a ja stwardniałam. Wątpiłam, czy nawet wyglądam tak samo jak kiedyś.

„Kiedy straci się całą rodzinę... strach zyskuje zupełnie inny wymiar” – powiedział mi kiedyś Chase. Tak, teraz to rozumiałam. Strach nie zniknął, ale stał się rzeczywisty, jak ostry nóż, który trzeba ze sobą nosić.

Moją uwagę przykuły stłumione głosy na końcu korytarza. Było zbyt późno na transport więźnia, z pewnością dochodziła północ. Zaintrygowana, schowałam pistolet pod materacem i przycisnęłam ucho do drzwi.

– Podły sukinsyn, to jedno jest pewne. Ci dwaj ze służby pewnie z tydzień nie wyjdą z izby chorych.

– Dostałeś dwa razy między oczy, co?

– Zamknij się, Garrison. Kto to mówi? Ja przynajmniej nie posikałem się w kącie ze strachu.

Śmiech. A potem jęk. Szuranie po linoleum. Brzęk kluczy. I wreszcie ciche skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Zapanowała cisza, pewnie weszli do celi. Chwilę później usłyszałam głucho uderzenie w ścianę za łóżkiem. A więc wsadzili go do sąsiedniego pomieszczenia. Ogarnęło mnie współczucie dla nowego sąsiada, a serce zaczęło bić boleśnie. Skoro zaatakował żołnierzy, rokowania były kiepskie.

– Skończyłem z jego kartą – odezwał się trzeci głos. Być może żołnierz z obchodu. – Któryś z was będzie pilnował celi?

– Popatrz na niego, przecież on ledwo dycha. Po co mu wartownik przy drzwiach?

– Sprawdzam tylko rozkazy.

– Dowódca kazał go tu zostawić na noc. Z samego rana czeka go komisja, jestem pewien, że przygotowali coś wyjątkowo milutkiego.

Śmiech. Świst zamykanych drzwi. A potem coraz cichsze kroki.

Do rana nie usłyszałam już ani jednego dźwięku. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy mój nowy sąsiad nie umarł. Kiedy światła włączyły się z buczeniem, sygnalizując koniec godziny policyjnej, moje myśli też kierowały się w jego stronę. Byłam dumna, że walczył z żołnierzami. Wiedziałam, że jeśli mam przeżyć do następnego dnia, muszę być tak odważna jak on.

Podskoczyłam, kiedy klucz obrócił się w zamku. Pistolet miałam upchnięty w staniku, a jego wystającą część zamaskowałam kocem. Musiałam wziąć kilka głębokich oddechów, żeby opanować się na tyle, by móc spojrzeć na drzwi. Mimo to ledwo zobaczyłam Delilah. O mało nie wyciągnęłam broni.

Popatrzyła na mnie badawczo. Mogłam się tylko domyślać jej zdania na temat tego, co zaszło poprzedniego wieczoru między mną a Tuckerem.

– Dzień dobry – powiedziałam tonem sugerującym, że boję się nadchodzącego dnia. Co w zasadzie nie mijало się z prawdą.

– Chodź, i to szybko – warknęła i odwróciła się w stronę magazynu.

Przez korytarz przeszedł strażnik, a mnie przeszły ciarki po plecach. Miałam wrażenie, że Delilah mnie obserwuje. Że wie, co zamierzam zrobić.

Musiałam się uspokoić.

Weszliśmy do magazynu i Delilah zaczęła zrywać ze ściany ręczniki. Podała mi wiadro, żebym je napełniła wodą. Wzięłam głęboki oddech i postawiłam wiadro na podłodze.

Teraz albo nigdy.

Odwróciłam się do kobiety plecami i bardzo powolnym ruchem sięgnęłam po broń.

– Delilah, muszę...

– Delilah! Mówiłem, że masz się pospieszyć! – krzyknął strażnik z końca korytarza.

„O nie!” Ktoś już wydał jej rozkazy, co oznaczało, że przyjdzie jej szukać, jeśli się nie pojawi.

– Spieszyć, spieszyć, spieszyć – mruknęła pod nosem, wyraźnie zdenerwowana. – Czy ja ci nie kazałam nalać wody do tego wiadra?

– Tttak – wymamrotałam i wypełniłam polecenie.

Mój plan musi poczekać do czasu, kiedy Delilah nie będzie już potrzebna żołnierzom.

– Za godzinę przychodzi oficer porozmawiać z więźniem z celi czwartej – powiedziała. – Przyprawdzili go zeszłej nocy i jest w kiepskim stanie. Nadal nieprzytomny. Obudź go, żeby mogli zacząć przesłuchanie.

„Tylko po co?” – przeszło mi przez myśl. Przypomniałam sobie, jak Delilah zrobiła to samo ze mną, zanim przyszedł Tucker.

– A co pani będzie robić? – zapytałam.

Do tej pory nie dostawałam samodzielnych zadań.

– Ten z celi numer dwa wczoraj w nocy podciął sobie żyły. Ktoś musi umyć podłogę i zabrać go do krematorium.

Zadrżałam. Przed oczami ujrzałam twarz tamtego żołnierza. Krzaczaste brwi i pokryte piegami policzki. Otępiałe, zagubione spojrzenie. Zeszłego wieczoru zaniosiłam mu kolację.

– Ja to mogę zrobić – zgłosiłam się na ochotnika słabym głosem. – Ja zabiorę ciało, a pani zajmie się tym w celi czwartej.

Skrzywiła się. Żołnierz z korytarza znów zaczął ją wołać.

– Chcą, żeby to zrobić szybko – podkreśliła, jakbym ja mogła nie dać sobie rady.

Z trudem powstrzymałam obrzydzenie. Miałam wrażenie, że cieszy ją bycie potrzebną. Zrobiło mi się jej żal. Pewnie nie zostało w niej już wiele z człowieka, którym kiedyś była.

– Naprawdę mogę to zrobić. Wiem, że dokuczają pani kręgosłup – próbowałam ją przekonać. Widziałam poprzedniego dnia, jak się przeciąga i masuje. Miałam nadzieję, że nie spudłowałam.

– Bądź mądra i wykonaj rozkaz – powiedziała krótko.

Wyszłam za nią na korytarz, przełykając gorycz porażki. Próbowałam sobie tłumaczyć, że jeszcze pojawi się jakaś okazja, że jeszcze zrealizuję swój plan. Musiałam, bo następnego dnia czekał mnie proces.

Kiedy Delilah otworzyła drzwi do celi czwartej, sąsiadującej z moją, postanowiłam jak najszybciej postawić tego żołnierza na nogi. Jeśli oprzytomnieje, zanim Delilah skończy sprzątanie, ciągle będę mogła pomóc jej zawieźć tamto ciało do krematorium.

Delilah popędziła do celi numer dwa, gdzie zgromadziło się trzech strażników – chcieli pogapić się na widowisko. Miałam ochotę wrzasnąć, żeby zostawili tamtego biedaka w spokoju. Byłam zdziwiona, że jeszcze nie ma Tuckera, ale uznałam, że jest po prostu za wcześnie.

W celi numer cztery na podłodze, twarzą ku ziemi, leżał zwinięty

człowiek. Jego głowa znajdowała się jakieś trzydzieści centymetrów od metalowej toalety po drugiej stronie pomieszczenia, a długie nogi sięgały niemal drzwi. Miał na sobie dżinsy – jak tamten zamordowany kurier przy Rudy Lane.

Pochyliłam się ostrożnie. Migająca jarzeniówka oświetlała stopy w skarpetkach. Na podartej koszulce widniały plamki świeżej krwi. Pochyliłam się jeszcze bardziej, serce mi łomotało jak oszalałe.

Barczyste ramiona. Czarne, zmierzwione włosy.

– O Jezu! – krzyknęłam, upuszczając wiadro i ręczniki na podłogę. Ledwo zarejestrowałam, że drzwi do celi zatrzęsły się, zamykając mnie w środku.

Chwilę później klęczałam, macając jego łydki, przesuwając ręce w stronę pasa. Wszystkie powstrzymywane dotąd emocje wybuchły oślepiającymi kolorami.

Kiedy w końcu byłam w stanie się odezwać, mój głos okazał się drżący i piskliwy.

– Chase?

ROZDZIAŁ 16

Cisza.

Próbowałam sprawdzić mu puls. Sama nie wiedziałam, co robię.

W ciasnej celi nie było jak się ruszyć. Przesunęłam Chase'a delikatnie na bok: był bezwładny, przypominał szmacianą lalkę. Zupełnie jak ten facet z placu. Zaparłam się plecami o ścianę i gorączkowo owinęłam sobie jego ciężkie ręce wokół ramion.

– No chodź, Chase – odezwałam się, przerażona.

Użyłam całej swojej siły, żeby przenieść go na materac. Udało mi się podciągnąć górną połowę ciała, ale nogi nadal zwisały z krawędzi pryczy. Położyłam go najdelikatniej jak się dało, a potem podciągnęłam mu kolana.

Jęknął.

– Chase – odezwałam się nerwowo.

Miał zamknięte oczy.

Przyjrzałam mu się badawczo i aż zamrugałam. Z gardła wydobył mi się zdławiony oddech.

Twarz i szyję miał pokrytą warstwą ciemnoczerwonej krwi. Przód koszulki był nią przesiąknięty. Trzęsącą się ręką dotknęłam jego policzka i pogłaskałam delikatnie. Ciepło bijące od opuchlizny kontrastowało z zimną krwią.

– Chase, obudź się, proszę!

Poczułam, jak ogarnia mnie panika. Pomyślałam o małej srebrnej walizeczce. O wózku na brudną bieliznę. O niewątpliwej egzekucji.

Wszystko zaczęło się układać w całość tylko po to, żeby znów rozpaść się na kawałki. Nie mogłam uciec z Chase'em w takim stanie, a nie zamierzałam go tu zostawić.

– Dlaczego dałeś się złapać? – zapytałam, chociaż wcale nie oczekiwałam odpowiedzi.

Uniosłam jego koszulkę. Na żebrach było widać kilka siniaków w kształcie buta.

– Już dobrze, Chase. Wszystko będzie dobrze. Tylko muszę cię trochę umyć. – Miałam wrażenie, że ten głos nie należy do mnie, ale do jakiejś innej osoby. Kogoś spokojnego, rozsądnego. Nie takiego jak ja.

I ten głos miał rację. Potrzebne mi było konkretne zadanie, musiałam się na czymś skoncentrować.

Namoczyłam szmatkę i delikatnie przyłożyłam mu do twarzy, a potem starłam krew obok nosa. Kiedy szmatka zabarwiła się na czerwono, wepchnęłam ją pod pryczę i wzięłam następną. Wycierałam jego poranione usta, uszy, szyję. Cały czas do niego szeptałam, ale była to tylko bezsensowna paplanina.

Usłyszałam dźwięk wózka toczącego się po korytarzu. Delilah zabierała tamtego żołnierza do krematorium. Moja ostatnia szansa ucieczki właśnie zniknęła. Nawet nie czułam żalu. Byłam przepełniona wyłącznie troską o Chase'a.

Nie poruszał się, dopóki nie dotarłam do jego czoła, gdzie skórę przecinało kilka głębokich ran. Gdy dotknęłam szczególnie paskudnej, gwałtownie otworzył oczy. Tęczówki otoczone były morzem bieli. Zamrugął, zdezorientowany, i zazgrzytał zębami.

– Chase?

Odsunęłam się, pozwalając, by rozpoznał mój głos. Nauczyłam się już, że dotyk moich rąk przy przebudzeniu z koszmarów nocnych wzbudza w nim strach.

Przełknął ciężko, zanim był w stanie coś z siebie wyrzucić. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, jak gdyby był chory.

– Em?

– Tak. – Płakałam, pozwalając, by łzy kapały na jego twarz. Poczułam, że zalewa mnie fala ogromnej ulgi.

– Znalazłem cię. – Głos mu się łamał, a jednak wydawał się szczęśliwy.

Wróciło do mnie pewne odległe wspomnienie. „Obiecuję, że wrócę. Cokolwiek się wydarzy”. Tak powiedział tuż przed wojskiem. I owszem, wrócił. Mimo konsekwencji.

– Przepraszam, powinienem był ci powiedzieć od razu.

– To nieważne – uciszyłam go.

– Ważne. – Zakaszłał, a jego ciało ogarnął skurcz tak silny, że aż zgiął się wpół.

– Oddychaj, już dobrze – powiedziałam, gładząc go po plecach. Świadomość, że tak cierpi, łamała mi serce.

Potrzebował pełnej minuty, żeby znów zacząć oddychać normalnie. Kiedy podniósł głowę, oczy miał zamglone z bólu.

– Nic nie mów – szepnęłam.

Minęła dłuższa chwila. Podniósł się.

– Wszystko naprawię. Wydostanę cię stąd.

Zamarłam z ręką na jego policzku.

– Ty... się poddałeś? – podniosłam głos. – Dlaczego?

– Obiecałem, że nie pozwolę, by coś ci się stało – odparł.

Wiedziałam, co ta obietnica dla niego oznaczała. Musiał ogromnie cierpieć, bo zawiódł mnie i moją mamę.

– Sean czeka na ciebie na stacji benzynowej w Czerwonej Strefie, za bazą. Pomoże ci.

Wiedziałam, o czym mówi. Widziałam starą tablicę z cenami paliwa w pierwszym dniu, kiedy pomagałam Delilah przetransportować ciało do krematorium.

– Sean... – Spojrzałam na niego pytająco.

Kiedy ostatni raz widziałam ich razem, nie pałali do siebie szczególnym uczuciem.

– Po zachodniej stronie, tam jest wyjście. Ja zajmę się bramą, a ty...

– Nie – powiedziałam, wiedząc, co wymyślił.

Postanowił, że będzie walczył, z kim trzeba, żebym mogła się stąd

wydostać. Z trudem oddychałam. Przyszedł tu, żeby mnie uratować, wiedząc, że sam przy tym zginie.

Zakryłam usta dłońmi i opadłam na kolana tuż obok pryczy. Tyle emocji, wszystkie skłębione, przesywające mnie na wylot. Jeśli nie powiem tego teraz, nie powiem już nigdy. Zaczęłam się dławić.

– To, co się stało... to nie twoja wina – wykrztusiłam.

Chciałam dodać, że przepraszam. Że mu wybaczam. Że wiem, że mnie kocha, i że sama też go Kocham. Ale nie byłam w stanie. Rozpadłam się na kawałki, szlochając w rękawy. Jego ręce objęły mnie i przycisnęły do poturbowanego ciała.

– Tak okropnie mnie wystraszyłaś. Myślałem... – westchnął. – Zresztą, nieważne. Żyjesz, i to się liczy.

Dochodzący z holu dźwięk przerwał mój płacz.

Klik-klak. Klik-klak. Klik-klak.

Strażnik na obchodzie. Albo Delilah, wracająca po wykonaniu swojego makabrycznego obowiązku.

Zamarliśmy, nasłuchując kroków. Stawały się coraz głośniejsze, aż w końcu ucichły tuż pod celą Chase'a. Wstrzymałam oddech i patrzyłam na drzwi.

Głuche kliknięcie. To jego karta. Ktoś miał zamiar wejść do środka.

„Nie!”

Chase odsunął mnie na bok i wstał. Z trudem utrzymywał pion. Musiał oprzeć się o ścianę, więc od razu podskoczyłam i objęłam go, pewna, że zaraz się przewróci, gotowa na to, że strażnicy będą musieli nas rozdzielać siłą.

– Kładź się! – poleciłam szeptem.

Nie posłuchał. Na szczęście... był ranny: w tym stanie miałam nad nim przewagę. Popchnęłam go na pryczę i przycisnęłam jego głowę do materaca. Sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz zwymiotować. Uświadomiłam sobie, że to może być objaw wstrząsu mózgu.

Ktoś włożył klucz do dziurki, a potem go przekręcił.

– Zamknij oczy – powiedziałam cicho.

Posłuchał. Zwinął dłonie w pięści.

Do celi weszła Delilah.

– Jeszcze nie wstał? – zapytała.

Widziałam na jej koszuli małe czerwone kropeczki, a na kołnierzyku wilgotne plamy od potu. Staralam się nie myśleć o tym, co zobaczyła w celi numer dwa.

– Wstał sekundę temu – odparłam, czując, jak pistolet wbija mi się w skórę. – Niech pani spojrzy na jego twarz – dodałam, łagodnie przesuwając palec po nasadzie jego nosa.

Chase drgnął, chociaż nieznacznie. Wolałabym, żeby leżał nieruchomo.

Delilah zrobiła kolejny krok do przodu, ale rękę nadal trzymała na kłamce.

– Co z nim nie tak?

– Dostał naprawdę mocno.

– Oczywiście – prychnęła.

Jeszcze jeden krok do przodu.

Poderwałam się, zrzucając koc z ramion, po czym odepchnęłam ją od drzwi. Sekundę później wyciągnęłam broń i wycelowałam prosto w Delilah. Popchnęłam drzwi, ale tak, żeby się nie zatrzasnęły.

– Co ty robisz, do jasnej cholery!?! – zawołała.

– Zamknij się! – powiedziałam. Miałam nadzieję, że nikt nas nie usłyszał.

Chase usiadł i mrugał gwałtownie. Nadal wyglądał źle, a do tego był bardziej zszokowany niż Delilah.

– Masz – powiedziałam, wkładając mu broń do ręki.

Delilah była wściekła. Zauważyłam, że ręka Chase'a zadrżała, i wiedziałam, że powodem wcale nie jest fizyczny ból. Ostatnią kobietą, do której mierzył z broni, była moja mama.

– Przykro mi, Delilah – powiedziałam, wpychając jej do ust czystą

szmatkę. – Ale na mnie jednak coś czeka tam, poza bazą.

Jak najszybciej się dało, podarłam zniszczone szmatki na strzępy i przywiązałam jej ręce do metalowej ramy łóżka. Nie opierała się, wzrok miała wbity w Chase’a. Przełożyłam sobie przez głowę jej łańcuszek z kluczem i zacisnęłam na nim palce. Miałam wrażenie, że moje serce za chwilę eksploduje. Jeśli tak właśnie miało się stać, miałam nadzieję, że zdąży mnie zabić wcześniej niż SO.

Posadziłam Chase’a na łóżku, z dala od Delilah, i włożyłam pistolet z powrotem za stanik.

– Chyba dostałem mocniej, niż sądziłem – powiedział Chase. Miał minę człowieka, który się właśnie wybudził ze śpiączki. – Jak się tu dostałaś? Kim ona jest? I skąd masz tę broń? – pytał, przyciskając palce do skroni.

– Później to wyjaśnię. Teraz tu zostań.

– Idę z tobą – oznajmił.

Pokręciłam głową, a wtedy zacisnął zęby.

„Nie walcz ze mną, Chase”.

Wiedziałam, że poczuł się tak samo jak ja podczas naszej wędrówki. Zero panowania nad sytuacją. Całkowicie zależna od drugiej osoby. Być może zrozumiał teraz moje położenie, bo nie protestował, nie walczył. Popatrzył tylko na mnie i szepnął: „Proszę, uważaj na siebie”.

Chwilę później zamknęłam za sobą drzwi celi.

Korytarz był dziwnie opustoszały, nawet ze schodów nie dochodziło zwykłe szuranie butów strażnika. Wiedziałam, że tam jest, tyle że cicho. Wartownik powinien pojawić się lada chwila na obchodzie.

Nerwy mnie zżerały, skóra zaczęła mi mrowieć. Z każdym krokiem miałam wrażenie, że stąпам po łożu fakira. Uznałam, że chyba tracę rozum. To było jedyne logiczne wytłumaczenie tego, co właśnie robiłam.

Najpierw chwyciłam za przywieszoną przy celi Chase’a kartę. Oderwałam długopis z tasiemki i wielkimi literami napisałam to, co widniało na kartach innych żołnierzy.

SKOŃCZONE.

Jeden głęboki wdech, żeby uspokoić skołatane nerwy i przekonać się, że wrócił spokój, który czułam, zanim pojawił się Chase. A potem zaczęłam działać.

Korzystając z klucza zabranego Delilah, otworzyłam magazyn i wyciągnęłam wózek na korytarz. Jedno z kółek zagrzechotało i odwróciło się dziwnie na bok. Popatrzyłam na nie wściekle, jakbym mogła uciszyć je wzrokiem.

Dotarłam właśnie pod celę Chase'a, kiedy znów usłyszałam kroki.

Zatrzymałam się, sparaliżowana.

Za rogu wyłonił się strażnik o ciemnej cerze i permanentnie zdziwionej twarzy.

– Dzień dobry – powiedziałam nieco zbyt radośnie.

– Co robisz poza celą? – zapytał, patrząc na pusty korytarz.

– Delilah... przyszła wcześniej – wydukałam.

– A gdzie ona jest?

– Nadal sprząta po samobójstwie w celi drugiej. Kazała mi tu czekać.

– Dlaczego tutaj?

Przez głowę przeleciało mi kilka przekleństw.

– Żeby wynieść odpady – odparłam, cytując Delilah.

Popatrzył na kartę Chase'a, a jego zmarszczone czoło się wygładziło.

– Widzę, że nie będzie procesu. No i dobrze. Nie zasługiwał na to.

– Nie? – „Błagam, idź już sobie!”

– Nie. Na świecie istnieje wielu złych ludzi, on jest jednym z nich – oznajmił takim tonem, jakby rozmawiał ze swoją córką o jakimś odległym niebezpieczeństwie. Zaczęłam się zastanawiać, w którą część ciała bym strzeliła, gdybym wyjęła teraz broń.

Próbowałam przybrać przestraszoną minę.

– No nic, lepiej zabiorę się do pracy – powiedziałam.

Obrócił się na pięcie i odszedł bez słowa, nie oglądając się za siebie.

Tylko trzydzieści minut do następnego obchodu.

Ręce tak mi się trzęsły, że ledwo zdołałam włożyć klucz do zamka. Miałam wątpliwości, ale postanowiłam ich nie słuchać. Nie zawiodę Chase'a.

Otworzyłam celę. Chase stał, opuchnięty i zdenerwowany. Uważałam, żeby drzwi się za mną nie zatrzasnęły. Delilah miała policzki czerwone z wściekłości.

– Kto to był? – szepnął Chase.

– To tylko strażnik – odparłam i postawiłam wózek pod ścianą. – Wsiadaj.

Wyjaśniłam mu, jaki jest plan. Spochmurniał.

– A jeśli cię złapią? Nie będę mógł żyć z tą myślą.

– Długo nie będziesz musiał – odparłam ponuro, spoglądając na Delilah, związaną i zakneblowaną. Miałam takie wyrzuty sumienia, że aż mnie rozboleł żołądek. – Albo oboje, albo nikt.

Przeczesał włosy palcami.

– Nie rozumiesz? Musimy coś zrobić! Żeby już nikomu się t o nie stało!
– Wiedział, o czym mówię. O tym, co stało się mojej mamie. Nam.

Ciężko przełknął ślinę, a potem skinął powoli głową.

Zamierzaliśmy uciec z bazy SO.

Nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo, w przeciwnym razie absurdalność pomysłu z pewnością by mnie przybiła.

Musiałam pomóc Chase'owi. Z trudem się zginał, podejrzewałam, że ma złamanych kilka żeber. Usiadł na dnie wózka, przyciągnął kolana do piersi i pochylił głowę.

– Jeśli usłyszę, że sprawy się komplikują, nie będę tu siedział.

Nic nie powiedziałam, tylko zamknęłam pokrywę. Skinęłam jeszcze głową w stronę Delilah – na więcej nie miałam już czasu.

Zapałam się ramieniem o wózek i popchnęłam go z wysiłkiem, aż w końcu wytoczył się na pusty korytarz. Czujna i ostrożna, ruszyłam w stronę windy. Słyszałam uderzający w moje bębni puls oraz grzechot

tego wstrętnego kółka. Drżącym palcem nacisnęłam przycisk windy. Drzwi otworzyły się z głośnym łomotem. „Czy zawsze wydawały taki dźwięk?” Rozejrzałam się po korytarzu, nadal był pusty.

Oparłam się o wózek i popchnęłam go do środka.

Mechanizm metalowego pudła zazgrzytał i – pokonując centymetr po centymetrze – zatrzymał się na parterze. Musiałam wziąć kilka głębszych oddechów, żeby się uspokoić.

Drzwi rozsunęły się, ukazując ciemny korytarz, gdzie według pierwotnego planu zamierzałam zostawić Delilah. Ponieważ ta część budynku była rzadko używana, światła nie włączały się tu automatycznie, a i ja tego nie zrobiłam. Wstrzymałam oddech, próbując nie zwracać uwagi na przerażające kształty i dźwięki będące wytworem mojego umysłu. Natychmiast skręciłam w prawo i bez problemu otworzyłam drzwi służbowe kluczem zabranym Delilah. Gdy mojej twarzy dotknął pierwszy powiew świeżego powietrza, od razu poczułam się lepiej.

Tak, jestem w stanie to zrobić. Co więcej, właśnie to robię.

Musiałam zaprzeć się piętami, żeby wymanewrować wózką w wąską alejkę. Jeszcze dwadzieścia metrów do budki strażników. Piętnaście. Dziesięć.

Wartownik wystawił głowę na zewnątrz.

„Nie! Zignoruj mnie! Tak jak to zrobiłeś wczoraj!”

– A gdzie starsza pani? – zapytał. Miał puciołowatą twarz i dołek na środku policzka.

– Chyba chora – odparłam. Miałam nadzieję, że jeszcze nikt jej nie znalazł.

– Ta stara wiedźma nigdy nie choruje.

Wzruszyłam ramionami.

– Trochę wcześniej jak na wywózkę, co?

– Zrobili to w nocy. – „Błagam, pozwól mi przejść. Błagam, pozwól mi przejść”.

Nacisnął guzik i brama zabuczała, po czym się otworzyła.

Przeszliśmy na drugą stronę. Serce waliło mi jak oszalałe. Skręciłam za róg i rozpoczęłam mozolną wędrówkę na szczyt wzgórza. Ręce oplotałam wokół rączki wózka, żeby nie przewrócić się do tyłu.

– Udało się – szepnęłam w oszołomieniu, pomiędzy jednym a drugim zdyszany oddechem. Wiedziałam, że mnie nie słyszy, ale to nic. Wkrótce sam się przekona.

Krok po kroku pchałam go na górę.

W końcu znaleźliśmy się na szczycie. Podjechałam do zasłoniętego miejsca pod markizą i rozejrzałam się, czy nie widać nikogo na drodze albo na wzgórzu. Byliśmy sami.

Metalowa pokrywa odsunęła się z brzękiem i Chase uniósł głowę.

– Udało nam się! – Tym razem musiałam powstrzymać krzyk.

Uśmiechnął się dopiero wtedy, gdy zobaczył na własne oczy, że droga jest wolna. Wydostał się na zewnątrz, a wtedy zepchnęliśmy wózek w miejsce, w którym Delilah go wcześniej zostawiała. Za budynkiem krematorium znajdowało się zalesione zbocze, schodzące ku osiedlom i stacji benzynowej. Tam właśnie zamierzaliśmy zniknąć.

– Chodź. – Chase chwycił mnie za rękę.

Zamarłam. Moje ciało pokryła gęsia skórka. Na chodniku rozległo się stukanie czyichś butów.

Odwróciłam się gwałtownie, a serce podskoczyło mi niemal do gardła.

Pod górę wbiegał właśnie Tucker Morris. Był sam. Za późno było uciekać, bo nas zobaczył. Zatrzymał się w odległości jakichś trzech metrów i położył palce na pasie. Patrzył to na mnie, to na Chase'a.

– A więc to prawda. – W jego głosie pobrzmiwał zarówno niepokój, jak i wstręt. – Pewien żołnierz z izby chorych powiedział mi, że się poddałeś. Musiałem to sprawdzić – dodał i zmusił się do śmiechu. – Na karcie wyraźnie widniało nazwisko „Jennings”, jednak ona zupełnie ciebie nie przypominała.

D e l i l a h.

– Ktoś ją widział? – zapytałam, maskując zdenerwowanie.

– Jeszcze nie.

Wydało mi się dziwne, że Tucker nie zaalarmował całej bazy o naszej ucieczce, ale po chwili zrozumiałam, że pewnie miałyby przez to poważne kłopoty. Próbował zlikwidować problem, jaki pojawił się na jego zmianie, zanim dowódca odkryje, co się stało.

Chase milczał, ale jakimś cudem stał teraz między mną a Tuckerem.

– Wyglądasz na zaskoczonego – powiedział do niego Tucker. – Nie poinformowałaś go, że tu jestem, Ember? – Użył mojego imienia tylko po to, żeby zaleźć Chase'owi za skórę. Nigdy wcześniej tak do mnie nie mówił.

– Nie odzywaj się do niej – warknął Chase. – I nawet na nią nie patrz.

– Albo co?

– Albo dokończę to, co zacząłem, i złamię ci drugą rękę.

Poczułam, że serce zaczyna mi szybciej bić.

– Ledwo się trzymasz na nogach – prychnął Tucker, jednak w jego wzroku pojawiła się czujność.

– A więc walka będzie wyrównana.

– Idziemy stąd – oznajmiłam Tuckerowi.

– I co jeszcze, do cholery?

Zamrugałam bezwiednie w nerwowym tiku. Chase zrobił krok do przodu, najwyraźniej zamierzał spełnić groźbę. Chwyciłam go za rękę.

Ton głosu Tuckera, dotąd napastliwy, przeszedł w pyszałkowaty.

– Powiedziałaś mu już? O tym, jak mi się oddałaś w moim gabinecie wczoraj wieczorem? – Tucker ruszył w naszą stronę.

– Nic się nie wydarzyło.

Zaśmiał się.

– Gdybym wiedział, że jesteś taka chętna, sam bym cię wykradł z zakładu poprawczego.

– Idź – mruknął do mnie Chase.

– Ani mi się śni – odparłam zawzięcie.

Tucker w dalszym ciągu się do nas zbliżał. Wiedziałam, że jeśli tylko się odwrócimy, sięgnie po radio przy pasku i wezwie posiłki. Nie mogłam na to pozwolić.

Chase pochylił się do przodu, gotów do ataku. Nie zdążyłam zrobić kolejnego kroku, kiedy Tucker wyciągnął pałkę i rzucił się w naszą stronę. Chase chciał go zatrzymać, ale nie było takiej potrzeby: Tucker zamarł z pałką uniesioną nad głową. Zaskoczony takim obrotem sprawy Chase zerknął do tyłu. Jego wzrok zmienił się nieco, gdy dostrzegł pistolet w mojej ręce.

– Ukradłaś mi broń? – Tucker przez chwilę był szczerze zdumiony, ale zaraz wróciła jego zuchwałość. – No, teraz to już naprawdę po tobie.

Pistolet wydawał się lekki jak piórko. Czułam adrenalinę. Owszem, celowałam wcześniej do Delilah, ale nie miałam zamiaru do niej strzelać. Teraz jednak wiedziałam, że jeśli Tucker zrobi choć jeden krok w naszą stronę, być może pociągnę za spust.

– Tucker, pozwól nam iść, proszę – powiedziałam lodowatym tonem.

– A więc błagasz? – Splunął na ziemię. – Zupełnie jak twoja matka. Tuż przed tym, nim ją zastrzeliłem.

Świat się nagle zatrzymał.

Słowa Tuckera wbiły się w mój mózg niczym nóż. Raz, drugi, trzeci.

„Tuż przed tym, nim ją zastrzeliłem”.

– Ty? – zapytałam słabo. Zakładałam, że to dowódca ją zabił, a jednak się myliłam. Zabił ją Tucker. To dlatego Chase złamał mu rękę. To dlatego Tucker awansował.

Poczułam mdłości.

Krew mi zlodowaciała. Zabójca mojej mamy przestał być bezimienną postacią. Widziałam oczyma wyobraźni, jak podnosi pistolet za głowę Chase’a. Jak do niej strzela.

– Myślałem, że jej powiedziałaś – odezwał się Tucker.

Chase nie odpowiedział.

– Zabiłeś ją – powiedziałam cicho. Ręce mi okropnie drżały.

– Ember... – Ledwo do mnie dotarło, że Chase wypowiada moje imię.

– Jak mogłeś?!

Tucker okazał się niewyobrażalnym potworem.

– Jestem cholernie dobrym żołnierzem. Zrobiłem, co było trzeba.

Jego słowa uderzyły we mnie z siłą wybuchu.

– Co było trzeba? – powtórzyłam.

A więc zabójstwo niewinnej kobiety było teraz koniecznością?

Skupiłam się na broni. Zaraz mu pokażę, co trzeba zrobić.

– I tak nie wiesz, jak się to obsługuje – zakpił Tucker.

Spojrzałam na broń i odbezpieczyłam ją.

– Dziewięć milimetrów, prawda? Zwalniam kurek, celuję i strzelam – to powiedziawszy, pewnym ruchem załadowałam pierwszy magazynek.

K l i k.

Tucker zachwiał się, twarz oblała mu się purpurą, a usta zacisnęły. Obrazy same przelatywały mi przed oczami, nie mogłam ich zatrzymać. Tucker unoszący broń. Dźwięk, jaki musiał wydać pistolet, gdy pociągnął za spust. Przerazenie w oczach mamy. Ś m i e r ć w jej oczach.

– Em – szepnął Chase. Prawie go nie słyszałam.

Wyobraziłam ją sobie. Jej figlarny uśmiech. Spinki we włosach. Śpiewała mi piosenki sprzed wojny i razem tańczyłyśmy w salonie. Przygotowywała dla mnie gorącą czekoladę. Oddała swoje miejsce w kolejce po zupę.

Wybaczyła Chase'owi aresztowanie. „Dzięki Bogu, że tu jesteś” – powiedziała do niego w celi. Wybaczyła Royowi, że ją bił. Mnie, że kazałam mu odejść. Winiłaby SO za deprawację Tuckera.

Wstydziłaby się za mnie, gdybym go zabiła. Tylko z tego jednego powodu nie mogłam odebrać mu życia.

Chociaż bardzo tego pragnęłam.

Chase cały czas mi się przyglądał. W jego wzroku widać było

zrozumienie. Wiedziałam, że będzie mnie wspierał bez względu na to, jaką podejmę decyzję.

– Zabierz jej ten pistolet, brachu – powiedział Tucker, próbując przywołać dawną przyjaźń. Aż podskoczyłam na te słowa.

– Jeśli to zrobię, sam cię zastrzelę – odparł ponuro Chase.

Wiedziałam, że zabiłby Tuckera, gdybym go tylko poprosiła. Właściwie chciałam tego, było mi to potrzebne. Jednak znów ujrzałam twarz mamy. Kochała Chase'a, nie chciałaby, żeby jego dusza była narażona na więcej, niż dotąd przeżył.

Tucker przestąpił z nogi na nogę.

– Pomyśl, co to będzie dla was oznaczało. Nigdy już nie przestaniecie uciekać. – Jego głos był podszyty strachem.

– Już to przemyślałam.

„Ostatnia szansa” – powiedziałam sobie. Już podjęłam decyzję.

– Idziemy, Tucker, więc odejdz stąd. Albo cię jednak zastrzelę.

Zignorowałam łomot w skroniach. Nie czułam ani strachu, ani złości, zniknął też smutek. Cały mój organizm skupił się teraz na wykonaniu jednego zadania: zapewnieniu nam bezpieczeństwa.

Jakże się w tym upodobniłam do Chase'a.

– Co ja mam niby powiedzieć dowódcy? – Głos Tuckera się załamał.

– Powiedz mu, że Chase nie żyje. Że nie dożył do procesu. A jego ciało zostało wywiezione do krematorium. Powiedz mu też, że siłą zabrałam Delilah klucz, a kiedy na mnie doniosła, kazałeś także i ze mną
s k o ń c z y ć.

Wczoraj sądziłam, że zmuszanie Delilah do milczenia jest żalosne. Teraz tylko na to liczyłam. Miałam nadzieję, że to uchroni tę biedną starą kobietę przed losem, jaki spotkał moją mamę.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Zawsze możesz powiedzieć, że dwoje przestępców uciekło na twojej zmianie, tuż pod twoim nosem. Tylko wątpię, żeby to dobrze wróżyło tej

twojej karierze.

Dłuższa chwila ciszy.

– No dobra. D o b r a!

Coś we mnie pękło. Wiedziałam, że jestem na krawędzi i zaraz się rozsypię.

„Weź się w garść!”

– Oddaj mi broń. Zamkną mnie za jej brak. – Tucker wyciągnął rękę.

– Taka głupia nie jestem. Wrócisz do wartowni. A kiedy cię tam zobaczę, wyrzucę pistolet na dół, w krzaki. Mam nadzieję, że go znajdziesz.

– A kiedy znajdę, co niby ma mnie powstrzymać przed zastrzeleniem was obojga?

– Magazynek będzie pusty. Zawsze możesz poprosić strażnika o naboje, ale będziesz się musiał nieźle tłumaczyć. Sugeruję, żebyś potem po to wrócił.

Tucker kopnął w ziemię, ale ostatecznie skinął głową.

– Wynoście się.

Ciężko przełknęłam ślinę.

– Tylko nie strzel mi w plecy – dodał z obrzydzeniem.

– Niczego nie obiecuję.

Odwrócił się i ruszył w dół wzgórza.

Pistolet nagle zaczął mi ciążyć, miałam wrażenie, że zamiast niego trzymam wiadro pełne wody. Kiedy Tucker zniknął za zakrętem, ledwo unosiłam rękę.

Chase delikatnie położył mi dłoń na ramieniu i przesunął ku nadgarstkowi, a potem wyjął mi pistolet z zaciśniętych palców.

W uszach miałam tylko szum.

Przyglądałam się, jak opróżnia magazynek i wkłada go sobie do kieszeni. Potem rzucił broń w żywopłot, na tyle blisko, żeby Tucker musiał po nią wrócić na szczyt wzgórza.

– Musimy iść – powiedział Chase.

Poprowadziłam go na tył krematorium, gdzie asfalt stykał się z lasem.

Od razu weszliśmy w gęstwinę. Kolce zahaczały o moją spódniczkę i robiły w niej małe dziury. Gałęzie smagały mnie po nogach. Widziałam to wszystko jakby z góry, znad swojego ciała.

Moja głowa wracała ciągle do ostatnich pięciu minut. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, tylko o zabójcy mamy.

Czy powinnam zastrzelić Tuckera? A może Chase powinien? Tucker może skrzywdzić jeszcze tyle osób. Nie było jednoznacznej odpowiedzi.

Ścieżka schodziła teraz w dół, ku osiedlu. Musieliśmy ostrożnie przemykać między budynkami, żebyśmy pozostali niewidoczni dla tych w bazie na szczycie.

Zatrzymaliśmy się na chwilę w wąskim przesmyku. Chase ciężko dyszał i ścisnął głowę dłońmi. Tak bardzo pragnęłam zabrać od niego ból.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu żołnierzy, ale nic nie wskazywało na to, że ktoś nas ściga.

– Musimy iść dalej – powiedziałam i wsunęłam mu rękę pod ramię. Nie oponował, co mnie zmartwiło. Miał chyba wstrząs mózgu. Wiedziałam, że musimy znaleźć lekarza.

Do celu dotarliśmy około dziesiątej rano. Parking był pusty, nie licząc chudego eksstrażnika z zakładu poprawczego, który kręcił się wokół kontenera na śmieci.

Sean wpatrywał się w nas z rozdziawionymi ustami.

– Naprawdę wam się udało – powiedział z podziwem.

Chase ścisnął mnie za rękę.

– Jej się udało. Ja nie zrobiłem nic...

– ...tylko dałeś sobie skopać tyłek – dokończył Sean.

Ku mojemu zdumieniu Chase się uśmiechnął.

Najwyraźniej się zaprzyjaźnili. Miałam nadzieję, że może kiedyś także i ja będę mogła zaprzyjaźnić się z Seanem. Nie winiłam go już za to, że nie powiedział mi o mamie. Ludzie robią różne rzeczy, żeby ochronić tych, których kochają. Nikt nie wiedział tego lepiej od nas.

Podeszłam do Seana i uścisnęłam go.

– Dzięki, że czekałeś.

– Muszę powiedzieć, Miller, że już nie spodziewałem się ciebie zobaczyć. – Na jego zszokowanej twarzy pojawił się teraz niepokój.

– Przenieśli Rebeke – oznajmiłam, zanim zdążył zapytać.

– Dokąd? – Otworzył szeroko oczy.

– Do zakładu poprawczego w Chicago.

– Do... Co? Skąd...

– Nieważne. Jest właśnie tam – odparłam.

Chase popatrzył na mnie, ale o nic nie spytał.

Później, kiedy znajdziemy się w bezpiecznym miejscu, opowiem mu, co zdarzyło się w gabinecie Tuckera. I o tym, jak teraz, kiedy już wiem, że zabił moją mamę, obrzydzało mnie to, co zrobiłam. Potem znajdzie się czas, by porozmawiać o tym, jak zaplanowałam naszą ucieczkę i co widziałam w bazie. Teraz jednak musieliśmy się gdzieś ukryć.

– Dzwon – powiedział Chase do Seana.

Popatrzyłam na niego, nic nie rozumiejąc.

Sean zrobił krok do tyłu, a potem potrząsnął głową, żeby skupić się na tym, co teraz, i wyciągnął zza paska radio. Przypominało tamto, które Chase miał w SO, tyle że było mniejsze. Zatrzeszczało od razu, gdy je włączył.

– Paczka gotowa do odbioru – powiedział Sean, odchrząkując. Na jego twarzy malowały się emocje.

Minęła prawie minuta, zanim uzyskaliśmy odpowiedź.

Gdy czekaliśmy, zauważyłam, że Chase mi się przygląda. Jego oczy nie kryły już żadnych tajemnic, były przejrzyste, szczere i głębokie niczym wody jeziora. Przesunęłam koniuszkami palców po jego kościach policzkowych, obserwując, jak bruzdy na czole wygładzają się, a łomot pod czaszką najwyraźniej ustaje. W końcu odnalazł spokój i zamknął powieki.

– Za godzinę – padła nagle odpowiedź.

Aż podskoczyłam ze strachu. Rozpoznałam jednak ten głos: należał do umięsnionego faceta z wąsem o tłustawych, przyprószonych siwizną włosach.

Chase skinął głową. Poprosił Wallace'a, żeby nam pomógł. Wracaliśmy do Wayland Inn.

Wracaliśmy do siedziby ruchu oporu.

ROZDZIAŁ 17

Już prawie świtało, kiedy skończyłam z Wallace'em. Poczułam wszechogarniające znużenie, przesiąkające do kości i zmiękczone tak, że nie były w stanie utrzymać ciężaru mojego ciała. Zawlokłam się po schodach do góry i wyszłam na dach motelu Wayland Inn, prosto w chłodny, jeszcze ciemny ranek.

Sam Wallace zajął się Chase'em, kiedy wróciliśmy. Ten dawny sanitariusz wojskowy z FBN, a obecnie przywódca podziemia, nauczył mnie, że wstrząs mózgu rozpoznaje się po powiększonych źrenicach, wytłumaczył, jak leczy się inne jego objawy. Zaprowadziłam Chase'a do pustego pokoju, położyłam na posłaniu z nadjeźdzonej przez mole kołdry i po kilku minutach już spał. Sean powiedział mi później, że to był pierwszy odpoczynek Chase'a od czasu mojego zniknięcia.

A potem odbyłam długą rozmowę z Wallace'em. Opowiedziałam mu wszystko, co zapamiętałam: układ bazy, personel, okropieństwa, jakie miały miejsce w środku. Zrzucałam to z siebie z przerażeniem, ostatecznie jednak zwierzenia podziały na mnie oczyszczająco. Po kilku godzinach spokojnego, ale wnikliwego przesłuchania czułam się zupełnie pusta.

Później przedyskutujemy strategię. Zbliżał się czas walki, ale na razie darowano nam chwilę spokoju, głęboki oddech przed zanurkowaniem w głębiny.

Była tylko jedna rzecz, którą musiałam zrobić przed pójściem spać: zobaczyć niebo.

Usiadłam na drewnianej ławce ustawionej za wejściem na dach i rozłożyłam się wygodnie na zniszczonych deskach. Napawałam się wolnością. Przechyliłam głowę do tyłu i zamknęłam oczy. Czułam, jak odchodzą w niepamięć echa przebywania w klaustrofobicznej celi.

Moja mama zginęła, a razem z nią zniknęło dziecko, którym byłam.

Odeszła gwałtownie – w taki sam sposób ja straciłam młodość. Narodziła się za to dziewczyna, której jeszcze nie znałam. Czułam się sobie boleśnie obca.

Niebo przybrało właśnie brzoskwiniowo-malinowy odcień, kiedy drzwi dachowe otworzyły się z taką siłą, że serce mi zamarło w piersi. Natychmiast poderwałam się na równe nogi.

Chase miał potargane włosy i naznaczone bólem szeroko otwarte oczy. Serce biło mi dla niego i tylko dla niego, z równą dawką miłości i strachu. Dopiero kiedy słońce oświetliło sińce na jego twarzy, przypomniałam sobie o konieczności oddychania.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Zrobił ostrożny krok do przodu. Minęło kilka chwil. Jego wzrok omiół moją twarz w dobrze mi znany, czuły sposób i na moment zapomniałam o pustce i stracie. Byłam tą samą dziewczyną co zawsze. Dziewczyną, którą kochał.

– Tak, w porządku. Przepraszam. Ja... nie mogłem cię znaleźć i... – Wzruszył ramionami. Wydawał się zaskakująco kruchy jak na tak dużego faceta.

Sądził, że znowu uciekłam. Pozwoliłam, by włosy opadły mi na twarz, z nadzieją, że zasłonią zaczerwienione z poczucia winy policzki.

Usiadłam z powrotem na ławce, a Chase zajął miejsce obok. Nie dotykaliśmy się. A kiedy odwrócił się, by patrzeć, jak słońce wyłania się nad horyzontem, czułam niewidzialną granicę.

„Wiesz, co zapamiętałem z wydarzeń po przyjeździe policji?” – usłyszałam w myślach głos Chase’a. „Jak siedzisz ze mną na sofie. Nic nie mówiłaś. Po prostu ze mną siedziałaś”. Głos miał wtedy delikatniejszy niż teraz, nie tak poważny. Uderzyło mnie nagle, jak bardzo zmieniły nas ostatnie lata, a jednak siedzieliśmy w milczeniu, przyglądając się, jak to samo co zawsze słońce wschodzi na niebie.

Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie poruszyło, a potem zauważyłam, że ręka Chase’a spoczywa na udzie z otwartą dłonią, jakby czekała na moją.

Zacząłam się zastanawiać, jak długo tak siedzi. Zapewne był to przypadkowy gest. Wzięłam głęboki oddech, czując mrowienie wszystkich nerwów wzdłuż kręgosłupa, po czym położyłam dłoń na jego dłoni. Nasze nadgarstki stykały się, ale moje palce sięgały zaledwie do pierwszych stawów jego palców.

Przyglądałam się wypukłym bliznom pozostawionym na dłoniach Chase'a przez liczne walki. Jego palce pogładziły białą koronkę blizn od bata na moich dłoniach. Miękkie opuszki głaskały zgrubiałe pręgi, potem przesunęły się po zimnym metalu kradzionej złotej obrączki. Jego kciuk powędrował powoli wzdłuż mojego palca wskazującego – przeszedł mnie dreszcz aż po szyję. A potem nasze palce się splotły. Chase ścisnął mi rękę, odpowiedziałam mu tym samym.

Oparłam głowę na jego ramieniu, bo nagle ogarnęła mnie fala zmęczenia. Strach i gniew musiały teraz przygasnąć, przynajmniej do czasu, kiedy ich obecność będzie miała sens. I chociaż wiedziałam, że to stan przejściowy, czułam ulgę. Byliśmy bezpieczni i byliśmy razem, a tylko to się teraz liczyło.

PODZIĘKOWANIA

Tworzenie książki nie jest jednoosobowym przedsięwzięciem. To proces, w którym wielu ma swój udział. Nigdy nie będę w stanie odwdzińczyć się tym wszystkim, którzy zmienili bieg mojego życia.

Przede wszystkim dziękuję mojej agentce Joannie MacKenzie, która wzięła na siebie ogromne ryzyko, a nigdy nie dała mi tego odczuć; która poświęciła niezliczone godziny nie tylko na czytanie rękopisu książki, ale także na moją terapię; która jest największą mistrzynią i najlepszą cheerleaderką na całym świecie. Bez Joanny nie byłoby *Paragrafu piątego*.

Ponadto czułabym się zagubiona bez wnikliwych komentarzy i wskazówek Danielle Egan-Miller oraz Lauren Olson; broniły mojej książki na wszystkich frontach.

Wielką piątkę chciałam przybić z Melissą Frain, moją fantastyczną redaktorką. Życzyłabym sobie, żeby każdy miał okazję poznać taką osobę jak Mel – zabawną i miłą, pełną zaraźliwego optymizmu. W jej ustach uwagi typu: „Musimy wyciąć pięćdziesiąt stron” tracą swój koszmarny wydźwięk.

Wyrazy wdzięczności kieruję również pod adresem Kathleen Doherty – wydawcy Tor Teen, a także mojej specjalistki od promocji Alexis Saareli oraz dyrektora artystycznego Setha Lenera.

Nic nie udało by się jednak bez mojej rodziny. Bez mojego męża Jasona – najlepszego przyjaciela od czasu, kiedy zrządzenie losu posadziło nas w jednej ławce w pracowni biologicznej. Mieliśmy wtedy po czternaście lat. Bez mojej mamy, która nauczyła mnie przyjemności czytania, oraz taty, który nie tylko twierdzi, że mogę być, kim chcę, lecz także w to wierzy. Dziękuję serdecznie całej rodzinie Simmonsów, która bez namysłu przyjęła mnie do swego grona. Dee, Craigowi oraz chłopcom dziękuję za wieczory przy bekonie, majsterkowanie oraz odpowiadanie na idiotyczne pytania z wszystkich możliwych tematów, począwszy od motocykli, a skończywszy

na (chlip!) broni palnej – tak, nie na darmo ma się rodzinę. No i dziękuję Rudy’emu, mojemu bezcennemu chartowi, który stanowił wielką inspirację, a przy tym nie domagał się, by i jego imię pojawiło się na okładce.

Dostałam zaszczytu posiadania najlepszych przyjaciół na świecie. Dziękuję Wam, dziewczyny z mojego miasta, przyjaciele, którzy razem ze mną podskakujecie na zajęciach Jazzercise, oraz Wam, psychoterapeuci, dzięki którym jestem lepszą psychoterapeutką i lepszym człowiekiem.

I wreszcie dziękuję wszystkim tym, którzy w ciężkich chwilach walczą. Którzy dążenie do tego, by przeżyć, przekuwają w swój sukces. To dzięki Wam jestem teraz silniejsza i mądrzejsza, bogatsza w świadomość, że nadzieja zawsze w nas jest, nawet w najczarniejszych chwilach.

Przypisy

[1] Bohaterka *Szkarłatnej litery* Nathaniela Hawthorne'a, cudzołożnica, która nosiła tytułową literę wyszytą na ubraniu na znak hańby (przyp. tłum.).

[2] Mary Shelley, *Frankenstein*, przekład Paweł Łopatka, Biblioteka Gazety Wyborczej, tom 21, s. 212, Warszawa 2005.

Niedaleka przyszłość. Nowy Jork, Los Angeles i Waszyngton to opuszczone miasta. Amerykańską konstytucję zastąpiło bezwzględne Prawo Obyczajowe. Nie ma policji – są żołnierze. Nie ma mandatów – są wyroki. Ci, których aresztowano, zwykle już nie wracają...

Siedemnastoletnia Ember pamięta, że nie zawsze tak było. W ciągu trzech lat, które minęły od zakończenia wojny, dziewczyna do perfekcji opanowała umiejętność wtapiania się w tłum. Mieszka z matką, wiedząc na tyle spokojne życie, na ile pozwalają okoliczności. Do czasu. Pewnego dnia jej mama zostaje aresztowana za pogwałcenie paragrafu piątego Prawa Obyczajowego. Wśród żołnierzy, którzy przyszli ją pojmać, jest Chase – najbliższy przyjaciel Ember...

Porywający romans, a zarazem opowieść o sztuce przetrwania.

„School Library Journal”

